

ATENEUM.

PISMO NAUKOWE I LITERACKIE.

TOM II. — ZESZYT IV.

Kwiecień.

WARSZAWA
DRUKIEM JÓZEFA UNGRA,
ulica Nowolipki Nr 2406 (3).
1876.

SPIS RZECZY.

KRYTYKA:

Дозволено Цензурою. Варшава, 7 Апрѣля 1876 г.

SEJMY POLSKIE ZA OLBRACHTA I ALEXANDRA

przez

MICHAŁA BOBRZYŃSKIEGO.

Suum cuique.

Był czas, kiedy historyą każdego narodu starano się jak najściślej od historyi innych ludów oddzielić i odgraniczyć, kiedy się zdawało, że rozwój każdego z nich zupełnie odmiennemi szedł tory, i tylko sam z siebie da się pojąć i wytłómaczyć. Głębsze badania nad historyą wewnętrzną, a osobliwie nad historyą prawa przekonały dowodnie, że są pewne zjawiska, które w dziejach każdego ludu w tenże sam sposób się objawiają. O jednem z takich zjawisk, na które u nas dotychczas pospolicie mało zwracano uwagi, wspomnieć musimy dokładniej, gdyż tylko na jego tle da się dokładniej przedstawić rzecz, którąśmy za przedmiot pracy niniejszej obrali.

Wiadomo było oddawna, że instytucye rzymskie zawdzięczają świetny swój rozwój działaniu dwóch czynników, tak zwanego „jus civile“ i „jus honorarium.“ Pierwsze z nich było to prawo ludowe rzymskie, nadzwyczaj surowe, ścisłe i formalistyczne. Pierwotnie zwyczajowe, zmieniło się następnie w ustawowe w prawach dwunastu tablic, zyskało przez to na swojej ścisłości i wyrobionych jasno pojęciach; ale w skrajnym swoim konserwatyzmie stało się niewystarczającem dla ludu, który się z niesłychanym pośpiechem rozwijał, i nie mogło samo przez się zdobyć się na stosowną postępową reformę. Przedsiębierczy jednak duch rzymski, szanując prawo ludowe i bojąc się go w czemkolwiek naruszać, stworzył poważną magistraturę pretora i uposażył ją tak obszernym zakresem działania, że pretor w każdym danym wypadku, trzymając się zasad słuszności i ogólnego przeświadczenia

prawnego, mógł był luki prawa ludowego t. j. jus civile uzupełniać, postanowienia jego rozszerzać, tłómaczyć, a przedewszystkiém łagodzić. Odtąd pretorowie stanęli na czele rozwoju prawa, a zasadom prawnym wprowadzanym przez nich z coraz to większą śmiałością, czyli tak zwanemu „jus honorarium," zawdzięcza Rzym późniejszy swój tak świetny rozwój prawa i ustawodawstwa.

Toż samo współdziałanie dwóch czynników, konserwatywnego i postępowego, wykrył jeden z najzdolniejszych dzisiejszych professorów prawa niemieckiego Rudolf Sohm w znakomitém ze wszech miar dziele o ustroju Frankońskiego państwa (1), i jedném tém spostrzeżeniem daleko prędzéj wyjaśnił rozwój wewnętrzny monarchii Merowingów i Karolingów, niżby to inni uczeni badaniami ubranemi w największą erudycyą kiedykolwiek osiągnąć zdołali. Sohm przedstawił, jak wobec formalistycznych praw ludowych (szczepowych) germańskich (t. z. leges barbarorum—Volksrechte) stanęła władza królewska z nowszém, szerszém, łagodniejszém pojęciem prawa. Królowie nie mogli prawa ludowego naruszać i przeistaczać, bo nie mieli władzy ustawodawczéj, ale kiedy rządzili, kiedy wyrokowali, nie byli oni jak każdy zwykły sędzia tém prawem związani. Jedną z ich donioślejszych prerogatyw stanowiło to właśnie, że przed prawem stali i w każdym danym wypadku mogli w dziedzinę prawa nowe, światlejsze, słuszniejsze wprowadzać pojęcia. Mieli oni niejako rzymskie „imperium," tak zwaną „Banngewalt" i na zasadzie téj władzy wydawali rozporządzenia, w których zapowiadali, jak w danych wypadkach stale postępować będą. Rozporządzenia te zwano „Capitularia," a stanowiły one w przeciwieństwie prawa ludowego prawo królewskie, rządowe (Amtsrecht). Jeżeli więc t. z. leges barbarorum zajmują toż samo stanowisko, co dawne jus civile rzymskie, to capitularia frankońskie odpowiadają w zupełności rzymskiemu jus honorarium pretorów. Winą też było późniejszych królów i cesarzów niemieckich, że samowolnie ze służącego sobie prawa nie umieli zrobić należytego użytku i dalszy samoistny rozwój prawa w wiekach średnich zupełnie wstrzymali.

Pierwotne państwo Polskie, pod tylu względami państwo Frankońskie nam przypominając, wykazuje również najdowodniéj współzawodnictwo dwóch powyżéj wspomnianych czynników w dalszym rozwoju i budowie naszego prawa. Z ostatniego dzieła Romualda Hubego (2) możemy już powziąć wyobrażenie, jak nie-

(1) Die altdeutsche Reichs- und Gerichtsverfassung. I. Bd. Weimar 1871 str. 102 sq.

(2) Prawo polskie w wieku XIII-tym. Warszawa 1875 str. 24 sq.

gibkiém, konserwatywném i nawskroś formalistyczném było prawo polskie ziemskie na zwyczaju polegające (jus commune terrestre, quod in consuetudine consistit). Było ono najściślejszą własnością społeczności ziemiańskiéj w każdéj z osobna dzielnicy, z jakich się Polska ówczesna składała. Społeczność ta nie miała żadnego organu ustawodawczego, za pomocą którego mogłaby prawo to odpowiednio do zmieniających się i rosnących potrzeb naginać i zmieniać, i tylko w zwyczaju prawnym objawiała swe przeświadczenie i stała na jego straży.

Podnieść tu należy fakt, że statuta Kazimierza Wielkiego nie były wcale kodyfikacyą, spisaniem rzeczonego prawa ziemskiego i np. ze wspomnianemi już leges barbarorum nic nie miały wspólnego. Statuta te wystąpiły owszem wobec istniejącego prawa ziemskiego z wybitném dążeniem, ażeby prawo to powoli i ostrożnie uzupełniać, łagodzić i reformować (1). Jakże się to dziać mogło, spytamy, jeżeli prawo ziemskie było wyłączną własnością społeczności ziemiańskiéj i jeżeli król w dziedzinie prawa ziemskiego nie mógł mieć tém samém władzy ustawodawczéj? Trudną tę do rozwiązania zagadkę tłómaczy nam toż samo pojęcie „juris honorarii,“ jakie widzieliśmy w państwie Frankońskiém i Rzymskiém.

Królowie polscy nie mieli niewątpliwie w średnich wiekach w zakresie prawa ziemskiego władzy ustawodawczéj, ale każdy dany wypadek natury administracyjnéj lub czysto sądowéj mogli powoływać przed siebie (t. z. litterae inhibitoriae) i rozstrzygać ostatecznie bez żadnéj ztąd przed kimkolwiek odpowiedzialności. Z prawa tego nie omieszkali też panujący polscy, już od pierwszych Piastów począwszy, najszerszego robić użytku. Nie mogli wydawać ustaw zmieniających prawo ziemskie i czuli fizyczną niemożebność, aby ustawie takiéj zdobyć poszanowanie, ale wyrokując starali się prawo ziemskie w duchu postępowym tłómaczyć, rozwijać i uzupełniać, wybitnie ponad niém się stawiali. Wyroki nabywały mocy prejudykatów, zmieniały się powoli w legalną interpretacyą istniejących zwyczajów; w ten sposób np. obok dawnego prawa karnego polegającego na grzywnach płaconych pokrzywdzonemu lub jego rodzinie, wytworzył się nowy system kar publicznych królewskich. Panujący wydawali nawet luźne rozporządzenia, a Kazimierzowi Wielkiemu ta się wreszcie należy chwała,

---

(1) Uwagi te przedstawiłem już szczegółowiéj w rozprawie: O ustawodawstwie nieszawskiém Kazimierza Jagiellończyka. Kraków 1872.

że korzystając ze służącéj sobie w tym zakresie mocy, starał się wpłynąć na rozwój prawa zwyczajowego za pomocą obszernych statutów w rodzaju Karolińskich Capitulariów. Nie były to ustawy prawa ziemskiego, lecz projekta do prawa, które o tyle tylko przechodziły rzeczywiście w prawo, o ile zwyczaj ziemski sankcyi im swojéj udzielił. Wiele z postanowień Kazimierza W-go otrzymało sankcyą tę dopiero daleko późniéj w XV-tym wieku, wśród zmienionych zupełnie okoliczności. Od czegoż zależała ta sankcya?

Ważną było rzeczą, ażeby tenże sam panujący, który statut pewien wydał, przez dłuższy czas pozostał przy życiu i w sądach mu zdobył powagę. Inaczéj po śmierci króla, zasada, która była niepopularną, traciła zupełnie moc, jeżeli następca nie ponowił i z równą energią jéj nie przestrzegał. Tak np. wiele z postanowień wiślickich, które za Ludwika węgierskiego zupełnie na bok usunięto, odświeżył dopiero Jagiełło. Powtarzanie przepisów raz wydanych, wynikało więc z natury rzeczy i było nieuniknioném.

Lepszą rękojmią przyjęcia statutu przez prawo zwyczajowe było także obmyślenie przepisu, ażeby odpowiadał potrzebie rzeczywiście uznanéj i przeświadczeniu prawnemu społeczności ziemiańskiéj. Rzecz ta prowadzi nas do bliższego poznania „wieców“ czyli urzędniczych zjazdów.

Panujący chcąc się o usposobieniu ogółu przekonać, nie mógł dojść prędzéj i lepiéj do celu, tylko zasięgając zdania tych, którzy usposobienie to i cały stan rzeczy najlepiéj znać byli powinni, to jest dostojników i urzędników ziemskich. Urzędnicy zgromadzali się i tak corocznie w każdéj ziemi na wielkie wiece czyli kadencye sądowe (colloquia magna). Korzystali więc królowie z tych wieców sądowych, lub też w miarę potrzeby zwoływali oddzielne wiece, z przybyłymi dostojnikami nad rozporządzeniami wydać się mającemi naradzali, a obeznanym z treścią przepisów poruczali dalsze ich wykonanie i przeprowadzenie. Wiece czyli zjazdy urzędników (conventus, colloquia), nabierały przez to coraz większego znaczenia, mianowicie wobec słabych Jagiellonów, ale charakteru swego zasadniczego się nie wyparły. Ubiegały się one przedewszystkiém o wpływ na politykę wyższą, i w niéj, nie zaś w pracach prawodawczych główne swoje zadanie widziały. Pozostały atoli zawsze „radą królewską.“ Król ogłaszając statuta, wymieniał wyraźnie, że je wydaje za radą, a nawet za przyzwoleniem i wolą (consilio, assensu, voluntate) prałatów i panów świeckich zgromadzonych na zjeździe, nie czynił tego jednak dlatego, żeby radę swoję jako organ jego władzę prawnie ograniczający uznawał, tylko raczéj w tym celu, aby postanowieniom swym nadać

większą powagę i zapewnić ogół o dojrzałém ich obmyśleniu i przygotowaniu. Dla tego samego wiece zapowiadano publicznie, patrzano chętnie na liczny zjazd rycerstwa, znakomitszych z pośród szlachty, chociażby nieurzędników przyzywano do rady, wspominano o ich przyzwoleniu i radzie w wydaném postanowieniu, a postanowienie ogłaszano zaraz całéj szlachcie na wiec przybyłéj. Obecność ta jednak szlachty na wiecach, a nawet coraz to częstsze przyzywanie znakomitszych z pośród niéj do rady, nie zmieniało wieców na sejmy, bo szlachcic nie urzędnik, który zasiadł w radzie, czuł, że tam znajduje się z woli króla, nie zaś jako pełnomocnik ogółu swéj braci. Faktem jest przeto mającym zasadniczą doniosłość, że zjazdy czyli wiece nie stały się nigdy ciałem parlamentarném, któreby występowało z pełnomocnictwa społeczności ziemskiéj, i któreby tém samém w zakresie prawa ziemskiego posiadało choćby razem z królem pełną władzę ustawodawczą.

Znając teraz zakres działania i stanowisko króla i wieców wobec prawa ziemskiego, postawmy pytanie, jak też król i wiece z zadania swego się wywiązali? Odpowiedź nie wypadnie korzystnie. Wiece nietylko nie starały się uzurpować sobie coraz to większego znaczenia na polu prawodawstwa, ale do pracy téj przystępowały tylko z największym przymusem. Oprócz statutów wieca warteńskiego z roku 1423, wywołanych gwałtownem wystąpieniem i żądaniem szlachty w Czerwieńsku, i krótkiego statutu z r. 1447, nie znajdziemy od Kazimierza W-go aż do Olbrachta żadnych wybitniejszych pomników ich działalności. Przykład dany przez Kazimierza W-go nie znalazł naśladowców. Prawdziwe to nieszczęście dla Polski, że następcy Kazimierza W-go rządów kraju nie prowadzili własną ręką, Jagiełło dla braku wykształcenia i słabości charakteru, Ludwik Węgierski i Władysław Warneńczyk dlatego, że na Węgrzech ustawicznie bawili. W braku silnéj ręki królewskiéj, nic zaś dziwnego, że wiec urzędniczy tracił poczucie najważniejszego, ale cichego powołania, rozbijał się na stronnictwa walczące z sobą o władzę i wszystkie siły swoje w gorączce wielkiéj polityki trawił. Kiedy Kazimierz Jagiellończyk zasiadł na tronie, przyszło do otwartych zatargów pomiędzy panami stojącymi pod przewodem Zbigniewa Oleśnickiego, a królem; zatargi te przeciągając się bez końca, sprowadzały ogólny zamęt i rozstrój.

Cierpiała na tém najwięcéj społeczność ziemiańska—szlachta, która nie widziała znikąd poparcia najżywotniejszych swych interesów. Mijał już czas, w którym ludność polska, stojąc jeszcze na nizkim stopniu oświaty i rozwoju ekonomicznego i nie znając wię-

kszych potrzeb, zadawalała się dochodem swéj produkcyi, a od państwa żądała tylko utrzymania porządku i bezpieczeństwa. Z ogólnym rozwojem stosunków gospodarczych, przemysłu i handlu, ze wzrostem ludności a rozszerzeniem się oświaty, wzmogły się potrzeby i wymagania. Ogromnie zwiększone państwo, dla utrzymania swego stanowiska wymagało nadto coraz to większych nakładów, które znów przedewszystkiém na stan rolniczy najmniéj dotychczas uprzywilejowany spadały. W połowie XV-go wieku powstało więc w Polsce mnóstwo najgorętszych kwestyi społeczno-ekonomicznych, a społeczeństwo zaczęło już głośno domagać się rozwiązania tych kwestyi i wszechstronnéj pomocy od państwa. Tymczasem w miarę tego, im więcéj rozszerzało się zadanie państwa, tém więcéj w skutku wymienionych już przyczyn władza rządowa okazywała się w popieraniu pracy wewnętrznéj narodu niedbałą i słabą. Stan taki doprowadzić więc musiał do gwałtownego wybuchu.

Któż go miał spowodować? Oczywiście nie duchowieństwo, które usuwając się od wszelkich ciężarów publicznych, żyło kosztem innych stanów wystawnie i do zatargów politycznych najczynniejszą przykładało rękę; nie miasta zniemczałe, które zamknąwszy się w obrębie swych obronnych murów, cieszyły się najbujniejszym rozkwitem przemysłu i handlu, a do spraw państwa niezbyt wielkie przywiązywały znaczenie; nie możni panowie, którzy obdzierając króla z dóbr koronnych, zakładali ogromne latifundia i marzyli tylko o tém, ażeby szlachty na równi z chłopami użyć za robotnika w dziele kolonizacyi obszernych wschodnich pustkowi. Wybuch wyszedł od najbardziéj uciążonéj, a najmniéj w interesach swych popieranéj społeczności rycerskiéj — ziemiańskiéj.

W roku 1454 na pierwszéj wyprawie pruskiéj, rycerstwo zwołane na pospolite ruszenie wszystkich ziem Rzeczypospolitéj, zgromadziło się ziemiami w obozowe koła, uchwaliło kategorycznie swoje żądania i wymogło ich zatwierdzenie na królu. W ten sposób powstały w formie przywilejów, dla każdéj ziemi zosobna wydanych, ustawy nieszawskie, które stanowią pod każdym względem punkt wyjścia w całym dalszym rozwoju narodu i państwa.

Nie są to już dawne królewskie statuta, które były rodzajem juris honorarii, starały się wpływać na rozwój prawa ziemskiego, ale dopiero od prawa tego ostateczną sankcyą otrzymywały. W roku 1454 ogół szlachty każdéj ziemi zebrany na wyprawie wojennéj, wykonywając władzę swą prawodawczą, wyraził

wolę swą prawną zamiast w prawie zwyczajowém, w obszernych ustawach. Przywileje nieszawskie są to więc ostatnie przywileje polityczne, a zarazem pierwsze w Polsce ustawy prawa ziemskiego, w całém tego słowa znaczeniu, które z prawa ziemskiego wprost wyszły, ale nad prawo to zaraz się wzniosły. Osobliwsze to, choć nieuniknione zjawisko. Kiedy czynniki powołane w pierwszym rzędzie do rozwoju prawa, od zadania tego się uchylają, prawo ziemskie samo z siebie wydobywa twórczą, samoistną siłę i zakreśla jéj daleko sięgające zadanie.

Ustawy nieszawskie nie zapomniały odnowić postanowienia zawartego jeszcze w przywileju kaszowskim z roku 1374, mocą którego szlachta tylko do zwykłego podatku dwóch groszy z łanu była obowiązaną (art. 6), a tém samém na wszelkie nadzwyczajne podatki musiała dobrowolnie zezwolić. Ustawy te jednak idą w innym kierunku daléj, bo naruszają już podstawy dotychczasowego patrymonialnego państwa, a mianowicie zupełną odrębność i samorząd różnych stanów, z jakich się Polska składała. Szlachta broniąc głównie ekonomicznego swego stanowiska, występuje w nich przeciw wyzyskującym ją mieszczanom i Żydom, oraz przeciw dowolności i nadużyciom urzędów i sądów. Przepisy nie są z góry teoretycznie obmyślane, lecz wyciśnięte potrzebą, na którą długo zkądinąd napróżno oczekiwano lekarstwa. Zadanie władzy królewskiéj określone jest na podstawie zdawien dawna istniejących przepisów, szlachta pragnie jednak, ażeby król spory polityczne uchylił (art. 9), a razem ze wszystkimi urzędnikami pilnował jak najściśléj sądownictwa i administracyi. Widoczném jest zresztą dążenie, aby panującego poddać istniejącemu prawu, ażeby mu odebrać dotychczasowe stanowisko ponad prawem i wypływającą ztąd możność wpływania na to prawo za pomocą statutów i rozporządzeń. W artykule ósmym podniesioną jest wyraźnie niezawisłość sądownictwa, a król listami swemi nie ma wpływać na bieg sprawiedliwości. W artykule dwudziestym dziewiątym wypowiedziana jest po raz pierwszy zasada, że król nie ma wydawać nowych konstytucyi (ani też ogłaszać pospolitego ruszenia), bez zwołania sejmików w każdéj dzielnicy. Postanowienia te wypływały konsekwentnie z natury całego wystąpienia szlachty. Odkąd szlachta wzięła na siebie rozwój prawa ziemskiego, odtąd należało usunąć samowolną w tym względzie działalność króla, a obmyślić organa ustawodawcze, na których dotychczas zbywało. Przed rokiem 1454 troskliwie szukając, możemy wprawdzie wynaleźć pewne ślady udziału ogółu szlachty w zagadnieniach społecznych i poli-

tycznych (1), ślady sejmików, a nawet posłów, ale były to chwilowe, nieudatne próby. Ustawy nieszawskie stały się dla Polski podstawą nowego dziejowego ruchu przez to, że stworzyły organ ustawodawczy w sejmikach czyli zgromadzeniach ogółu szlachty, w każdéj z osobna dzielnicy.

Nie zapuszczamy się tu w ocenienie historyozoficzne tego tak wybitnego faktu, bo fakt ten nie stanowi przedmiotu naszéj rozprawy; zapisaliśmy go we wstępie tylko dlatego, że znajomość jego konieczną jest do zrozumienia parlamentaryzmu polskiego za Olbrachta i Alexandra. Przeskakujemy za to całe panowanie Kazimierza Jagiellończyka po roku 1454, chociaż było ono rzeczywiście okresem, na który przypadają zawiązki parlamentaryzmu na podstawie zasady wypowiedzianéj w statutach nieszawskich. Przyczyną tego jest dla nas brak dostatecznych źródeł. Do roku 1480 podaje jeszcze Długosz liczne wzmianki o rozwijającym się gwałtownie ruchu parlamentarnym, który coraz to nowsze wytwarza sobie formy i coraz to ciekawsze przechodzi próby. Na podstawie tych wzmianek, których zresztą nateraz niepodobna zkądinąd sprawdzić i uzupełnić, ułożono sobie u nas już oddawna całą teoryą rozwoju parlamentaryzmu polskiego, któréj fundamentalnym punktem jest rozdział sejmu na dwie izby, dokonany jakoby w r. 1458. Postępując atoli więcéj krytycznie, a nadewszystko więcéj sumiennie, przyznaćby raczéj należało, że wzmianki Długoszowe o sejmach i sejmikach są jak na dziś albo niezrozumiałe, albo też że do utworzenia sobie całkowitego obrazu nie wystarczają. Wśród zaciętéj walki między szlachtą a innemi stanami i królem, widać nieustanne falowanie parlamentaryzmu. Król i panowie stają w miarę potrzeby, raz po stronie świeżo powstających sejmów przeciw sejmikom, drugi raz zwołują sejmiki, aby uzyskać to, czego sejmy im odmówiły. Cóż dopiero mówić o czasie między rokiem 1480 a 1493, t. j. od czasu, na którym Długosz kończy swoję opowieść, aż do czasu, z którego dochowały nam się obszerne konstytucye piotrkowskie rzucające na sejmowanie polskie jasne i szerokie światło. O rozwoju sejmów w przeciągu tych lat kilkunastu dla braku źródeł nic nam prawie nie jest wiadomém. Łatwo nam przeto przychodzi oprzeć się pokusie prowadzenia daléj dziejów parlamentaryzmu polskiego z lat między rokiem 1454 a 1493,

---

(1) Zapisuje je R. Hube, w rozprawie: Statuta nieszawskie z 1454 roku. Warszawa 1875 str. 9 i nast.

a pracę naszę obecną zwrócić raczéj ku rozpoznaniu sejmów i sejmików za panowania królów Olbrachta i Alexandra. Spotykamy tu bowiem, nie mówiąc wcale o tém, co nam podają tak mierni kronikarze jak Wapowski i Miechowita, kilka statutów czyli raczéj konstytucyi sejmowych, które dość jest dokładnie wyłuszczyć i zbadać, żeby już do pewnych dojść rezultatów. Professor Szujski udzielił nam nadto znakomity swój zbiór aktów historycznych do panowania Olbrachta i Alexandra, z którego niejednę wiadomość zdołaliśmy zaczerpnąć. Nie taimy zresztą przed czytelnikiem, że do pracy téj popchnęło nas oddawna żywione uprzedzenie przeciw dotychczasowemu zapatrywaniu się na rozwój parlamentaryzmu polskiego z początkiem XVI stulecia, zapatrywaniu, które zrodziło się pod wpływem chwilowych politycznych pobudek, ale zdrowszemu i sprawiedliwszemu sądowi miejsca powinno ustąpić. Pragnąć należy gorąco rehabilitacyi epoki, którą potępiono ryczałtem dlatego, że zacząwszy raz ganić, najłatwiéj było zganić wszystko, a postawiwszy się raz na stanowisku niedościgłéj wyższości, najłatwiéj również utracić zmysł i poczucie prawdy a poszanowanie dla tego, co mimo wad swoich i późniejszego rozstroju było przez długi czas istotnie wielkiém i piękném.

I.

Za Jana Olbrachta (1492 — 1501) parlamentaryzm płynie już pełném korytem i pozostawia po sobie cały szereg pomników, z których bieg jego możemy z pewną dokładnością rozpoznać i skreślić.

Dawne zjazdy urzędnicze nie ustąpiły bynajmniéj z widowni publicznego życia. Na wielu dyplomatach ówczesnych występują jako świadkowie aktu przez króla wystawionego, urzędnicy i dostojnicy królestwa w pełnym niemal komplecie, biskupi, wojewodowie, kasztelanowie, podkomorzowie, starostowie i t. d. obok kanclerza, podkanclerzego, podskarbiego, marszałka, sekretarzów i dworzan królewskich. Obecność ich w jednem miejscu i czasie przy boku królewskim jest dowodem, że umyślnie zostali zwołani. Król nazywa ich swoją „radą“ (consiliarii). Obfite w wypadki i przedsięwzięcia panowanie Olbrachta podawało radzie téj pole do wielkiéj działalności i czyniło częstą

obecność jéj przy królu konieczną. Król wzywał zwykle listownie wszystkich panów rady swojéj na zjazd, którego czas i miejsce wyznaczał, a przedmiot obrad wyłuszczał i zapowiadał (1). Przedmiotem tym były oczywiście przeważnie sprawy dyplomatyczne, prowadzone na ogromną skalę z całym światem, a obracające się głównie około krucyaty przeciw Turkom i odparcia ich strasznych napadów. Rada ta Jana Olbrachta, która już poczynała się nazywać senatem, nie ustępuje zresztą w niczém arystokracyą swoją, a tém mniéj wykształceniem radom dawniejszym. Spotykamy w niéj same nazwiska Tarnowskich, Kurozwęckich, Oleśnickich, Pileckich, Czarnkowskich, Pampowskich, Ostrorogów, Kmitów, Tęczyńskich, Lubrańskich i t. p. Tém więcéj też uderzać nas może, że historya panowania Olbrachta nie zapisała nam ani jednego wybitniejszego starcia pomiędzy senatem i królem, ani jednéj główniejszéj rozterki pomiędzy panami, w które tak obfitują panowania Jagiełły, Warneńczyka i Kazimierza Jagiellończyka. Jeżeli kiedy może być mowa o jednolitéj polityce gabinetu polskiego, to z pewnością najprędzéj za Jana Olbrachta. Zjazdy urzędnicze przy boku królewskim odprawiają się często, ale nie występują wcale z roszczeniem jakiéjś samoistności wobec króla, nie przemawiają do króla w imieniu narodu. Zkądże ta zmiana, jakaż jéj istotna przyczyna?

Mamyż przyczyny téj szukać w usposobieniu Olbrachta? Wapowski chcąc skreślić samodzielność, z jaką występował młody monarcha, podaje nam znaną odpowiedź, którą tenże dał kanclerzowi swemu, występującemu z namowy brata królewskiego kardynała Fryderyka, z nieproszoną i niemiłą królowi radą: „Wyzułbym się, zawołał Olbracht, z koszuli mojéj, gdybym mniemał, że świadoma jest moich istotnych zamiarów. Idź więc i przestań być natrętnym, twoja rzecz nabożeństwa pilnować, nie zaś badać mię, jaką wojnę i przeciw komu rozpocznę.“ Ależ absolutny charakter Olbrachta wyjaśnia nam tylko fakt, że król ten korzystał rzeczywiście z danéj mu władzy i na radę swoję o tyle się tylko oglądał, o ile to w jego zamiarach leżało; nie tłómaczy nam jednak wcale, jakim sposobem Olbracht mógł postępować do tego stopnia bezwzględnie; dla czego wolno mu było czynić to, co za panowania jego ojca byłoby wywołało otwarty rozruch, chociaż Kazimierz Jagiellończyk i siłą charakteru i despotycznem usposobieniem przewyższał niewątpliwie Olbrachta; dla czego arystokracya z cza-

---

(1) Listy mss. do Łukasza biskupa warmińskiego z r. 1500, ze zbioru Szujskiego.

sów Olbrachta złagodniała tak dalece i z wysokich swoich uroszczeń zstępując, zadawalała się skromniejszą rolą w radzie urzędniczéj królewskiéj?

Na zmianę tę w stanowisku i usposobieniu senatu wpłynąć więc musiał jakiś nowy świeżo powstały czynnik, a czynnikiem tym nie był nikt inny, tylko sejm walny królestwa.

Nim atoli twierdzenie to usprawiedliwimy, zauważyć należy, że sejmy świeżo powstałe zmieniły wprawdzie stanowisko dawniejsze rady królewskiéj czyli senatu, ale nie myślały wcale o tém, żeby senat ten znieść i usunąć. Nikt bowiem nie miał prawa zabronić królowi, ażeby nie otaczał się radą swych urzędników i zdania ich o ile tego pragnął i potrzebował, nie zasięgał. Owszem hierarchia urzędnicza znalazła nawet przystęp do sejmów. Król nietylko za każdym razem, kiedy sejm zwołać zamierzał, radę swą o zdanie w téj mierze pytał, ale i podczas trwania sejmu potrzebował mieć przy boku swym radę, któraby w trudnych pracach sejmowych była mu pożądaną pomocą. Rozbierano przytém w senacie wiele spraw, które nie należąc do kompetencyi sejmu, wcale nie przychodziły na stół obrad sejmowych. Rada więc królewska brała w sejmie udział tylko dla króla i przez króla, lecz nie mogła mieć samoistnego stanowiska (1) w instytucyi, która, jak to we wstępie już powiedzieliśmy, na całkiem odrębnych podstawach się wytworzyła. Właściwie więc sejm walny koronny składał się tylko z dwóch czynników — z króla otoczonego swą radą i z izby poselskiéj.

Sejmy z czasów panowania Jana Olbrachta możemy najlepiéj ocenić, porównywając je ze stanem rzeczy wytworzonym przez ustawy nieszawskie w roku 1454. Czyniąc to przyjdziemy do przekonania, że w ciągu lat czterdziestu dokonało się ogromne przeo-

---

(1) Twierdzenie to zasadnicze czynimy na podstawie historycznego powstania i rozwoju „rady królewskiej" i „izby poselskiéj." W ustawach sejmowych z czasów Olbrachta mowa jest zwykle „de consilio et consensu" lub „de consilio et voluntate consiliariorum (prelatorum, baronum) et nuntiorum terrestrium." Zdaniem naszém stylizacyą tę należałoby poprawić i rozumieć: „de consilio consiliariorum et de voluntate (consensu) nuntiorum," w czém nas utwierdza ta okoliczność, że wszystkie akta wydane na radzie królewskiéj bez udziału izby poselskiéj wspominają co najwyżéj o „radzie" panów rad, nigdy zaś o ich „przyzwoleniu" np. przywiléj dla miasta Krakowa wystawiony na sejmie piotrkowskim z r. 1493 (Mss) bez udziału izby poselskiéj, na którym wszyscy dygnitarze i urzędnicy są wymienieni, brzmi: „Joannes Albertus..., de consilio itaque consiliariorum nostrorum tam spiritualium quam secularium concedimus..." Na rzecz tę, która zresztą jeszcze za Zygmunta Augusta była przedmiotem częstéj dyskussyi sejmowéj, przyjdziemy raz jeszcze.

brażenie. Ustawy nieszawskie, przypominamy, uświęcają jedynie sejmiki pojedynczych ziem, na których ogół szlachty się zbierał. Ustawy sejmu piotrkowskiego z r. 1496 świadczą, że dwie nowe idee zdobyły sobie uznanie.

Pierwszą z nich jest idea centralizacyi. W roku 1496 nie przestały istnieć sejmiki. Owszem ustawy piotrkowskie potwierdzają postanowienie nieszawskie, że król nie ma prawa wydawać nowych konstytucyi i ogłaszać pospolitego ruszenia, bez zwołania sejmiku w każdéj dzielnicy królestwa (1), określają nawet dokładniéj postanowienie to wymieniając miejsca, w których się miały odprawiać sejmiki (2). Dla ziemi krakowskiéj miejscem zebrania miały być Proszowice, sandeckiéj i bieckiéj Czchów, sandomierskiéj Nowe-Miasto (Korczyn), Wielkopolski i ziemi wschowskiéj Szroda, sieradzkiéj i wieluńskiéj Sieradz, łęczyckiéj Łęczyca, kujawskiéj i brzeskiéj Brześć, dobrzyńskiéj Rypin, gostyńskiéj i sochaczewskiéj Gąbin, rawskiéj Rawa, lubelskiéj i łukowskiéj Urzędów, chełmskiéj Rubieszów, bełzkiéj Busko, przemyskiéj Mościska, podolskiéj Kamieniec, sanockiéj Sanok, lwowskiéj Wiśnia, halickiéj Trębowla. O sejmie generalnym czyli walnym nie znajdujemy zaś w ustawach z czasów Olbrachta żadnego osobnego postanowienia, ale ustawy te przez sejm wydane i uchwalone, świadczą same sobą, że obok sejmików powstał nowy organ ustawodawczy, występujący w imieniu całéj Rzeczypospolitéj i wydający ustawy, które miały w całym kraju bez różnicy ziem obowiązywać. Jedność ustawodawstwa była już zapewniona.

Drugą ideą jest myśl reprezentacyi. Na sejmikach (conventiones particulares) zbierał się ogół szlachty, na sejmie (conventio generalis) tylko wysłańcy sejmików. Zamiast tłumów rozstrzygać miała intelligencya. Rozchodzi się teraz o odpowiedź na pytanie, czy posłowie sejmowi mogli głosować według własnego przekonania, każdy jako reprezentant całego narodu? Na pytanie to od-

---

(1) Item pollicemur, quod nullas novas constitutiones faciemus, neque terrigenis ad bellum moveri mandabimus absque conventione communi (t. j. *ogółu* szlachty) in singulis terris instituenda. Vol. leg. I, 254.

(2) Item quoniam convenimus cum universis subditis nostris, ut quamlibet expeditionem bellicam generalem conventiones particulares in locis consuetis secundum consuetudines ex antiquo servatas praecederent, itaque statuimus, quod nos successoresque nostri, quotiescunque expeditionem bellicam vellemus indicere seu vellent necessitate quacumque exposcente, toties conventiones particulares instituere debebimus et debebunt videlicet... ad consulendum necessitati tunc fortasse nobis et reipublicae regni nostri imminenti. Vol. leg. I. 270.

powiedzieć musimy przecząco. Sam fakt, że w ustawach z r. 1496 mowa jest o władzy ustawodawczéj *jedynie sejmików*, świadczy, że władza ta pozostała jeszcze w zasadzie przy sejmikach, że każdy poseł występował na sejmie jako wysłaniec (nuntius) swego sejmiku, jego instrukcyą i uchwałami związany, a sejm był tylko miejscem, w którém uchwały sejmikowe miały się z sobą zetknąć i w jednę powszechną ustawę zamienić. Zasadę tę znajdujemy jak najwyraźniéj wypowiedzianą w uniwersałach podatkowych sejmów z r. 1493 i 1499 (1), które wydane zostały „za radą i wolą wszystkich panów rad... oraz społeczności szlacheckich (communitatum), których posłowie ze wszystkich ziem się zebrali,“ w innym zaś uniwersale podatkowym z roku 1496 mowa jest wprost o „zgodzie wszystkich ziem.“ Dlatego też samego, że na sejmach głosowali nie posłowie, lecz sejmiki przez usta swych posłów, jednomyślność wszystkich głosów rzeczą była konieczną. Nie wiemy wprawdzie, jaki był porządek wewnętrzny obrad sejmowych za Jana Olbrachta, ale we wstępie do każdych ustaw sejmowych ówczesnych, czytamy wyraźnie, że ustawy te zapadały „*jednomyślnością*“ (unanimi voluntate) (2).

Stosunek ten pomiędzy sejmem a sejmikami nie był jednak zbyt dogodnym i jasnym; równowaga musiała się bądź na jednę, bądź na drugą stronę przechylić. Za Olbrachta widzimy jawne dążenie do zapewnienia jak największéj powagi wobec sejmików *sejmowi*. Najpierw z czasów tych nie mamy najmniejszego śladu o jakichś odrębnych sejmikowych uchwałach i w ogóle o samoistném występowaniu sejmików, jakie za panowania Kazimierza Jagiellończyka na każdym kroku napotykamy. Daléj ustawa piotrkowska z roku 1496, objaśniając postanowienie nieszawskie, mówi o zwoływaniu sejmików tylko na wypadek wojny (3), nie wspomina zaś przytém wcale o ich zadaniu prawodawczém, coby można w ten sposób tłómaczyć, że sejm walny przejmował na siebie pracę około ustawodawstwa, podczas kiedy władza zezwalania na nadzwyczajne podatki i pospolite ruszenie, zostawała jeszcze przy sejmikach i daleko ich się wytrwaléj trzymała. We wstępie do wspomnionych ustaw z roku 1496 nie ma wreszcie już mowy o ze-

(1) Posiadamy w zbiorze Szujskiego uniwersały podatkowe mss. jeden z roku 1493, dwa z r. 1496, dwa z r. 1498, jeden z r. 1499.

(2) Na czém polega różnica wyrazów „communis“ i „unanimis“ w stylu urzędowym ówczesnym, wyjaśnimy przy ustawie z r. 1505.

(3) Przytoczyliśmy ją wyżéj

zwoleniu „ziem," tylko wprost o zezwoleniu posłów, „którzy na sejmie przedstawiają *całe ciało* Rzpltéj *z zupełném pełnomocnictwem* nieobecnych (1). Zasada ta ogromnego znaczenia, wyraźnie wypowiedziana, świadczy najlepiéj o kierunku, w którym się parlamentaryzm polski podówczas rozwijał.

Chcąc teraz ocenić stanowisko króla w sejmie, zapisać przedewszystkiém należy, że zakres działania sejmów nie stał się szerszym, niż był w roku 1454 zakres działania sejmików — ograniczał się do ustawodawstwa i zezwalania na nadzwyczajne podatki i pospolite ruszenie. Władza rządowa pozostała samoistnie w całéj swéj rozciągłości przy królu, *a dążeniem było naturalném parlamentaryzmu, ażeby władzę tę wzmocnić*, a ustawom sejmowym zapewnić przez to ścisłe przeprowadzenie.

Ustawy nieszawskie przyszły do skutku bez współdziałania króla, szlachta zaś zmuszała Kazimierza Jagiellończyka do zatwierdzenia uchwał pospolitych dlatego, że podówczas była ona tylko jednym ze stanów państwa, a jedynym reprezentantem idei państwa był panujący. Uchwały każdego stanu musiały więc ubiegać się o sankcyą królewską, t. j. potwierdzenie, że nie przekraczają swego zakresu i nie naruszają równowagi społecznéj.

Za Olbrachta, jak to daléj rozwinąć będziemy mieli sposobność, sejmy występują już w imieniu całéj Rzeczypospolitéj, uzurpacya szlachty zdobyła sobie prawne znaczenie. Stanowisko króla wobec tego jest zupełnie zmienioném. Przedewszystkiém król przestał być jedynym reprezentantem państwa, lecz podzielił tę władzę, dopuścił do niéj spółrzędnie reprezentacyą szlachty. Szlachta nawzajem zrzekła się swojéj odrębności stanowéj i idącego z nią w parze samoistnego rozwoju prawa, wprawdzie tylko przez to, że narzuciła je całemu państwu i w sobie cały naród ujrzała. Tém samém więc musiała ona przyznać panującemu bezsprzeczny, spółrzędny udział w świeżo powstałéj władzy ustawodawczéj. Król z izbą poselską tworzą razem najwyższy organ Rzeczypospolitéj — sejm. Ustawy zapadać mogą tylko za wspólną zgodą (communis consensus) obu czynników. Postanawia je król, zasięgnąwszy zdania rady swéj urzędniczéj za przyzwoleniem posłów. Król jednak nabywa teraz nową władzę, któréj dawniéj nie miał, a raczéj tę, którą w nader szczupłym zakresie piastował, ogromnie rozszerza władzę wykonawczą, rządową. Niegdyś zadanie i obowiązek króla

(1) „In hac conventione generali Petricoviensi existentibus corpus ejusdem regni cum plena facultate absentium repraesentantibus." Vol. leg. I. 255.

ograniczały się do tego, że bronić miał kraju od nieprzyjaciół zewnętrznych, a na wewnątrz utrzymywać porządek i równowagę stanów. Zresztą cały rozwój wewnętrzny, administracya, prawodawstwo, a w wielkiéj części nawet i sądownictwo, było sprawą wewnętrzną każdego ze stanów przez państwo uznanych, rzeczą ich samorządu, który królowi częstokroć nawet prawa zwierzchniego nadzoru zaprzeczał. Teraz stosunki zmieniły się do niepoznania. Wykonanie i przeprowadzenie wszystkich postanowień sejmowych należało do króla. Gdy zaś uchwały sejmowe rozciągały się na wszystkie sprawy wewnętrzne zarządu i sądownictwa, więc też zakres władzy rządowéj królewskiéj ogromnie się zwiększył i zbliżał się do nowszych w téj mierze pojęć. Nikt też inny jak tylko król nie miał prawa wydawać uchwalonych na sejmie ustaw. Był to pierwszy krok ich wykonania. Królowie rozsyłali je wszystkim starostom z poleceniem, aby je należycie ogłaszali i czuwali nad ich wykonaniem (1).

Tyle powiemy o stronie zewnętrznéj parlamentaryzmu polskiego z czasów Jana Olbrachta. Ważniejszą może rzeczą jest zajrzeć w jego dążenie i ducha. Przedewszystkiém pozbyć się tu należy mylnego pojęcia, jakoby król i sejm w XV-tém stuleciu były dwoma srogiemi sobie żywiołami, które do ciągłéj z sobą występowały walki. Mógł Olbracht mieć pewne obawy, kiedy i jeżeli się zastanawiał nad nową zasadą parlamentaryzmu, która z tak wielką siłą przeobrażała cały ustrój Rzeczypospolitéj, mógł zżymać się i niepokoić, jeżeli izba poselska nie okazywała jeszcze zupełnéj samoistności i nie umiała otrząsnąć się we wszystkiém z pod wpływu możnych. Ale były to obawy i niepokoje raczéj życzliwego sprzymierzeńca niż nieprzyjaciela. Sejmy złamały hierarchią urzędniczą, która przedtém mieszając się do wszystkiego, obdzierała króla ze służącéj mu władzy, a następnie sama między sobą o władzę tę śmiertelne staczała boje. Sejmy wybawiły królów od najgroźniejszego nieprzyjaciela, bo wypowiedziały zasadę, że król tylko w ustawodawstwie i zaciąganiu nowych podatków przyzwolenia posłów winien zasięgać, a tém samém przyznały, że we wszystkich innych sprawach nieograniczoną ma władzę. Faktem jest, że sejm nie wydzierał królowi władzy, bo ustawodawstwo i nakładanie podatków i pierwéj przed r. 1454 lub 1493 do

---

(1) Mandat taki Olbrachta polecający Piotrowi z Kurozwęk staroście krakowskiemu ogłoszenie i wykonanie ustaw sejmu z roku 1493 w Bandtkiego Jus polonicum pag. 323.

króla należało. Owszem kiedy dawniéj przedsiębierczy królowie z projektami swemi podatków i ustaw nie wiedzieli właściwie do kogo mają się udać i sztucznych się środków chwytać musieli, teraz Olbracht stał już wobec poważnego ciała, z którém mógł skutecznie traktować i legalnie pomysły swe przeprowadzać. Gdyby sejmy były naruszeniem praw królewskich, to nie byłyby one zaiste utrwaliły się w epoce, w któréj władza rządowa w Polsce zdobyła się na największą siłę, w któréj na tronie Polski, Litwy, Czech i Węgier siedzieli synowie Kazimierza Jagiellończyka, związani z sobą tajném przymierzem, że jeden drugiemu na pomoc przeciw poddanym, gdyby ci buntować się mieli, pośpieszy; kiedy wreszcie w Polsce ster rządu uchwycił młody Jan Olbracht, mąż niezmiernego ducha, jak powiada Wapowski, i do wielkich przedsięwzięć stworzony, człowiek, który dniami i nocami nad tém tylko myślał, aby świetnemi czynami pamięć o sobie uwieńczyć. Klęska stryja Władysława pod Warną wywoływała w nim, ilekroć o niéj wspominał, ciężkie westchnienie; hańbę tę wielkiego rodu Gedyminów postanowił zmyć i pomścić na Turkach. Z gorączkową też skwapliwością krząta się Olbracht około zawarcia silnych przymierzy, ale na chwilę nie zapomina, że najściślejszém przymierzem ład i porządek domowy. Z niezmierną rozwagą gotuje się młody monarcha do dzieła. Zezwoliwszy Bajazetowi na kilkoletnie zawieszenie broni, zwraca się do wewnętrznéj reformy królestwa. Sprawie téj poświęcone są dwa wielkie sejmy z roku 1493 i 1496 i noszą też na sobie jéj wybitne piętno. Wdzięczną była królowi za ducha inicyatywy szlachta, i dlatego też pomiędzy królem a izbą poselską widzimy tak budującą, tak płodną w owoce harmonią i zgodę (1). Sejm stał się polem, na którém łączyły się dwa różne pierwiastki; inicyatywa połączona z władzą, z poczuciem potrzeb

---

(1) Najważniejszym argumentem, który przeciw temu zapatrywaniu przemawia i który wszystkich historyków naszych nakłonił do zdania, że Olbracht walczył ze szlachtą i przeciw niéj zamysły swoje kierował, są tak zwane „Rady Kallimachowe." Świstek to nader ciekawy, ale razem z całą postacią Kallimacha i stanowiskiem jego w Polsce dotychczas zgoła niewyjaśniony. Publiczność nasza miała świeżo sposobność zapoznać się z przekładem najnowszéj pracy Zeissberga. Rozprawie téj niestety przyznać możemy tylko drobiazgowość pracy, ale z wynikami jéj zupełnie się nie zgadzamy, bo autorowi brakło znajomości ówczesnych stosunków wewnętrznych. Inaczéj nie byłby traktował „Rad Kallimachowych" na seryo jako rzeczy, któréj ojcowstwo możnaby Kallimachowi przypisać. Bliższy rozbiór téj kwestyi zostawiamy sobie do osobnéj rozprawy; tu ograniczymy się jedynie na wypowiedzeniu zdania naszego, że „Rady Kallimacha" są pamfletem napisanym na politykę Bony i Zygmunta Starego. Świadczy o tém nie-

i przeświadczeniem narodu; prawo zwyczajowe ziemskie i prawo rządowe królewskie spółdziałając spływały się w konstytucye sejmowe czyli ustawy o bezwzględnie obowiązującéj mocy. W ustawach czyli konstytucyach (1) sejmu z roku 1493, obok uchwał będących wynikiem życzeń szlachty, widzimy cały szereg postanowień wnoszonych od króla. Zmierzają one do powstrzymania surowemi karami mnożącéj się swawoli i gwałtów. Za zranienie kogokolwiek w sądzie lub w napadzie na dom kara śmierci, za zabójstwo oprócz kary pieniężnéj wieża przez rok i sześć niedziel, za gwałt niewieści infamia, za oszustwo infamia i piętnowanie, dawne kary na nieposłuszeństwo prawu przypomniane z naciskiem. Przepisy te uchwalone zrazu na trzy lata, przeszły w roku 1496 w postanowienie stale obowiązywać mające. Dość zresztą spojrzeć na uchwały poborowe z lat 1493, 1496 i 1498, ażeby nabrać przekonania, że sejm w popieraniu śmiałych przedsięwzięć Jana Olbrachta, nie powodował się małodusznym egoizmem, lecz owszem cały kraj do niezwykłych wzywał wysileń (2).

Z sejmików i sejmów wydobywała się gwałtownie nowa idea państwa prawnego, łamiącego polityczną odrębność stanów i pociągającego wszystkie stany do tych samych ciężarów publicznych. „Postanawiamy, są słowa uniwersału podatkowego

---

tylko ich treść rozważona dokładniéj, ale jeszcze więcéj porównanie przechowanych tekstów. (Tomiciana; Broel-Plater.—Biblioteka Warszawska, Wiszniewski. Do Tomicianów wlepiono je na osobnéj karcie, na któréj napisane są pismem z drugiéj połowy XVI wieku). Z tekstów tych widoczną jest rzeczą, że dowcip szlachecki silił się przez cały XVI-ty wiek na to, żeby redakcyą pierwotną coraz to nowemi radami Kallimacha pomnażać. Że rady te wiązano z postacią Kallimacha, było w tém tyle prawdy, że Kallimach należał rzeczywiście do stronnictwa popierającego Olbrachta w walce z uzurpacyą senatu. Na pierwszém też miejscu „rad" postawiono radę „znieść senat," i rada ta była w ustach Kallimacha prawdziwą. Ale zaraz następna rada „znieść posłów ziemskich" podana z motywami wyjętemi niemal z Kromera, jest już wypływem bujnéj imaginacyi szlachty lub chęci zastraszenia jéj przez możnowładców XVI-go wieku.

(1) Tak nazwane w promulgacyi. Ob. Jus. pol.

(2) Według uniwersału z roku 1498 zaprowadzającego nadzwyczajny podatek osobisty, płacić mieli: 1) Właściciel z każdéj wsi jednę grzywnę. 2) Każdy zresztą mieszkaniec bez różnicy płci i wieku jeden grosz. 3) Obywatel miejski dwa grosze, dzieci, kobiety i służba po jednym groszu od głowy. 4) Kobiety publiczne po groszu *co tydzień*. 5) Żydzi i cudzoziemcy po jednym złotym, od żony, dzieci i sług po 12 groszy od głowy. 6) Sołtysi i wójtowie po grzywnie. 7) Lichwiarze pół czystego dochodu podług fassyi. 8). Osobne podatki nałożono na młynarzy, fabrykantów, żupników i t. d.

z r. 1498, ażeby podatki te płacone były od wszystkich miast, wsi i miasteczek, oraz od wszystkich osób duchownych i świeckich, nie dopuszczając wyjątku żadnym osobom i miejscom, podciągając pod nie nawet dobra nasze królewskie.“ Uniwersał ten i inne spółczesne, wypowiadając zasadę równości ciężarów publicznych, druzgocą też najgłówniejsze podstawy średniowiecznego państwa.

Atoli szlachta nie umiała zasady téj prawdziwie konsekwentnie przeprowadzić. Przypomnijmy sobie, że izba poselska wyszła z sejmików ziemskich, w których ani duchowieństwo, ani mieszczanie, nie mówiąc już o włościanach, nie mieli swoich reprezentantów. Zanim jeszcze słychać było o sejmikach, duchowieństwo miało już swoje synody, mieszczanie swoje zgromadzenia ludu, które im zastępowały miejsce sejmików. Gdy sejmiki powstały, ani jedni, ani drudzy do nich się nie garnęli. Nie przeczuwali, żeby z nich miała wyjść władza ustawodawcza całego państwa, która opierając się na nowych pojęciach, będzie miała odwagę i moc złamania ich przywilejów. Od sejmików tych usuwali się nadto duchowni i mieszczanie już dla tego samego, że sejmiki uchwalały podatki i pospolite ruszenie, w czém ani jedni, ani drudzy, jakoby na zasadzie swych przywilejów, brać nie chcieli udziału. Otoż szlachta, jeżeli chciała przeprowadzić przymusem zasadę równości ciężarów publicznych, powinna była wyprowadzić ztąd wniosek, że skoro wszyscy mają równo ciężary publiczne ponosić, to wszyscy razem powinni je uchwalać, to wszyscy, duchowieństwo i mieszczanie, powinni w sejmach brać udział. Zamiast tego dała się szlachta zrazić oporem, jaki duchowieństwo i miasta przeciw podatkom i powszechnéj służbie wojennéj stawiały, a raczéj wyzyskała samolubnie ten opór na wyłączną swą korzyść. Tylko ten, co mieniem i krwią swoją broni kraju, rozumowała szlachta, ma o sprawach publicznych stanowić; kto się od podatków i służby wojennéj uchylić pragnie, ten z życia politycznego powinien być wyłączony. Zgubną tę nad wszelki wyraz zasadę przeprowadził sejm piotrkowski z r. 1496. „Postanawiamy, tak brzmi konstytucya rzeczona (1), że mieszczanom i nieszlachcie nie ma być wolno kupować, posiadać na własność lub zastaw i trzymać miast, wsi i gruntów prawu ziemskiemu podległych, a to dlatego, że ci *na wyprawach wojennych i w szyku bojowym nie zajmują miejsca w szeregach rycerstwa, a mając tego rodzaju dobra, chwytają się wszelkich sposobów, aby się od*

(1) Vol. leg. I. 271.

służby wojennéj uchylić." Stan mieszczański pozbawiono przeto znaczenia politycznego; zabraniając mu posiadać dóbr ziemskich, odebrano mu najważniejsze prawo obywatelstwa, wyłączono go z nowopowstającego społeczeństwa narodowego. Duchowieństwo za silne było, aby w podobny sposób dało się złamać. Chwycono się innéj drogi. Z małym wyjątkiem odjęto przystęp do dostojeństw kościelnych nieszlachcie, „ponieważ ta do obrony kościołów w królestwie naszém niezbędnéj, osobliwie dla wielu ludzi swawolnych oraz częstych wypraw wojennych mało lub wcale nie jest przydatną" (1). Spodziewano się, że szlachta zająwszy wyższe posady kościelne, prędzéj ducha ogółu szlachty zatrzyma i w duchowieństwie go zdoła rozszerzyć. Zeszlachcono duchowieństwo, przyznano mu wpływ o ile ono było szlacheckiém, a odjęto zupełnie owo stanowisko samoistne, jakiém się odznaczało przedtém.

Cios ten wymierzony przeciwko duchowieństwu i miastom, tém więcéj, że włościanie już dawniéj opieki prawa publicznego byli pozbawieni, był ujemną stroną sojuszu zawartego przez króla i szlachtę. Król otrzymując od izby poselskiéj wszystko, czego żądał, okazywał się ze swéj strony pobłażliwym na dążenia szlachty, i zatwierdzał je nawet wtedy, kiedy daléj sięgając rozmysłem, powinien był przeciw nim veto swoje położyć. Olbracht postanowienia sejmowe z r. 1496 uświęcił, nie widząc w nich ukrócenia swéj władzy, ale nie bacząc, jaką one w dalszych swoich ustępstwach szkodę przynoszą krajowi, jak pozbawiają tron królewski żywiołów, na którychby się tenże przeciw możliwym uroszczeniom szlachty mógł oprzeć. Był to zasadniczy błąd w rozwoju politycznym i społecznym Polski w końcu XV-go stulecia; podnosimy go też w całéj jego nagości, nie sądzimy jednak, jakoby Polska już dlatego samego skazana była na upadek. Niewola ludu, zeszlachcenie duchowieństwa, odsunięcie od życia politycznego miast—wszystko to dawało się jeszcze naprawić, byleby rozwój narodu w innych kierunkach postępował nieustannie naprzód, a warunkiem tego rozwoju było zbudowanie silnéj, poczuciem owego powołania przejętéj władzy rządowéj.

Sięgnąć tu musimy nieco daléj w przeszłość, ażeby usprawiedliwić zapatrywania nasze, które od znanych dotychczas poglądów na tę najważniejszą może kwestyą znacznie się różnią.

Władza rządowa w Polsce, stosując się do rozwoju i przeobrażeń państwa, dwa razy się już przed szesnastym wiekiem zmie-

---

(1) Vol. leg. I, 262.

niła. Pierwsi Piastowie zbijając drobne ludy osiadłe na obszarze późniejszéj Polski w jeden naród, znieśli zupełnie dawniejsze ich polityczne związki, a położywszy sobie za cel zbudowanie silnego państwa, utworzyli odpowiednią temu celowi hierarchią urzędniczą, centralistyczną i zupełnie rozkazom panującego poddaną. Cały kraj podzielony był na powiaty, na których czele stali kasztelanowie (comites) jako bezpośredni wykonawcy rozkazów królewskich. Osobni urzędnicy skarbowi, których Gallus nazywa „vastandiones,“ i „villici“ administrowali niezmiernemi dobrami królewskiemi, pośród których zrzadka tylko wyłaniały się wsie darowane kościołom i rycerstwu. Na dworze panującego występuje wojewoda (palatinus), chorąży (signifer), stolnik (dapifer), cześnik (pincerna), skarbnik (thesaurarius), kanclerz (cancellarius) i komornicy (camerarii). Podział kraju pomiędzy synów Krzywoustego nie zmienił w niczém organizacyi, tylko że każdy z książąt otoczył się teraz dworem i urzędami dworskiemi, jakie przedtém tylko na dworze panującego nad całą Polską monarchy istniały.

Z początkiem dopiero XIIIgo wieku nastąpiło zasadnicze przeobrażenie. Usiłowaniom Przemysława, Wacława, Łokietka i Kazimierza powiodło się złączyć pojedyncze dzielnice w jedno królestwo. Była to jednak unia personalna, w skutku czego każda dzielnica zatrzymała swój samorząd, a urzędy w każdéj dzielnicy czyli ziemie istniejące stały się z książęcych i centralistycznych autonomicznemi, ziemskiemi. Nowe państwo potrzebowało jednak, jeżeli miało całość swoję utrzymać, nowych urzędników w imieniu władzy królewskiéj centralnéj występujących. Powoli więc na dworze królewskim zaczynają w ciągu czternastego wieku powstawać nowe urzędy królewskie dworskie: podkanclerzy, podskarbi, kanclerz, marszałek, których władza na cały kraj się rozciągała. Atoli rząd ten królewski nie miał jeszcze w całym kraju urzędników podwładnych, którzyby byli od niego bezpośrednio zależni i stali na straży rozkazów królewskich. Urzędy ziemskie jako autonomiczne, do tego celu wcale nie dały się użyć. Dlatego z końcem XIV wieku ustanowiono w całym kraju obok hierarchii urzędniczéj ziemskiéj, starostów grodowych, jako władze, które w ręku swoich dzierżyły siłę zbrojną i wykonywały bez zwłoki w każdym zakątku kraju rozkazy centralnego rządu. Na tych starostach opierali groźną powagę swego rządu pierwsi Jagiellonowie, posługiwali się nimi w przeprowadzeniu polityki, która nieraz nie zgadzała się z ogólném usposobieniem narodu i do któréj władze ziemskie nigdyby z należytą energią nie przyłożyły ręki. Dość czytać Długosza, gdzie opisuje spór kapituły krakowskiéj z Kazimierzem Jagiellończykiem, ażeby

poznać, jaką rolę w podobnych wypadkach odgrywał starosta, ażeby się przekonać, jaką siłę mógł rząd polski podówczas na wewnątrz rozwinąć.

Ogólna jednak zmiana stosunków w drugiéj połowie XV-go stulecia uczyniła i ten rząd niedostatecznym i postawiła na pierwszym planie jego nową reformę. W XIV i XV wieku, w państwie Polskiém patrymonialném, społeczeństwo podzielone na stany rządziło się, jak to wyżéj już podnieśliśmy, samo, a władza państwowa miała jedyne zadanie, aby utrzymać bezpieczeństwo i równowagę wewnętrzną. Zadaniu temu czyniła ona zadość nietyle przez jakąś ciągłą działalność i pressyą, ile raczéj przez to, że w chwilach stanowczych występowala szybko i doraźnie, a rozwijając całą swą siłę, przywracała naruszony porządek i znów na uboczu stawała. Z końcem XV wieku zmieniła się atoli istota państwa, znikła odrębność polityczna stanów, a zadaniem stało się państwa, ażeby kierować i wspierać rozwój i pracę społeczeństwa we wszystkich kierunkach. Teraz wymagała konieczność, ażeby działanie władzy rządowéj stało się nieustanném, obmyślaném, systematyczném. Od chwilowego, gwałtownego występu ważniejszym był wpływ stały, rozciągnięty na wszystkie stosunki, poparty przymusem w miarę potrzeby, przeprowadzony podług pewnego z góry podanego planu. Jednolitość całéj machiny rządowéj, wewnętrzna jéj zgodność i karność i szerokie rozprzestrzenienie stały się konieczném wymaganiem. Przymiotów tych dotychczasowa organizacya urzędnicza nie mogła wykazać.

Urzędy podwładne, starościńskie, należało pomnożyć zarówno co się tycze ogólnéj liczby, jako też pod względem wewnętrznego ich składu. Należało niemniéj przeprowadzić ich niepołączalność z innemi urzędami, usunąć zwyczaj szkodliwy, że starostami bywali wojewodowie, jak tego na polach nieszawskich domagała się szlachta. Inaczéj nie było pewności, że starosta czynności swego urzędu nie zaniedba, że polecenia dane sobie z góry bez oporu wykona. Ważniejszą jeszcze była reforma centralnego rządu.

W państwie średniowieczném panujący a państwo były to jednoznaczne pojęcia; majątek państwa był majątkiem panującego, bo panujący własnemi środkami obowiązany był rządzić i z własnych funduszów koszta rządu pokrywać. Pojęcia te z nastaniem nowéj epoki zupełnie się zmieniły. Państwo, które w Polsce doskonale nazwano Rzecząpospolitą, stanęło samoistnie, samo miało obmyślić swój rząd, samo miało dostarczyć rządowi temu potrzebnych do rządzenia środków. Tron polski dzierżąc zawsze najwyższą, nieodpowiedzialną władzę, był już tylko jedną z insty-

tucyi państwa. Czynności jego podzieliły się zasadniczo: jedne odnosiły się do jego dworu i majątku, drugie do spraw publicznych. Urzędy dworskie nie mogły już bez zamieszania łączyć w sobie zarządu spraw prywatnych króla, a zarazem spraw publicznych Rzeczypospolitéj. Rozdział ich na publiczne i ściśle dworskie, stał się prawie nieuniknionym i dokonywał się zwolna samą siłą stosunków z końcem XV-go i początkiem XVI stulecia. Kanclerz i podkanclerzy byli oczywiście tylko urzędnikami państwa, ale marszałek musiał być jeden nadworny, drugi koronny, toż samo podskarbi. Rozdział ten władz naczelnych był atoli tylko połową reformy. Uświęcając go należało obmyślić, ażeby naczelne urzędy koronne nie wymknęły się z pod powagi króla i nie zaczęły postępować samopas. Chociaż w końcu XV-go wieku ustawodawstwo stało się rzeczą sejmu, jednak cała władza rządowa została przy królu, król miał utrzymać jéj jednolitość i zgodność.

Jakaż do tego celu prowadziła droga? Dzisiaj łatwoby nam ją przyszło obmyślić—ministeryum parlamentarne, władzę, która zachowuje całą wewnętrzną sprężystość i jedność, która postępuje w duchu większości sejmowéj reprezentującéj kraj, a nie narusza przez to w niczém praw tronu, która wreszcie zastępuje brak zdolności i charakteru ze strony panującego. Byłoby jednak wielkiém doktrynerstwem, ażeby żądać czegoś podobnego od Polski ówczesnéj. Rozchodziło się tu jedynie o to, aby zapobiedz możliwemu rozstrojowi władzy rządowéj, ażeby utrzymać jéj zgodność, reszta byłaby się z czasem znalazła i rozwinęła. Nie było zaś innego sposobu urzeczywistnienia tego zadania, tylko uchylić dotychczasową dożywotniość wszystkich urzędów, która osobliwie w urzędach wyższych prowadziła niechybnie do nieposłuszeństwa i polityki na swoję rękę. U nas tylko na mocy sądowego wyroku pozbawiano urzędu. Rzadko zaś kiedy urzędnika, który nie działał w duchu udzielonych sobie rozkazów, można było tém samém przed kratki sądowe pociągać. Sprawa była w każdym razie przewlekła i długa, rząd się tymczasem rozprzęgał i tracił na swojéj powadze. Król powinien był obok władzy obsadzania urzędów, mieć także moc usuwania z nich dowolnie ludzi, którzy niedość okazywali gorliwości i posłuszeństwa.

Posiadając to prawo, byłby król utrzymał jedność władzy naczelnéj czyli swego ministeryum, byłby mógł wielkie urzędy koronne złączyć w jeden rząd, a rząd ten królewski byłby sobie nawet sam przez się wytworzył pewien program i znalazłby również możność przeprowadzania swych rozkazów i rozporządzeń.

W braku tego wszystkiego siła rządów zależała wyłącznie od

osobistych przymiotów panującego. Król wielkich zdolności, chętny do pracy, a nadewszystko żelaznéj woli, mógł wszystkiego dokonać i nietylko w prawach sejmowych chwycić śmiało inicyatywę i nadać im głębszy kierunek, ale co było rzeczą o wiele trudniejszą, utrzymać w przyzwoitych karbach machinę rządową, jaka podówczas istniała. Jeżeli zaś król był słabym lub niedbałym, cały rząd się rozprzęgał, a rozprzężenie to oddziaływało zgubnie na działalność sejmu i na rozwój samego parlamentaryzmu. Dopóki ludzie są ludźmi, trudno zaprawdę od nich wymagać, ażeby nakładali na kraj podatki, jeżeli podatki te będą strwonione i jeżeli od nich uchylają się skutecznie ci, coby je najłatwiéj mogli ponosić. Zapominają o tém zwykle ci, co przeciw sejmom polskim najcięższe podnoszą zarzuty. Należałoby natomiast okazać większą nie pochwałę, ale wyrozumiałość dla sejmów, które widząc rozstrój władzy rządowéj, występowały z próżnemi skargami, a nie widząc skutku swych żalów, poczynały się burzyć i do króla i władzy zniechęcać.

Symptomata te zaczęły występować już w ostatnich latach panowania Jana Olbrachta, którego po strasznéj klęsce bukowińskiéj i upadku śmiałych zamiarów zupełnie opuściły siły. Sejmy, które aż do roku 1498 postępowały ręka w rękę z królem i zarówno w pracy ustawodawczéj jako też w uchwalaniu podatków starały się gorliwość króla prześcignąć, teraz kiedy Olbracht upadł w swoich zamiarach i oddał się rozpuście, osłabły w swéj działalności i żadnych jéj nawet nie pozostawiły śladów. Gdybyśmy znali ich przebieg, moglibyśmy niewątpliwie opowiedzieć pierwsze objawy rozstroju pomiędzy dwoma czynnikami, które powołane były do tego, ażeby zgodném działaniem wielkie rzeczy zbudować.

Kwestya utworzenia silnego rządu jest więc z rozwojem parlamentaryzmu polskiego jak najściśléj spleciona, i aż do samego upadku Rzeczypospolitéj nieodstępnie jéj towarzyszy.

II.

Dnia 17 Czerwca 1501 r. umarł nagle Jan Olbracht w Toruniu, a już 12 Grudnia tegoż samego roku Alexander odprawił uroczystą koronacyą w Krakowie. Krótkie to jednak bezkrólewie rzuca ogromne światło na stosunki, które powstały lub utrwaliły się za panowania Olbrachta, przedewszystkiém więc na instytucyą sejmów. Jest ono bijącym dowodem, że sejmy polskie ówczesne były rośliną jeszcze nadzwyczaj wątłą, która się utrzymywała głównie

ścisłém przymierzem z tronem i tylko z jego pomocą była w stanie ostać się wobec tak przemożnego nieprzyjaciela i współzawodnika, jakiego miała w senacie. Panowie polscy, dopóki żelazna ręka Olbrachta trzymała ich na wodzy, musieli się ograniczyć do skromnego stanowiska rady królewskiéj, ale niechęć ich długo tłumiona w chwili, kiedy Jan Olbracht zamknął oczy, wybuchła zarówno przeciw władzy rządowéj królewskiéj, jako też przeciw władzy ustawodawczéj sejmowéj.

Bezkrólewie bardzo im do tego pożądaną podawało sposobność. Po zgonie króla władza rządowa przechodziła na senat pod prezydencyą prymasa. I rzeczywiście, jak tylko wiadomość o zgonie Olbrachta doszła do Krakowa, kardynał-prymas Fryderyk chwyta inicyatywę w swoje ręce, zwołuje senatorów to do Krakowa, to do Nowego-Korczyna, to wreszcie do Koła, i z nimi razem wszystkie sprawy załatwia. Nie prymas, ale senat cały z prymasem na czele prowadzi rządy i wyznacza dzień 15 Września na zjazd powszechny w Piotrkowie, na którym nowy król ma być wybrany i obwołany.

Zjazd ten elekcyjny nie był sejmem, bo prawo elekcyi królów było dawniejszém od sejmów, pochodziło z czasów jeszcze Piastowskich i stało się udziałem wieców urzędniczych, które podówczas same jedne mogły być tłómaczem woli narodu. Z prawa tego nie myśleli też panowie polscy po śmierci Olbrachta żadnego robić ustępstwa, jakkolwiek licząc się więcéj z duchem czasu i ostatnim rozwojem stosunków, do udziału w elekcyi izbę poselską zawezwać byli powinni. Szlachta zaś nie umiała się o udział ten w elekcyi przez posłów upomnieć, bo sejmiki i posłowie ich na sejmie mieli przyznaną tylko władzę przyzwalania na nowe ustawy i nadzwyczajne podatki, a senatorowie umieli się zresztą lepiéj nawet niż izba poselska z usposobieniem tłumów rachować. Senatorowie usuwali, gdzie tylko mogli, zasadę reprezentacyi, a opierali się, gdzie im na tém zależało nawet przeciw izbie poselskiéj na ogóle szlachty. Wiedzieli dobrze, że nieoświecone i chwilowym porywom poddane tłumy, łatwiéj się dają kierować, a na samoistne wystąpienie nigdy prawie nie mogą się zdobyć. Zamiast więc przyzwać na elekcyą tylko izbę poselską, zwołali panowie polscy cały naród, szlachtę, a nawet i miasta do Piotrkowa, i zgodę ich i przyzwolenie wypisali na akcie elekcyi (1).

---

(1) ...communitates terrarum et civitatum de jure et consuetudine ad electionem regiam pertinentium... Mss.

Ale jakaż to była zgoda? Senat polski z przybyłym na elekcyą orszakiem panów litewskich, zamknął się w Piotrkowie na tajne rady. Gdy zgoda zapadła na Alexandra, wystawiono formalny akt elekcyi, przeczytano go na uroczystém posiedzieniu, a marszałek zbierał głosy porządkiem miejsc. Stwierdziwszy wynik głosowania, wychodził marszałek z sali senatorskiéj do tłumów czekających na dworze w milczeniu i ogłaszał im wybór. Wybór ten zgromadzony naród powinien był głośnym okrzykiem przywitać i na tém się rola jego w elekcyi kończyła. Osobni posłowie oznajmiali elektowi dokonany wybór, a nowoobrany król obowiązany był przed koronacyą zatwierdzić uroczystym aktem wszystkie prawa i przywileje królestwa w formie przez senat podanéj (1). Otoż z tego ostatniego prawa postanowili panowie polscy po wyborze Alexandra skorzystać. Chwyciwszy za ster rządów podczas bezkrólewia nie chcieli ze stanowiska tego na rzecz króla i sejmów ustąpić, lecz jednym śmiałym zamachem zamierzyli stanowisko to nadal utrwalić, a króla i sejm ubezwładnić.

Przedsięwzięciu temu sprzyjały nader okoliczności. Wybór Alexandra nie był wyrazem sympatyi dla jego osoby, lecz wynikiem położenia politycznego. Prussy na chwilę nie mogły się uspokoić, a nawała Tatarów i Turków groziła Polsce nieustannie zupełną zagładą. Z drugiéj strony wojna moskiewska od kilku lat nieszczęśliwie toczona przekonała Litwinów, że samoistnie utrzymać się nie zdołają. Oba narody zbliżyły się też do siebie więcéj niż kiedykolwiek, poselstwo panów litewskich przybyło na zjazd piotrkowski i w dniu 3 Października stanęła unia, która Polskę z Litwą w jedno ciało łączyła, a w obudwu krajach podnosiła i utrwalała powagę senatu. Z chwilą, odkąd unia stanęła, nikt już inny nie mógł być obrany królem polskim tylko Alexander panujący podówczas na Litwie. W ten sposób dostąpił też Alexander tronu polskiego, chociaż usposobienie narodu więcéj skłaniało się ku Władysławowi królowi Czech i Węgier, i chociaż Zygmunt,

---

(1) Opis powyższy elekcyi opieram na podstawie mss., który się w zbiorze prof. Szujskiego znajduje. Na podstawie wyboru Alexandra napisał jakiś naoczny świadek i zapewne urzędowa osoba traktat, jak króla obierać należy, powołując się wszędzie na fakta zaszłe przy wyborze Alexandra i cytując dosłownie akt elekcyi. Z traktatu tego przytaczamy najważniejszy ustęp: „Perlecto itaque decreto votabunt omnes secundum loca sua, quem deberent dominum eligere et mareschalcus terrestris ab unoquoque debet votum exquirere secundum ordinem, exceptis praelatis qui voluntate sua dabunt vota; facta vero concordia votorum pro uno domino, mareschalcus debet exire ad communitatem publicando electum dominum, quem communitas debet exclamare...“

podówczas książę głogowski, najświetniejsze rokował nadzieje. Alexandra nie lubiono powszechnie, raz dla jego słabego charakteru, a niemniéj także dlatego, że zamęźcie jego z Heleną wielką księżną moskiewską i powodowanie się radami Glińskiego, głowy stronnictwa ruskiego na Litwie, podawało go w podejrzenie, że politykę ruską, ze szkodą polityki katolickiéj i polskiéj, popierać jest gotów.

Otoż niechęć tę narodu do króla umiał senat polski po mistrzowsku dla celów swoich wyzyskać. Zamiast zażegnać, starał się ją rozbudzić, bo niechęć ta powszechna dawała mu sposobność postawienia się za obrońcę praw i polityki narodu w obec nielubionego króla, do zajęcia stanowiska, na którém przez cały czas rządów Olbrachta nie mógł, o ile wiemy, stanąć. Senat narzucając się na przywódcę narodu, podyktował królowi warunki, które zmierzały do zwiększenia władzy senatu jako instytucyi stojącéj na straży praw narodowych. W podstępnéj téj polityce senat był pewien poparcia przez ogół narodu, Alexander zaś zmuszonym się ujrzał zatwierdzić w d. 25 Listopada 1501 r. w Mielniku akt, jaki mu podali senatorowie.

W ten sposób powstał pamiętny przywiléj mielnicki, który w całéj historyi polskiéj drugiego równego lub podobnego sobie nie ma. Gdy zaś dotychczas mało nań zwracano uwagi, tém więcéj mamy powodów, aby go bliżéj i szczegółowiéj rozważyć. Czytając go (drukowany w Jus polonicum Bandtkiego), odnosimy wrażenie, jakbyśmy mieli przed sobą jakąś konstytucyą Rzeczypospolitéj Weneckiéj, a nie możemy prawie uwierzyć, ażeby coś podobnego zrodzić się mogło w Rzeczypospolitéj Polskiej, jaką znamy dokładniéj poczynając od czasów Zygmunta Augusta i Walezyusza. Widzimy w nim nakreśloną wyrazistemi rysami formę rządu arystokratyczną i to arystokracyą w najskrajniejszém tego słowa znaczeniu.

Na samym wstępie umieszczone jest porównanie monarchii z arystokracyą. Nie byłoby rzeczy pożądańszéj na świecie, powiada przywiléj, jak żyć pod dobrym i sprawiedliwym panującym; jednakże częste doświadczenie nauczyło, że panujący rządzić chcą jedynie dowolnością swą, a gdy przedniejsi z pośród rady sprzeciwiają się ich zamachom, wtedy srożą się bezmiernie, zwracając wszystkie swe siły i myśli przeciw ich prawu, osobom i mieniu. Lepiéj więc poddanym być radzie ludzi roztropnych i prawom niż dowolności i namiętności panującego, a póki senat powagą swoją roztrzyga i stanowi, póty Rzeczpospolita (państwo) w sile swojéj się utrzymuje.

Skoro jednak senat ma rządzić, powstaje pytanie, kto ma ten

senat stanowić i jak daleko sięgać ma władza senatu? Na jedno i drugie odpowiada przywiléj stanowczo.

Senat składać się będzie z dostojników i urzędników, którzy dotychczas brali w nim udział; jednakże hierarchia ta urzędnicza, do udziału w radzie uprawniona, tworzy niejako odrębny uprzywilejowany stan pośród szlachty. Członkowie jéj odpowiadać mają przed samym senatem (art. 1). W posuwaniu się zaś na coraz to wyższe godności, panuje, dla uniknięcia zatargów, zasada bezwzględnéj kolejności, a panujący ma prawo obsadzać tylko najmniejsze urzędy w dwóch miesiącach po ich opróżnieniu i to za zgodą panów (art. 3).

Władza senatu jest najwyższą w państwie. Senat postanawia o wszystkiém na swoich zebraniach pod przewodnictwem panującego, który w razie niezgody zdań ogłosić ma to postanowienie, za którém stoi niekoniecznie większa liczba senatorów, ale część senatu przedniejsza powagą i dostojeństwem. Król jest niczém więcéj, tylko przewodniczącym w obradach senatu i poddanym jest orzeczeniom zarówno w sprawach sądowych w drodze apellacyi przed senat przychodzących, jako też we wszystkich sprawach prywatnych i publicznych (art. 2). Król postanowienia senatu oddawać powinien w wykonanie (art. 2), jednakże władze wykonawcze w każdéj ziemi, a więc przedewszystkiém starostowie nie podlegają królowi, tylko komissyom wykonawczym senatu, złożonym z miejscowego biskupa, wojewody i kasztelana (art. 7).

Na straży wszystkich tych zasad stoi sankcya, że gdyby król przeciw osobie senatora dopuścił się gwałtu, lub też okazał się nieposłusznym postanowieniom senatu, w takim razie całe państwo uwalnia się od przysięgi na wierność i nie ma go uważać za pana, lecz za tyrana i nieprzyjaciela (koniec art. 1). Rzeczą jest godną uwagi, że panujący w całym przywileju, z wyjątkiem dodanéj przez Alexandra klauzuli zatwierdzającéj, nazywany jest stale nie „rex,“ lecz „princeps.“ Czyżby w nowéj arystokracyi i nazwę króla zamierzano usunąć?

Przedstawiliśmy niemal dosłownie zasady nowéj formy rządu złożone w przywileju mielnickim; wytłómaczyliśmy poprzednio, zkąd pomysł ten mógł powstać i staraliśmy się podać okoliczności, które Alexandra do zatwierdzenia tych przez senat postawionych mu warunków skłoniły. Ze zdaniem naszém o całym tym tak śmiałym kroku senatu, nie mamy się potrzeby ociągać. Podnosimy przedewszystkiém z pociechą, że przywiléj mielnicki nie jest w niczém podobny do późniejszych pactów conventów. Kiedy pacta conventa ograniczały tylko władzę królewską i odejmowały jéj

środki rządzenia, a więc tworzyły anarchią; przywiléj mielnicki stawiał w miejsce władzy królewskiéj władzę senatu, jaka istniała przedtém tylko podczas bezkrólewiów, a więc zawsze władzę dobrze obmyślaną i z zupełnym programem działania. Czy władza ta była lepszą od dotychczasowéj? oto najtrudniejsze pytanie.

Nie należymy zgoła do tych, którzy szczęście narodu uważają zależném od jednéj, ulubionéj przez nich formy rządu, czy to republiki, czy monarchii, czy wreszcie arystokracyi. Każda forma rządu jest dobrą, która w danych warunkach zapewnia narodowi i państwu pieczę jego interesów, silny rząd i ogólny rozwój. Otoż w Polsce, w granicach państwa prawnego, z początkiem XVI-go wieku nowo się tworzącego, dwie formy rządu znaleźć mogły rzeczywistą podstawę i warunki swojego bytu: monarchia i arystokracya.

Monarchia miała za sobą to, że była formą legalnie od najdawniejszych czasów istniejącą, nie wymagała więc żadnego przewrotu, tylko potrzebowała zmienić się odpowiednio do zmienionéj natury państwa, obowiązki swoje rozszerzyć i wewnętrznie się zorganizować. Jednakże najpożądańszy do takiéj reformy czas, już był za Kazimierza Jagiellończyka przeminął. Monarchia nie zwalczyła bróżdżącego możnowładztwa, nie stanęła na czele rozwoju narodu i jego organicznéj pracy, a bezczynnością swoją w tym kierunku wywołała i przygotowała dojście do władzy szlachty. Monarchia nie mogła pozostać absolutną, dopuściła do udziału w ustawodawstwie i uchwalaniu podatków reprezentacyą szlachty. Udział zaś szlachty w rządzie miał tę słabą stronę, że szlachta nie była jeszcze żywiołem politycznie dojrzałym, a więc danéj sobie władzy mogła łatwo czy to w swoich samolubnych celach, czy też obałamucona przez możnych, nadużyć. Potrzeba było Polsce panujących odznaczających się zdolnościami i siłą woli, którzyby nie zrażali się błędami popełnianemi przez szlachtę, lecz stanąwszy z izbą poselską na jéj czele, poprowadzili ją głębszém zrozumieniem rzeczy, wyzwolili z pod wpływu możnych wichrzycieli i opór hierarchii urzędniczéj złamali. Takiego jednak panującego poskąpiła nam Opatrzność w rodzie Jagiellonów, który wprawdzie wielką miłością kraju i dobremi chęciami się odznaczał, ale ani wytrwałością pracy, ani też konsekwentną siłą woli, zgoła się nie mógł poszczycić. Dlatego też rząd monarchiczny mało rokować mógł nadziei, że doprowadzi do silnéj władzy rządowéj, że ją zdobędzie i z rąk nie wypuści.

Całkiem przeciwnie arystokracya. Z początkiem XVI-go, wieku posiada Polska nie tę późniejszą arystokracyą pieniężną, która na

żupach i cłach królewskich, lub na ciemięztwie chłopa dorabiała się majątków i politycznego znaczenia, lecz prawdziwą arystokracyą z rodu i intelligencyi, która w drugiéj połowie XVI-go wieku dziwnym wypadkiem częścią zupełnie wymarła, częścią też upadła i tradycyą swą zatraciła. Przytoczyliśmy już raz kilkanaście jéj nazwisk. Zanadto skąpe są ówczesne historyczne źródła, żeby nam pozwoliły scharakteryzować wybitniejsze postaci, ale jeżeli były tam osobistości tego odlewu, co Jan Ostroróg autor sławnego *Monumentum pro ordinanda republica*, jeżeli z ich szkoły wyszli wszyscy późniejsi senatorowie z pierwszéj połowy rządów Zygmunta Starego, to nie ulega wątpliwości, że arystokracya ta wiedziała, czego chce, i posiadała gotowy materyał, ażeby silny rząd utworzyć. Jedyną słabą stroną arystrokacyi było więc to, że przyjść mogła do władzy tylko przez mniéj lub więcéj gwałtowny wywrót istniejących stosunków. Przywiléj mielnicki był dopiero programem na papierze, należało go urzeczywistnić. W tym zaś punkcie spotykała się arystokracya z wyrobioném od wieków w narodzie pojęciem i wyobrażeniem władzy królewskiéj. Możnowładcy wywierali wielki wpływ na rządy już od najdawniejszych czasów; im słabszym był panujący, tém więcéj wpływ ten postępował, ale występowali oni zawsze w imieniu króla, naród słyszał tylko o rządzie królewskim. Najniedołężniejszy król mógł się do tego poczucia narodu odwołać, a w takim razie arystokracya groźną z całym narodem rozpocząćby musiała walkę.

Walkę tę powitaćbyśmy musieli z radością, bo wobec równowagi monarchii i arystokracyi, z których żadna nie miała bezwzględnego pierwszeństwa, tylko po stanowczéj walce spodziewać się było można, że jedna albo druga strona zwycięży i silny rząd wewnętrzny zbuduje.

Do takich wniosków doprowadziło nas rozważanie stosunków wewnętrznych Polski w pierwszych chwilach panowania Alexandra Jagiellończyka. Spodziewamy się walki pomiędzy senatem a królem, walki o władzę rządową. Historya owych czasów, na jaką dotychczas zdobyć się byliśmy w stanie, nic nam wprawdzie o podobném starciu się dwóch czynników dominujących w państwie i społeczeństwie nie opowiada, ale wiemy przecież, na jak słabych podstawach historya ta się opiera, wiemy, że wewnętrznego rozwoju zupełnie niemal nie uwzględnia. Szukajmy więc, czy przypuszczenie nasze sprawdzi się w źródłach rękopiśmiennych, o wiele pod tym względem wymowniejszych, do których nam w rozwiązaniu tak ważnego pytania jedyna pozostaje ucieczka. Z niezmierną ciekawością przystąpiliśmy też do badania źródeł ówczesnych, któ-

rych prof. Szujski we wspomnianym już zbiorze zadziwiającą nagromadził obfitość (1). Odpowiedź na pytanie nasze znalazła się w nich tak szczegółowa, tak jasna, jakiéj tylko mogliśmy pożądać. Niechaj jednak czytelnik nie spodziewa się, że wydobędziemy z zapomnienia i stawimy mu przed oczy obraz jakiego gwałtownego wstrząśnienia i wojny domowéj. Walka pomiędzy monarchią i arystokracyą, jaka się za panowania Alexandra stoczyła, inne sobie obrała tory. Rozegrała się ona w dwóch epizodach, z których pierwszy wywołany został nie postanowieniem tych, którzy w niéj wzięli udział, ale zbiegiem okoliczności.

Przypomnijmy sobie, że odnowienie unii i wybór Alexandra królem polskim, były tylko wynikiem wojny, która wybuchła pomiędzy Litwą a Moskwą, i wypadała coraz] to jawniéj na niekorzyść Litwinów. W posiłkach polskich szukała Litwa ratunku. Ażeby je uzyskać, zatwierdził Alexander bez oporu przywiléj, jaki mu panowie polscy za warunek elekcyi podali, przybył do Krakowa i w d. 13 Grudnia 1501 r. koronował się królem. Umysł jego atoli zanadto był w inną stronę zwrócony, ażeby sprawom Polski poświęcić mógł czas i uwagę. Kiedy wieść po wieści nadchodziła o ogromnych przygotowaniach wojennych Iwana, kiedy poselstwa Szach-Achmeta, hana sprzymierzonych z Polską zawołżańskich Tatarów, wzywały raz po raz do rozpoczęcia kroków wojennych i uprzedzenia nieprzyjaciela; paliła Alexandra bawiącego w Krakowie ziemia pod stopami z obawy i niecierpliwości. Czekał też tylko na przeprowadzenie koniecznych podatków, i „nie urządziwszy spraw wewnętrznych państwa,“ wyruszył już w dniu 3 Maja z zaciężnym zastępem ku Litwie.

Wyjazd ten postawił Polskę w nowém położeniu, bo król wyjeżdżając oddał rządy w ręce senatu, któremu z urzędu swego i upoważnienia Alexandra kardynał-prymas Fryderyk miał przewodniczyć. Hierarchia urzędnicza czyli arystokracya, zamiast walczyć o wpływ i zakreślone w przywileju mielnickim znaczenie, osiągnęła od jednego razu wszystko, czego pragnęła. A jednak—gdybyśmy wbrew wszystkim świadectwom historycznym mogli przypuszczać, że Alexander był politykiem genialnym i wszystkie kroki swoje na głębokiém znawstwie ludzi i stosunków opierał; to musielibyśmy prawie powiedzieć, że oddanie to całéj władzy rządowéj

---

(1) Spodziewając się prędkiego wydania tych aktów, a nie mogąc pracy naszéj ciągłemi cytatami źródeł przeciążać, uprzedzamy tylko łaskawego czytelnika, że wszelkie wiadomości faktyczne w dalszym ciągu podane, opierają się na zbiorze prof. Szujskiego.

w ręce przeciwnika swego—senatu, było z jego strony mistrzowskim fortelem. Alexander uczynił to tylko pod naciskiem niezawisłych od niego okoliczności, ale zapewne bezwiednie wystawił senat polski na ciężką próbę, która miała okazać, czy senat rządy całego kraju zdoła prowadzić skutecznie i samoistnie bez większego ze strony króla współdziałania niż to, które mu sam w przywileju mielnickim naznaczył.

Brzemię tych rządów nie było zbyt ciężkiém. Rokowania prowadzone z Turcyą o przedłużenie pokoju, pomyślnym szły torem; rozchodziło się więc o to jedynie, ażeby wschodnią granicę kraju zabezpieczyć od napadów Tatarów krymskich i od knowań zdradliwéj zawsze Wołoszy. Kilka tysięcy zaciężnego żołnierza postawionego na straży ziem ruskich i gotowość do pospolitego ruszenia czyniły potrzebie téj zadość. Na wyćwiczonym żołnierzu nie zbywało, trzeba mu było jedynie zapewnić żołd dostateczny. Zaspokoiwszy domowe potrzeby, wypadało zaś wesprzeć króla wojującego na Litwie, a w ten sposób świeżo zawartéj unii okazać praktyczną doniosłość.

Jakże z tego zadania wywiązał się senat? Nie naszą rzecz kreślić tu cały przebieg wypadków; zaznaczymy tylko wyniki rządów senatu w pamiętnym roku 1502.

Sejm walny odprawiony w Lutym, jeszcze przed wyjazdem króla na Litwę uchwalił znaczne podatki i cła, oraz pospolite ruszenie na wypadek niebezpieczeństwa. Już w dniu 14 Marca wydał król pierwsze wici. Wojsko zaciężne stanęło na kresach Rusi. Sejmik ziem małopolskich odprawiony z początkiem Czerwca w Nowym-Korczynie, w drodze Alexandra na Litwę, ponowił te uchwały i postanowił nadto bicie nowéj monety. A jednak po wyjeździe króla pomimo nieustannych jego rozpaczliwych niemal listów, ani moneta bić się nie zaczęła, ani też podatki zebrać się nie mogły do skarbu. Wojsko zaciężne, niepłacone rozeszło się, pustosząc własne ziemie, do domu. Senat zaś po długich i rozmaitych naradach, zbiera się jeszcze raz na wolny zjazd w Kole, „ażeby wszystko jednomyślnie mogło być postanowione.“ Tam zapada uchwała, że kraj wyczerpany tylu podatkami, a wstrząśnięty takiemi przejściami, widzi jedyny ratunek w zakończeniu wojny moskiewskiéj, a przynajmniéj w otrzymaniu jak najdłuższego zawieszenia broni. Zamiast oczekiwanych posiłków, z naiwną tą zaiste i oburzającą radą udaje się poselstwo senatu polskiego na Litwę osobno do króla, osobno do panów litewskich, osobno do królowéj, ażeby pośredniczyła między zwaśnionymi ojcem i mężem.

Litwa pomimo natarczywych upomnień nie ujrzała polskich posiłków. Szczęściem, że inny sprzymierzeniec Alexandra, mistrz inflancki Plettenberg, wielkiém zwycięztwem odniesionem dnia 13 Września pod Pskowem, oraz mężna obrona Smoleńska uchroniły Litwę od ostatniéj zagłady. Mniéj za to pomyślny obrót wzięły wypadki w dzielnicach południowych, które podówczas wprawdzie należały do Litwy, ale faktycznie zostawały pod przewagą i pieczą Korony. Sprzymierzona z nami horda Szach-Achmeta, nie doczekawszy się posiłków, zdradza swojego hana i przechodzi do hana Tatarów perekopskich, największego wroga Polski, Mengli-Gereja. Gotuje się straszna na Polskę wyprawa—senat przestrzeżony o niéj nic jednak nie przedsiębierze; niepamiętny napad dziczy zalewa kraje ruskie, rozciąga zagony swoje aż pod Opatów, i nie doznawszy żadnego oporu, wraca z ogromnym łupem w swoje łożyska.

Usiłowania Fryderyka, ażeby szlachtę przynajmniéj z najbliższych ziem w pogoń za uchodzącymi Tatarami ruszyć, dla braku zdolnego wodza żadnego nie odniosły skutku. Na domiar złego Stefan, hospodar wołoski, który już oddawna knuł z Tatarami konszachty, korzystając z zamieszania, wpada ze swéj strony na Ruś, grabi, czego nie spustoszyły Tatary, i przywłaszcza sobie zupełnie Pokucie.

Takie były wyniki rządów pozostawionych przez Alexandra możnowładczéj hierarchii. Przypatrzmy im się bliżéj, o ile zdołamy odgadnąć ich wewnętrzne sprężyny i wytłómaczyć rzeczy, które na pierwszy rzut oka wydają się niepojęte. Przedewszystkiém rozważmy, czy wina wszystkich tych niepowodzeń spada rzeczywiście na senat, czy senat ten w rządach swoich istotnie wolne miał ręce, czy nie potrzebował walczyć z posłami ziemskimi lub z królem?

Otoż co się tycze posłów szlacheckich, możemy to tylko powiedzieć, że w aktach historycznych ówczesnych nie znajdujemy żadnego śladu jakiéjś samoistnéj ich działalności. Nie możemy się dopatrzyć, żeby występowali z własnym programem, z roszczeniem do rządów, żeby tworzyli osobne stronnictwo polityczno-szlacheckie. Gdyby nie to, że wspominają o nich uchwały sejmowe, moglibyśmy niebezzasadnie twierdzić, że nie istnieli wcale. Senatorowie licząc się też z tém stanowiskiem posłów, nietylko że ich z sejmów nie myśleli wyłączać, czego też przywiléj mielnicki nie orzekał, ale przyzywali ich owszem na sejmy i wspominali o nich w uchwałach sejmowych, ażeby uchwałom tym i rządom swoim, osobliwie w chwilach krytycznych, zdobyć potrzebną popularność. Zresztą senat kierował tak dalece i tak niezawiśle rzą-

dami, że historycy spółcześni Wapowski i Miechowita, każdy krok rządu odnoszą tylko do postanowień „senatus“ lub „optimatum,“ a o posłach ziemskich zgoła nie wspominają.

Alexander zaś wyjechawszy na Litwę, zajął stanowisko zupełnie bierne, a odzywając się w listach swych do senatu polskiego i domagając się posiłków, występował niemal jak obcy sprzymierzony monarcha, nie zaś jakby na króla we własném jego państwie przystało. Z bratem Fryderykiem jako prezesem senatu utrzymywał nieustanną korespondencyą poufną, do senatu wysyłał od czasu do czasu formalne *poselstwa*, w których przedstawiał swoje życzenia i wnioski. Zamiast rozkazywać, nieustannie prosił i prosił, pozostawiając obmyślenie wszystkiego senatowi i podnosząc wyraźnie, że „sam spraw polskich nie zna,“ „nowym jest gospodarzem w tém państwie,“ a „wolą senatu kierować się przyrzekł.“ Donosząc np. Fryderykowi, że Tatarzy na Polskę już wyruszyli, pisze król d. 22 Września 1502 r.: „Obawiając się już pierwéj napadu Tatarów pisaliśmy wówczas do P. W. prosząc o wykonanie uchwał Nowo-Korczyńskich, najpierw, aby dwa tysiące jazdy broniło Rusi, a potém wszyscy za broń chwycili... Dla czego nic się z tego nie stało, nie rozumiemy, prosimy więc, radź z senatorami i działaj co za stosowne uznasz.“

Król pozostawił senatowi zupełne pełnomocnictwo. Senat, który już na pierwszym sejmie odprawionym z początkiem r. 1502 przez Alexandra udzielał swego „przyzwolenia,“ nie zaś jak to dawniéj bywało „rady,“ teraz po wyjeździe króla sam pod przewodnictwem prymasa zbierał się na rady, odprawiał sejmy, wydawał ustawy, ogłaszał podatki i pospolite ruszenie „z pełnomocnictwa przez Jego Królewską Mość mu udzielonego.“

Niestety, z pełnomocnictwa tego senat żadnego nie umiał zrobić użytku. *Rada* królewska nie umiała zamienić się w *rząd*, w wykonawczą władzę. Ludzie, którzy po największéj części przez całe panowanie Kazimierza Jagiellończyka walczyli z królem otwarcie, a za Olbrachta szukającego podpory w posłach ziemskich zajmowali stanowisko opozycyjne, wyczekujące, teraz przyszedłszy tak niespodziewanie do zupełnéj władzy, nie umieli jéj użyć. Prawda, że cały rząd, jaki istniał w dotychczasowéj Polsce, był rządem osobistym króla, który powagą swoją sprzeczne żywioły jednoczył, niebezpieczne ambicye ukrócał i czyto rozkazami swemi, czy też groźbą swego gniewu, czy wreszcie nieustanną własną pracą i działalnością, mógł sam jeden przeprowadzić konsekwentnie rzecz raz postanowioną. W nieobecności króla bra-

kowało zupełnie tego centralnego rządu, rozprzęgały się zupełnie organa wykonawcze w kraju.

Otoż senatorowie nie zdobyli się na to, ażeby koło osoby prymasa skupić np. jakąś nieustającą komissyą z łona senatu wybraną, lecz pozostawili rząd bez takiego koniecznego ze swéj strony poparcia. Rząd ten spoczywał więc w rękach trzech ludzi: kardynała prymasa Fryderyka, kanclerza Krzesława Kurozwęckiego biskupa kujawskiego i podskarbiego Jakóba Szydłowieckiego. Nieszczęśliwym zbiegiem okoliczności ludzie, którzy piastowali te wysokie urzędy, wcale do nich nie dorośli. Fryderyk, człowiek słabego charakteru, lekkomyśny, ociężały z natury, utrapiony ciężką niemocą, o jaką go przyprawiła rozpusta, nie umiał zastąpić króla i użyć skutecznie powagi i władzy, jaką mu król i senat pozostawiali. Kanclerz Kurozwęcki dla zgrzybiałego wieku obowiązków swego urzędu pełnić wcale już prawie nie mógł. Osoby podskarbiego dokładniéj nie znamy, urzędowanie jego jednak świadczy jeżeli nie o złéj woli i niedbalstwie, to przynajmniéj o braku wszelkiéj energii i sprężytości. Co więcéj, wszyscy trzéj dostojnicy bawili zdala od siebie, kanclerz w Kujawach, podskarbi w Krakowie, prymas w swoich dobrach biskupich. W chwilach najbardziéj stanowczych musieli się dopiero albo zjeżdżać, a w tém przeszkadzała Fryderykowi choroba, a kanclerzowi starość, albo też listownie się porozumiewać. Nie wspominamy o tém że najmniejszego kroku bez zasiągnięcia zdania ogółu senatorów przedsiębrać się obawiali. Tak np. kiedy żołnierz zaciężny postawiony na straży ziem ruskich dla niewypłaconego żołdu grabiąc własny kraj, do domu rozchodzić się począł, Fryderyk żądając rady senatorów, pisze im:

„Już przed kilku dniami zamyślaliśmy udać się do Krakowa i tam z panami radzić o wszystkiém, lecz stanęła nam na przeszkodzie słabość, która nas tu aż do lepszego zdrowia wstrzymała. Odzyskawszy takowe, wyruszymy i za radą panów zapobiegniemy, ażeby zaciężni z Rusi nie odchodzili.“

Kiedy znów na wieść o napadzie Tatarów wypadło wydać ostatnie wici, a Alexander nalegał natarczywie o zbieranie podatków, o bicie monety, Fryderyk odesłał wszystko do kanclerza i pisze mu w liście:

„Oddano nam listy ostatnich wici, które nam WP. posłał. Nie chcieliśmy ich jednak pierwéj wydać, nimbyśmy nie zasięgnęli rady i przyzwolenia panów rad, do których o tém z zapytaniem napisaliśmy. Pamiętamy bowiem wybornie uchwałę i postano-

wienie zjazdu kolskiego, że pospolite ruszenie ma nastąpić tylko w razie, gdyby tego wymagała konieczność i gdy panowie rada, na to się zgodzą; niemała to bowiem rzecz całą szlachtę pod broń zwoływać... Byłoby wiele rzeczy do zrobienia.., lecz w takim zamęcie nie wiemy, do czego się najpierw zwrócić. Od poborców bowiem nic pieniędzy nie możemy zebrać, któremibyśmy takie wydatki pokryli... Dlatego prosimy WP., radź nam, zkąd wziąć pieniędzy na tyle i tak wielkich potrzeb. My całą pracą i usilnością starać się będziemy, ażeby zapobiedz nieszczęściu.“

Brakło do tego wszystkiego dzielnego wodza, któryby przynajmniéj, gdy klęska już spadła, pod jéj wrażeniem zdołał obudzić otuchę, popchnąć do czynu i pokierować działaniem. Stanisław z Chodczy starosta lwowski, któremu obrona granicy wschodniéj była pozostawiona, mężem takim nie był i niczego nie zdołał dokazać. Zwalono też całą winę na niego. Że jednak nie on jeden był winien, świadczy o tém list Fryderyka do Alexandra: „Nie uważamy za potrzebne, ażebyśmy rozwodzili się nad klęską, jaką sprawili Tatarzy, lub też nad tém, czyjąby tu opieszałość należało winować... Przewidywaliśmy to wszystko w razie, jeśli się temu zawczasu nie zapobieży środkami, które na zjazdach były obmyślanemi. Wiemy zaś, że W. K. Mość o wszystkiém już się dowiedziałeś...“

Kiedy zaś władza naczelna w takich zostawała rękach, a chwiejąc się pomiędzy prymasem, kanclerzem i podskarbim, nie miała nawet żadnéj stałéj siedziby, o wykonaniu uchwał zapadłych na sejmie i na radach senatu nikt w całym kraju nie myślał. Senat nie przeprowadził postanowienia przywileju mielnickiego, że w każdéj ziemi rządzić ma komissya senatorska złożona z biskupa, wojewody i kasztelana.

Było też rzeczą zupełnie niewyjaśnioną, na kogo spadać ma odpowiedzialność za wykonanie uchwał: na wojewodów i kasztelanów, czy też na starostów grodowych.

Zakres działania urzędów tych wcale nie był ograniczony. Urząd starostów stworzyli i podtrzymywali zawsze królowie, jako urząd bezpośrednio sobie podległy. Pragnęli królowie w ten sposób zapewnić wykonanie swoim rozkazom od tego czasu, kiedy wojewodowie i kasztelanowie zamiast wykonywać polecenia królewskie, narzucali się panującym na obowiązkowych doradców i przywłaszczali sobie nawet kontrollę nad czynnościami rządu. Otoż starostowie przyzwyczajeni do samoistności wobec senatorów, teraz po odjeździe króla i zlaniu przezeń władzy na senat, nie mogli się pogodzić z nowém położeniem i do wykonania zle-

ceń senatu tylko z największą niechęcią przykładali rękę. Senatorowie zaś nietylko że nie zdołali do tego ich zmusić, ale sami nie umieli władzy wykonawczéj miejscowéj w ręce swe chwycić, nie chcieli na siebie podjąć ciężaru, któryby władza ta na nich koniecznie wkładała. W antagonizmie tym pomiędzy senatorami i starostami, trawiły się wzajemnie siły, a nic nie przychodziło do skutku.

Niedość na tém. Trzy dzielnice polskie: Małopolska, Wielkopolska i Prussy, które dotychczas prawie tylko unią personalną w osobie króla były z sobą złączone, rozpadały się zupełnie za rządów senatu.

Nietylko Prussy, ale nawet Wielkopolska o potrzebach ziem krakowskich i ruskich wiedzieć zupełnie nie chciała. Uchwały sejmów z r. 1502 i 1503 skierowane ku obronie ziem ruskich, tak dalece dla Wielkopolski były martwą literą, że po każdym z tych sejmów, ziemie wystawione na napady Tatarów zbierały się na osobny sejm w Nowym-Korczynie, uchwalały na nim pospolite ruszenie, a do ziem wielkopolskich jakby do obcego państwa słały poselstwa z prośbą o posiłki pieniężne na zebranie i utrzymanie zaciężnych. A jednak — w chwili kiedy straszne napady pustoszyły Ruś, Wielkopolanie ściągnięte u siebie podatki obracali na spłacanie starych długów lub wymyślali wprost urojone potrzeby i wydatki.

Najsmutniejszą jednak stroną rządów senatu było gospodarstwo skarbowe. Korrespondencya prowadzona pomiędzy królem a prymasem i senatorami rzuca na nie ogromne światło. Wobec uniwersałów sejmowych z r. 1502 i 1503 ustanawiających wysokie podatki, nie mógł się Alexander skarżyć na szlachtę, żeby na potrzeby publiczne skąpiła grosza: nie skarży się też na nią, żeby usuwała się od płacenia uchwalonych ciężarów, ale za to każdy list królewski pełen jest wyrzutów, że panowie ściągniętych podatków nie oddają do publicznego skarbu. Bicie nowéj monety czy dla niedołęztwa podskarbiego, czy dla jego złéj woli nie mogło przyjść w żaden sposób do skutku, senatorowie „odradzili“ królowi wykonanie uchwały sejmowéj ustanawiającéj cła, a kardynał Fryderyk pisze wreszcie na swe usprawiedliwienie do króla:

„Wasza Królewska Mość przekazałeś nam nałożone podatki i dochód z mającéj się bić monety na pokrycie wydatków publicznych. Moneta jednak dotychczas się nie bije bo srebra nie ma. Poborcy zaś nic nie mają, lecz nic mieć nie będą, jak donoszą, gdyż WKM. rozporządziłeś pieniędzmi za pomocą kwitancyi, nim jeszcze były zebrane; co zaś pozostać mogło, tego zebrać nie można na

razie. My wszelkim namysłem i trudem staramy się zapobiedz klęskom i trudnemu położeniu Królestwa, lecz zaiste w takim niedostatku nie możemy wydołać, i dla tego WKM. najusilniéj prosimy, aby raczył nam wskazać, zkąd mamy wziąć środków na pokrycie tylu wydatków; a jeżeli cokolwiek ma się z owych podatków okroić, racz WKM. wstrzymać się od owych kwitancyi, i te, któreś już wydał, zakaż wypłacać..."

Na szczęście, odpowiedź, którą Alexander na list ten udzielił Fryderykowi, nie pozwala nam całéj winy złożyć istotnie na króla. Pisze Alexander:

„Zbieraj więc pieniądze czy to z owych nałożonych podatków, czy też z naszych jakichkolwiek dochodów. Pewni jesteśmy, że przedtém nie mniejszemi niebezpieczeństwy Królestwo było wzruszane, utrzymywało się jednak z tych samych dochodów, z których się i teraz choć nietak dobrze, przecież utrzymać może. Co się zaś tego tycze zarzutu, że w tak krótkim przeciągu czasu myśmy tak wiele wydali pieniędzy, któremiby się teraz Rzeczpospolita mogła podźwignąć, nie przeczymy, że tak się stało; ale zarzut ten nie przeciw nam może być skierowany. *Rozdaliśmy pieniądze po części naszym panom radom,* po części zaś wielu innym, którzy sprowadzili nas na tron polski, którzy gdyśmy przybywali, wyszli naprzeciw nam, i których wielka liczba była nam w Krakowie ozdobą i którzy potém tutaj nam towarzyszą."

Nie kończyło się jednak na tém, że król zmuszonym się widział pieniądze na wydatki publiczne złożone, hojną, zbyt niestety hojną dłonią na zjednanie sobie możnych rodzin rozrzucać. Brak pieniędzy w skarbie prowadził naturalnym biegiem rzeczy do zaciągania pożyczek u tych, którzy ich mogli udzielić, t. j. u panów. Pożyczki te udzielane skąpo nie mogły nigdy wystarczyć, a zaciągane zawsze dopiero w chwilach, kiedy już spadło nieszczęście, zawsze przychodziły zapóźno. Ale za to na zabezpieczenie pożyczek brali senatorowie w zastaw antychretyczny ogromne dobra i miasta królewskie, powiększając w ten sposób i tak niezmierne swoje fortuny. Trzebaby poświęcić osobne studyum zbadaniu pytania, w jakim stopniu i w których wypadkach gospodarka ta finansowa graniczyła z lichwą. Rzeczą jest pewną, że Alexander w ten sposób niezmierne dobra koronne przeznaczone na potrzeby króla i Rzeczypospolitéj niemal zupełnie roztrwonił. Wszystko to zaś przekonywa nas dowodnie, że senat polski widział w poruczonéj mu władzy tylko sposób podniesienia kilkunastu rodzin kosztem publicznego dobra, a od ponoszenia ciężarów, od trudu rządzenia, sam się o ile można uchylał.

Kiedy Alexander zapowiedział rzewnemi słowy przybycie poselstwa litewskiego z prośbą o nadesłanie posiłków, kiedy od posiłków tych czynił zależném utrzymanie godności i całości ojczyzny, kiedy pisał Polakom, „że Litwini wiedzieć chcą ostatecznie, czy w myśl świeżéj unii otrzymają z Korony posiłki, inaczéj bowiem całą unią za nicby uważali,“ wówczas senatorowie, nie chcąc o niczém słyszeć, zebrać się nawet nie chcieli na radę. Podajemy tu ustęp z listu Fryderyka do arcybiskupa lwowskiego, w którym smutny ten fakt w całéj nagości jest opisany:

„...Gdy JKM. zapowiedział nam blizkie przybycie posłów litewskich, pisaliśmy WW. jako i innym panom, ażebyś się prędko rozmyślił i zdanie swe oznajmił, które miejsce na zebranie ma być przeznaczoném i gdzie posłowie litewscy celem wysłuchania ich mają się udać. Prawie wszyscy panowie rada Wielkopolski chcieli mieć zjazd wyznaczony do Piotrkowa dla wysłuchania posłów i obmyślenia innych potrzeb, gdyż miejsce to wydawało się najdogodniejszém dla wszystkich. Wymówili się jednak panowie rada ziem ruskich i krakowskich, że przybyć tam nie mogą dla obawy nieprzyjaciół, którzy po ustąpieniu senatu z ziem owych odważniéjby się puścili na łupy, jako też dla zaciężnych, którzy powracając z Rusi po drodze wszystko rozdrapują z powodu niewypłaconego im żołdu. WW. również tego zdajesz się być zdania. Przytaczają i trzeci powód, dla którego przyjść nie chcą, bo musieliby wielkie łożyć wydatki i dla niepewności dróg z większym jechać orszakiem. W takiéj niezgodzie panów rad, gdyśmy rozważyli, że zjazd powszechny zebrać się nie może, a posłów trzeba koniecznie wysłuchać, za kilka dni wyruszymy do Krakowa gwoli wysłuchaniu posłów i dopilnowaniu, ażeby monetę bić zaczęto.“

Gdy więc na domiar złego spadła nawała Tatarów, wszystko tak się rozprzęgło, że senatorom nie pozostało nic innego, tylko uroczystém poselstwem wezwać króla, aby do Polski jak najprędzéj przybywał.

„Długośmy się tu (w Korczynie) ważyli z myślami, czy dla takich potrzeb i tak wielkiéj i ostatecznéj prawie klęski... godzi się wołać tu WKMość. Wiemy wprawdzie, że obecność WK. Mości na Litwie potrzebną jest także w takiéj zawierusze wojennéj i niebezpieczeństwie, ale sądzimy, że WKM. z pomocą Bożą pozostawić możesz obronę tamtego kraju, ustanowiwszy porządek tego, coby się w nieobecności WKM. dziać miało. Jeżeli jednak WKM. utrzymać chcesz Podole, które upadając pod tyloma klęskami odpadać zaczyna do Wołoszy; konieczną jest rzeczą, abyś

WKM. bez żadnéj zwłoki na skrzydłach się tu przeniósł i w pośród nas w takiém miejscu się usadowił, abyś potrzebom i téj Korony i Wielkiego Księztwa mógł radzić. Wówczas cała obrona wejdzie w należyty porządek, bo wszyscy tu gotowi jesteśmy ponieść najcięższe trudy dla obrony Podola i Litwy, tego tylko pragniemy, o to błagamy, ażebyś WKM. zaprowadził ład i porządek w działaniu. Oto błaga cię JKsiądz kardynał i reszta panów rad z całą szlachtą i ludem, abyś nas nie opuszczał.“

Trudno o jawniejsze przyznanie się do bezsilności, o szczerszą abdykacyą z dawnych uroszczeń senatu. Poselstwo jednak wspomniane nie odniosło spodziewanego skutku. Alexander przez cały jeszcze rok czy nie chciał, czy też rzeczywiście nie mógł przybyć do Polski. Senat przez ten czas pozostał jeszcce u władzy, jednakże rola, którą król zadawalał się dotychczas, teraz się wielce zmieniła. Alexander wszedł w bezpośrednią styczność z krajem, i o ile to było możebném, chociaż z oddalenia starał się w najważniejszych przynajmniéj sprawach czynną mieć rękę.

Wpływ króla objawił się przedewszystkiém w zorganizowaniu rządów senatu. Gdy senatorowie zaczęli sami żalić się w poselstwach, że „wiele dobrego radzą i ustanawiają, lecz z powodu ciągłéj słabości kardynała nic się wykonać nie da,“ Alexander zwołując sejm walny do Piotrkowa na 12 Marca 1503, nadał trzem senatorom, Jędrzejowi Róża arcybiskupowi lwoskiemu, Krzesławowi Kurozwęckiemu biskupowi kujawskiemu i kanclerzowi, i Spytkowi z Jarosławia kasztelanowi krakowskiemu „władzę przewodniczenia obradom, zatwierdzania i postanawiania wszystkiego,“ zaś Mikołaja Kamienieckiego kasztelana sandomierskiego i generała starostę krakowskiego mianował naczelnym wodzem czyli hetmanem, a tém samém ustanowił widomy rząd z łona senatu wybrany. Zaledwie zaś sejm uchwalił i w dniu 28 Marca ogłosił żądane podatki i pospolite ruszenie, król mandatami wysłanemi z końcem Kwietnia z Wilna starał się usunąć przeszkody, które pierwéj wykonaniu uchwał zawsze stawały w drodze. Przedewszystkiém podskarbiemu Jakóbowi Szydłowieckiemu dodaje Alexander do kontrolli i pomocy dwóch asessorów w osobie Piotra Kmity wojewody krakowskiego i Mikołaja z Brzezia starosty lanckorońskiego. Wojewodowie i kasztelanowie otrzymują surowe rozkazy, ażeby ściągnąwszy podatki w swoich powiatach i ziemiach, oddawali je niezwłocznie do Krakowa w ręce rzeczonéj komissyi skarbowéj. Chcąc zaś zapewnić wykonanie tych rozkazów i usunąć spory o kompetencyą władzy, stawia król ponad wojewodami i kaszte-

lanami generał-starostów poznańskiego Ambrożego Pampowskiego i krakowskiego Mikołaja Kamienieckiego, każdego w swojéj dzielnicy, i zaleca im, ażeby wojewodów dopilnowali i potrzebnéj im udzielili pomocy.

Mądre te rozporządzenia nie wykorzeniły wprawdzie wszystkiego złego, jakie od tylu lat się nagromadziło, ale odniosły na razie pożądany skutek. Wojsko zaciężne chociaż w szczupłéj ilości stanęło na Rusi, a nieprzyjaciel obawiając się spotkać naród do boju przygotowany, pozostawił go w zupełnym spokoju. Dwa razy w ciągu roku 1503 przechodzili Tatarzy przez Dniepr, ale za każdym razem wstrzymali się u granic Polski i obracali na Litwę.

Alexander nie ograniczał się jednak do zaprowadzenia koniecznéj reformy władzy rządowéj w Polsce, lecz dał w roku 1503 początek do ruchu politycznego, który przetrwał jego panowanie i zapełnił sobą całe XVI-te stulecie; Alexander zbudził do życia politycznego szlachtę.

Ogół szlachty polskiéj ani wykształceniem swojém, ani też stanowiskiem ekonomiczném nie mógł jeszcze z początkiem XVI wieku odgrywać większéj politycznéj roli; posiadał jednakże ogromną siłę, z którą się należało rachować, siłę biernego oporu. Smutne jéj położenie majątkowe wobec małéj liczby rozwielmożnionych rodzin, wobec zamożnych miast, a nawet wobec stanu kmiecego, brak opieki z góry, brak sprawiedliwości, wszystko to popychało szlachtę od czasu do czasu do sporadycznych wystąpień jeszcze w XV wieku, skierowanych przeciw supremacyi możnowładców i miast, a dążących do zawładnięcia chłopem. Jeden Jan Olbracht umiał to usposobienie szlachty dla celów swoich zyskać i na nim politykę swoję wewnętrzną oprzeć. Po jego śmierci przyszła do władzy arystokracya. Szlachta nie umiała temu przeszkodzić, nie umiała z programem politycznym wystąpić, ale zżymała się na rządy prowadzone w interesie kilkunastu lub kilkudziesięciu rodzin.

Narzekała ona na swe uciemiężenie i brak sprawiedliwości i obrony, ale ze swojéj strony nie uczyniła nic, coby się mogło do polepszenia tego stanu rzeczy, a tém samém do wzmocnienia rządów senatu przyczynić. Rządy te były u niéj w wysokim stopniu niepopularne, w królu widziała szlachta całą swoję nadzieję. Chociaż senatorowie schlebiali jéj, chociaż wzywali ją na sejm i sejmiki, chociaż w ustawach z roku 1503 uświęcali jéj najgorętsze życzenia, t. j. przywiązywali włościan do roli, usuwali monopole cechowe po miastach i ustanawiali ceny maksymalne towarów; nie

mogli przecież nieufności szlachty przełamać. Jak dalece rządy senatu były między szlachtą niepopularne o tém świadczy następująca okoliczność. Uniwersały sejmu z r. 1503 wydał senat pod własném imieniem: „My senatorowie Królestwa Polskiego obojga stanów na sejmie walnym piotrkowskim zebrani, wszystkim... czynimy wiadomo, że na sejmie tu z polecenia J. K. M. odprawianym jednomyślną radą ustanowiliśmy...“ Gdy jednak szlachta uniwersały takie w niewielkiéj miała powadze i dalsze uniwersały wypadło wydać, senatorowie widzieli się zmuszeni zasłonić się imieniem królewskiém, i wydając je pod imieniem Alexandra, dołączają na końcu: „Dan na wniosek panów rad z upoważnienia J. K. Mości.“ Usposobienie to najznaczniejszéj klassy w narodzie nie mogło się zapewne ukryć przed królem, i skłoniło go do przedsięwzięcia kroków, które dla dalszego rozwoju Polski miały mieć nieobliczoną doniosłość. Przed każdym sejmem walnym odprawiały się najpierw sejmiki ziemskie a następnie dwa sejmiki dzielnicowe, małopolski w Korczynie, wielkopolski w Kole, na których szlachta wysyłająca posłów dawała im instrukcye i pełnomocnictwa. Na takie to sejmiki, na dzień 14 Lutego do Korczyna a na dzień 5-ty Marca 1503 r. do Koła zwołane, wysłał Alexander swych posłów, którzy według instrukcyi swojéj zalecać mieli szlachcie od króla, „ażeby wybrała posłów tak wielu i owszem więcéj, niż pierwéj bywało, posłała ich na sejm i dała im pełnomocnictwo czynienia wszystkiego w imieniu szlachty, tak jak gdyby cała szlachta była na sejmie obecną.“ Gdy się zaś sejm piotrkowski już zbierał, przygotował mu Alexander niespodziankę, którą mu poselstwami swemi oznajmił. Poselstw tych było dwa, pierwsze zapowiadające przyjazd króla na sejm, drugie wymawiające go, że przybyć osobiście nie może. W instrukcyach ich czytamy między innemi:

„Do narady tych wszystkich rzeczy, a mianowicie obrony Królestwa, należałoby wezwać konsulów Krakowa, Lublina, Lwowa i innych miast. J. K. Mość sądzi, że na sejm obecny należy ich wezwać, co jeżeli uczynić raczy, wyszle za nami listy gotowe, ażebyście postanowili do których miast je zatytułować i które mają być wezwane przed J. K. M. za szczęśliwym przyjazdem J. K. Mości, a to w tym celu, ażeby, gdy o obronie wspólnéj postanowicie, miasta nie wymawiały się od tego jak pierwéj to czyniły, i nie uchylały się od ciężarów, które ze wszystkimi ziemianami dla potrzeby Królestwa wspólnie powinny ponosić.“ W następnéj zaś instrukcyi powiada Alexander:

„Do miast J. K. M. listy (nunc primum) teraz po raz pierwszy (lub teraz dopiero?) dał, ażeby wzięły udział w ustanowieniu nowego porządku obrony i innych rzeczy, w których ziemianie głosy swe będą oddawali.“

Fakt to historyczny, dotychczas zgoła nieznany a pierwszorzędnéj wagi. Miały więc miasta polskie otwarty przystęp do sejmów, do życia politycznego. Że z niego nie umiały skorzystać, to już ich tylko wina. Miasta te nawpół niemieckie, były w zgubnym obłędzie, że bronią swego znaczenia i stanowiska, im więcéj od spraw publicznych się usuwają; trzymały się martwych liter swych przedawniałych już przywilejów, które im zapewniały wolność od publicznych ciężarów. Nie dziwić się tu jednak miastom, skoro i szlachta niezbyt gorąco wezwanie królewskie wzięła sobie do serca i tak mało posłów na sejm piotrkowski wysłała, że król późniéj za to jéj robil wyrzuty.

Jeżeli jednak szlachta stroniła niemal od sejmów, na których zostawała pod zbyteczną przewagą senatu, to nie można powiedzieć, żeby nie chciała brać zupełnie udziału w życiu polityczném, żeby nie chwytała sposobności objawienia swoich zażaleń i życzeń. Sposobność taką znalazła ona po sejmie piotrkowskim zarówno w Mało- jako też w Wielkopolsce. Sejm piotrkowski ogłosił na dzień św. Stanisława 1503 powszechny popis rycerstwa ziem małopolskich, a dla ziemi krakowskiéj wyznaczył jako miejsce popisu Wojnicz. Skorzystało z tego rycerstwo, ażeby swojemu naturalnemu opiekunowi, królowi, przełożyć swoje życzenia, i sformułowawszy takowe, posłało je Alexandrowi do Wilna przez osobnego posła. Oto w krótkości główne punkta żądań szlacheckich:

1. Kto się na wojnę nie stawi, temu konfiskować dobra.

2. Podatki egzekwować także z miasta Krakowa.

3. Starostowie powinni być osiedli w starostwie, ażeby urzędowali osobiście.

4. Starostowie z wojewodami mają się starać o utrzymanie porządku.

5. Oprócz pospolitego ruszenia szlachty, każdy dziesiąty włościanin uzbrojony kosztem innych, ma służyć na wojnie.

Dnia 17 Lipca odprawiał to poselstwo Jordan z Zakliczyna przed królem, a dnia 1 Sierpnia zatwierdził Alexander w całości uchwały wojnickiego sejmiku. I nie mógł postąpić inaczéj. Bez wygórowanych roszczeń występowała szlachta w pierwszych czterech punktach z żądaniem, ażeby postanowienia wielokrotnie na sejmach zapadłe zostały wykonanemi; w ostatnim nakładała na

kraj nowy ciężar, a dokładne obmyślenie sposobu wykonania służby wojennéj włościan, ustanowienie dla nich w każdym powiecie dowódców świadczy, że uchwałę tę pojmowano na seryo. Pierwsze uchwały pozostały bez skutku, bo Alexander nie mógł siedząc na Litwie wprowadzić karności w szeregi urzędników i dostojników, którzy do niéj nie byli przywykli. Uchwałę zaś ziemi krakowskiéj o służbie wojennéj włościan, przesłał natychmiast innym małopolskim ziemiom z poleceniem, aby ją u siebie przyjęły i przeprowadziły.

Nie tak budujący przykład dała z siebie wielkopolska szlachta. Nienarażona bezpośrednio na niszczące napady nieprzyjaciół, nie wyrobiła w sobie poczucia dla publicznego dobra, lecz raczéj zgubne zaściankowe dążności, a zarazem w uchwałach swoich nacechowała wybitnie rozjątrzenie, jakiego była pełna przeciw rządom senatu.

Nie chcąc płacić podatków i pełnić służby wojennéj, zebrali się Wielkopolanie na zjazd prywatny (fraterna congregatio) w Kostrzyniu i ztamtąd przełożyli królowi swe skargi:

Ze niema żadnéj sprawiedliwości, a J. K. M. raczy ochronić ziemian od krzywd wyrządzanych im przez magnatów;

że wici są wydawane bez pieczęci J. K. Mości i tylko pod pieczęcią panów;

że trzech lub czterech panów zszedłszy się razem, ustanawia niezwykłe pobory i do nich nakłania;

że szlachta pełnić chce służbę wojenną pod dowództwem starosty nie zaś wojewodów;

że gotowa jest złożyć podatki, byle jéj był ustanowiony sejmik w Szrodzie podług dawnego zwyczaju i t. d.

Królowi nie pozostało nic innego, tylko na sejmik przyzwolić, ale wysyłając na ten sejmik posła, napominając o podatki i nagląc do posłuszeństwa generał-staroście, wyraża się Alexander ostremi słowy: „Przyjmuje J. K. M. nie bez oburzenia wiadomość, że obrona Królestwa i całéj Rzeczypospolitéj pomyślność, zaniedbaną jest z waszéj winy, na co mieszkańcy innych ziem skargi zanoszą.“

Oto pierwsze wystąpienia szlachty za Alexandra; objawiła się w nich zaraz na początku i dodatnia i ujemna strona szlacheckiego ruchu. Na nich zamykają się rządy senatu polskiego, a w Październiku 1503 r., kiedy Alexander zawarłszy pokój z Moskwą stanął na ziemi polskiéj, rozpoczyna się drugi ustęp walki pomiędzy senatem i królem. Senat podejmował ją po stanowczéj klęsce. Okazało się, że rządy arystokracyi w Polsce nie mają żadnych

widoków. Program postawiony w przywileju mielnickim niepowrotnie upadł. Nie można jednak było powiedzieć, żeby tém samém przywilej mielnicki utracił wszelką praktyczną doniosłość. Można go było pojmować dwojako. Tłómacząc go szerzéj, należało wnioskować, że senat przejmuje w nim na siebie całe rządy w Rzeczypospolitéj, t. j. nietylko ich korzyści, ale i trudy; tłómacząc ciaśniéj, można było powiedzieć, że według przywileju tego cały ciężar rządów pozostaje przy królu, a senat zastrzega sobie tylko prawo nieustannéj kontroli wszystkich czynności króla, prawo aby je oceniać i sądzić. Tę drugą stronę przywileju mielnickiego pragnęło utrzymać możnowładztwo polskie wobec króla, i po powrocie Alexandra do Polski zajęło nowe to stanowisko, stanowisko anarchiczne, które historyk musi bezwarunkowo potępić.

(Dokończenie nastąpi.)

CÓRKA ROLANDA

Dramat w 4-ch aktach

przez

WICEHRABIĘ HENRYKA BORNIER'A.

Przekład

LUCYANA SIEMIEŃSKIEGO.

Przedstawiony poraz pierwszy w Teatrze Krakowskim na benefis pani Hoffmann, w dniu 10 Lutego 1876 r.

OSOBY:

CESARZ Karol Wielki.
GERALD, syn hrabiego Amaury.
HRABIA AMAURY.
RAGENHARD, jeniec saxoński.
KSIĄŻĘ NAYME.
RADBERT, mnich.
ABDERRAMAN, rycerz saraceński
RYSZARD, stary koniuszy Rolanda.
GEOFROY } panowie z dworu Karola.
HARDRÉ }
BERTA, siostrzenica cesarza.
TEOBALD, paź.

(*Rzecz dzieje się w 813—814 roku.*)

AKT I.

(Sala w zamku Montblois.— W głębi otwarta galerya z widokiem na Ren i góry saxońskie).

SCENA 1.

RADBERT, TEOBAŁD i SŁUŻBA *zajęta około rozmaitéj broni.*

RADBERT *(siedzi przy stole, na którym warcabnica).*
Wyjrzyj no Teobaldzie, czy nie widać kogo
Od lasu, lub od strony saxońskiéj granicy?

TEOBALD.
Nic nie ma, mój wielebny.

RADBERT.
A od strony Renu?

TEOBALD.
Także nic.

RADBERT *(d. s.).*
Jednak hrabia, drugi miesiąc mija
Jak odjechał. *(Do służby)* Hej chłopcy! wypocząć wam pora,
Zabawcie się czém lepszém niż się bawią chamy—
Pójdźcie tu! a pokażę grę wielce szlachetną.

TEOBALD *(zbliżając się do stołu).*
Doprawdy?

RADBERT.
Gra niedawno co wynaleziona
Dla samego cesarza.

TEOBALD.
Pewnie osobliwa!
Gra to być musi godna tak wielkiego pana!

RADBERT.
Ma się rozumieć. Gra ta zowie się: „Grą w cnoty,“
Bowiem żaden z grających nigdy nie przegrywa.
Zaraz pokażę.

TEOBALD.
Bardzom ja téj gry ciekawy.
(Służba otacza Radberta).

RADBERT.

Ot, tablica na równe podzielona pola,
A pól pięćdziesiąt i sześć, a na każdém stoi
Nazwisko jednéj cnoty tak serca, jak głowy.

TEOBALD.

Pięćdziesiąt sześć cnót!... liczba wcale okazała
Na jednego zadużo, by je spełnić wszystkie.
Jakże wziąć się do tego?

RADBERT.

W sposób bardzo prosty.
Mam trzy kostki, te wstrząsam w kubku jak widzicie.

TEOBALD.

Rozumiem.

RADBERT.

I wyrzucam kości na tablicę,
A na jakiém się polu która z nich zatrzyma,
Czytam tych cnót nazwiska losem wyrzucone,
I dzień cały się staram z usilną pilnością
Wypełniać one cnoty, czy wielkie czy małe.

TEOBALD.

Dzień tylko, i nie dłużéj?

RADBERT.

Tak, przez całą dobę.
Sprobujmy.

TEOBALD *(patrząc przez okno)*.

Mój wielebny, jeśli się nie mylę,
Ktoś nadjeżdża. To hrabia Amaury; on właśnie--
Tak, on sam, nasz panisko, nie zwodzą mię oczy.
Odrazu go poznałem po jego proporcu
Barw zielonéj z błękitną. Jakaż radość dla nas
Oglądać znowu pana naszego z powrotem!
Bo zaprawdę od Renu aż do Akwitanii
Nie znajdzie przystępniejszéj i wspanialszéj duszy...
Jednak ojciec kapelan niech mi wytłómaczy,
Czemu nasz pan tak smutny? nigdy się nie śmieje,
Wyjąwszy, gdy jest z synem—czyżby jakie przykre
Wspomnienie go trapiło?

RADBERT *(przerywając mu z żywością i ciągnąc go do gry).*

Na twoje pytanie
Odpowie ta gra w cnoty. Daléj, rzucaj kości...

TEOBALD *(rzuca i czyta na tablicy).*

„Strzeż się sądzić twych panów."

RADBERT *(ciągnąc go za ucho).*

A widzisz, ladaco!

(na stronie)

Dusza nasza napróżno przed ludźmi się chowa,
Lada dziecko wyczyta tajemne jéj słowa!

TEOBALD.

Wielebny ojcze! hrabia wszedł już w zamku progi.

RADBERT.

Ot i on!

SCENA 2.

CIŻ.—AMAURY.

AMAURY *(witając Radberta).*

Szczęść wam Boże! Rośnij mi w zaszczyty!

RADBERT *(kłaniając się).*

Raczéj niech z łaski Boga rosnę w doskonałość.

AMAURY *(szukając oczyma).*

Gdzie mój syn? dziecko moje! gdzie jest? odpowiadaj.

RADBERT.

Syn twój bezpieczny, panie—nic mu nie zagraża.
Dziś rano wiejscy ludzie przyszli z doniesieniem,
Że ich łany nad Renem pustoszy żubr srogi.
Otoż Gerald myśliwych zebrawszy czeredę,
Wyruszył na te łowy, i z łupem tu wróci.

AMAURY.

To dobrze! lecz zostawcie nas samych.

(Słudzy oddalają się).

Radbercie!

Przebacz moim obawom o syna—wiesz przecie
Ilem w życiu wycierpiał, a tylko z méj winy—
Ztąd codzień się spodziewam nieszczęścia, jak gościa.

RADBERT.

Ten wzrok smętny, ta bladość! niedobrze coś wróży—
Czyżby nowém nieszczęściem Pan Bóg cię nawiedził?

AMAURY *(siadając w krześle z prawéj).*

Wielkiém jest to nieszczęście, które mię przygniata,
Lecz je znoszę po mężku i jak słuszną karę.

RADBERT.

Przewiniłeś, to prawda, wina twa okropna —
Zbrodnię nosiłeś w sobie, ponosisz i karę—
Wszędzie cię infamisem, zdrajcą nazywano —
Jam ci życie zachował, jam duszę wyleczył.
Za to, mam już nagrodę, nagrodę sowitą,
Bo w tobie nie zostało nic z dawnego człeka.
Pokutą lat dwudziestu zmyłeś dostatecznie
Ów pierwszy wyrok, jakim sąd skazał zbrodniarza,
Skrucha zbrodnię zatarła; w tobie się zmieniło
Wszystko; dziś jesteś inny i sercem i twarzą.
Kiedy patrzę na ciebie, mówiącego słyszę,
Zaczynam w twoję przeszłość wątpić i nie wierzyć —
Bo któż w dzisiejszym hrabi Amaurym odgadnie
Człowieka zhańbionego sądem Karlomana?
I ty sam możesz o nim mówić jak o obcém
Nazwisku, potrąconém w zwykłéj pogadance.

AMAURY.

Mylisz się, o mój ojcze! są rodzaje zbrodni,
Po których, choć pień ścięty, owoce nie giną!
Jeszcze nie wiesz wszystkiego—nie wiesz jaka rozpacz
Duszę moję pożera. Wszak tylko w połowie
Dałem ją tobie poznać. Posłuchaj i reszty.

RADBERT.

Słucham cię, przyjacielu...

AMAURY.

Wiedziałeś, dlaczego
Przedsięwziąłem tę podróż, a raczéj pielgrzymkę;
Oto, bo pewny byłem, że zwiedzając miejsca
Świadki zbrodni, tém szczerzéj zapłaczę nad sobą.
Jakoż gnany pragnieniem zabiegłem aż w góry
Pirenejskie, w ten wąwóz, świadek strasznéj zbrodni,
Gdzie padł Roland, wydany zdradą Ganelona!

Miejsce poznałem zaraz; stromych skał urwiska,
Potoki kamieniste, czarny bór jodłowy —
To Roncevaux! I wszystko znalazłem jak było,
Tylko gdzie niegdzie gęstsza puściła się trawa,
Tam właśnie gdzie walczyli, walczyli z rozpaczą
Za wielkiego cesarza i Francyą kochaną
Rycerze, bohatery, moi towarzysze,
Których nie śmiem wymienić nawet po imieniu.
Ich krew w ziemię tam wsiąkła—gdybym końcem miecza
Chciał tę ziemię poruszyć, odkopałbym pewnie
Zwłoki któregokolwiek z moich towarzyszów;
Do dziś dnia tam po skałach leżą jeszcze trupy
Mężów poprzeszywanych strzałmi Saracenów.

RADBERT.

Uspokój się Amaury!

AMAURY.

Jam to, ja Ganelon —
Ganelon Judasz, zdrajca, lennik wiarołomny —
Całe trzy dnim przesiedział na pobojowisku,
Roztrząsając w méj duszy zbrodnię popełnioną,
I tę złość do Rolanda, i ten szał zawiści,
Który pchnął do wydania w ręce Saracenów
Dwunastu naszych parów, wydanych przez kogo?
Przezemnie, przez rycerza z krwi Karlomanowéj!
Śród tych skał prawiem słyszał i widział na jawie
Jak garstkę tych rycerzy napadli łucznicy,
Jak się z wrogiem ścinali, jak Roland przed skonem
Zadął w róg, aż się góry zatrzęsły do koła...
Sam byłem—w rozmyślaniu nad tą moją zbrodnią,
Wszystek drżący—we dwoje zgięty, na kolanach
Modliłem się, płakałem—mrok nocny zapadał,
A z nocą ogarniała dziwna jakaś trwoga.
Wtém zagrzmiało, padł piorun, zerwała się burza,
Taka sama, jak wtedy gdy przy gromów biciu
Cesarz mówił: „Ta burza, to niebios żałoba,
Niebo się rozpłakało po śmierci Rolanda!“
Pod brzemieniem tych wspomnień siły mię opadły,
Całowałem tę ziemię wołając: O! przebacz!
Przebacz mi wielki cieniu! nim zamknę powieki —
Mamże być potępiony na wieki?—Na wieki!
Jakiś głos odpowiedział. Jam potoczył okiem

I widzę, tak, widziałem śród burzy zamętu
Na skale stojącego człowieka, rycerza;
Widmo to biały całun aż do stóp okrywał,
Pod całunem znać było hełm i pełną zbroję,
Bo i głos tego widma miał ten dźwięk miedziany
I twardy, jakby z hełmu wychodził przyłbicy.
Rolandzie! zawołałem—męczeńska ofiaro!
Czy potępiasz na wieki?—Na wieki! głos odrzekł,
I okropne to słowo o skały odbite
Rozlegało się w górach brzmiąc ciągle: „Na wieki!“
A ja, spiorunowany tym grobu wyrokiem
Padłem jak trup na ziemię bez czucia... pamięci...
I dopierom się ocknął, gdy już słońce piekło—
I tak z tych gór zeszedłem.—Wprawdzie chciałem zrazu
Zakopać się w ich głębi, zostać pustelnikiem—
Alem sobie przypomniał ojcze twe przestrogi...
Obowiązek mi kazał powrócić—mam syna.

RADBERT.

Twoja opowieść, hrabio, nic mię nie przestrasza,
Twoje rany w ten sposób nieraz się otworzą.
Odłóż jednak w téj chwili te widma na stronę—
Są to tylko czcze mary twojéj wyobraźni.
Byłeś wtedy w gorączce, kiedyś z echem gadał—
Bo cień Rolanda byłby wspanialszy dla ciebie;
Taką tylko nienawiść żywi przechowują
I śmią mówić: „Na wieki!“ Duchy są łaskawsze!
Pamiętaj więc o synu, o nim myśl jedynie—
Kieruj go ku dobremu, sam się nie zaciekaj
W niezbadane tajniki,—syn twój pełen serca,
Ma wysokie p jęcie o rycerskich cnotach.

AMAURY.

Ach Radbercie! cóż wtedy, jeżeli się dowie
O mych błędach, o mojem prawdziwém nazwisku?

RADBERT.

Nawet i w takim razie, trzeba z wolą Bożą
Zgodzić się; błogosławić i ten dopust Boży—
Będziesz cierpiał, to prawda, lecz w takiém cierpieniu
Dusza z plam się oczyści, jak kruszec w płomieniu.

AMAURY.

Święta prawda! lecz powiedz, czyś nie dostrzegł kiedy

U Geralda domysłów co do jego rodu?
Lub czy się nie dowiedział co o méj przeszłości?

RADBERT.

Nie bój się; ta ostrożność była zachowana.

AMAURY.

Bo to młode umysły są tak dociekliwe!
A o swéj matce z tobą czy mówi?

RADBERT.

Dość często.
Lecz umyślnie mu mieszam wspomnienia dziecięce—
A on w serca prostocie wierzy, co o matce
I o tobie mu gadam. Lecz ni o nazwisku,
Ni o rodzie, nieszczęściach swéj matki, nic nie wie.
Z téj strony bądź spokojny.

AMAURY.

Chciałbym, lecz nie mogę!
Bo ciągle mi się zdaje, żem nie dość ukaran
Za sromotny występek. Gdy dumam nad sobą,
Zawsze w myśli mi staje ten dzień, dzień pamiętny,
Kiedym wiódł do ołtarza wdowę po Milonie,
Księżnę Bretanii, matkę Rolanda rodzoną,
A siostrę Karlomana! Karloman na tronie
Obecny zaślubinom, rzekł do mnie z uśmiechem:
„Bracie! dochowaj wiary!"—A Roland z ufnością
Mnie, mężowi swéj matki podał dłoń rycerską.
O! czemuż w dniu tym wielkim, tam przed ich oczyma
Grom we mnie nie uderzył! A i ty Radbercie,
Czemuś mi nie dał umrzeć, gdym leżał podarty,
Czemuś mię nie zostawił wilkom na pożarcie!
Ilem odtąd wycierpiał, przez jakie męczarnie
Przeszedłem... nie chcę mówić... Lecz z wszystkich katuszy
Najstraszniejsza, to dla mnie bywa przypuszczenie,
Że syn mój kiedyś spyta: Ojcze! matka moja
Była matką Rolanda; coś zrobił z mym bratem!...
A spytać może jutro, dziś, każdéj godziny—
I hańba ojca spadnie na syna bez winy—
Co to jest?... słyszysz, słyszysz... krew ścina się we mnie...
Ten odgłos rogu... to nie głos trąbki łowieckiéj
Geralda. To bojowa nuta...

RADBERT *(patrząc przez okno)*,

To nasz Gerald,

A z nim jakaś kobieta... jeniec saski...

AMAURY *(patrząc również)*.

Prawda.

SCENA 3.

CIŻ—BERTA—GERALD—RAGENHARD *w kajdanach, pilnowany przez pachołków.*

GERALD.

Ojcze mój!

AMAURY (*przyciskając go do piersi*).

Synu! powiedz, czy nie jesteś ranny?

GERALD.

Na nieszczęście nie jestem—chociaż sobie życzę,
Boś ty sam mię nauczył, że pełniąc powinność,
Pierwsza rana najsłodszą bywa nam nagrodą.
Mogę cię też zapewnić, żem dziś pragnął szczerze
Otrzymać pierwszą ranę.

(*Spogląda na Bertę, która pozostała w głębi.*)

Cóż kiedy Saxony
Tak pierzchnęli przedemną, że w pani obronie
Nie mogłem ściąć się z nimi.

BERTA (*zbliża się do Amaurego*).

Widocznie unika
Pochwały syn twój, panie. Bo przecież Saxony
Nie pierzchali tak prędko. Zresztą służba moja
Rozbita przez ich napad—najlepiéj zaświadczy.

AMAURY.

Piękną pochwałę syn mój odbiera z ust pani —
Lecz ten głos, to wejrzenie i taka moc duszy
Po tak groźnéj przygodzie, jawnym są dowodem,
Że i w kobiecie serce rycerskie bić może.
Witaj mi zatém w domu hrabiego Amaury
Obca w téj okolicy; zapewne raz pierwszy
Wstępujesz pani w progi zamku Montblois.

Leży on na uboczu, od ludnych okolic
Oddzielony borami.—Jakimże przypadkiem
Zabiegłaś aż w te puszcze?

BERTA.

Z nad brzegów Wezery
Przybywam od Fritzlaru, gdzie panny w mym wieku
Lubią iść na pielgrzymkę, na miejsca cudowne,
Do grobu męczenników. Właśnie z mym orszakiem
Wstępowaliśmy w bór ten brzegami potoku,
Który się w staw rozlewa, kiedy z krzykiem, rykiem
Dzikich zwierząt, napadli na nas łotrzykowie
Tacy straszni, drapieżni—i tak w oka mgnieniu
Rozproszyli mój orszak—żem została sama,
I już jeden z rabusiów, już wyciągnął rękę,
Aby mię porwać, w drugiéj miecz trzymał i groził...
Ale na raz z téj ręki wypadło żelazo—
Krzyk bojowy: Bóg z nami! rozległ się po lesie!
To był on, syn twój, panie. Z swobodnym uśmiechem
Mieczem zakreślił koło, gdzie byłam bezpieczną.
Napastnicy chcą pierzchać, lecz on ich dopada,
Łby zmiata, resztę w parów zapędza głęboki...
Nakoniec gdy już nie miał nikogo przed sobą,
Wrócił do mnie, przez jego męztwo ocalonéj;
I rzekł: „Nie miałem nigdy tak szczęśliwych łowów."

AMAURY.

Tęgoś się spisał, synu!

GERALD.

Spełniłem powinność.
Wszakżeś sam mi powtarzał: że dopiero wtedy
Trzeba wrogów rachować, gdy już popadali, —
Poszedłem za twą radą. Lecz sam się oskarżę,
Bo kiedym tych Saxonów narąbał, nasiekał,
Postrzegłem, żem był cały we krwi ich zbroczony—
Pierwszy raz, zabijając miałem to wrażenie,
Że mój wzrok, serce, zmysły zmieniły się nagle:
Tak dziwny wpływ wywiera ten człowiek zabity
Na tym, który zabija! Innym byłem teraz;
Do mózgu mi uderzał jakiś dym czerwony.
Nawet w tak słusznéj sprawie, w każdym z nas, rzecz dziwna,
Musi być jakaś cząstka Kainowéj duszy.

W taką wpadłszy zajadłość, wciąż, wciąż mordowałem
Ludzi jak ja, mych bliźnich; nie wilki, lub żubry,
A kiedym już przepłoszył tę hordę pogańską
I powracał zwycięzcą, i rzezią pijany—
Widziałem nieznajomą, jak stała, by wryta
Z wyrazem smutku w twarzy; a okiem wzniesioném
Zdała się modlić Bogu za tych nieboszczyków,
By zwycięzcę uwolnić od zgryzot sumienia...
I zrozumiałem czego Bóg chce od nas w bitwach:
Chce zapału i męztwa, lecz nie chce uciechy.
Był tam i Saxon jeszcze, wódz tych napastników;
Wziąłem go—oto jeniec. Co robić z tym jeńcem?

AMAURY *(dając znak, aby jeńca stawiono przed nim).*
Dobrze! Wnet go dosięże nasza sprawiedliwość.

BERTA.
Hrabio—dla tego jeńca chciéj być pobłażliwy;
Kto drugich sądzi, winien sądowi Bożemu.

AMAURY.
Uczynię zadość pani, o ile w méj mocy.
(Siada na wzniesioném krześle; obok niego stoi Radbert, Berta i Gerald w pewném oddaleniu).
Jak się zwiesz poganinie?

RAGENHARD.
Zwą mię Ragenhardem.

AMAURY.
Ile masz lat?

RAGENHARD.
Mam tyle, ile kraj mój jęczy
W niewoli—lat trzydzieści.

AMAURY.
Któż twoi rodzice?

RAGENHARD.
Wujem moim Witykind.

AMAURY.
Któż ojciec?

RAGENHARD,
Był królem,
Gdy Karloman wojskami zalał naszę ziemię.

AMAURY.

I toż ty, syn królewski, jak prosty opryszek
Zaczajony za krzakiem napadłeś kobietę?

RAGENHARD.

Opryszek! U zwycięzcy każdy pokonany
Zwykle zwie się opryszkiem... Zabij mię a nie lżyj.

AMAURY.

Mamy prawo wojenne, które tu rozstrzyga;
Wszakże wuj twój Witykind przyjął był chrzest święty,
Naczelnicy Drużyn poddali się także
I uznali Chrystusa...

RAGENHARD.

To ojce... nie syny!
Zresztą ojciec mój życie stracił, na mnie spadła
Powinność pomścić ojca. Sam na to patrzałem,
Jak go Frankowie wasi zabili okrutnie,
A chociaż bardzo młody, pamiętam to dobrze.

AMAURY.

Wiem ja, umieją Niemce chytrze i przebiegle
Ukrywać swe zamiary;—atoli dostrzegam
Pewną szczerość w twych słowach dzikich, gorączkowych...
Choć na śmierć zasłużyłeś...

RAGENHARD.

Alboż nie wiem o tém?
Przyszedłem was zabijać, więc i mnie zabijcie.

AMAURY

Poczekaj—ot ta pani, którą zgładzić chciałeś,
Prosiła mię w téj chwili o łaskę dla ciebie —
Mógłbym przeto nie szukać odwetu w krwi twojéj,
Lecz od ciebie zależy ułatwić tę łaskę.
Oto zostań tu z nami, i przyjmij chrzest święty,
Za tę cenę masz życie... *(Ragenhard milczy).*
Nic nie mówisz na to?
Twój los jest w twoich rękach—powtarzam raz jeszcze.

RAGENHARD.

Kto wie, na co mię wola Bogów może użyć—
Źle odmówić, jeżeli mam być ich narzędziem.
(Wpatrując się w Amaurego)

Dziś przystaję, lecz wczoraj zrobiłbym inaczéj.

(Pachołcy uwalniają Ragenharda).

AMAURY.

Zostań więc chrześcianinem i daj nam dowody,
Że twe serce pojęło cnotę przebaczenia.

BERTA *(zbliżając się do Amaurego).*

Dzięki hrabio! Żegnając ciebie, myśleć miło,
Że jedna dusza więcéj Bogu pozyskana.

RAGENHARD.

Pani odjeżdżasz?

BERTA.

Jadę—cóż cię to obchodzi?

RAGENHARD.

I masz zapewne z sobą liczny orszak zbrojny?

BERTA.

Nie mam; lecz się spodziewam znaleźć tu obrońców,
W przeprawie przez te bory.

GERALD.

Jesteśmy gotowi.

RAGENHARD.

Zostań pani!

BERTA.

Dlaczego?

RAGENHARD.

Słuchaj mię, chrześcianko!
Chciałbym ci się odpłacić równą wspaniałością.
Wiem, że Saxony na ten zamek nie uderzą,
Lecz dziś w wieczór zaleją te równie i bory—
Żeby ich wyprzeć, trzeba potężnego wojska.
Zatém zostań w tych murach przez jakiś czas jeszcze.
Swoich nie zdradzam—ciebie ratuję od zguby;
A tak, za twą wspaniałość wspaniałością płacę.

(Zwracając się do innych osób)

Wam zaś mówię: Saxony powstali jak jeden—
Tłumy ich zemstą tchnące walą się od granic,
Bój się zacznie zacięty, mówię wam zacięty!
Przeszłość nie pogrzebiona!—Wasz cesarz ogłosił
W méj ojczyźnie: każdemu ma być ścięta głowa,

Który Sas głową przerósł ponad długość miecza.
Lichy środek! Saxony pokażą, co umią—
Przed dziećmi męczenników strzeżcie się zwycięzcy!
(Odchodzi w głąb).

SCENA 4.

AMAURY, RADBERT, BERTA, GERALD.

BERTA.

Otoż mój hrabio, więźniem zostałam u ciebie,
Czy nie wiesz, w jaki sposób możnaby się wymknąć
Tym Saxonom i w murach nie siedzieć zamkniętą?

AMAURY.

Na to już nie ma rady.

BERTA.

Czy pewnie?

AMAURY.

Wierz pani!
Zostając z nami, może będziesz nam opieką;
Przy tobie bezpieczniejszy dom ten i pan jego—
I jeżeli pozwolisz powiedzieć, co czuję,
Powiem jak Tobiasz w Biblii: Anioł jest tu z nami!

BERTA.

O niech mię nie unosi lekkomyślna próżność,
Lecz chcąc wet za wet oddać za to grzeczne słowo
I okazać się godną takiego przyjęcia,
Wystarczy, gdy się nazwę, mam w tém nieco dumy—
Słysząc moje nazwisko, wszyscy tu zadrżycie,
Wy, godne syny Francyi, wierni jéj rycerze!

AMAURY.

Wymień je—mów pani!

BERTA.

Jestem siostrzenicą
Cesarza Karlomana, a przytém sierotą
Od bitwy ronsevalskiéj; matkę moję zwano
Piękną Odą—a Roland książę był mym ojcem...

GERALD.

Córka Rolanda!

AMAURY *(cofając się i chwytając za rękę Radberta)*.

Przebóg! to córka Rolanda!

RADBERT *(po cichu)*.

Nie zdradzaj się Amaury! cały drżysz jak listek.

AMAURY.

Czy podobna?! O Boże!

RADBERT *(po cichu)*.

Ależ się uspokój!

Panuj nad sobą, hrabio! Syn patrzy na ciebie!

AMAURY *(spokojniéj)*.

Przebacz pani wzruszeniu memu, pomieszaniu —
Wielkie imię Rolanda wstrzęsło mię, żołnierza;
Dość je słyszeć, ażeby stracić prawie zmysły,
Powiedziałaś to sama—przebaczże mi pani!

BERTA.

Dzięki, hrabio Amaury! Dzięki ci, Geraldzie!
Goszcząc mię, zapomnijcie o mém dostojeństwie...
Dla was Bertą niech będę—bo to moje imię.

AMAURY.

Geraldzie! choć zaręczył nam jeniec, że tłumy
Saxonów nie rzucą się na zamek — lecz zamiar
Mogą zmienić i przyjdą szturmować te wieże—
Moja rzecz być najpierwszym w tém niebezpieczeństwie,—
Ty synu miéj to za nic, choćbym padł od strzały,
Byle Bertę ocalić... zgon mój w jéj obronie
Będzie moim tryumfem, synu nie płacz po mnie!
—A teraz, hej na mury! wszyscy ludzie zbrojni!
Domownicy, poddani, na pierwszy znak dany
Zgromadzą się w szeregi... Nocni zaś strażnicy
Niech patrzą, nasłuchują, czy wróg się nie skrada.
Ty zaś wyślij na czaty najlepszych żołnierzy,
Osadź przystępy... Lecz nie... sam wolę to zrobić;
Geraldzie, zostań raczéj tu, w przybocznéj straży...

GERALD.

Dzięki tobie, mój ojcze! sposobność się darzy,
Cześć oddać imieniowi wielkiego Rolanda!
Czemuż to, przebacz ojcze! w dziecięcym mym wieku

Tak rzadko wymawiałeś przedemną to imię;—
Alem przed samym sobą ciągle je powtarzał,
Roland był duszą moją, moim bohaterem.
Nieraz mi się zdawało, że duch jego mieszka
We mnie; tak, w moich wszystkich myślach, snach, marzeniach
Jego tylko widziałem, jemum towarzyszył
W drodze sławy, z nim ginął w boju ronsevalskim.
Dobrześ ojcze powiedział przed chwilą; piersiami
Własnemi obronimy tę córkę Rolanda —
A ja dodam, że ani tu w naszéj rodzinie,
Ni śród sług, ni w tym domu już nie znajdzie ona
Nikogo, ktoby zdradził. — Nie masz Ganelona!

AMAURY *(po cichu)*.

Chodźmy, chodźmy Radbercie—piekielne męczarnie!
Chodźmy!

GERALD.

Żegnaj mi ojcze! przez noc, aż do świtu
Tu czuwać będzie twój syn, i nikt mi nie wydrze
Powierzonego skarbu!...

SCENA 5.

GERALD, BERTA.

(Gerald stoi na galeryi patrząc ku Renowi. Berta po odejściu Amaurego, długo wpatruje się w Geralda, potém przechodzi przez salę i zbliża się do stołu, gdzie szachownica).

BERTA.

Co widzę! „Gra w cnoty!“
Tyle wspomnień się łączy z tą grą—jakże często
W pałacu tam w Lutecyi, albo w Akwisgranie,
O wieczornéj godzinie, Karol mówi do mnie:
Berto, daj szachownicę, trzeba rzucać kostki,
By wiedzieć, jakie cnoty losem dziś wypadną!
I kto najlepiéj cnoty te spełnić potrafi?
(Bierze kubek i wstrząsa kostkami).
To zabawka, lecz dobre budzi w nas natchnienia,
Złéj nigdy nie nasuwa myśli... *(rzuca i czyta)* Rzucam tedy:
„Z każdym i z samym sobą, szczerym być potrzeba.“
Łatwa rzecz, to się robi nawet bez rozkazu.
(Czyta znowu).

„Litość dla tych, przez których cierpieliśmy wiele.“
Gdyby się nadarzyła sposobność, o jakże
Chciałabym tę anielską cnotę wykonywać!
A jednak sama nie wiem... Czytajmy co daléj?...
„Wdzięczność“—Rozumiem.
(*Patrzy w stronę Geralda, zbiera kostki, chce rzucić, lecz się wstrzymuje*).
Na dziś podobno już dosyć.
(*Coraz ciemniéj na scenie*).

AMAURY (*za sceną*).

Bóg z nami! Czujność straże!..

GERALD.

Czuwamy!
(*Głosy za sceną odpowiadają*):
Czuwamy!
(*Zasłona spada*).

AKT II.

(*Scena ta sama co w I-szym akcie*).

SCENA 1.

GERALD.

Więc Berta już odjeżdża! z pól tych ustąpiły
Hordy dzikich Saxonów; za Ren się wynoszą,
A w ślad za nimi wojsko cesarskie nadciąga;
Żal mi, żem nie mógł znowu z wrogami się zmierzyć
Jutro, może dziś jeszcze ona nas opuści.
To szczęście, że nikt tutaj mię nie podejrzewa—
Ojciec o niczém nie wie! nikomu nieznana
Tajemnica méj duszy! Chowajmyż ją w głębi!
Choć milczenie zbyt cięży .. zbyt mię upokarza!
Wstydzę się, a wstyd taki prawdziwą jest karą!...
Zastanówmy się nad tém... Czemuż nie mam milczeć?
Dusza ma swe skrytości, każdy coś ukrywa;
Sercom najszlachetniejszym przecież niewzbroniona
Roztropność i wstydliwość... Jednak to niedobrze!
Czyste uczucie żadnéj nie cierpi zasłony,

Sam firmament nie niebem, gdy nieugwiaździony,
Nie potrafię już dłużéj ukryć tajemnicy,
Wszystko wyznam przed ojcem! Lecz po co go trwożyć?
Po co strapień przyczyniać jego siwéj głowie!
—Boże! gdziem ja to nabrał sztuki udawania?
Że obłudnik i kłamca nie śmiem patrzeć w oczy,
I puszczam się w labirynt bez sposobu wyjścia!
Jednak... gdy wyznam prawdę, ojciec nie pozwoli
Na tę podróż, tak sercu memu upragnioną.
Powiem mu: „Ojcze, jadę! by jéj towarzyszyć!"
On pewnie wręcz odmówi. Z każdéj, z każdéj strony
Mój świat czarno wygląda; co krok to wątpliwość...
Oświeć, oświeć mię Panie niech trafię na drogę
Obowiązku, chociażby cierniami usłaną...

SCENA 2.

GERALD, AMAURY.

AMAURY.

Jesteś tu mój synu?

GERALD.

Chcę pomówić z tobą
Ojcze! Chcę ci coś wyznać, ale to wyznanie
Zbyt trudne dla mnie; widzisz moje pomieszanie...

AMAURY.

Mów śmiało!

GERALD.

Oto chciałbym... wszak dotąd prócz małéj
Utarczki z Saxonami, na wojnie nie byłem...
Chciałbym zatém w świat ruszyć, widzieć walne bitwy
I zdobytą w nich sławą ród nasz przyozdobić.

AMAURY.

Pojmuję cię; sam takim byłem ja za młodu;
Szlachetne twe pragnienie lubię i tłómaczę;
A choć odjazd twój będzie dla mnie zbyt bolesnym,
Twoję sławę i honor równie jak ty cenię.
Słychać, że się w Sycylii na wojnę zanosi,
Więc łatwo mógłbyś do téj należeć wyprawy,
Sam się o to postaram.

GERALD.

Nie tego ja pragnę,
Ojcze mój! Wolę w mojéj pozostać ojczyznie
I pod cesarzem służyć, a nie pod kim innym.

AMAURY.

I w tém ciebie pojmuję. Ot masz Saracenów
Hiszpańskich, którzy dotąd nie są pokonani.
W nich znajdziesz nieprzyjaciół godnych twego męztwa;
Wszak często w Akwitanią puszczają zagony—
Z nimi zmierz się Geraldzie. Tam na pograniczu
Mam przyjaciół; przyjmą cię, pokierują tobą.

GERALD.

Nie tego mi potrzeba—sięgam jeszcze wyżéj,
Ja chcę walczyć przy boku cesarza Karola!

AMAURY.

O! już tego pragnienia nie pojmuję wcale:
Syn prostego żołnierza... dziwne uroszczenia!...
I któżby cię przedstawił na cesarskim dworze?

GERALD.

Kto? Berta!

AMAURY (*biorąc go za ręce*).

Synu!

GERALD.

Ona!... Ach! ja kocham Bertę!
Brzydzę się wybiegami, otwarcie to mówię,
Kocham ją!

AMAURY.

Ależ przebóg!...

GERALD.

Kocham! a to słowo
Tak napełnia me serce, że je w głos wymawiam:
Kocham ją, o mój ojcze, a niemniéj podziwiam
Oczy jéj, w które patrzę jak w niebios błękity,
Duszę promieniejącą wdziękami jéj twarzy,
Głos jéj... I któż się oprze, kto, tym wszystkim cudom?
Kocham ją!... czy przezemnie mówi szał, czy rozum,
Nie wiem—dość, że ją kocham—niech ci to wystarczy;
Lecz może ona sama—ach przebacz mi ojcze,
Lepiéj pojmie tę miłość.

AMAURY.

A więc jeszcze nie wie?

GERALD.

Wszakże wiesz, żem miał szczęście ocalić jéj życie,
A jako prawy rycerz, oddawszy usługę,
Czyż mogłem... wiem mój ojcze, żeś mię już zrozumiał—
Prosić ją o wzajemność tytułem usługi?

AMAURY.

Oddycham! a więc synu, trzeba od téj chwili
Tę miłość wyrwać z serca, wyrwać ją z korzeniem,
Trzeba; tak chcę, tak każę! Bez sławy, bez przodków,
Bez imienia... czy śmiałbyś sięgać tak wysoko?

GERALD.

To nic, to nic, mój ojcze! myślałem już o tém,
I z mych nizin zmierzyłem niedostępne szczyty,
Bo w myśli méj ognistéj widzę ja Rolanda,
Rycerza, męczennika, Bozkiego szermierza,
Co poświęciwszy życie, swoją śmiercią płodną
Do życia budzi Francyą i budzi świat cały.
Widzę ja i mocarza władnącego berłem
Od Pizanów do Gallów—widzę Karlomana...
Błogosławieństwem Rzymu król ten poświęcony,
Więcéj niż król, Bóg prawie, chcący być człowiekiem.
Widzę go, jak w swéj ręce trzyma ziemską kulę,
A jednak kocham Bertę i kocham tém więcéj,
Że czuję w mojém sercu, czystém jak kryształy,
Coś, co mię godnym robi serca jéj i chwały.

AMAURY.

Nie, nie! tyś jéj niegodzien! Nie! po tysiąc razy!—
Ja tak chcę! bądź posłuszny. Nie pojedziesz za nią.
A raczéj ja cię błagam w imię przywiązania;
Źlem robił rozkazując, do serca ci mowię...
Nie znasz mię jeszcze synu... nie znasz z mojéj winy...
Bywam smutny, odludek, czasem cię unikam,
Wiesz czemu? bo się boję, by kwiat twéj młodości
Wonny, biały, nie zczerniał od mojéj gorzkości,
Lecz cię kocham! ty moja chwało, moja cnoto!
Szczęście moje! ja w tobie, w tobie tylko żyję!

GERALD.

Drogi ojcze!

AMAURY.

Sądź z tego, co się we mnie dzieje,
Mam ja serce żołnierskie... a widzisz łzy leję!...

GERALD.

Ależ ojcze!

AMAURY.

Słuchaj mię! ta szalona miłość
Zgubi cię, ja to czuję, widzę jak na dłoni—
A zgubi cię koniecznie. Dziś żyjesz nadzieją,
Jutro przyjdzie niepokój, niebawem cierpienie,
Wkrótce zazdrość twe serce swym jadem zaprawi,
Potém skrycie wrogowie sidła zdrad zastawią,
I upadniesz ze wstydem, nie dopiąwszy celu—
A w końcu ukochana ze wzgardą odprawi!

GERALD.

O Boże!

AMAURY.

Jedź mój synu, twój odjazd, mój pogrzeb.

GERALD.

Nie mów tak!

AMAURY.

A więc zostań, przysięgnij!

GERALD.

Zostanę!

SCENA 3.

CIŻ, RADBERT.

RADBERT.

Hrabio! strażnicy z wieży dają znać, że liczna
Jazda tu się przybliża—orszak to królewski
Wyprawiony po panią Bertę—sam widziałem,
Jak już weszli na drogę do zamku wiodącą.
Książę Neyme na ich czele, zgadłem po chorągwi
Niesionéj przed nim, jako przed królem Bawarów.

AMAURY.

Książę Neyme! śpiesz Geraldzie wszystko przygotować,
Jakeśmy ułożyli. (*Gerald kłania się i odchodzi*).

SCENA 4.

AMAURY, RADRERT.

AMAURY.

Radbercie! zginąłem!
Książę Nayme, zacny starzec i wielkiéj prawości,
Nestor chrześcian, jak Roland był ich Achillesem!
Książę Nayme w zamku moim, gościem Ganelona!
Cóż, jeżeli mię pozna?

RADBERT.

To rzecz niepodobna!
Każdy wie, że Ganelon umarł w srogich mękach,
Przytém włos ci pobielał, blizny twarz zorały,
A bruzdy łez do reszty ją przeobraziły—
Jesteś do niepoznania!

AMAURY.

Ktoż wie, co się zdarzy!
Często twarz nosi wyraz niczém niezatarty—
A nuż książę nazwisko moje wbrew mi rzuci,
I to wobec Geralda!?

RADBERT.

Nie tracże odwagi!
A i głowy nie zginaj przed niebezpieczeństwem;
Wobec księcia masz przybrać spokojną postawę;
Niech się wzrok twój nie błąka niepewném spojrzeniem,
Śmiało doń przystąp, z czołem w górę podniesionėm,
A wszystkie twoje trwogi opuszczą cię zaraz.
Otoż on; baczność hrabio!
(*W głębi wchodzi Nayme i orszak jego—Gerald i Ragenhard, który zostaje na boku*).

SCENA 5.

AMAURY, GERALD, RADBERT, NAYME, RAGENHARD, RYCERZE.

NAYME (*do Geralda zatrzymując się w progu*).

Proszę cię młodzieńcze,
Chciéj o mojém przybyciu dać znać pani Bercie.
(*Gerald po cichu daje rozkaz giermkowi, który odchodzi*).
Ojca twego Geraldzie... pewnie tu zastanę,
Zaprowadź mię do niego.

GERALD.

Służę mości książę!

Oto on...

AMAURY.

Ach, książę Nayme!

RADBERT (*po cichu*).

Śmiało, śmiało hrabio!

NAYME (*zbliżając się do hrabiego*).

W imieniu Karlomana, króla i cesarza,
Pozdrawiam ciebie hrabio, i sam ci cześć składam,
Ja, książę Nayme z orszakiem starych towarzyszy.

AMAURY (*cicho do Radberta*).

Poznaję z nich każdego! Czy mnie też poznają...
Kto wie, może zamało jeszcze łez wylałem.

RADBERT (*tak samo*).

Trzymaj się!

AMAURY (*idąc naprzeciw księcia*).

Wszystkich panów witam w moim domu

NAYME.

Zacny hrabio, twarz twoja nieznana mi wcale—
A jednak wyczytuję na tėj męzkiėj twarzy
Wojennego rzemiosła zbyt wymowne ślady.
Żem cię bliżėj nie poznał, jakże to się stało?

AMAURY.

W sposób zwykły mój książę... byłby to trafunek,
Żeby pańskie twe oko mogło mię wyróżnić—
Przecież hetman nie może znać wszystkich żołnierzy.
Ja, giermek Amaurego, hrabi Akwitanii,
Ocaliłem mu życie raz w jednėj potrzebie—
A on mi umierając dał imię i tytuł.

NAYME.

Ten tytuł i to imię nosisz w godny sposób;
Ja sam czuję się dumnym z przyjęcia w twym domu;
A syn twój, to mi rycerz! prześlicznie się spisał,
W pierwszém polu zbił wroga—to się nie zapomni—
Zbliż się, zbliż tu Geraldzie—a to rzecz szczególna,
Jak twarz jego... ten młodzian kogoś przypomina...

AMAURY (*n. s.*).

O Boże!

NAYME.

Kogo?.. nie wiem... pamięć mię odbiegła...
Pozwólcie mi zatarte odświeżyć wspomnienie.
Zbliż się, zbliż jeszcze... Niech ci lepiéj się przypatrzę.
Mam już! rysy Rolanda—Roland wykapany.

GERALD.

Podobnym do Rolanda!

AMAURY (*cicho do Radberta wskazując Geralda*).
Tak, do swego brata. (*gl.*)
Książę! Ojcowską dumę tak podniecasz we mnie,
Że aż uchybiam świętym prawom gościnności
I zapominam, że wam posilić się trzeba.
Służba! hej służba! prędzéj zastawić biesiadę.
(*Służba zastawia stół na boku z lewéj strony*).

NAYME (*staje przy stole w głębi z Amaurym i Radbertem*)
Radbym mój hrabio, przedtém zanim ztąd odjadę,
Ażeby nas widziano w dobréj zażyłości
Biesiadujących razem, jak starych przyjaciół;
Na znak przymierza ot tym chlebem się przełammy,
A w zadatek wzajemnéj ufności i wiary,
Napełńmy złotą czarę; pijmy z jednéj czary.
(*Piją z jednego kielicha, poczém Nayme siada do uczty, Gerald stoi po jego prawéj stronie—Radbert siada z lewéj*).
Jednéj nam przyjemności braknie przy tym stole,
Czy nie macie jakiego żonglera, truwera?...
Lubię pieśni wojenne przy puharów brzęku.

AMAURY,

Nie mam mój książę, nie mam; lecz mój syn się uczył
U jednego minstrela pieśni rozmaitych—
Geraldzie, może umiesz którą z nowych pieśni
Opiewających bitwy? Zaśpiewajże księciu.

GERALD,

Niesposób drogi ojcze, dzisiaj jam znękany,
Czuję, żeby mię zawiódł głos mój, nie mam siły...

RADBERT.

Nie, nie Geraldzie! zrobisz kiedy cię tak proszę—
A twą pieśnią rycerskiéj uczcie dodasz blasku.
Zaśpiewajno te strofki, które ów mnich złożył.

GERALD.

Zgoda; lecz pieśniarz prosi o wyrozumiałość
(*staje na środku sceny*).
„Dwa sławne miecze, w niebie kowane,
Jeden królewski, lenniczy drugi—
W święconéj wodzie zahartowane,
Obu ich wielkie zasługi.
Miecz Karlomana „Żoyesą" zwie się,
A „Durandalem" Rolanda miecz—
Oba duch Boży na wrogów niesie,
Nigdy nie cofną się wstecz.
„Durandal" zdobył ziemię hiszpańską,
A pod „Żoyesą" padły Lombardy—
Dwa miecze wolę spełniły Pańską,
Poganin ugiął kark hardy.
Niedość im było Alp, Pirenejów—
Ostrze ich poznał Duńczyk i Sas,
Świat uwolniony od tych turniejów
Jak zbawców wysławia was!
Lecz nie jednaki los wypadł obu:
„Zoyesa" w pochwie używa miru—
A „Durandala" z Rolanda grobu
Saracen wziął do jassyru.
„Durandal" jeńcem—Frankowie płaczą,
„Żoyesa" tęskno za bratem śni—
Lecz się dwa miecze znowu obaczą—
Gdy lepsze nastaną dni.

NAYME.

Dzięki Geraldzie! ślicznie! lejcie nam, giermkowie!
W czasze miody i wino... Karlomana zdrowie!
(*pije ze wszystkimi rycerzami, którzy wykrzykują*
„Zdrowie Karlomana!" *oprócz Ragenharda*).
Teraz na cześć Rolanda! (*wszyscy prócz Ragenharda wykrzykują*).

GERALD (*wpatruje się w Ragenharda stojącego naprzeciw*).
Co to jest Saxonie?
Co znaczy ten wzrok dumny, to schylone czoło?

Iyś chrześcianin, więc razem powesel się z nami.
Pewnie puhar twój próżny?..

RAGENHARD.

O nie próżny wcale!

GERALD.

A więc pij z nami na cześć tych dwu bohaterów!

RAGENHARD.

Będąc mną, czy z was który piłby takie zdrowie?
Choć ja świeży chrześcianin, pamiętam naukę,
Jaką nasi kapłani nam opowiadają,
Że rodziców i przodków szanować należy...
Zwycięzcy moich ojców zrozumią odmowę.

(*Podnosząc puhar*).

Piję cześć Witykinda, i cześć zwyciężonych!

GERALD.

Saxonie! biada tobie!

NAYME.

Geraldzie!..

GERALD.

Obelga!

Jeszcze taka!..

NAYME.

Przebacz mu, bo dowiódł odwagi!

RAGENHARD.

Dzięki książę! lecz czemuż Gerald z dumą śpiewał
Klęski nasze, a milczał o Francyi żałobach?
Wszak i wy miewaliście, jak i my dni czarne,
Bywały i zwycięztwa, bywały i klęski—
I od strapień włos wcześnie na głowie ubielon.
Prawda, u was był Roland, lecz był i Ganelon.

AMAURY.

O Boże!

NAYME (*powstając*).

Milcz Saxonie! Nie wymawiaj więcej
Przeklętego imienia; nie wiesz, jak tém słowem
Zraniłeś serca nasze... Język mi drętwieje,
Gdy wymawiam „Ganelon,“ a w oczach mi staje

Dawna hańba i wstydem oblewa się czoło.
To słowo nam zatruło wesołą biesiadę—
W górę ręce i razem przeklinajmy zdrajcę!
Przekleństwo się obije o piekielne bramy,
I on w piekle usłyszy, jak go przeklinamy.
(*Wszyscy wznoszą ręce, oprócz Amaurego i Radberta*).

SCENA 6.

CIŻ i BERTA.

NAYME.

Przybywaj do nas Berto! tobie się należy
Najpierwéj go przeklinać.

BERTA.

Kogo mości książę?

NAYME.

Ganelona!

BERTA.

Ach książę, Pan Bóg moim świadkiem,
Że dziś tego nazwiska w myśli méj nie miałam,
Choć cesarz mi powtarza często: „Wszystkim daruj,
Saracenom, jak Grekom, Normanom, Lombardom,
Zapomnij, co przewinił Ditrych, Lupus, Hunald—
Lecz w sercu masz potępiać wiecznie Ganelona!
Niech więc z waszemi głosy i mój głos się złączy
Przeklinać Ganelona—to rzecz sprawiedliwa.

GERALD.

Zaprawdę sprawiedliwa! i ja także z wami
Wznoszę rękę do góry i przeklinam!..

AMAURY (*n. str.*)

Biada!

RADBERT (*przypadając do Geralda*).

Dosyć tego Geraldzie! Jam przecież kapłanem,
Mam prawo jak jesteście, wszystkim mówić w oczy,
Po co klniecie zmarłego? cóż te klątwy znaczą,
Jeżeli Bóg na wieczne dał go potępienie?
Jeżeli mu przebaczył—to cóż mu zrobicie?!

BERTA.

Prawdę mówisz mój ojcze! przy twojéj powadze
Milczeć mi!

NAYME.

I jam może wystąpił gwałtownie;
Lecz nie mogę z krwią zimną znieść tego nazwiska.
Wszakżem ja Ganelona ocalił od śmierci.
(*Wstaje od stołu, za nim idzie Amaury i Radbert*).
Dawno temu, pod Werden, już pod koniec bitwy,
Jeden królik saxoński, mam go przed oczyma—
Chłop barczysty i rosły—Morglanem go zwano—
(*Ragenhard okazuje nagłe wzruszenie*).
Przysiadł był Ganelona, gniótł go kolanami,
I mieczem miał już przebić... Widząc to, przypadłem
I odbiłem żelazo saxońskiego króla...

AMAURY (*n. s.*)

Tak było!..

NAYME.

Wnet Ganelon porywa się z ziemi,
Uderza na Saxona, odwagi miał dosyć,
I ten, co był zwycięzcą, teraz już się chwieje...
Widząc to małe chłopię, rzuciło się z krzykiem:
Nie zabijaj mi ojca! daruj! daruj życie!
(*wzruszenie Ragenharda*).
Lecz Ganelon już górę miał nad przeciwnikiem,
Groźnym wzrokiem odstraszył błagające dziecię,
Ojca trupem położył... Cóż daléj? w rok potém
Ganelon został zdrajcą—on wydał Rolanda—
I odtąd jeden wyrzut robi mi sumienie,
Żem to ja Ganelona od śmierci wybawił.

AMAURY (*n. s.*)

Niestety!

RAGENHARD (*wpatrując się w pomieszanie Amaurego*).

Hrabia pobladł Ta bladość coś znaczy—
Unika spojrzeń księcia... Czemuż ich unika?...
Uważajmy ich bliżéj.
(*Zbliża się do Amaurego, który spostrzegłszy to, odwraca się z groźném spojrzeniem*).

AMAURY.

Czego chcesz Saxonie?

RAGENHARD (*d. s. cofając się*)

Już nie wątpię... to samo spojrzenie widziałem...

(*Gł. podchodząc do księcia*)

Książę pan niech pozwoli przemówić.

NAYME.

Mów, słucham.

RAGENHARD.

Wszak książę coś wspomniałeś o królu Morglanie?

NAYME.

Tak jest, wszyscy Frankowie znali tego wodza;
Mężnym był. Lecz dlaczego pytasz mię Saxonie?

RAGENHARD.

Król Morglan był mym ojcem!

(*Po chwili milczenia zbliża się do Amaurego*).

Hrabio! i mój panie!
Spodziewam się usłyszeć odpowiedź stanowczą...
Czynisz mię chrześcianinem, a edykt cesarski
Daje wolność każdemu, który chrzest przyjmuje;
Więc jam wolny?

AMAURY.

To prawda, lecz prawo zabrania
Wracać ci do ojczyzny—i gdybyś miał zamiar...

RAGENHARD.

Nie mam go, i we Francyi długo pozostanę!

AMAURY.

Więc co zrobić zamierzasz?

RAGENHARD.

Później się dowiecie!
Żegnaj hrabio Amaury! (*n. s. odchodząc*)

Ten wzrok mię nie myli!

SCENA 7.

GERALD, NAYME, AMAURY, BERTA, ORSZAK, *w głębi.*

NAYME.

Teraz chciej słuchać hrabio! Nasz pan, Karol Wielki,
Pragnie syna twojego mieć na swoim dworze.

Gerald z nami pojedzie, a łaska cesarska
Wnet spłynie na obrońcę jego siostrzenicy.

GERALD (*zbliżając się do ojca*).

Ach mój ojcze!

AMAURY (*po cichu*).

Geraldzie! płonne to nadzieje;
Przysiągłeś, że zostaniesz; więc potrzeba zostać.
Pamiętaj, coś mi wyznał... Wymów się, rzecz prosta.

NAYME.

Co mówisz na to hrabio?

AMAURY.

Ja tu nie rozstrzygam.
Syn mój niech sam odpowie, to jego się tycze.

BERTA (*n. s.*)

Co to jest? on się waha? waha się i czemu?
Przecież Gerald mię kocha, wiem to...

GERALD.

Przebacz książę!
Zbyt wysoka to łaska, jaką mi przyrzekasz —
Ale z waszym orszakiem odjechać nie mogę —
Z wiadomego tak ojcu jak i mnie powodu.

BERTA (*n. s.*).

Ach! już wiem!

NAYME.

Bóg nam różne wkłada obowiązki--
Jednak miłość synowska, choć w ich rzędzie pierwsza,
Nie powinna młodemu zawiązywać świata,
Rozważ lepiéj...

GERALD (*d. s. spoglądając na Bertę*).

O Berto!

AMAURY (*d. s.*)

O biedny mój synu!

GERALD (*patrząc na ojca*).

Już rozważyłem książę—stało się... zostanę!

AMAURY (*d. s.*).

Dzielne serce! a z mojéj winy już złamane!

NAYME.

Cóż Geraldzie? stanowczo nie odjedziesz z nami?

(*Gerald skłania głowę*).

Odjedziemy bez ciebie, gdy nie ma sposobu. (*Do orszaku*)
Sposobić się do drogi!.. Berto bądź gotowa!

(*Ściska dłoń Geralda i odchodzi z hrabią i orszakiem*).

(*Gerald na przodzie z głową zwieszoną, Berta patrzy przez chwilę, potém zbliża się do niego*).

SCENA 8.

BERTA, GERALD.

BERTA.

Geraldzie! ja cię kocham!

GERALD.

Berto!

BERTA.

Kocham tyle,
Ile ty sam mnie kochasz—jam ciebie odgadła;
Widziałam jak wschodziło, jak z dniem każdym rosło
W mojém sercu i twojém uczucie miłości...
Lecz tyś milczał, jam twego słuchała milczenia
I przenikłam, żeś sercu swojemu gwałt czynił,
A im więcéjś ukrywał tę wewnętrzną walkę,
Tém lepiéj pojmowałam, co w tobie się dzieje.
Czy zgadłam mój Geraldzie? Jeśli na przeszkodzie
Stała twemu wyznaniu godność moja, imię—
Odezwałam się pierwsza—i pysznię się z tego,
Że mam zupełne prawo rozrządzać mém sercem.

GERALD.

Przebacz! przebacz mi Berto! nie jestem ci w stanie
Powiedzieć, jaka we mnie burza, pomieszanie!
O mój Boże! czy mógłbym pragnąć czego więcéj?
I czy mógłbym nie kochać ciebie najgoręcéj!!
Patrz, to serce pijane szczęściem niespodzianém,
Twojém jest! tobie Berto na zawsze oddaném!
Jakże cię za to jedno słowo błogosławi...
Co było dlań balsamem—bo już się nie krwawi—
O Berto litościwa! tyś podała rękę
Cierpiącemu, ażeby dzielić jego mękę...

„Kocham ciebie Geraldzie,“ gdy twe usta rzekły—
Świat wszystko mi zapłacił, cierpienia uciekły
I nie wolno się dręczyć, tylko się radować.
—Jednak gdybyś wiedziała... przed niedawną chwilą
Ojciec mój—tu, w tém miejscu mówił... ależ po co
Wznawiać to! przecież kocham, kocham! a to słowo
Powraca mię do szczęścia—widzę tak różowo!

BERTA.

I cóż ci mówił ojciec?

GERALD.

Nie myślmy już o tém!
Ty tego nie zrozumiesz, ja nie wytłómaczę,
Z jakim dziwnym przestrachem i z obłędném okiem
Słuchał mego wyznania, bo tu mu wyznałem:
Tyś jéj niegodzien! krzyknął... Kto wie, o mój Boże,
Czy nie słusznie on mówił, bo czémże ja jestem?
Jakiém prawem cię kocham? słusznie ojciec mówił!

BERTA.

Nie, Geraldzie! Twój ojciec rychło się przekona,
Że miłość wielkiém robi serce, gdzie wszczepiona!

SCENA 9.

CIŻ I AMAURY.

BERTA.

Hrabio! kocham Geralda i on mnie wzajemnie.
Już wiem, już wiem od niego, co myślisz.—Lecz teraz
Wszystko się odmieniło, przeto sobie tuszę. .

AMAURY.

O sprawiedliwe Nieba! (*Do siebie*).
Tego jeszcze brakło,
Żeby się zrozumieli!—O nieszczęsne dzieci!
Mamże jeszcze was bronić przeciwko wam samym?
(*Gl.*) Wy się kochacie!... tak jest... to nieuniknione,
Lecz ja nie chcę być dla was sędzią ani panem!
Sprawa z cesarzem, sprawa tylko z Karlomanem.

BERTA.

Czy myślisz, żem ja o tém hrabio zapomniała?
Lecz cesarz w tym przedmiocie, aczkolwiek tak ważnym,
Mnie zostawia mój wybór—swego nie narzuca—
Bo mię zna! Bo ni jemu, ni mnie do téj chwili
Nie zdarzyło się znaleźć męża z sercem dzielném.
Jeden Gerald w tym steku upadłéj młodzieży
Jest inny, przypomina mi dawnych rycerzy;
To niedość—ten małżonek mojego wyboru
Ma być wyższy od swego najlepszego wzoru.
Że ze mną nie odjedzie, to nic, ja to wolę,
Będzie miał większe teraz do odznaczeń pole;
Aby tę młodzież, która kręci się na dobie,
Przerósł o całą głowę, równych nie miał sobie.
Geraldzie! tobie znane czyny Paladynów—
Oni świat odrodzili cudami swych czynów.
Któżby o tém nie wiedział—lecz i o tém wiemy,
Że plemię bohaterów ginie—my giniemy!
Ty ich nam wskrześ Geraldzie! ruszaj w świat jak oni!
Na złych, na okrutnikach doświadcz twojéj broni.
Wyłam zamki ciemięzców i bądź sprawiedliwym
Zbawcą dla uciśnionych, karą niegodziwym!
Słowem, wskrześ nam Rolanda, zanim do mnie wrócisz!
—Cóż hrabio! czy i teraz jeszcze co zarzucisz?
Czy masz jakie obawy, których nie dociekam?
Ja ci syna zabieram i wrócić przyrzekam!
I raz jeszcze żegnając na gościnnym progu,
Przyrzekam wrócić Francyi, cesarzowi, Bogu!

AMAURY.

Nigdy! to być nie może!...

GERALD.

Jakto? być nie może?!
Po tém, coś od niéj słyszał, jeszcześ nieugięty?
W takim razie mnie tylko uledz pozostanie,
Zapewne masz powody przedemną ukryte!

AMAURY.

Nie mogę! ach! nie mogę!

GERALD.

Ojcze! ojcze drogi!
Czy chcesz, żeby mi serce aż pękło z rozpaczy?

W téj chwili, przebacz ojcze! takiego coś czułem,
Jakby dreszcz nienawiści przebiegł mi po żyłach.

AMAURY.

Nienawiści! do ojca?

GERALD.

Nie, do mojéj doli!
Dziś rano, wobec ciebie byłem tak uległy;
Wszystko mi z rąk ucieka; czego tylko dotknę,
Psuje się; w jednéj chwili świeci mi nadzieja
I umiera... mamże rozbrat wziąć już z życzeniami
I serce zrobić grobem młodocianych marzeń?

AMAURY.

Synu mój! synu! Kto wie, możem ja się mylił.
Nieraz na mnie przychodzą dziwne jakieś trwogi,
Że się lękam wszystkiego. Lecz teraz poznaję,
Że twa rozpacz byłaby największém nieszczęściem,—
Zatém idź synu drogą przez Bertę wskazaną—
Jeślim zgrzeszył ustępstwem, niech mi Bóg przebaczy!

GERALD.

Ojcze!

AMAURY.

Jedź, jedź Geraldzie! gdy trzeba koniecznie.

BERTA.

Dzięki ci hrabio! spełniam tylko mą powinność,
A ty Geraldzie w każdéj pamiętaj potrzebie,
Com przyrzekła i czego wymagam od ciebie.

GERALD.

Dziś jeszcze w wieczór jadę Berto! twe rozkazy
Nie powinny doczekać jutrzejszego świtu,
Tak one dla mnie święte, a gdy ojca twego
Rolanda będę godzien, powrócę do ciebie.

SCENA 10.

CIŻ i NAYME.

NAYME.

Berto, godzina późna, twój orszak już czeka.

BERTA.

Książę, jestem gotowa. (*Żegnając Geralda*)
Żegnaj mi Geraldzie!
Miałam się za silniejszą, żegnaj, do widzenia!
—A teraz z tobą hrabio, spodziewam się, panie,
Pocałunek ojcowski wziąć na pożegnanie.

AMAURY.

Pani!

BERTA

Powiedz mi raczéj: córko! mam nadzieję.
Że niebawem zawołasz na mnie tém imieniem.

AMAURY (*n. s. całując ją w czoło*).

I duch Rolanda z niebios patrzy na to wszystko!

Zasłona spada.

(*Dokończenie nastąpi*).

O KREDYCIE ROLNICZYM

napisał

JÓZEF KIRSZROT.

I.

O kredycie w ogólności.

Definicya i znaczenie kredytu.

Rozliczne są definicye kredytu. W tém miejscu zastanowimy się tylko nad definicyą Józefa Supińskiego, który kredyt określa w sposób następujący: *Kredyt jest to wymiana nieukończona, na pół dokonana, — jest to zbycie i nabycie, które nie idą równocześnie,—jest to wymiana, przy któréj zbycie wyprzedza nabycie.*

Przy wymianie następuje jednocześnie kompensata usług, z jednéj strony nabycie, z drugiéj strony zbycie; obie współdziałające strony otrzymują współcześnie wartości lub usługi, któremi się nawzajem kwitują. W dzisiejszym stanie gospodarstwa pieniężnego sprzedaż jest formą, którą wymiana najczęściéj przyjmuje. Przy sprzedaży tedy sprzedający oddaje swój produkt lub towar, kupujący płaci natychmiast jego cenę. Dawniéj w stanie gospodarstwa naturalnego wymiana następowała przez wydanie rzeczy za rzecz, konia np. za oręż.

Przy kredycie wypożyczający wydaje wartość: pieniądz, towar i t. p.; zapożyczający w chwili otrzymania wartości nic materyalnego za nią nie daje, udziela tylko *przyrzeczenie* zwrócenia otrzymanéj wartości w czasie późniejszym. — Pomiędzy jedną a drugą usługą, pomiędzy wypożyczeniem a zwrotem następuje zwłoka— dopiero za nastąpieniem zwrotu wymiana staje się kompletną; w chwili zaś udzielenia kredytu wymiana jest nieukończoną, jedno-

stronną: nastąpiło ze strony wypożyczającego zbycie wartości, a nabycie równoważnika dopiero w przyszłości ma nastąpić.

Charakterystyczną przeto cechą kredytu jest *czas*, oddzielający chwilę wyświadczenia usługi od chwili jéj zwracania. Cecha ta znamionuje wszelkie operacye kredytowe, które objawiają się głównie w trzech następujących formach:

1. Potrzebuje kto jakiego przedmiotu, lecz w danéj chwili nie ma środków zapłacenia, posiada jednak możność zyskania tych środków w niedalekiéj przyszłości, *kupuje* przeto *na termin* czyli innemi słowy *na kredyt*. Gdyby trzeba było płacić za wszystko zaraz w chwili nabycia, handel i przemysł nie mogłyby nigdy dojść do tego stopnia rozwoju, na jakim je dziś widzimy. Prawie żaden kupiec nie posiada w swoim majątku tyle, ile reprezentuje handel jego, towarami zapełniony. Towary te dane mu są na termin; przed upływem terminu, może towary odprzedać i cenę ich, po potrąceniu swego zysku fabrykantowi zwrócić. Tak samo fabrykant dostaje na termin surowe materyały i t. d.

2. Nie zawsze jednak sprzedający jest w możności lub chęci oddania swego towaru lub wyrobu na termin; niekiedy nie ma on dostatecznych środków do udzielenia kredytu; niekiedy znowu towar jego lub wyrób jest tak poszukiwany, iż nie ma potrzeby dawania go na kredyt.

Wówczas kupujący, jeżeli nie jest w możności płacenia gotowizną, *zaciąga pożyczkę* u kapitalisty, i za otrzymany z tego źródła fundusz, kupuje potrzebny sobie przedmiot.

3. Bywają wypadki, w których ktoś potrzebuje gwałtownie pewnego przedmiotu, i ażeby takowy był mu dostarczony, *udziela zaliczenia* z góry na wyprodukowanie lub sprowadzenie go. Tu jest odwrotne położenie niż przy *kupnie na termin;* nie sprzedający, lecz kupujący udziela kredytu. Zaliczenia takie w kraju naszym udzielają np. cukrownie plantatorom buraków.

We wszystkich tych operacyach: kupnie na termin, pożyczce, zaliczeniu, czas przegradza jednę usługę od drugiéj.

Przy wymianie jest pewność, że usługa daną będzie za usługę; przy kredycie panuje już wątpliwość, czy nastąpi wzajemna usługa; tu bowiem, jak widzieliśmy, wstępuje na scenę czas, a gdzie czas działa, tam pewność ustaje, czas wszystko zniszczyć może.

Przy udzieleniu przeto kredytu trzeba *zaufania,* wiary w to, że za wyświadczoną obecnie usługę, daną będzie w przyszłości kompensata, wywzajemnienie się—i to jest drugą charakterystyczną cechą kredytu.

Ażeby tedy mówiąc o kredycie, nie trzeba było dawać jednocześnie wyjaśnienia o wymianie, co jest konieczne przy definicyi Supińskiego, powiemy: *iż kredyt jest to wyświadczenie usługi w zaufaniu, iż wzajemna usługa w przyszłości nastąpi.*

Tak pojmowany kredyt uchroni nas od przeceniania jego doniosłości.

Rozpowszechnione jest mniemanie, jakoby kredyt tworzył kapitały, jakoby z powiększeniem się kredytu powiększała się massa kapitałów. Błąd to jednak oczywisty. Jak wymieniać można tylko to, co istnieje, co ma rzeczywistą wartość, tak i przedmiotem kredytu, nieukończonéj wymiany, nie może być fikcya, papier, oznaka wartości, ale istotna wartość. Kapitał nie może być jednocześnie użyty i przez wierzyciela, i przez dłużnika; o ile jeden z nich jest w jego posiadaniu, o tyle ogołoconym z niego jest drugi.

Zasada, iż kredyt tworzy kapitał, znalazła odgłos i w nauce. W naszéj literaturze ekonomicznéj wyznaje tę zasadę Falkenhagen-Zaleski (1), który w jéj obronie podaje następujący przykład:

„Sprzedałem 100 beczek cukru na 3-miesięczny wexel. Trzy miesiące są kredytem. Ale oddając cukier, otrzymałem wexel. Ten wexel jest wartością, zeskontować go mogę, to jest odebrać zaraz jego nominalną wartość, mniéj procent 3-miesięczny. Gdzież tu jest pożyczka? wcale jéj tu nie ma. Tu jest sprzedaż i stanowcze zaregulowanie należności wexlem 3-miesięcznym, w którym wexlu zawiera się kredyt.“

Wexel tedy otrzymany za cukier dlatego, wedle powyższego rozumowania, nie jest pożyczką, ale samoistną wartością, że może być zdyskontowany, że przez wydanie go nastąpiło zupełne zregulowanie należności. Cóż to jednak jest dyskontowanie wexlu? Czy to jest zupełna wymiana? Czy kapitalista otrzymuje za swój kapitał równoważnik? Nie, kapitalista otrzymuje tylko przyrzeczenie zapłaty, uczynione przez kupującego cukier. W jaki sposób prybyła tu nowa wartość? W miejsce tego, co kupiec miał zapłacić wartość cukru, otrzymuję tę wartość od dyskontującego wexel. Wexel sam przez się wartości nie stanowi, za cukier nie otrzymałem wexlu, ale odpowiednią wartość, wypłaconą mi przez dyskontującego wexel. Przez wydanie wexlu kapitał bynajmniéj w społeczeństwie nie podwoił się, bo zamiast kupującego cukier, wartość jego zapłacił dyskontujący wexel.

---

(1) Teorya i praktyka banków w zastosowaniu do naszego kraju 1862.

Stanowcze zregulowanie należności również nie nastąpiło, bo otrzymujący wexel, lub jego praw nabywca, zgłosi się po trzech miesiącach do kupującego cukier z żądaniem, aby papierek swój wymienił na rzeczywistą wartość—nawet i ja przez pozbycie się wexlu nie zakończyłem stanowczo stosunku z kupującym, gdyż na wypadek jego niewypłacalności, dyskontujący wexel ma na mocy prawa wexlowego regres do mnie, muszę zwrócić otrzymaną za wexel summę, i wracam w stosunku do kupującego cukier do tego samego położenia, w jakiém się względem niego znajdowałem przed dyskontowaniem wexlu.

Pomieszanie pojęć o znaczeniu kredytu pochodzi w znacznéj części ztąd, iż nie odróżnia się dostatecznie znaczenia jego w stosunku do osoby pojedynczéj i do całego społeczeństwa. Przez kredyt indywiduum może czasowo powiększyć swój kapitał, ale społeczeństwo go nie powiększa.

Gdyby możebném było sporządzenie inwentarza majątku całéj ludzkości, toby się okazało, iż *debet* i *credit* równoważą się, czyli innemi słowy, bez względu na rozwój handlu i ułatwione środki korzystania z obcych kapitałów, wszystkie wierzytelności skompensowałyby się z długami, i okazałoby się, iż kredyt ani grosza kapitału ludziom bezpośrednio nie przysporzył.

Rewolucya francuzka przychodzi nam w pomoc z effektownym dowodem, jak dalece kredyt jest bezsilny w tworzeniu kapitałów.

Dla przyjścia w pomoc zrujnowanemu skarbowi zgromadzenie ustawodawcze uchwaliło, iż dobra duchowne przechodzą na własność państwa. Sprzedaż jednak tych dóbr odbywała się nader leniwo, już to z powodu braku kapitałów, już też z obawy, aby przewidywana kontrrewolucya nie uchyliła powyższego postanowienia i nie powróciła skonfiskowanych dóbr duchowieństwu.

Dla szybszego tedy zebrania potrzebnych funduszów zadekretowano natychmiastową emissyą papierów, reprezentujących wartość dóbr duchownych, czyli tak nazwanych assygnat, które miały być przyjmowane za gotówkę przy sprzedaży dóbr duchownych.

Ponieważ mało było chętnych do zakupowania dóbr poduchownych, przeto i assygnaty nie miały powodzenia, czém zniecierpliwiony rząd rewolucyjny nadał assygnatom kurs przymusowy i zamienił je w ten sposób z pożyczki ubezpieczonéj na dobrach narodowych, na monetę papierową.

Rząd w miarę potrzeby powiększał liczbę assygnat; z powiększaniem się wszakże ich liczby, zmniejszała się ich wartość,

a nawet rząd tak gwałtowny i despotyczny, jakim była konwencya, pomimo repressyjnych środków, jakie przedsiębrał celem nadania im wyższego kursu, nie mógł im nadać wartości, któréj nie posiadały.

Doszło do tego, iż sam rząd musiał uznać i sankcyonować deprecyacyą assygnat. W roku 1795 rząd zaciągając pożyczkę przymusową, przyjął assygnaty po kursie 1 za sto, w tym samym wszakże jeszcze roku, kurs ich spadł do $^1/_2$ za sto, a w końcu wszelką utraciły wartość.

Do takich rezultatów dochodziło się zawsze, ilekroć w praktyce chciano zastosować błędną teoryą, iż kredyt tworzy kapitały.

Zastanawialiśmy się nieco dłużéj nad tą kwestyą nie ze względów teoretycznych, nie dla gry słów, ale dla celów czysto praktycznych, dla usunięcia tego mniemania, jakoby kapitał mógł być innym sposobem pomnożony, niż przez pracę i oszczędność, jakoby dla powiększenia bogactwa dość było tworzyć papierek lub założyć bank. Chcąc cokolwiek wymieniać, czy to przez sprzedaż, czy też przez kredyt, trzeba przedewszystkiém wytworzyć rzecz zdolną do wymiany.

Na czémże więc polega znaczenie i ważność kredytu?

Kredyt przenosi kapitały z miejsca, w którém one skutkiem wielkiego nagromadzenia stają się mniéj użytecznemi, do miejsc, w których na nich zbywa, a przez to są konieczniejszemi i ważniejsze oddać mogą usługi; od osób niechcących lub nie umiejących skutecznie ich używać, w ręce ludzi pracowitych i intelligentnych.

W wyższym rozwoju ekonomicznym każdego społeczeństwa kapitał nader ważną odgrywa rolę; pracę rąk uzupełnia i zastępuje praca machin, które w ekonomiczném znaczeniu są kapitałem; najpracowitszy i najrozumniejszy człowiek dziesięciu swemi palcami do bardzo słabych dojść może rezultatów; w braku własnego kapitału kredyt przychodzi mu z pomocą, daje mu do ręki kapitały obcych, za pomocą których może pracę swoję ożywić i powiększyć. Kredyt tworzy niejako spółkę pomiędzy kapitałem a pracą i zdolnością. Ze spółki téj korzysta wierzyciel, który sam nie mógłby kapitału swego użyć, a który dostaje przy wypożyczaniu go wynagrodzenie zwane procentem; korzysta dłużnik, który bez kredytu nie byłby w stanie pracy swéj nadać téj skuteczności, jaką ona ma przy pomocy kapitału; korzysta nakoniec i całe społeczeństwo, które wzbogacone zostaje wytworem, jaki nie mógłby powstać, gdyby kapitał nie był się połączył z pracą.

Przy pomocy kredytu gromadzą się i centralizują drobne kapitały. Mali kapitaliści, zwłaszcza tacy, którzy oddając się właściwym swoim zajęciom, nie mają czasu ani sposobności do korzystnego i bezpiecznego lokowania swoich oszczędności, składają je do kass oszczędności, banków, lub kupują akcye jakiegoś przedsiębierstwa przemysłowego lub finansowego, i tym sposobem oddają swe kapitały produkcyi, przyjmują udział w olbrzymich przedsiębierstwach; bez kredytu kapitały ich byłyby nieczynnemi, nie przynosiłyby im, ani społeczeństwu korzyści, nie byłoby bcdźca do oszczędności, do dalszego zbierania kapitałów.

Jeżeli tedy kredyt nie powiększa summy kapitałów w społeczeństwie istniejących, to powiększa summę kapitałów do produkcyi użytych, potęguje pracę, daje zatrudnienie większéj liczbie ludzi, tworzy nowe wartości, i tym sposobem wzbogaca społeczeństwo o wszystkie te dzieła pracy, które stworzone zostają za pomocą kapitałów, przez kredyt do produkcyi powołanych.

Ważną nakoniec usługę oddaje kredyt przez zastąpienie w obiegu monety.

W pierwotnych czasach rozwoju gospodarstwa, wymiana usług następowała w naturze; koń był dawany za krowę i t. p.; było to tak nazwane gospodarstwo naturalne. Następnie wszedł w użycie pieniądz, który stał się miarą wszelkiéj wartości. Przy kupnie i sprzedaży, pożyczce i innych tranzakcyach, wartość usługi ocenioną zostaje na pieniądze i w nich się wyraża. Już nie sprzedaje się konia za krowę, ani za pewną ilość zboża, ale za tyle i tyle sztuk monety: rubli, złotych, franków i t. p. Jest to tak nazwane gospodarstwo pieniężne. Na wyższym jeszcze stopniu rozwoju ekonomicznego kredyt zastępuje pieniądz. W miejsce monety daje się przyrzeczenie zapłaty: wexel, przekaz, papier bankowy, czek i t. p. Jest to gospodarstwo kredytowe.

Trzeba jednak zwrócić uwagę, iż te surogaty monety, nie dają się dowolnie tworzyć i powiększać, mają one o tyle tylko wartość, o ile mogą być zrealizowane czyli spieniężone, ułatwiają one tylko obieg, ale moneta zostaje zawsze miarą wartości i prawnym środkiem zapłaty; jeżeli wierzyciel nie ma zaufania do surogatu pieniężnego, do przyrzeczenia zapłaty, to moneta musi mu być za jego usługę wypłacona, może się prawnie o monetę upominać.

Korzyść tych surogatów pieniężnych, o ile są dobrowolnym środkiem wymiany, jest ta, iż zaoszczędzają szlachetne kruszce, iż przy mniejszéj ilości metali, można wielkie załatwiać tranzakcye, a skutkiem tego część kruszców, dotychczas na monetę używana, może inne otrzymać przeznaczenie, a nadto unika się strat na

kruszcach, jakie pochodzą w skutku wytarcia gdy z rąk do rąk przechodzą; nakoniec zachowywanie, przenoszenie i przesyłanie monety w surogatach jest dogodniejsze, tańsze i bezpieczniejsze aniżeli w szlachetnych kruszcach.

Zdumiewający przykład oszczędzenia kruszców za pomocą kredytu dostarcza londyński bank wymiany (Clearing-house).

Każdy bankier lub bank należący do Clearing-house segreguje codziennie wexle, czeki, przekazy i wszelkiego rodzaju zobowiązania, które płacić mu w tym dniu winni inni członkowie banku wymiany. Z temi zobowiązaniami udają się na giełdę i przedstawiają je dyrektorowi Clearing-house, który w *kredycie* każdego bankiera lub banku zapisuje wszelkie zobowiązania, na jego korzyść zeznane, w *debecie* zaś zobowiązania, które on płacić winien. Po zsumowaniu tych rachunków wypadają różnice, które każdy płacić lub odebrać powinien. Ten, który ma dopłacić różnicę, wydaje inspektorowi przekaz na bank londyński, któremi to przekazami inspektor zaspakaja różnice tych bankierów, których summa aktywów przewyższała passywa, a to przez wniesienie tych różnic na ich kredyt do banku londyńskiego.

Ponieważ różnice te muszą się wyrównać, przeto bank londyński nie potrzebuje nic wypłacać, lecz przepisuje tylko w swych księgach odpowiednie pozycye z rachunku jednego bankiera lub banku na rachunek drugiego.

W ten sposób dokonywają się codziennie w Londynie obroty, dochodzące niekiedy do 10 milionów funtów sterlingów, bez potrzeby poruszenia z miejsca jednego szylinga. Łatwo zrozumieć, jaka przez taką operacyą osiągnięta zostaje oszczędność na czasie, pracy i kapitale.

Używanie kredytu.

Kredyt wtedy tylko może być korzystny tak dla zapożyczającego, jak i dla społeczeństwa, jeżeli zaciągnięty jest w celach produkcyjnych, wtedy bowiem są widoki, że wypożyczany kapitał nie zatraci się, ale przeciwnie przy reprodukcyi będzie powrócony w wartości większéj, aniżeli miał poprzednio.

Kredyt zaś zaciągnięty na konsumcyą pociąga za sobą utratę kapitału, niszczy owoce pracy dawnéj, a tém samém pozbawia wypożyczającego możności zwrotu i wyrządza szkodę społeczeństwu.

Pożyczki do celów konsumcyjnych zaciągają biedni lub marnotrawcy.

Tym dwom kategoryom ludzi wcale kredytu udzielać nie należy.

Biednemu trzeba dać jałmużnę, nie zaś pożyczkę; usługa, którą się mu wyświadcza, wychodzi po za granice ekonomii, należy do dziedziny dobroczynności.

Marnotrawca znowu na kredyt nie zasługuje; pożyczka, któréj mu się na rozproszenie udziela, odrywa się od rąk pracowitych, któreby tym kapitałem wzbogaciły społeczeństwo nowym jakim wytworem.

Kto zaciąga długi na rzeczy zbytkowne, na zakupienie koni cugowych, lub wyjazd do Paryża, powinien pamiętać o tém, iż kapitałem zapożyczonym nie powiększa swoich sił roboczych, że kapitał ten nie wróci mu się już w żadnéj formie, że za nastaniem terminu, trzeba będzie zwrócić go z innych źródeł, a jak tych nie stanie, trzeba będzie stać się nierzetelnym.

Zapominanie téj prawdy bywa przyczyną ruiny wielu majątków i zatraty znacznéj części bogactwa narodowego. Kto ma sposobność śledzenia stosunków kredytowych, zwłaszcza stanu rolniczego, ten przekonywa się codziennie, jak to nierozważne zaciąganie długów prowadzi wcześniéj lub później niechybnie do ruiny. Z początku zaciąga się dług na dość umiarkowanych warunkach; gdy nastaje termin wymagalności, dłużnik nie jest w możności wierzyciela zaspokoić, bo pomimo umiarkowanego procentu dochody jego nie są tak znaczne, aby na zaspokojenie zapożyczonego kapitału wraz z procentem starczyły; trzeba więc prosić o prolongatę, która następuje już na uciążliwszych warunkach, aniżeli pierwotna pożyczka; następnie dłużnik nie jest już w stanie płacenia nietylko kapitału, ale i wysokich procentów, wówczas procent kapitalizuje się, powiększa się w ten sposób dług, i tak na téj pochyłéj drodze coraz niżéj się spada. Wierzyciel nareszcie niecierpliwi się, występuje z egzekucyą, wówczas zaciąga się u kogo innego dług na uciążliwszych jeszcze warunkach dla zaspokojenia pierwszego wierzyciela, i tu rozpoczyna się znowu ten sam proces, aż nakoniec nadchodzi chwila, iż wzrastający postępem geometrycznym dług przewyższa majątek dłużnika, wówczas nie ma już znikąd pomocy, nastaje bankructwo, wywłaszczenie.

Powyższy sposób zaciągania długów jest tém niebezpieczniejszy, iż znajdują się ludzie, którzy umieją korzystać ze słabości natury ludzkiéj, dla których exploatowanie słabostek i namiętności staje się rzemiosłem.

Marnotrawca znajdzie zawsze liczne grono przyjaciół, osób, które mu usługi swe ofiarują i hołdy składają, bo pieniądze, które

wydaje w ten lub ów sposób, przynoszą zawsze korzyść osobom, otaczającym go. W tém gronie pseudo-przyjaciół i usłużnych mu osób, znajdują się po większéj części ludzie złéj wiary, którzy podsycają namiętności, nastręczają sposobności do marnotrawstwa, przedstawiają mu w fałszywém świetle jego położenie, zakrywają smutną przyszłość, łudzą go zwodniczemi nadziejami, i przyspieszają w ten sposób jego ruinę.

Z drugiéj strony znajduje się inna kategorya ludzi złéj wiary, którzy dostarczają lekkomyślnym środków do marnotrawstwa, którzy mają dla nich zawsze otwarte szkatuły. Z nikim tak dobrych interesów robić nie można jak z marnotrawcą, nikt tak wysokich procentów nie płaci i uciążliwym warunkom nie poddaje się jak ten, kto nie zna wartości pieniędzy. Kto pożycza na cele produkcyjne, ten oblicza, czy korzyści, jakie osiągnie z zapożyczonego kapitału, odpowiadać będą wysokości płaconego procentu; kto zaś pożycza na zaspokojenie swych namiętności lub słabostek, ten kredką nie powoduje się; wszystko da, byle celu dopiąć.

W ten sposób wiele fortun staje się pastwą lichwy. Myli się jednak, kto twierdzi, iż lichwa jest przyczyną marnotrawstwa: jest ona tylko skutkiem. Najlepszym tego dowodem jest okoliczność, iż w różnych czasach wydawano surowe przepisy przeciwko lichwie; nic to jednak nie pomogło, lichwa jak istniała, tak istnieje, bo powtarzamy nie jest ona przyczyną, ale następstwem niezdrowego stanu społeczeństwa. Jeżeli we wszystkich warstwach społeczeństwa rozpowszechnione będzie poszanowanie dla pracy i oszczędności, jeżeli wytępimy próżniactwo i marnotrawstwo, wówczas i lichwa ustanie, bo nie będzie miała pola działalności. Turgot, znakomity minister i ekonomista francuzki, w zeszłym jeszcze wieku powiedział, iż najlepszą obroną przeciwko marnotrawstwu dzieci bogatych rodziców nie są prawa o lichwie, ale dobre wychowanie, które im rodzice dawać powinni.

Udzielanie kredytu ludziom lekkomyślnym w celach niekorzystnych dla dłużników, jest nietylko dziełem złéj wiary lichwiarzy, ale widzimy je niekiedy na szerszą zastosowane skalę.

Po upadku kraju, w części przeszłéj pod panowanie Pruss otworzyły się naraz szerokie, dotychczas nieznane źródła kredytu, a mianowicie bank berliński otworzył u siebie obywatelom nowych prowincyi kredyt, a za jego przykładem poszły inne instytucye pruskie, tudzież kapitaliści.

Obszerne te kredyta, obok innych jeszcze okoliczności wywołały znaczne podwyższenie się wartości ziemi. Odrazu obywa-

tele, znajdujący się pod rządem pruskim uczuli się bogatszymi aniżeli poprzednio, i nie omieszkali zaraz wedle téj nowéj skali swojéj zamożności długi zaciągać.

Wkrótce jednak fikcyjne bogactwo runęło.

W roku 1805 bank berliński, a za nim inne instytucye kredytowe i kapitaliści naraz wypowiedzieli swe kapitały, a rząd przychodząc im w pomoc, wydał postanowienie do sądów, aby sprawy i subhastacye ztąd powstałe jak najenergiczniéj przeprowadzały.

Łatwo pojąć skutki tak nagłego wypowiedzenia kredytu, poprzednio z łatwością udzielanego i z lekkomyślnością zaciąganego.

Kredyt tedy niezawsze jest dobrodziejstwem, niezawsze ufać mu można. Ponętny on w chwili zaciągania, ale często straszny w chwili zwrotu.

Z tego, cośmy wyżéj mówili, okazuje się, iż kredyt zaciągany w celach spożywczych rujnuje dłużnika i uboży społeczeństwo. Jedynie tylko kredyt produkcyjny, kredyt udzielany pracy użytecznéj, przynosi korzyść dłużnikowi i społeczeństwu, zbogaca tak jednego, jak i drugie; taki tylko kredyt powinien być popierany i ułatwiany; o takim też tylko w dalszym ciągu niniejszéj pracy mówić będziemy.

Jak niekażda praca jest użyteczna, tak i kredyt nie do każdéj pracy skierowany przynosi korzyść. Bywa praca bez celu, a raczéj praca, któréj celem jest sama praca. Nie jest to właściwie praca, ale zabawka; praca bowiem w znaczeniu ekonomicznem, musi mieć na celu wytworzenie czegoś użytecznego. Ekonomia ocenia pracę nie wedle jéj natężenia, ale wedle skutków, jakie wydaje. Taka praca bez korzyści nie jest użyteczną, ale nie jest też szkodliwą. Bywa jednak i praca szkodliwa, a mianowicie podjęta bez należytego do niéj przygotowania, bez potrzebnych wiadomości, bez obliczenia się ze środkami i siłami do dopięcia założonego celu koniecznemi. Praca taka marnuje czas i kapitały, które mogłyby być do czego użytecznego spotrzebowane.

Kredyt do takich prac użyty jest również jak i ona albo nieużyteczny, albo szkodliwy; jest zaś témbardziéj niebezpieczny, iż dostarczając środków pieniężnych, podnieca chęć i gorączkę rzucania się do niepewnych przedsiębierstw, podejmowania niewykonalnych projektów.

Praca jest wówczas użyteczną, gdy przynosi pracującemu korzyść; i kredyt wówczas jest użyteczny, gdy dłużnik zapożyczonym kapitałem tyle osiągnąć może, iż po opłaceniu procentu, jeszcze jakaś reszta dla niego zostanie. Granica użyteczności kre-

dytu tam się kończy, gdzie procent cały zysk z wypożyczonego kapitału osiągnięty, pochłania; jeżeli zysk jest mniejszy od procentu, kredyt staje się szkodliwym. Przyjrzyjmy się temu procesowi na przykładzie. Przypuśćmy, że rolnik zaciąga dług na kupno machiny rolniczéj, kosztującéj 1000 rubli, i płaci od tego długu umiarkowany, jak na nasze stosunki kredytowe, procent 8% czyli 80 rubli rocznie. Machina ta oddaje usługi przez lat 10, poczém staje się nieużyteczną. Ażeby kredyt na powyższą machinę użyty oddał rolnikowi prawdziwą usługę, potrzeba, żeby oprócz korzyści, jakąby rolnik odniósł, gdyby machiny nie posiadał, otrzymywał corocznie z machiny naprzód 80 rs. procentu, następnie 100 rs. tytułem amortyzacyi, a wreszcie procent jakiś dla siebie, za swoję pracę i zabiegliwość. Jeżeli machina przyniesie mu tylko 180 rub. rocznie, to kredyt położenia jego w niczém nie polepszył, zysk jego przeznaczony zostaje na pokrycie procentów i rat amortyzacyjnych, cały jego trud poszedł na korzyść fabrykanta i kapitalisty, dla niego zaś nic nie pozostało; jest on równie ubogim, jak był przed nabyciem machiny. Jeżeli machina przyniesie mu mniéj niż 180 rubli, to kredyt na ten cel użyty, przyniósł mu tylko szkodę, musi on wówczas płacić procenta i raty amortyzacyjne już nie z owoców machiny, ale z innych swych źródeł, które osusza dla korzyści obcéj. Po zamortyzowaniu machiny, jest uboższym, aniżeli był przed jéj nabyciem.

Rolnicy niezawsze sobie zdają dokładną sprawę z powyższego procesu, niezawsze wiedzą czy nakład jaki korzyść lub szkodę im przynosi, gdyż wiadomość ta jest możebną tylko przy prowadzeniu dokładnéj rachunkowości, oddzielnéj dla każdéj gałęzi przemysłu, dla każdego rodzaju zboża, dla każdego nakładu, oddzielającéj dochody surowe od czystych—a rachunkowość taka zbyt mało jeszcze w kraju naszym jest rozpowszechniona.

Kredyt tedy jest bezwątpienia wielką potęgą, jemu głównie wiek obecny zawdzięcza ogromny swój rozwój przemysłowy i handlowy, wielkie swe dzieła kommunikacyjne, wzrost bogactwa i oświaty, ale z tém wszystkiém kredyt jest mieczem obosiecznym; niedość mieć źródła kredytu, czerpać z nich pełną garścią, ale trzeba go używać do pracy, i to używać umiejętnie i roztropnie; inaczéj może ranić i zabijać, i to nietylko jednostki, ale całe społeczeństwa.

Zdolność kredytowa.

Warunki potrzebne do otrzymania kredytu są *indywidualne*, zależne od samego dłużnika, i *ogólne*, zależne od całego społeczeństwa.

Od dłużników wymagana jest dobra wola i możność zadośćuczynienia zaciągniętemu zobowiązaniu, czyli innemi słowy: uczciwość, umiejętność i zamożność. Przy najlepszych chęciach i najzamożniejszym stanie, jeżeli kto nie umie rządzić się, na zaufanie nie zasługuje; widzieliśmy wyżéj, że kredyt nieumiejętnie użyty zamiast korzyści, szkody przynosi; wierzyciel nie może mieć wiary w powrócenie mu kapitału, jeżeli nie ma przekonania, czy on samemu dłużnikowi powrócony zostanie, czy przeciwnie nie zatonie gdzieś w nieoględnych jego operacyach. Naodwrót znowu największe zdolności i najznaczniejsza fortuna, przy nieuczciwości zaufania nie budzą; tak samo dobra wola i zdolność przy przedsiębierstwach, przewyższających dane środki materyalne, na kredyt liczyć nie mogą.

Wszystko co wpływać może na wolę i możność zapłacenia długu, wpływa i na kredyt. W północnéj Ameryce, a w ostatnich czasach i w Europie, potworzyły się instytucye zwane *agencyami merkantylnemi*, których zadaniem jest wywiadywanie się o zdolności kredytowéj firm i osób pojedynczych, i udzielanie za odpowiednią zapłatą swych wiadomości osobom, pragnącym takowych u nich zasięgać. Agencye te nie pomijają żadnych szczegółów, podają one np. stan zdrowia żądającego kredytu, skłonność jego lub synów do polowania, albo do gry w karty, zamiłowanie żony jego lub córek do strojów i t. p., jako okoliczności, mogące wpłynąć na zdolność kredytową danéj osoby.

Nader ważną rolę w kredycie odgrywa mniejsza lub większa łatwość spieniężenia majątku dłużnika, co bliżéj poznamy przy rozbiorze różnicy pomiędzy kredytem rzeczowym i osobistym.

Stan prawodawstwa krajowego wywiera wielki wpływ na stosunki kredytowe. W chwili, kiedy dłużnik nie chce lub nie może zwrócić usługi, jaka mu przez wypożyczającego wyświadczoną została, kiedy nie wywiązuje się z zaciągniętego zobowiązania, wówczas interweniuje prawo, państwo udziela swéj pomocy wierzycielowi. O ile prawo będzie w takich razach bezstronniejsze, o ile da wierzycielowi możność odzyskania swéj należności w sposób szybki i tani, o tyle kredyt będzie łatwiejszy i dla dłużnika przystępniejszy. Wszelkie protegowanie przez prawo dłużnika ze względów polityki lub miłosierdzia wyrządza niezmierne szkody kredytowi.

Prawa dawniejsze obfitowały w przepisy biorące w opiekę dłużnika; ślady ich pozostały jeszcze w dzisiejszych prawodawstwach, zwłaszcza w kodexach u nas obowiązujących.

Niektóre z praw starożytnych i średniowiecznych zupełnie za-

barniały pobierania procentów od wypożyczonych kapitałów. Łatwo pojąć, że takie prawo czyni niemożliwym wszelki kredyt, że bez korzyści nikt z kapitału swego nie wyzuje się. Późniejsze prawodawstwa porzuciły zakaz pobierania procentów, a natomiast ograniczyły wysokość stopy procentowéj, które to ograniczenie u nas do dnia dzisiejszego obowiązuje. Skutek takiego ścieśnienia jest wprost przeciwny zamierzonemu; zamiast zniżyć stopę procentową, przyczynia się do jéj podwyższenia. Ograniczenie takie utrudnia obieg kapitałów, zmniejsza ilość wypożyczonych kapitałów, i powoduje, iż wierzyciel oprócz zwykłego wynagrodzenia za najem kapitału, pobiera jeszcze od dłużnika wynagrodzenie za karę, przez prawo zagrożoną, tudzież koszta, jakie są potrzebne dla ukrycia lichwy przez użycie rozmaitych form symulacyjnych. To wszystko podwyższa stopę procentową.

Największy opór w usunięciu tych przeszkód tamujących swobodę tranzakcyi, stawiali właściciele ziemscy, w skutku czego gdy w Anglii proklamowano w roku 1839 wolność pobierania odsetków, zastrzeżoném zostało, że pożyczki hypoteczne podlegają dawnym prawom o procentach. Tak samo w Prussiech w roku 1866. Niebawem jednak przekonano się o szkodliwości tego odróżnienia. Kapitały opuściły rolnictwo, i garnęły się do przemysłu i handlu. Rolnictwo w miejsce taniego kredytu, żadnego nie dostało, i trzeba było porzucić szkodliwą protekcyą (1).

Szkodliwe skutki zbytniego opiekowania się przez prawo dłużnikiem występują i przy egzekucyach. Kodex francuzki u nas obowiązujący, zredagowany bezpośrednio po wielkiéj rewolucyi francuzkiéj, jak z jednéj strony przejął wiele z idei nowoczesnych, tak z drugiéj strony jest zbyt daleko posuniętą reakcyą przeciwko rewolucyi. Kodex wziął w opiekę własność nieruchomą, i dla utrudnienia wywłaszczenia, napełnił procedurę subhastacyjną ogromną massą formalności i otworzył szerokie pole pieniactwu, przy którego pomocy dłużnik może katastrofę wywłaszczenia na kilka lat usunąć.

Oprócz tego zredagowane zostały dwie oddzielne procedury procesowe: jedna szybka i energiczna w sprawach przeciwko kupcom i przemysłowcom; druga powolna i ociężała dla niehandlujących. Kupiec i przemysłowiec odpowiedzialny jest nietylko z majątku, ale i z osoby swojéj; niehandlujący odpowiada tylko z ma-

(1) Józef Kirszrot. Prawa o procentach ze stanowiska historycznego, prawnego i ekonomicznego 1868.

jątku, który dzięki niedołężnéj procedurze subhastacyjnéj trudno zrealizować się daje.

Jakież są skutki téj protekcyi? Upośledzony przez prawo kramarz miejski, łatwiéj otrzymuje kredyt od protegowenego właściciela ziemskiego, pomimo to, iż ten góruje po większéj części nad tamtym oświatą i zamożnością. Prawo nie jest wprawdzie jedyną przyczyną téj wyższości kredytowéj kupca nad rolnikiem, poznamy późniéj inne; ale jest bezwątpienia jedną z ważniejszych przyczyn.

Nowsze prawodawstwa handlowe nie czynią rozróżnienia pomiędzy handlującym a niehandlującym, i stosują rygory wexlowe do każdego, ktokolwiek wexel podpisuje. Warszawskie towarzystwo wzajemnego kredytu, które nie wyłącza ze swéj klienteli rolników, nie mogło pierwéj temu żądaniu zadość uczynić, aż po wyjednaniu dla siebie przywileju, iż w stosunkach z nimi różnica pomiędzy handlującym a niehandlującym upada, i wszyscy, czy to kupcy, czy to rolnicy, podlegać muszą prawu wexlowemu.

Bank handlowy w Warszawie, gdy chciał przyjść w pomoc rolnictwu kredytem, nie mógł wynaleźć skuteczniejszego środka nad zażądanie, aby na wexlu obok podpisu obywatela ziemskiego, znajdował się drugi podpis handlującego, aby w ten sposób na wypadek procesu zyskać właściwość trybunału handlowego.

Towarzystwo kredytowe ziemskie nie mogłoby stanąć na tym stopniu rozwoju, na jakim je obecnie widzimy, gdyby nie wyjednało dla siebie uproszczonych form egzekucyjnych.

W dalszym ciągu niniejszéj pracy nadarzy nam się nieraz sposobność wykazywania wpływu prawodawstwa na zdolność kredytową.

Obok tedy osobistych przymiotów dłużnika, koniecznemi są do rozwoju kredytu korzystne warunki ogólne, jak bezpieczeństwo publiczne, umiarkowany fiskus, sprawiedliwe prawodawstwo, energiczne sądownictwo i t. p.

Kredyt rzeczowy i osobisty.

Podstawą kredytu jest zaufanie, jakie budzi wypożyczający, iż dotrzyma przyrzeczenia i zwróci otrzymaną wartość. Zaufanie to może polegać na uczciwości i zdolności dłużnika, albo też na rzeczy przedstawianéj, jako rękojmia zwrotu. W pierwszym wypadku kredyt jest *osobisty*, w drugim *rzeczowy*.

Kredyt rzeczowy zabezpieczony jest na przedmiocie materyal-

nym i ściśle co do tożsamości swéj oznaczonym; kredyt zaś osobisty nie jest oparty na danym, szczególnym przedmiocie, ale na całym majątku dłużnika; ma bezpieczeństwo nie materyalne, ale moralne,—nie rzecz, ale przyrzeczenie. Cieszkowski trafnie odróżnia kredyt rzeczowy od osobistego w następujących słowach: Ponieważ kredyt wymaga koniecznie materyalnego zapewnienia zwrotu, czyli innemi słowy, jakiejś realizacyi, ztąd potrzeba aby ta realizacya *nastąpiła po* udzielonym kredycie, jeżeli go nie *wyprzedziła* w ten sposób, iż w braku *depozytu poprzedniego*, kredyt żąda *zapłaty późniejszéj*, w braku *zastawu*, złożonego poprzednio, żąda *zobowiązania* na przyszłość (1).

Kupcy i przemysłowcy korzystają zwykle z kredytu osobistego, rolnicy z kredytu rzeczowego. To odróżnienie wywołuje powszechnie mylne wnioski, a raczéj uprzedzenia.

Stan rolniczy posądza ludzi, zajmujących się handlem i przemysłem, iż nawzajem się protegują, solidarnie bronią swych interesów, skupiają się w ścisłe kolumny dla niedopuszczenia obcych żywiołów do korzystania z ich zasobów, i z kapitałów swoich tylko swoim korzystać dozwalają. Stan kupiecki znowu wyrobił w sobie zarozumiałe pojęcie o wyższości swojéj intelligencyi nad intelligencyą rolników, że tylko ludzie w stanie kupieckim wyrośli i wychowani, są w stanie umiejętnie z kredytu korzystać, rolnicy zaś zdolności téj nie posiadają.

Uprzedzenia takie tém silniéj zdołały się zakorzenić, iż stan rolniczy jest u nas reprezentowany przez ludność autochtoniczną, stan zaś kupiecki i przemysłowy przez żywioł napływowy; różnice więc powyższe przypisywano zdolnościom i interesom plemiennym, religijnym i t. p.

Tak jednak nie jest. Interesa ekonomiczne nie powodują się żadnemi względami platonicznemi, ale jedynie widokami korzyści. Bankierowie udzielają kupcom kredytu nie dlatego, iż ich łączy wspólność religii lub rassy, albo dlatego, że im przypisują wyższą intelligencyą nad rolnikiem, ale ze względu na większą pewność zwrotu wypożyczonego kapitału w terminie, wynikającą z szybszéj produkcyi i większéj łatwości spieniężenia majątku kupca lub przemysłowca, aniżeli majątku rolnika.

Dla lepszego zrozumienia téj różnicy musimy nieco zastanowić się nad odróżnieniem kapitału stałego od obiegowego.

Kapitałem stałym jest kapitał, który przy operacyi produkcyj-

---

(1) Le crédit et la circulation.

néj nie zużywa się, ale daléj służy do produkcyi; kapitał zaś obiegowy niknie w trakcie procesu wytwarzania, zlewa się z wyprodukowanym przedmiotem, przestaje istnieć jako kapitał. I tak np. przy fabrykacyi sukna, wełna jest kapitałem obiegowym, przestaje ona istnieć jako wełna, przeistacza się w sukno, i drugi raz do fabrykacyi sukna użytą już być nie może;—machiny zaś warsztatu, za pomocą których zmiana ta dokonywaną zostaje, nie zużywają się, lecz daléj służą do fabrykacyi, naturalnie, póki czas ich nie zrujnuje,—one reprezentują tu kapitał stały.

Dwa te rodzaje kapitału odmienną odgrywają rolę w rozmaitych gałęziach pracy ludzkiéj.

W handlu, który nie zajmuje się bezpośrednio produkcyą, ale którego przeznaczeniem jest jedynie zbliżanie wytworzonego przedmiotu do konsumenta, najważniejszą rolę odgrywa kapitał obiegowy. Towary, które kupiec przenosi z miejsca na miejsce od producenta do konsumenta, stanowią jego kapitał obiegowy; kapitał zaś stały, który w handlu reprezentowany jest przez magazyny, okręty, utensylia sklepowe i t. p., bardzo podrzędną odgrywa rolę.

W przemyśle kapitał stały już daleko ważniejsze ma znaczenie, aniżeli w handlu. Zakłady fabryczne, machiny, warsztaty i narzędzia, reprezentujące kapitał stały, posiadają już znaczną wartość; z tém wszystkiém wszakże kapitał obrotowy, który wyobrażają surowe materyały, stanowiące przedmiot reprodukcyi, i płaca robotników, przewyższają znacznie wartość kapitału stałego.

Na przeciwległym zupełnie punkcie znajduje się rolnictwo; tu przeważa stanowczo kapitał stały. Największą wartość przedstawia warsztat, na którym rolnik pracuje, to jest ziemia. Materyałów surowych, które w przemyśle stanowią najważniejszą część kapitału obrotowego, rolnik nie potrzebuje, on bowiem nie przetwarza, ale wytwarza, on nie przerabia surowych mareryałów na doskonalsze, ale sam surowe materyały produkuje. Koszta téj produkcyi stanowią kapitał obiegowy w rolnictwie; dawniéj w systemacie pańszczyznianym koszt ten był prawie żaden; dziś zaś kiedy robotnik jest płatny, kapitał obrotowy stał się i w rolnictwie koniecznym, ale jednak nie w tym stopniu, co w handlu i przemyśle.

To rozróżnienie kapitału stałego od obiegowego, i przewaga jednego nad drugim w handlu, przemyśle i rolnictwie, wyjaśnia nam przyczyny, dla których kredyt jest dostępniejszy dla handlu i przemysłu, aniżeli dla rolnictwa. Kredyt bowiem najbaczniejsze

oko zwraca na kapitał obiegowy, jemu przychodzi z najchętniejszą pomocą, i w nim największą widzi rękojmię.

Kupiec używa swego kapitału na nabywanie i odprzedanie towaru; jeżeli przedmioty jego handlu są w powszechném i codziennem użyciu jak np. artykuły żywności, to kapitał jego nadzwyczaj prędko mu się zwraca; jeżeli zaś przedmiot jego handlu jest w mniejszém użyciu, jak np. rzeczy zbytku, albo potrzebuje być sprowadzany lub odsyłany do odleglejszych miejsc, to na zwrot swoich nakładów potrzebuje kilku tygodni lub miesięcy.

W podobném mniéj więcéj położeniu znajduje się przemysłowiec; dzieła jego produkcyi wykonywają się w ciągu kilku dni, tygodni lub miesięcy, i dają mu możność zrealizowania w tym czasie poczynionych nakładów.

Inaczéj zupełnie rzecz się ma z rolnikiem. Główne znaczenie w rolnictwie ma ziemia; wszelkie nakłady, jakie się czynią dla ulepszenia ziemi, tak się z nią zrastają, iż nie mogą szybko z niej być wydobyte, i tylko zwolna w postaci zwiększonego dochodu amortyzować się dają. Kapitały obiegowe zamieniają się po największéj części w rolnictwie w kapitały stałe.

Kapitaliści, którzy przy udzielaniu kredytu muszą mieć na widoku chwilę zwrotu pożyczonego przez nich kapitału, naturalnie tym najchętniéj swe kapitały powierzają, którzy przedstawiają największą łatwość wydostania włożonych w swą pracę nakładów.

Nadto należy wziąć pod uwagę i tę okoliczność, iż jeżeli kupiec lub przemysłowiec w skutku nieprzewidzianych wypadków zostaje zawiedzionym w swoich rachubach, to może towar lub wyrób swój z większą lub mniejszą stratą spieniężyć dla zadośćuczynienia w terminie swojemu zobowiązaniu; dla rolnika zaś w razie klęsk, którym częściéj podlega aniżeli kupiec lub przemysłowiec, niepodobna jest choćby ze stratą wydobyć z ziemi nakładów, które w nię włożył i z nią się zrosły.

Nakoniec ważny wpływ na kredyt wywiera instrument kredytowy. Oblig wystawiony przez rolnika jest ciężki i nieruchomy, jak nakład przez niego uczyniony. Tak wystawienie obligu, jak jego odstąpienie, połączone są z kosztami i trudnościami, muszą bowiem być notaryalnie i w księdze hypotecznéj sporządzone. Natomiast wexel kupiecki jest rzutki, jak sama tranzakcya handlowa. Obieg wexlu zbliżony jest do obiegu biletu bankowego, cessya dokonywa się bez żadnych kosztów i formalności przez położenie podpisu na odwrotnéj stronie.

To są przyczyny, do których jeszcze dołączyć należy różnice

przez prawo między rolnikiem a handlującym wytworzone, dla których kupcy i przemysłowcy korzystają w ogóle z większego kredytu, aniżeli rolnicy, i dla których kredyt ich jest bardziéj osobisty, kredyt zaś rolnika przeważnie rzeczowy;—w błędzie zaś są wszyscy ci, którzy łatwość otrzymania kredytu osobistego przypisują tylko osobistym przymiotom dłużnika.

Różnica jaka zachodzi pomiędzy warsztatem rolnika a warsztatem przemysłowca i kupca, czyli pomiędzy środkami produkcyi tych klass pracujących, prowadzi do wniosku, iż inny musi być kredyt dla rolnika, aniżeli dla kupca i przemysłowca; ztąd kredyt dla rolnictwa przeznaczony ma swoje cechy charakterystyczne i specyalne instytucye, które oddzielnie badać i poznać należy.

II.

O kredycie rolniczym w szczególności.

Rozwój kredytu rolniczego.

Na nizkim stopniu rozwoju ekonomicznego kredyt rolniczy bardzo małą odgrywa rolę, przy obfitości bowiem ziemi, a szczupłéj ludności, gospodarstwo prowadzi się na znacznych rozległościach i nie ma potrzeby czynienia nakładów na małéj przestrzeni, dla wydobycia z niéj wielkich dochodów. Przy wzroście kultury i powiększeniu się ludności, trzeba się zamykać w ściśléjszych granicach, a gdy siły żywotne na danéj przestrzeni wyczerpują się, nie można jéj porzucać i zawładnąć nową ziemią, lecz trzeba uciekać się do sztucznych środków przywrócenia ziemi urodzajności. Wzrastające potrzeby powiększającéj się ludności nie pozwalają poprzestawać na uprawianiu tylko żyznych gruntów, lecz zmuszają do exploatacyi i mniéj korzystnéj gleby, do nagromadzenia sztuką tego, czego natura poskąpiła. W tym peryodzie rodzą się już rozmaite potrzeby kredytu. Jedni zaciągają pożyczki przy działach odziedziczonych majątków dla spłaty współsukcessorów, inni dla zakupienia ziemi, gdyż nierozwinięty jeszcze przemysł nie dostarcza zajęcia większym massom ludności po miastach; inni wreszcie zaciągają pożyczki dla nadania ziemi większéj siły produkcyjnéj. Stopa procentowa bywa jeszcze wówczas wysoka, a posiadłości ziemskie obszerne, dlatego na tym stopniu rozwoju

korzystniéj jest w miejsce zaciągania długów, odprzedać część gruntu.

Na wysokim stopniu rozwoju, środek ten zaopatrywania się w potrzebny kapitał za pomocą odprzedaży części gruntu, przestaje być skutecznym. W Anglii gospodarstwa rolne są urządzone jakby zegary, każda część gospodarstwa pozostaje w harmonijnéj łączności z całością, stanowi kółko ogólnéj machiny, usunięcie którejkolwiek części zatrzymałoby ruch całego gospodarstwa. Budynki, pola, lasy, łąki znajdują się w tak proporcyonalnéj wielkości, iż im nic ująć ani dodać nie można. W takim stanie kultury nie można w razie potrzeby kapitałów, uciekać się do odprzedaży części ziemi, ale korzystać należy z kredytu, co tém łatwiéj uskutecznić się daje, iż kapitał jest już wówczas obfity, a kredyt tani i dostępny.

Rozwój tedy kultury ekonomicznéj wywołuje coraz większą potrzebę kredytu rolniczego, który to kredyt stosownie do rozwoju potrzeb, jakie zaspakaja, dzieli się na:

a) kredyt ziemski (crédit foncier),

b) kredyt rolny (crédit agricole).

Kredyt ziemski.

Natura i ustrój kredytu ziemskiego.

Kto zaciąga pożyczkę na zakupienie ziemi nie w widokach spekulacyjnych, ale w widokach gospodarstwa, musi pamiętać o tém, iż ziemia nie jest kapitałem obiegowym, towarem, który się reprodukuje i w niedalekiéj przyszłości odprzeda; ale jest kapiłem stałym, warsztatem, na którym rolnik pracuje i z którego dochody ciągnie. Z pracy około roli nie wyciągnie on włożonego kapitału, ale jedynie procent, rentę. Z tego wynika, że jeżeli rolnik nabył ziemię za kapitał wypożyczony mu na ściśle oznaczony termin, to w terminie kapitału tego wrócić nie jest w możności i musi kupioną ziemię odprzedać, lub zostaje z niéj przez wierzyciela wywłaszczony.

Mało wprawdzie jest ludzi tak lekkomyślnych, którzyby zapożyczali pieniądze na kupno dóbr, nierzadkie jednak są wypadki kupna znacznych majątków małym stosunkowo kapitałem i z przejęciem do zapłaty znacznych długów, dobra już w chwili kupna obciążających. Kupno takie jest nader ponętne: przy pomocy ma-

łego kapitału stać się dziedzicem rozległych dóbr. Nabywca łudzi się nadzieją, iż zepchnie długi z hypoteki, lub pozyska przynajmniéj prolongaty od wierzycieli; po największéj jednak części operacya ta tém się kończy, iż nabywca po kilkoletniéj walce, przechodzącéj jego siły, musi wyjść z dóbr, utraciwszy to, co w nie włożył.

Ale nietylko kupno ziemi na kredyt, lub obciążenie hypoteki na rzecz współsukcessorów przy odziedziczeniu dóbr takie pociąga skutki; niebezpieczne również są melioracye obcym kapitałem poczynione. Nakłady poświęcone ziemi, jak osuszanie bagien, zwilżanie pól i łąk, zakładanie lasów, niemniéj nakłady na zakupienie kosztownych machin i narzędzi rolniczych, lub wystawienie drogich zabudowań, również w krótkim czasie zwracane być nie mogą; korzyści z tych nakładów objawiają się w podwyższonym dochodzie z ziemi, który jednak nie jest tak wysokim, żeby wyrównywał całości wyłożonego kapitału wraz z procentem. Jeżeli tedy ten kapitał jest zapożyczony na niedługi termin, dłużnik nie jest w stanie go zwrócić.

To nas prowadzi do wniosku, iż kredyt rolnictwu powierzony, powinien być długotrwały i umarzać się stopniowo ratami. Jak kapitał w ziemię włożony nie wraca się jednorazowo, ale powoli, w kształcie podwyższonego dochodu, tak i dług nie może być zwracany odrazu, ale musi się umarzać w pewnych odstępach czasu, dochodami rolnika.

Ten system amortyzacyjny nader dogodny, a nawet konieczny dla rolnika, nasuwa jednak pytanie: A któż zaprzepaści w ten sposób swój kapitał? Któż na to się zgodzi, żeby kapitał, wypożyczony w całości, był mu zwracany w drobnych ratach w ciągu kilkudziesięciu lat—kapaniną, wedle trywialnego, ale często w takich razach dosadnie używanego wyrażenia?

Rzeczywiście trudno przypuścić, żeby się znalazł kapitalista, któryby wszedł w taką tranzakcyą. Potęga wszakże idei stowarzyszeń i na tém polu złożyła dowody, iż przy jéj pomocy urzeczywistniać się dają dzieła na pozór niepodobne do dokonania. Dopóki właściciele ziemscy pojedynczemi siłami starali się o kredyt, odpowiadający naturze ich obrotów i dochodów, dopóty wszelkie ich usiłowania były bezowocne i zaciąganie długów do ruiny ich tylko prowadziło: gdy zaś z rozstrzelonych pojedynczych sił zdołano utworzyć zbiorową całość, przedstawiającą imponującą wartość, umiejętną organizacyą, materyalną i moralną rękojmię, wówczas trudne zagadnienie kredytu ziemskiego zostało rozwiązane.

Stowarzyszenie tedy kapitalistów lub samych dłużników oce-

nia dobra mające być oddane w zastaw, wydaje właścicielowi dowód, iż majątek jego nieruchomy przedstawia zupełną pewność do takiéj lub takiéj wysokości, i za rzetelność takiego dowodu samo poręcza. Daléj, stowarzyszenie bierze na siebie obowiązek ściągania rat procentowych i amortyzacyjnych od dłużnika i wypłacenia procentów wierzycielom tudzież kapitału w miarę amortyzacyi.

Dowód taki kapitalista chętnie przyjmuje, a to z wielu względów: naprzód nie potrzebuje sam się trudzić szacowaniem wartości zastawianych dóbr; powtóre, nie ma obawy, iż procenta nie będą płacone i będzie zmuszony z tego powodu procesować i egzekwować dłużnika, gdyż procent ten płaci mu stowarzyszenie; potrzecie, na wypadek zapotrzebowania kapitału może go wycofać przez odstąpienie swego dowodu bez żadnych formalności innemu kapitaliście, co łatwo uskutecznić się daje, gdyż dowody te są papierami obiegowemi, a będąc oparte na najbezpieczniejszym zastawie, jakim jest ziemia, i mając zapewnioną przez towarzystwo regularną wypłatę procentów, łatwy znajdują pokup.

Zasadę umarzania kredytu ziemskiego ratami, niemiecki ekonomista Rodbertus-Jagetzow w niedawno wydaném dziele (1) doprowadza do ostatecznych konsekwencyi. Wedle niego, ziemia nie jest kapitałem, to jest produktem pracy ludzkiéj,—sama nie przedstawia żadnéj wartości — ma wartość o tyle tylko, o ile wydaje dochód, rentę. To go prowadzi do wniosku, że przy wszelkich tranzakcyach ziemskich należy brać w rachubę nie kapitał, ale rentę. Oszacowanie majątków ziemskich winno mieć za podstawę wysokość renty, czyli nie wyrażać się, iż majątek dany ma wartość 100,000 rubli, ale reprezentuje rentę roczną 5,000 rubli. Taksamo przy sprzedaży: sprzedaje się ziemię reprezentującą nie kapitał, ale dochód. Współsukcessorów spłaca się nie kapitałem, ale rentą. Przy sprzedaży majątku ziemskiego, reszta niezapłaconego szacunku wypłaca się nie w formie kapitału, ale renty. Wierzyciel udzielając pożyczki, nie nabywa prawa do zwrotu kapitału, ale tylko do renty.

System ten znalazł u krytyków niemieckich dość przychylne przyjęcie.

Towarzystwa Kredytowe, o których wyżéj mówiliśmy, działając oględnie nie wyczerpują całéj wartości majątku; pożyczki przez nie udzielane dochodzą do $^1/_4$, $^1/_3$, $^1/_2$ wartości zastawionych

---

(1) Rodbertus-Jagetzow. Zur Erklärung und Abhülfe der heutigen Creditnoth des Grundbesitzes. Jena 1869.

dóbr. Dlatego też właściciele ziemscy nie poprzestają na pożyczkach przez też towarzystwa udzielanych, ale uciekają się do pomocy pojedynczych kapitalistów.

O ile pożyczki te są niebezpieczne, przekonywa prosty rachunek.

Pomimo obowiązującéj u nas stopy procentowéj 5%, żaden kapitalista na taki procent funduszu swego nie lokuje, gdyż papiery publiczne 5%, których kurs od wielu lat stoi niżéj pari, większy przynoszą procent. Najczęściéj szukają lokacyi hypotecznych kapitały nieletnich, lecz i te chętniéj są dawane na hypotekę miejską niż na wiejską. Zwykła stopa procentowa za pożyczki lokowane bezpośrednio po pożyczce Towarzystwa Kredytowego wynosi u nas 8%; rzadkie bywają wypadki lokowania na 7%, zato na odwrót bywają liczniejsze wypadki lokowania na wyższy procent niż 8%. Przeciętną więc stopę można przyjąć 8% na rok.

Pożyczki takie udzielają się po większéj części na jeden rok. Jeżeli nawet zamiarem kapitalisty jest lokować swój kapitał na dłuższy przeciąg czasu, to jednak stypulacya nie zawiera się dłużéj, niż na rok jeden, gdyż z powodu niemożności włożenia na dłużnika obowiązku płacenia wyższego procentu nad 5%, kapitalista musi sobie zachować prawo wymagania zwrotu kapitału, na wypadek gdyby dłużnik nie chciał płacić wyższego procentu nad ten, do jakiego w akcie się zobowiązał; — płacenie zaś z góry przewyżki procentowéj za lat kilka byłoby nader dla dłużnika uciążliwe.

Obok tego ustalił się zwyczaj płacenia stręczycielowi 1% tytułem pośrednictwa, a nadto należy wziąć w rachubę koszta regentalne tak przy zaciąganiu, jak i płaceniu pożyczki.

Koszta te są od tysiąca rubli następujące.

1) Przy sporządzaniu aktu pożyczki:

stempel	rs. 1 kop. —		
opłata na korzyść miasta . .	„ — „ 50		
wypis aktu	„ — „ 90		
świadkom	„ — „ 60		
treść do wykazu	„ — „ 15		
honoraryum regenta. . . .	„ 1 „ 35	razem rs. 4 k. 50	

2) Przy odbiorze i wykreśleniu z hipoteki:

stempel	rs. —	kop. 15	
opłata na korzyść miasta .	„ —	„ $7\frac{1}{2}$	
świadkom	„ —	„ 60	
treść do wykazu.	„ —	„ 15	
honoraruym regenta . .	„ 1	„ 35	razem rs. 2 k. $32\frac{1}{2}$
			rs. 6 k. $82\frac{1}{2}$.

Koszta te są najumiarkowaniéj obliczone; często powiększają się przez dopisanie rozmaitych rygorów, jak niemożności sprzedania, wydzierżawienia, lub zaciągania nowych długów. Niekiedy oblig zeznaje się po za obrębem księgi hypotecznéj, a następnie dopiero wnosi się do księgi; koszta wówczas znacznie się powiększają. Można przeto przyjąć bez przesady, iż koszta notaryalne wynoszą 1$^{0}/_{0}$; doliczając procent ten do powyższych, mamy 10$^{0}/_{0}$.

Obok tego trzeba wziąć pod uwagę i tę jeszcze okoliczność, iż akt musi być sporządzony w miejscu znajdowania się księgi hypotecznéj, albo przynajmniéj w mieście, w którém urzęduje regent; do powyższych przeto kosztów należy doliczyć wydatki podróży do miasta, utrzymania tamże i stratę czasu.

Tyle tedy kosztuje kredyt właściciela ziemskiego, znajdującego się w korzystném położeniu, t. j. mogącego ofiarować miejsce na hypotece bezpośrednio po pożyczce Towarzystwa Kredytowego, albo w podobnym porządku hypotecznym, przedstawiającym małe ryzyko.

O ileż droższym jest kredyt dla rolnika znajdującego się w mniéj korzystném położeniu! Taki zwykle nie znajduje już kapitalisty kontentującego się wyższym lub niższym procentem, ale wpada w ręce lichwiarza, który uważa, iż zły zrobił interes wówczas, jeżeli w terminie dłużnik płaci kapitał, lub procenta; procent bowiem nie jest głównym celem, dla którego pożyczki udziela; właściwe pole jego exploatacyi zaczyna się wtedy dopiero, kiedy dłużnik zobowiązaniom swoim zadość uczynić nie jest w stanie, i ofiarami niedającemi się wcale obliczyć, okupować sobie musi prolongaty, zwolnienia od egzekucyi i t. p.

Hypoteka.

Jednocześnie z rozwojem kredytu ziemskiego wydoskonalić się musiało prawo hypoteczne, które jest wyraźniejszą kredytu tego podstawą.

Rolnik oddaje ziemię swoję kapitaliście w zastaw, lecz wydanie to następuje niemateryalnie, lecz tylko fikcyjnie, umysłowo.

Pomimo oddania wierzycielowi ziemi na pewność zwrotu otrzymanéj pożyczki, dłużnik pozostaje jednak w posiadaniu téj ziemi, obrabia ją i z niéj korzysta, i w ogóle ani na chwilę nie przestaje używać praw właściciela i użytkownika.

Inaczéj też być nie może; pozbawienie bowiem rolnika ziemi, byłoby to pozbawienie go narzędzia pracy, postawienie go w fizycznéj niemożności powrócenia udzielonéj mu pożyczki.

Trzeba tedy było wymyślić instytucyą prawną, któraby temu zastawowi fikcyjnemu nadała charakter zastawu rzeczywistego, któraby obok pozostawienia ziemi w ręku dłużnika, dała wierzycielowi bezwarunkową pewność rzeczową, tak samo jakby zastaw znajdował się w jego ręku. Instytucyą tą jest hypoteka, któréj rozwój i ogólne zasady ze względu na ścisły jéj związek z kredytem ziemskim w tém miejscu przedstawić należy.

Pierwsze ślady hypoteki znajdujemy u Greków. Forma jéj była tylko inna, aniżeli dzisiaj. Na granicy nieruchoméj własności znajdował się słup kamienny, na którym wyryte były ciężary do gruntu przywiązane. Jawność więc była najzupełniejsza.

Rzymianie, którzy inne części prawa doprowadzili do wysokiego stopnia wydoskonalenia, mieli hypoteki bardzo niedokładne.

W średnich wiekach zastaw materyalny przechodzić musiał w ręce wierzyciela, ubierano to zwykle w formę sprzedaży z prawem odkupu. Ta forma pożyczki była w wielkiém użyciu w Polsce, i nazywała się wyderkafem lub widerkiem z niemieckiego Wiederkauf.

Widerki były dwojakie: zwyczajny i wielkopolski. Pierwszy polegał na tém, iż tylko sprzedawca czyli dłużnik mógł żądać zwrotu sprzedanego pod warunkiem odkupu majątku, za zwrotem otrzymanéj summy; w drugim zaś stosunku mógł żądać zwrotu i nabywca czyli wierzyciel.

Obok tego znany był w dawném prawie polskiém zastaw, który także był dwojaki: 1) *inscriptio obligationis de facto*, miał on miejsce wówczas, gdy zaraz przy udzieleniu pożyczki dobra w zastaw oddane zostały; i 2) *inscriptio certi debiti ad tempus certi obligati*, który wtedy dopiero wchodził w wykonanie, gdy dłużnik w umówionym czasie nie wywiązał się ze swego zobowiązania (1).

Polska jednak wcześnie poznała niedogodności tak prawa od-

---

(1) Volumina legum I str. 419, 420.—Walenty Dutkiewicz- Prawa cywilne.

kupu, jak i zastawu, i zaprowadziła u siebie system prawa hypotecznego. Konstytucya z r. 1588 tak stanowi: „Deklarując *in universum* ważność zapisów, aby się ludzie nie zawodzili pożyczając pieniędzy *super bona onerata*, postanawiamy: iż kto będzie miał pierwszy prawo i zapis *ad bona aliqua*, tego będzie *potioritas* i choćby też kto przezyski i posessyą za pośledniejszym zapisem otrzymał, tedy pierwszego zapisu summa i przezyski mają być ważniejsze, i naprzód iść, wyjąwszy gdyby kto był *triennalis possesor*, albo *de jure* prawo jego znalazło się być nieważne. W czém żeby się zabieżało *fraudi et dolo*, tedy warujemy, żeby wszelakie zapisy, któreby w księgach jakich odległych grodzkich lub ziemskich zeznane były, *ad proprium forum terrestre vel castrense, ubi bona recognoscentis consistunt, per modum oblatae, per creditorem vel debitorem*, albo sługę którego z nich, wpisowane dla wiadomości każdego były“ (2).

Po upadku kraju w roku 1794 w części przyłączonéj do Pruss wprowadzono Hypotheken-Ordnung z r. 1784, w części zaś przyłączonéj do Austryi zachowane zostały dawne inskrypcye i oblaty polskie, i tylko do Galicyi Wschodniéj wprowadzono patent tabularny z roku 1774.

Po wprowadzeniu do kraju naszego kodexu Napoleona weszło do nas jednocześnie francuzkie prawo o przywilejach i hypotekach. System francuzki zawiera w sobie wiele niedokładności. Nie ma tam kontroli praw własności, znajdują się tylko wiadomości o długach obciążających nieruchomość i to nader niedokładne z powodu wielu hypotek tajnych, mających pierwszeństwo przed wierzycielami jawnymi z księgi hypotecznéj, tudzież z powodu niepewności co do praw właściciela. Te wady systemu francuzkiego spowodowały, iż wrócono do dawnych zasad prawa polskiego, a głównie przyswojono sobie zasady doskonałéj hypoteki pruskiéj, i na sejmie z roku 1818 uchwalono nowe prawo hypoteczne, dotychczas u nas obowiązujące i odpowiadające wszelkim warunkom dobrego systemu hypotecznego.

Trzy są warunki dobréj hypoteki.

Jawność, polegająca na tém, aby z księgi hypotecznéj można było poznać, kto jest niespornym właścicielem nieruchomości, jakie do niéj przywiązane są prawa, jakie ją obciążają służebności obowiązki i długi. Dla zadośćuczynienia tym warunkom, znaj-

---

(2) Vol. Leg. II str. 1220. (Wydania peters. T. II, str. 258).

dują się u nas przy każdym trybunale archiwa hypoteczne, trzymające w asserwacyi swojéj księgi hypoteczne wszystkich większych dóbr ziemskich, należących do juryzdykcyi danego trybunału, tudzież nieruchomości, położonych w miastach gubernialnych; oprócz tego znajduje się w Warszawie archiwum hypoteczne dla nieruchomości wyłącznie w tém mieście położonych, a przy sądach pokoju archiwa dla nieruchomości ziemskich małéj wartości, oraz dla nieruchomości miejskich, położonych we wszystkich miastach danego okręgu z wyłączeniem miast gubernialnych.

Każda nieruchomość ma oddzielną swoję księgę, która się składa z trzech części: 1) z księgi umów, 2) zbioru dokumentów i 3) wykazu hypotecznego. W księdze umów spisują się wszelkie akta mające być zabezpieczone na danéj nieruchomości jak np. kontrakta kupna i sprzedaży, dzierżawy, obligacye i t. p., a jeżeli akta te sporządzone zostają po za księgą hypoteczną, to w księdze umów zeznawają się wnioski, mające na celu ujawnienie tych czynności w hypotece.

Do zbioru dokumentów składają się dowody usprawiedliwiające akta i wnioski w księdze umów sporządzone, jak np. plenipotencye i akta po za hypoteką sporządzone. Nakoniec wykaz hipoteczny jest skróconym obrazem i treścią wszelkich czynności w księdze umów sporządzonych i dokumentów w zbiorze dokumentów złożonych.

Wykaz hypoteczny ma dwojakie znaczenie: raz dając skrócony obraz całéj księgi hypotecznéj zwalnia od czytania wszystkich aktów i przeglądania wszelkich dokumentów, coby wiele czasu pochłonęło i zasadę jawności znacznie osłabiło; powtóre poucza każdego interessanta o ważności sporządzonego aktu i prawnym jego skutku. Dla zrozumienia tego należy nadmienić, iż przy każdém archiwum hypoteczném znajduje się tak nazwana zwierzchność hypoteczna, czyli wydział sądowy, który rozpoznaje wszystkie czynności w księdze dopełnione, decyduje czy nie ma w nich nic przeciwnego prawu i tylko takie akta do wykazu hypotecznego wpisać dozwala, które za ważne uznaje. W ten sposób, przeglądający wykaz hypoteczny znajduje w nim nietylko treść samych aktów, ale jednocześnie i poświadczenie sądowe, że akta te są ważne i mają skutek prawny, inne bowiem do wykazu nie wchodzą, jakkolwiek w księdze mieścić się mogą.

Dla łatwiejszego poznania praw i obowiązków objętych w wykazie hypotecznym, dzieli się on na cztery działy:

Dział I obejmuje wymienienie nieruchomości i opisanie jéj granic.

Dział II, wymienienie właściciela, tytuł legitymacyjny prawa właściciela i szacunek nieruchomości.

Dział III, zawiera kontrolę ścieśnień własności, ciężary wieczyste i służebności. W dziale tym zapisuje się np. wieczysta opłata na rzecz dominii directi, kościołów lub instytutów, dzierżawa, niemożność sprzedania lub wydzierżawienia nieruchomości przed spełnieniem pewnego obowiązku, prawa i służebności służące włościanom, wzmianki o wystawieniu nieruchomości na przymusową sprzedaż i t p.

Dział IV obejmuje długi i różne obowiązki hypoteczne, np. ewikcye.

Działy III i IV dzielą się jeszcze na dwie części, a mianowicie na kolumny główne i zlewkowe; w kolumnie głównéj mieszczą się długi i ciężary, obowiązujące samą nieruchomość, w kolumnie zaś zlewkowéj długi i ciężary wierzycieli nieruchomości. I tak np. dzierżawca, zabezpieczony w dziale III-im poddzierżawia część nieruchomości osobie trzeciéj; w tym wypadku poddzierżawca zabezpiecza się w kolumnie zlewkowéj na prawach głównego dzierżawcy, zahypotekowanych w kolumnie głównéj; albo np. wierzyciel, mający wpis w dziale IV-ym zaciąga sam dług, wówczas swego wierzyciela zabezpiecza w kolumnie zlewkowéj na swoich prawach, intabulowanych w kolumnie głównéj.

Księga hypoteczna, jakeśmy ją wyżéj poznali, jest właściwością hypoteki polskiéj; w innych krajach nieruchomości nie mają oddzielnych swych ksiąg hypotecznych; wykazy znajdują się oddzielnie i dowody oddzielnie. W Prussiech np. każdy okrąg sądowy ma swój *Grundbuch*, w którym znajdują się wykazy hypoteczne wszystkich nieruchomości, położonych w okręgu sądowym.

Drugim warunkiem hypoteki jest *pierwszeństwo*, mocą którego wszelkie wcześniejsze oddanie nieruchomości w rękojmią, albo zyskanie jakiegokolwiekbądź prawa ma przywiléj przed wszystkiemi temi prawami, które późniéj zyskały bezpieczeństwo na téj saméj nieruchomości; a w zbiegu wielu wierzycieli do jednéj nieruchomości, ci mają pierwszeństwo, którzy wcześniéj prawa swoje w księdze hypotecznéj ujawnili. Skutkiem téj zasady jest to, iż nie ten zyskuje lepsze miejsce hypoteczne, kto wcześniéj zyskał prawo jakieś, lecz ten kto wcześniéj prawo swoje w hypotece ujawnił.

W innych krajach jak np. we Francyi i Prussiech, gdzie akt zeznaje się w kancelaryi notaryusza, a następnie dopiero wniesiony zostaje do księgi hypotecznéj łatwo zdarzyć się może, że zanim akt od notaryusza do księgi hypotecznéj będzie przeniesiony, w hypotece mogą zajść ważne zmiany, i gdyby o nich był wiedział kupujący

nieruchomość, albo udzielający pożyczki, toby w umowę wcale nie wszedł. Nasze urządzenie hypoteczne jest pod tym względem doskonalsze; akt może być sporządzony w samej księdze, a ztąd zawierający umowę ma pewność, iż w stanie hypoteki przed ukończeniem jego aktu żadna zmiana zajść nie może.

Trzecim nakoniec warunkiem hypoteki jest *specyalność*, polegająca na tém, że każde prawo hypoteczne powinno być zabezpieczone na pewnéj, ściśle oznaczonéj nieruchomości; wierzyciele mający bezpieczeństwo na całym majątku dłużnika nie mogą wzruszyć praw wierzycieli na danéj nieruchomości ubezpieczonych; właściciel nieruchomości nadawszy wierzycielowi specyalne prawo do zaspokojenia swéj wierzytelności z nieruchomości, usuwa nieruchomość tę do wysokości nadanego wierzycielowi prawa od dochodzenia innych wierzycieli.

Jakkolwiek hypoteka nasza na wzorowych oparta jest zasadach, ma ona jednak swoje niedogodności, szkodliwie na kredyt wpływające. Formalności przez prawo hypoteczne wymagane, przyczyniają się do utrudnienia obiegu kapitałów. Widzieliśmy, iż w interesie bezpieczeństwa każda czynność, mająca za przedmiot prawo rzeczowe, musi być albo w hypotece sporządzana, albo prędko do hypoteki przeniesiona. Formalność ta odstrasza kapitalistów od lokacyi hypotecznych, gdyż na wypadek potrzeby zcedowania swojéj należności, wierzyciel musi udawać się z cessyonaryuszem do hypoteki i tam akt cessyi zeznawać, tymczasem lokując swój kapitał w papierach publicznych, może je w każdéj chwili sprzedać przez oddanie ich do ręki nabywcy, bez potrzeby dalszych formalności i kosztów.

Niedogodnościom tym starało się, przynajmniéj w części, zaradzić nowe pruskie prawo hypoteczne z r. 1872, a to przez zastosowanie do prawa hypotecznego pojęć prawa wexlowego.

Wynikiem téj zasady jest to, że jak przy wexlu sądy nie wdają się w przyczyny wystawienia wexlu, np. czy i jak waluta była wyliczona, lecz skazują na zapłatę summy wexlem objętéj, skoro tylko wexel posiada formalności prawem przepisane; tak i przy hypotece wydział hypoteczny nie wdaje się w ocenienie czy umowa, jaka między stronami zawarta została, jest prawna lub nieprawna, jak to dotychczas miało miejsce, lecz rozpoznaje jedynie formalną stronę, a mianowicie, czy wpis hypoteczny jest ważny. Ażeby tedy nabyć hypotecznie nieruchomość, nie potrzeba, wedle nowego pruskiego prawa hypotecznego, zeznawać umowy o kupno i sprzedaż, lecz jedynie stanąć przed urzędem hypotecznym, i złożyć deklaracyą ze strony sprzedawcy, iż zgadza się na przepisanie

tytułu własności, a ze strony nabywcy, iż przepisania tego żąda.

Dla zyskania znowu wierzytelności hypotecznéj, dostateczne jest zezwolenie wierzyciela na wpis, bez potrzeby zeznania obligacyi i wymienienia w niéj przyczyny zobowiązania.

Przez takie ułatwienie wydziałowi hypotecznemu jego zadania, interesa hipoteczne daleko szybcéj, aniżeli poprzednio załatwiane być mogą. Ale nie jest to jedyna korzyść nowego systemu hypotecznego; większą jeszcze doniosłość ma zastosowanie do obligów hypotecznych zasady indossów wexlowych.

Najbardziéj za granicą używanemi wexlami są trassowane, czyli ciągnione, do których wchodzą trzy osoby:

1. Wystawca czyli trassant;
2. Osoba, która wexel ma płacić, czyli trassat;
3. Osoba, któréj wypłata ma być uskuteczniona, remittent.

Zródło i potrzeba tych wexli są zwykle następujące: trassant, mieszkający w mieście A, wysyła towary do trassata, mieszkającego w mieście B; dla zrealizowania wierzytelności swojéj z tego źródła pochodzącéj, wystawia wexel, który trassat akceptuje. W tym samym czasie X potrzebuje przesłać fundusz do miasta B, kupuje przeto wexel od trassanta dla przesłania go do miasta B. Wexel zatém wystawiony jest na zlecenie X; który na odwrotnéj jego stronie ceduje go osobie, któréj jest dłużnikiem. Takich cessyi, czyli indossów może być na wexlu znaczna ilość, tak iż niekiedy zachodzi potrzeba przylepienia do wexlu pasa papieru (allonge), gdyż odwrotna strona wexlu nie może pomieścić wszystkich indossów. I w ten sposób wexel za pomocą indossów staje się papierem obiegowym łatwo z rąk do rąk przechodzącym.

Niekiedy zdarza się, iż trassat wystawiając wexel nie znajduje remittenta, któryby w owym właśnie czasie wexel nabyć pragnął, albo też nie będąc w potrzebie pieniędzy, nie chce wexlu w chwili wystawienia go zrealizować, lecz pragnie go w swoim portefeuillu zatrzymać. W takim razie wystawia wexel na własne swe zlecenie, i dopiero wówczas, kiedy go zrealizować pragnie lub może, indossuje go na odwrotnéj stronie na rzecz osoby trzeciéj.

Wszystkie te zasady, któreśmy w sposobie przykładu dla dokładniejszego zrozumienia wyłożyli, zastosowane zostały przez pruskie prawo hypoteczne do obligacyi hypotecznych.

Dwa, wedle tego prawa, są rodzaje wierzytelności: hypoteka i dług gruntowy (Grundschuld); do zyskania pierwszéj potrzeba zobowiązania z wyjawieniem przyczyny długu, do zyskania drugiego dostateczném jest samo zezwolenie właściciela nieruchomości.

Tak hypoteka jak dług gruntowy mogą być ważnie cedowane, bez potrzeby ujawnienia cessyi w hypotece.

Na summę długu gruntowego wystawiają się listy gruntowe na rzecz wierzyciela, którym może być sam właściciel nieruchomości, tak samo jak w wexlach remittentem może być sam wystawca. Dług gruntowy może być cedowany in blanco, przez samo położenie na odwrotnéj stronie podpisu z pozostawieniem próżnego miejsca na wpisanie imienia cessyonaryusza. Jest to także zasada zaczerpnięta z niemieckiego prawa wexlowego, wedle którego wexle mogą być in blanco indossowane.

Do listu gruntowego mogą być dołączone talony z kuponami procentowemi.

Na wierzytelność hypoteczną (w odróżnieniu od listu gruntowego) mogą być wystawione listy hypoteczne, które tém się różnią od listów gruntowych, że do nich dokument hypoteczny winien być dołączony, że nie mogą być cedowane in blanco i nie posiadają talonu z kuponami procentowemi.

Skutki tego systemu są takie, iż wierzytelności hypoteczne, które wedle naszego prawa są nieruchomościami, stają się ruchomemi, obiegowemi, łatwo z rąk do rąk przechodzić mogą, a ztąd też wpływają znacznie na ułatwienie i podniesienie kredytu ziemskiego (1).

Przedstawiając ułatwienie obiegu kapitałów hypotecznych jako rzecz pożądaną i poparcia godną, stajemy w kolizyi z Supińskim, który życząc systematowi wexlowemu zastosowanemu do długów hypotecznych powodzenia gdzieindziéj, gorąco pragnie, by myśl ta nigdy się u nas nie rozwinęła.

Podzielamy obawę, jaką w znakomitym tym pisarzu budzi uruchomianie własności gruntowéj i obciążanie ziemi długami hypotecznemi; zgadzamy się z nim w zupełności na to, że każdy list zastawny jest oderwaniem kawała ziemi, że równocześnie z przejściem listu zastawnego w ręce cudzoziemskie przechodzi w obce posiadanie kawał ziemi ojczystéj, że w braku środków zaspokojenia listu zastawnego, zastawiona ziemia nie może wyjść za granicę, ale cudzoziemiec przychodzi do ziemi, na niéj się usadawia, wnosi do niéj swoje obyczaje, język i narodowość. Gdyby do wymownych rad i przestróg Supińskiego przed niebezpieczeństwem zbytecznego obdłużania i uruchomiania ziemi, można było co dodać, wezwalibyśmy do tego całą siłą naszéj argumentacyi. Z tém

---

(1) Feliks Zieliński. Nowe prawo hypoteczne pruskie. Warszawa 1874 r.

wszystkiém nie możemy się zgodzić na to, iż ułatwienie obiegu kapitałów przez uruchomianie ziemi jest złem, którego kraj nasz wystrzegać się powinien. Już przez to samo, iż uważamy uruchomienie ziemi za korzystne i życzymy mu powodzenia w innych krajach, nie wolno nam odosabniać się i zostać w tyle za innymi.

Kredyt, to potęga, z którą liczyć się należy. Pozwolić innym wzrastać w tę potęgę, a siebie samowolnie rozbroić, jest to narazić się na nierówną walkę i niechybną przegraną. Niebezpieczne jest uruchomienie ziemi, to prawda; ale jeszcze niebezpieczniejsze pozbawianie się źródeł kredytu.

Czyż przez to, że u nas za pomocą przeszkód hypotecznych utrudnia się kredyt, wówczas kiedy za granicą przez usunięcie wszelkich zawad, kredyt się ułatwia,—uchronimy ziemię naszę od obdłużenia? Bynajmniéj; ten tylko będzie z téj różnicy skutek, że kiedy za granicą kredyt będzie tani, to u nas będzie drogi, że kiedy dłużnik zagraniczny będzie w możności płacenia umiarkowanych procentów, to dłużnik w naszym kraju przyciśnięty wysokim procentem, nie będzie mógł zobowiązaniom swoim zadość uczynić i ulegnie wywłaszczeniu.

Brak kredytu jest złem bezwarunkowém; uruchomianie ziemi za pomocą kredytu jest wówczas tylko złem, kiedy to następuje nieoględnie.

Niebezpieczeństwo więc nie w tém leży, iż ziemia się uruchomia, iż kredyt się ułatwia, ale w tém, iż uruchomienie to dokonywa się lekkomyślnie, iż kredytu używa się nieoględnie.

Czyż przez to, że szaleniec może pochodnią klęskę spowodować, należy ludzkość światła pozbawić?

(*Dokończenie nastąpi*).

ROMANTYZM I JEGO SKUTKI

Napisał

F. K.

W początkach bieżącego wieku zjawił się w literaturze angielskiéj, niemieckiéj, francuzkiéj, a następnie i w naszéj kierunek, któremu dano nazwę szkoły romantycznéj, albo romantyzmu. Zaczęto pisać romanze, canzony, sonety, ballady, a wszystko romantycznie. Wziąwszy do ręki dzienniki i pisma peryodyczne literackie z owego czasu, spotyka się bardzo często żwawą polemikę między romantykami a klasykami. Gdyśmy się uczyli dziejów literatury swojéj, nauczyciel nie zaniedbywał kłaść nam w uszy bardzo uczonych lubo wodnistych i nieokreślonych wyobrażeń, na czém polega romantyzm i jak wielkie zasługi położyła szkoła romantyczna dla literatury naszéj. A chociaż wykłady takie odbywały się przed laty mniéj więcéj dwudziestu; jednakże i dzisiaj słyszy się i czyta to samo, lub prawie to samo o zasługach romantyzmu. Rozejrzawszy się w literaturze choćby główniejszych narodów europejskich, mianowicie Anglików, Niemców i Francuzów, widzimy że i u nich odbywała się walka romantyków z klasykami, może nawet gorętsza niż u nas i daleko wcześniéj niż u nas. Romantyzm tedy nie był zjawiskiem wyłącznie naszém; przeciwnie przeszedł do nas jak wiele innego towaru z zagranicy. Nasłuchawszy się i naczytawszy o romantyzmie dosyć, gdy przyszły lata dojrzalsze, które prowadzą za sobą zwykle wstrząśnienie przyjętych na dobrą wiarę słów nauczyciela; gdy człowiek sam z sobą robi obrachunek i pojęcia swoje brakuje odrzucając lub modyfikując chwiejne i niepewne: zadaliśmy sobie pytanie, czém właściwie był romantyzm i co za skutki sprawił w literaturze naszéj? Rezultat tego rozważania, choć tylko wyobraża sąd indywidualny i w wielu

ani ścisłości, ani prawdy. Piękności romantyczne mają być wyłącznie przeznaczone dla serc tkliwych. Co to są serca tkliwe? Alboż wszyscy nie mają serc mniéj lub więcéj tkliwych? Jednych roztkliwia śmierć pieska, drugich pogrzeb narodów. Umysły znów badające naturę i ducha wieków, nie bywają tak tkliwe na romantyczne piękności: rozważanie to budzi w nich raczéj grozę lub podziw dla warsztatu natury, dla tępiących się wzajem plemion. Kto melancholicznem spojrzeniem stara się odgadnąć dzieje przyrody, może mieć *uczucia* romantyczne, ale *badać* naturę i ducha wieków nieco trudniéj za pomocą uczucia, choćby romantycznego.

Ale nie bądźmy zbyt wymagający i surowi, nie naciskajmy go zbytecznie, by nam wytłómaczył znaczenie romantyczności: definicye tego rodzaju nie mogą przecież być definicyami Euklidesa. Z tego co napisał o romantyczności, mamy choć przybliżone o niéj wyobrażenie. Postarajmy się raczéj z téj saméj rozprawy Brodzińskiego wydobyć inne jeszcze elementa wchodzące do definicyi romantyzmu. Dowiadujemy się tedy, że i *religia* osobliwie *chrześciańska*, która „imaginacyi otwarła granice do nieskończoności,“ jest także żywiołem romantyzmu; daléj, że *mistyczność* jest tak nieodzowna nietylko w romantycznéj, ale w każdéj w ogóle poezyi, iż ta bez niéj mogłaby zginąć. Nawet nieco umiarkowanéj *metafizyki*, byle nie téj niemieckiéj, „która tak wielu obłąkała.“ nie szkodzi poezyi romantycznéj. Wszakże oprócz tych pierwiastków wspólnych romantyzmowi w ogóle, „romantyczność *naszę* stanowią nasze niegdyś miasta, których obwody już czarna rola pokryła, ziemia, gdzie spi tylu rycerzy, mogiły przodków i t. d.;“ słowem ostatnim elementem poezyi romantycznéj jest narodowość. wyraz i pojęcie prawie nieznane w słownikach XVIII wieku. Brodziński nawet chciałby rozszerzyć zakres narodowości wprowadzonéj do poezyi i przeciw romantyzmowi germańskiemu postawić romantyzm *słowiański*. Pisze bowiem: „szczep słowiański, ginący we mgle starożytności, w najliczniejsze pokolenia rozrodzony, najobszerniéj (?) ziemię osiadający, czyż nie powinien równie odznaczać się *duchem właściwym* w guście i płodach geniuszu, tak jak córki łatyńskiéj i germańskiéj matki, według właściwego ducha rodu swojego, ubiegają się wzajemnie o swój postęp w naukach, kunsztach i narodowości“ (1). Jakby mógł ten romantyzm słowiański wyglądać

(1) Wszystkie w cudzysłowach zamknięte zdania i wyrażenia wzięte są z rozprawy Brodzińskiego: *O klasyczności i romantyczności*. Pisma K. Brodzińskiego. Tom III. Poznań 1872 r.

gdyby doń weszły poezye bułgarskie, hercegowińskie i czarnogórskie, tego nam Kazimierz z Królówki nie objaśnił, i my też fizyognomii jego zgadywać nie chcemy.

Z rozproszonych napomknień po całéj rozprawie, możnaby ułożyć definicyą romantyzmu, przy któréj jednak nie myślimy koniecznie obstawać, nie chcąc się narazić na zarzuty którego z żyjących romantyków. Możnaby tedy powiedzieć, że romantyzm „jest to taki rodzaj poezyi, do którego wchodzą uczucia tęskne, lubujące się dziką naturą, strachy, duchy, cudowność, religijność, metafizyka, mistyczność i narodowość.“ Wiemy, że każdy wzruszy ramionami, kto zna warunki, jakim zadość powinna czynić definicya: dlatego upierać się przy niéj nie chcemy. Ułożyliśmy ją dlatego że z rozprawy Brodzińskiego daje się w ten sposób ułożyć, i że co ważniejsza, składowe jéj elementa rzeczywiście znajdują się w utworach zwanych romantycznemi, jak o tém niżéj jeszcze się powie.

Zaledwie rzeczona rozprawa Brodzińskiego została ukończona w *Pamiętniku Warszawskim*, pośpieszył z odpowiedzią na nią i na wszelkie uroszczenia romantyzmu Jan Śniadecki, mąż wielkiego rozumu i niepożytéj sławy, w artykule, któremu dał tytuł: *O pismach klasycznych i romantycznych* (1818 r.).

Śniadecki wyraźnie mówi, że go do pisania w tym przedmiocie pobudziła rozprawa Brodzińskiego. Nie chce on się wdawać w spór o to, co jest romantyczność, ale dodaje, że w jego rozumieniu „to wszystko jest *klasyczném* co jest zgodne z prawidłami poezyi, jakie dla Francuzów Boileau, dla nas Dmochowski, a dla wszystkich wypolerowanych narodów przepisał Horacy: *romantyczném* zaś to, co przeciwko tym prawidłom grzeszy i wykracza.“ Tak więc Śniadecki występując przeciw romantyzmowi, miał przedewszystkiém na myśli formę tego rodzaju poezyi i oburzał się na to, że nie szanuje prawideł Horacyuszowéj poetyki. Raziły go nieswojskie lub niegramatyczne zwroty w mowie romantyków spotykane, bezład w przebiegu obrazowanéj akcyi, słowem zewnętrzna postać romantycznych utworów. Jednakże chociaż postanowił z początku swojego artykułu ograniczyć się do krytyki jedynie formy romantyzmu, wszakże zaczepił w dalszym ciągu i o treść jego. Pisze bowiem: „Romantycy dzisiejsi wprowadzają na scenę schadzki czarownic, ich gusła i wieszczby, duchów chodzących i upiorów, rozmowy diabłów i aniołów i t. d. Cóż tu w tém nowego i dowcipnego? Wszystkie baby wiedzą dawno o tych pięknościach i mówią o nich ze śmiechem pogardy. Te niedołężności i brednie przywołane z wieków grubiaństwa, łatwowierności i zabobonu, mo-

gąż bawić i uczyć w ośmnastym i dziewiętnastym wieku, nietylko ludzi dobrze wychowanych, ale nawet nieokrzesane pospólstwo?“ Albo nieco daléj: „Grecy i Rzymianie ubierali prawdę i naukę w przyjemne bajki, stroili ją w różne obrazy religijne, żeby ją zrobić powabną i miłą dla ludzi; dziś romantyści stroją ją w karykaturę fałszu i głupstwa, żeby ją zhańbić i zrobić obrzydliwą.“

Nieco niżéj pisze Śniadecki: „Romantyczność lubi przypomnienia dawnych obyczajów i zdarzeń narodowych, tęskni do wieków przeszłych, kocha się w naturze prostéj, dzikiéj, i nieokrzesanéj. Czary, gusła, i upiory nie są naturą, ale płodem spodlonego niewiadomością i zabobonem umysłu... Przy dobrych pokarmach i napojach nikt zapewne nie tęskni do jabłek leśnych, korzonków i żołędzi... przy opiece praw własności i rządnego towarzystwa, nikt zapewne nie wzdycha do ucisków i rozbojów feudalnych.“ Otoż widzimy, że Śniadecki rozumiał ducha romantyzmu, owe uczucia *tęskniące do dzikiéj natury*, nie do strzyżonych na sposób francuzki ogrodów.

Widzieliśmy poprzednio, że Brodziński i metafizykę wprowadził do pojęcia romantyzmu; wprawdzie nierad był niemieckiéj wprowadzać, ale zawsze metafizykę, może idealno-realną. Oto jak na tę radę odpowiada Śniadecki. Pod owe czasy przemycano do nas metafizykę Kanta a potroszę i Schellinga; więc nasz empiryk broni wejścia temu intruzowi w następujących słowach: „Jak prędko ludzie porzucili obserwacyą, i tę od Locke'a dowiedzioną ustawę: że wszystkie poznawania nasze biorą początek od zmysłów; jak prędko wbili sobie w głowę, że dusza ma jakąś tajemną siłę widzenia bez granic, że ma wrodzone sobie wiadomości, o których trzeba się dowiadywać, nie przez nauki, nie przez drogi dotąd wskazywane: ale przez wprowadzenie jéj w stan bytu nadzwyczajny (natchnienie); należało już porzucić wszystkie prawidła rozsądku w tym nowym świecie badania. Język zwyczajny nie mógł już służyć do rzeczy zmysłom niedostępnych. Więc zrobiono język mistyczny, wprawiano się wtłómaczenie tego, czego ani piszący, ani czytający nie rozumie, i całą naukę tak nazwanéj *filozofii* złożono jakby z artykułów nowéj *wiary* pełnéj niepojętych tajemnic. Dlatego metafizycy szukają dróg objawienia, tłómaczą je i wskazują. Literaci szukają w objawieniu nowych piękności, a medycy także w objawieniu wypytują się o sposoby leczenia (mesmeryzm). Żeby zaś wzajemnie sobie usłużyć i poznać związek tych nowych wynalazków, literatura opętała teatr diabłami, a medycyna pracuje nad sposobieniem exorcystów. Marzenia we śnie, plotki konwulsyjne, bierze ona jak niegdyś w Dodonie za wyroki prawdy: i wprawia umyślnie ludzi w choroby ner-

wowe, żeby się od nich dowiedzieć sztuki leczenia. Pójdzie więc niedługo za tém, że wprowadzać będzie ludzi w paroxyzm szaleństwa, żeby się od nich dowiedzieć prawideł mądrości" (1).

Jest to zatém krytyka na metafizykę i mistycyzm w ogólności, wymierzona przeciw wprowadzaniu ich do poezyi. Jest prawdopodobném, że gdyby J. Śniadecki dożył naszych czasów, sąd swój o romantyzmie bardzoby zmienił po przeczytaniu znakomitszych utworów poetycznych tego kierunku. Byłby może darował rozmowy diabłów i aniołów, duchów i upiorów, których co prawda romantyzm bez potrzeby i miary nawprowadzał, dla wielu, bardzo wielu piękności pełną garścią rozsypanych w celniejszych dziełach romantycznych. Ale trudno i dziś nie przyznać, że krytyka jego była po większéj części słuszna, gdy powstawał na metafizykę i mistycyzm,—które jak opium wprawiają umysł w extazę, by go potém zniedołężnić i wyjałowić.

Tymczasem we cztery lata po tém starciu się przednich tyralierów, wyszły w Wilnie dwa tomiki poezyi A. Mickiewicza (1822). Na czele ich autor położył rozprawę o poezyi romantycznéj, chcąc usprawiedliwić nowy kierunek poetyczny, przyczém postanowił „zamiast bronienia poezyi romantycznéj, wywieść jéj początek, oznaczyć charakter, wymienić wzory celniejsze." Z rozprawy téj wszakże równie jak z powyższéj Brodzińskiego trudno sobie wyrobić jasne pojęcie o tém, czém jest romantyzm. Zapewnia Mickiewicz, że „rodzaj romantyczny nie jest zgoła nowym wymysłem... że dzieł romantycznych, w całém znaczeniu tego wyrazu, szukać należy u poetów wieku średniego... Jeśli klasyczność i romantyczność weźmiemy w znaczeniu Schlegla, Bouterwecka i Eberharda, którzy pierwsi te wyrazy do teoryi wprowadzili i oznaczyli, jeśli za charakter poezyi romantycznéj uznamy przebijające się w niéj cechy ducha czasu, sposobu myślenia i czucia ludów w wiekach średnich; natenczas powstać przeciwko romantyczności, nie jest to powstać przeciwko poetom, ale wypowiadać wojnę uczoną (?) narodom rycerskim, których obyczaje i dzieła opiewali poeci. Jeżeli zaś do romantyczności przywiązujemy inne jakieś wyobrażenie; jeśli np. zasadzamy jéj istotę na łamaniu prawideł i wprowadzaniu diabłów: wtenczas zarzuty przeciwników takiéj romantyczności będą słuszne i niezbite." Ostatni ten ustęp pokazuje, że Mickiewicz czytał arty-

---

(1) Wszystkie przytoczone w texcie ustępy wzięte są z rozprawy J. Śniadeckiego pod tytułem: *O pismach klasycznych i romantycznych.* Dzieła J. Śniadeckiego. Tom V. Warszawa, 1837 r.

kuł Jana Śniadeckiego, i niby w części na niego się zgadza. Dowiadujemy się dalej, że ważnym elementem w poezyi romantycznéj jest *poezya gminna*. Naprawdę więc nie wiele dowiedzieliśmy się o naturze i charakterze poezyi romantycznéj z téj obrony prozą napisanéj. Ale może nas czego pod tym względem nauczy wiersz Mickiewicza zatytułowany: *Romantyczność*. Motto tego wiersza wzięte jest z Szekspira i brzmi jak następuje: „Zdaje mi się, że widzę... Oczami méj duszy,“ In my mind's eye. Znaczące jest jako cecha romantyzmu zakończenie wiersza:

„Czucie i wiara silniéj mówi do mnie,
Niż mędrca szkiełko i oko.
Martwe znasz prawdy, nieznane dla ludu,
Widzisz świat w proszku, w każdéj gwiazd iskierce;
Nie znasz prawd żywych, nie obaczysz cudu!
Miéj serce, i patrzaj w serce!“

A więc czucie i wiara silniéj przemawiaią do poety, niż szkiełko mędrca, a prawdy, których ten dochodzi z proszku i gwiazd iskierki, nazywają się martwe; on zaś w miejsce szkiełka radzi mieć serce i patrzeć w serce. Tłómacząc to na język zwyczajny, znaczy, że nie nauka i wiedza czyli rozum, lecz serce i uczucie powinny być nauczycielami romantyka. Jakoż tak to poeci do dziśdnia rozumieli i rozumieją, a idąc za powagą mistrza, puścili wodze nieokiełznanéj fantazyi i pod mamiącą szatą poezyi rzucili w obieg wiele fałszywych zdań i quasi historyozoficznych paradoxów. Uczucie to i uczucie, potęgowane, wylało się morzem hallucynacyjnych widziadeł, jakie się poroiły w głowach romantyków.

Przybywa nam zatém nowy element do definicyi romantyzmu, element ujemny, to jest niechęć przechodząca czasami w nienawiść do rozumu i mędrców. Tak np. w wierszu „Mędrcy“ mówi koryfeusz romantyzmu:

„Więc mędrcy w nocy lampy zapalali,
I na swych księgach ostrzyli rozumy
Zimne i twarde, jak miecze ze stali,
I wziąwszy z sobą uczniów ślepych tłumy,
Szli łowić Boga. A zdrada na przedzie
Prostą ich drogą, ale zgubną wiedzie.
I tajemnicze szaty z Boga zwlekli,
I szyderstwami ciało jego siekli,
I rozumami serce mu przebodli...“

Wniosek z tego bardzo jasny: jeżeli mędrcy szyderstwami ciało Boga siekli, to mądrość ich jest nietylko naganna, ale równa dżumie, od której jak najdalej trzeba uciekać. Zapewne poeta odpowiedziałby, że miał na myśli fałszywych mędrców. Ale fałszywych od prawdziwych nie tak łatwo odróżnić, i prawdopodobnie poetyczni mędrcy, nie są mędrcami jakich spokojna proza rozumie. Mickiewicz, a za nim mniéj utalentowani romantycy mieli niepokonany wstręt do *zimnych*, jak to wówczas nazywano, *nożyc* rozumu, więc zaszli sami i powiedli innych tam, gdzie nierozum prowadzi, a to nietylko w estetycznych teoryach, lecz w życiu praktyczném, w sprawach publicznych.

W wierszu pod tytułem „Rozum i wiara" znów się dostaje mędrcom:

„I was dostrzegłem, o dumni badacze!
Gdy wami burza jak śmieciem pomiata,
Zamknięci w sobie, jak w konchy ślimacze,
Chcieliście mali, obejrzeć krąg świata."

A następnie i rozum otrzymuje swoje *pro memoria*: Rozumie ludzki, woła poeta,

„Wzdymasz się, płaszczysz, czernisz się i błyskasz,
Otchłanie ryjesz i w górę się ciskasz,
Powietrze ciemnisz chmurami mokremi,
I spadasz z gradem—tyś zawsze na ziemi."

Poeta przejrzał ludzkości obszary, ale gdy na nie patrzał rozumem, wydawały mu się mętne; stały się zaś jasne „przed oczyma wiary." Nie było to ani bardzo po chrześciańsku, boć chrześcianizm rozumem nie gardzi, ani bardzo filozoficznie; ale było po rycersku, bo przecież Mickiewicz prawdziwy romantyzm upatrywał w wiekach średnich, wiekach rycerskich. Nie myślę formułować przeciw romantyzmowi oskarżenia, i chciałem jedynie poprzeć powyższe spostrzeżenie, że do definicyi romantyzmu należy także lekceważenie rozumu; w téj chwili bowiem chodzi mi o utworzenie sobie pojęcia romantyczności: gdy zaś romantycy nie napisali swojéj specyalnéj poetyki, musimy pojęcie to tworzyć z rozrzuconych w ich utworach myśli i wyrażeń. Nie przeczę, że porównywając rozmaite ustępy choćby w samych utworach Mickiewicza, można się spotkać z apoteozą rozumu i myśli: bo też nie należy od poetów wymagać ścisłéj z sobą konsenkwencyi nietylko w całym za-

wodzie literackiego ich działania, ale nawet w jednym i tym samym utworze. Poetis atque pictoribus... quidlibet audendi semper fuit aequa potestas.

Po wyjściu pierwszych poezyi Mickiewicza i obrony romantyzmu, zaczęła się dopiero na dobre polemika: literaci podzielili się na klasyków i romantyków. Opis i ocenienie téj walki w całéj obszerności byłyby tu nie na miejscu; należy ona do historyi literatury naszéj: nadmienię więc o niéj tyle tylko, ile potrzeba do mojego zamiaru. W roku 1829 wyszło w Petersburgu ponowne wydanie Poezyi Mickiewicza. Autor słyszał o gorącéj walce, toczącéj się między klasykami a romantykami, czytał niektóre z licznych recenzyi swoich Poezyi, oburzyła go niesprawiedliwa krytyka, więc się odciął napastnikom w artykule: *O Krytykach i recenzentach warszawskich*, dołączonym do wspomnionego wydania petersburskiego dzieł swoich. Chociaż najcięższe i zdaniem mojém, z wielu względów zasłużone oskarżenie przeciw romantyzmowi wyszło od J. Śniadeckiego; jednak Mickiewicz jakby o niém nie wiedział i całą żółć wylał przeciw krytykom warszawskim, a głównie przeciw F. Salezemu Dmochowskiemu za rozbiór swoich Poezyi zamieszczony w *Bibliotece Polskiéj*. Zmarły przed kilkoma laty Dmochowski, gdyśmy się o tém zgadali, odczytywał nam tę recenzyą bolejąc, że tak niesłusznie został przez znakomitego romantyka spotwarzony, boć przecie sam on na sławę jego po części wpłynął. Takie było mniemanie Dmochowskiego, który z niekłamanem uwielbieniem do ostatka życia wyrażał się o Mickiewiczu. Ale padł los, *alea jacta est*. Mickiewicz już był sławny i obwołany za przywódcę romantycznéj ruchawki. Wspomnionym artykułem dobił krytyków warszawskich, a z nimi całe wojsko klasyków. Osińskiemu, za to, że parodyował „Ciemno wszędzie, głucho wszędzie" („Głupio było, głupio będzie"), Dmochowskiemu za to, że śmiał przyganiać wyrażeniom i wyrazom Mickiewicza, już nigdy a przynajmniéj długo nie daruje zhołdowana romantyzmowi publiczność. Pod ośmieszoną nazwę klasyków podciągnął nietylko poetów z pierwszych dwudziestu lat bieżącego wieku, ale nawet Stanisławowskich, i sprawdzi się na nich to, co na wszystkich, że biada zwyciężonym. Już za naszéj pamięci, gdy kogo nazwano klasykiem, to go zabito; romantyzm choćby najchudszy podobał się; romantyzm był młody, zwycięzki na Zachodzie, czemuż mu miało być gorzéj u nas? Moda przemogła, bo moda rządzi nietylko strojami, lecz i literaturą piękną. Nie chcemy twierdzić, że niektórzy nasi romantycy nie byli wyżsi pod wielu względami od niektórych naszych klasyków i o tém jeszcze wspomnimy: ale

obstajemy przy tém. że moda brała udział w ich zwycięztwie, co im wcale nie ubliża. Każdy czas ma swoje bożyszcza: gdy kult ich ustanie, dziwią się ludzie, jakim sposobem przodkowie ich mogli być tak ciemni i kłaniać się marom? przemiana dokonała się w umysłach powolnie, nieznacznie, smak się zmienił, ludzie wyszukali sobie nowy przedmiot kultu.

W podanych tu wzmiankach o przebiegu walki między klassycyzmem a romantyzmem, pominięto niejeden szczegół mogący zająć dzisiejszego czytelnika; ale ponieważ nie chodziło o wyczerpującą historyą tego literackiego sporu, lecz o wydobycie dla siebie i dla innych pojęcia romantyzmu: nie można było uniknąć i tych historycznych notatek. Jakież więc jest to pojęcie, jaka definicya romantyzmu? Oto summując rozproszone u teoretyków romantycznych wyobrażenia o ich własnym kierunku. możnaby powyższą z Brodzińskiego rozprawy ułożoną definicyą uzupełnić i tak powiedzieć: „Romantyzm jest to taki rodzaj poezyi, w którym uczucia tęskne za przeszłością, za dziką, nieokrzesaną naturą kojarzą się z mistycyzmem, oryentalizmem, metafizyką religijną i panteistyczną, cudownością występującą pod postacią upiorów, duchów powołanych z poezyi gminnéj na scenę dnia jasnego.“ W definicyi zaś romantyzmu specyalnie naszego wypadałoby jeszcze pomieścić jako element składowy i wspomnienia swojskiéj przeszłości. Wprawdzie niechętni romantyzmowi rozumieli pod nim wyzwolenie się od wszelkich prawideł poetyki czy to Arystotelesa czy Horacyusza lub Dmochowskiego; ale nie było to całkiem sprawiedliwe, boć i romantycy przestrzegali rymów, miary, średniówki i jedności rzeczy, choć nie trzech klasycznych jedności. Jeśli definicya romantyzmu przez nas ułożona jest ile tyle słuszna, to powinnibyśmy dostrzedz składające ją elementa w utworach romantycznych; nad tém poszukiwaniem chcemy jeszcze nieco zabawić uwagę czytelnika.

II.

Powiedzieliśmy, że do pojęcia i definicyi romantyzmu wchodzą *uczucia tęskne* za przeszłością. Że uczucie w ogóle zdawiendawna było źródłem podmiotowém, subjektywném poezyi, o tém nikt nigdy nie wątpił ani w starożytności, ani tém mniéj w wiekach średnich. Ile razy poezya czerpała natchnienie w zastana-

wiającym się rozsądku, powstawały poemata dydaktyczne, jakieś *Georgiki,* jakieś *Ziemiaństwo*, jakaś *Sztuka Rymotwórcza.* Była to właściwie proza miarowa lub rymowana, i każdy woli czytać teoryą uprawy ziemi, lub teoryą poezyi napisaną prozą niż wierszem. Sama natura tych przedmiotów nie nadaje się do poetycznego obrazowania; rozsądek, nie uczucie musi w takich poematach przeważać, a ztąd są nudne na poezyą a niedostateczne do złożenia teoryi naukowéj. Ale romantyzm uprawiał uczucia *tęskne.* Uczucia tęskne mogą być bardzo różne, stosownie do tego jak kto ową tęskność rozumie. Klasycy tęsknili za Filonami i Chloryndami, romantycy o Laurach i Maryllach rozwodzili żałosne jęczenia. Są przedmioty, za któremi poeta tęskniąc porywa czytelnika i podobne budzi w nim tęsknoty; są inne, które w czytelniku budzą niesmak swoją małością. Kiedy klasycy pisywali tęskne epitafia na śmierć piesków i kotków które były pieszczotkami ich chlebodawców, taka tęsknota w ustach poważnego człowieka jest wstrętną. Ale nie sądzę, żeby tęsknoty romantyków zawsze były więcéj warte; w ich balladach i sonetach tęskne uczucia równie są niesmaczne. Nie chodzi nam wszakże o porównanie i wyższość lub niższość tęsknot klasycznych lub romantycznych; chodzi zaś o to, że mistrz doradził, by mieć tylko *serce* i patrzeć *w serce*, że lekceważąco i bezzasadnie natrząsał się z rozumu i mędrców, z ich szkiełek i obserwacyi, słowem, że uczucie wziął nietylko za jedyne źródło poezyi, ale nawet za jakiegoś jasnowidza, który wszystko odgadnąć potrafi i daleko lepiéj niż mędrcy „obejrzeć krąg świata“ jest zdolny. Tylko miéj serce i patrzaj w serce, a zagadki w naturze i w dziejach ludzkich staną ci się zrozumiałe! Zgodnie z tym przepisem mistrza, naśladowcy jego puścili wodze uczuciu, czasami wysokiemu, ogarniającemu całą ludzkość i jéj cierpienia, częściéj egotycznemu, które się przemieniało w sentymentalizm i ślamazarne jęczenie. Jeżeli poezya klasyków była *rozsądkowa* i tylko sztuczném uczuciem ogrzana; to znów utwory romantyków wzbierały bezbrzeżném uczuciem, które nieraz wchodziło z rozsądkiem w kollizyą. Poezya romantyczna zamieniła się w jedno *tęskne uczucie*, zaczęła je na wszelkie sposoby wyzyskiwać póty, póki nie zjałowiało tak, że w naszych czasach nie chce rodzić ani klasycznych ani romantycznych ód i sonetów. Dowody tego wygórowania uczucia liczne są we wszystkich niemal utworach trzech znamienitych przedstawicieli romantyzmu (Mickiewicz, Słowacki i Krasiński Zygmunt). Znane powszechnie ich dzieła, uwalniają nas od przytoczeń, na które zresztą brak nam miejsca; dlatego przecho-

dzimy do odszukania innego pierwiastku w romantyzmie, mianowicie *mistycyzmu*.

Utrzymywał Brodziński, że poezyi bez mistycyzmu pojąć nie można, że gdyby go zabrakło, poezya zginęłaby na świecie. Jest w tém twierdzeniu nieco prawdy. Poemata indyjskie, o ile nam są znane, po części greckie i rzymskie, średniowieczne (Boska Komedya) i nareszcie utwory romantyczne są dowodem, że mistycyzm w istocie wchodzi jako element do poezyi; chociaż są utwory inne na wskroś poetyczne, jednak nie mistyczne. Tak więc powyższe twierdzenie Brodzińskiego można przyjąć z pewném zastrzeżeniem jako prawdziwe w wielu wypadkach. Ale co to jest mistycyzm? Jest to niewiadomość. Świat podaje umysłowi człowieka mnóstwo zagadek do rozwiązania. Uczony w rachunku, retorcie i obserwacyi szuka na nie odpowiedzi, i tę znajduje może nie zawsze i nie całkiem prawdziwą, ale zawsze chroniącą go od niemego uwielbiania natury; poeta, w którym już wygórowało *tęskne* uczucie, który sercem nie rozumem ogląda krąg świata, i uczucia swojego nie zaś rachunku i ważek o odpowiedź pyta, widzi się przywalonym ogromem świata i różnorodnością jego zjawisk, rozpływa się więc i roztapia w téj wszystkości, traci świadomość bytu odrębnego, identyfikuje się z naturą. W tym stanie egzaltacyi, którą nazywają natchnieniem poetyczném, powstają przed rozigraną wyobraźnią obrazy piekła Dantejskiego, Nieboskiéj Komedyi, Dziadów, Irydyona. Poeta sądzi, że skupił w sobie czucie milionów i że go miliony duchów słuchają. Starożytni mieli na zawołanie Jowiszów, Minerwy, Neptunów; romantycy upiorów, duchów, diabłów, nieboszczyków; z tymi prowadzą sami lub każą swoim bohaterom prowadzić dyalogi, duchy ich oprowadzają po niebie i piekle, odsłaniają przyszłe rzeczy, zaczém romantycy nawet prorokują:

> Bo wyszedł głos i padł już los,
> I tajne brzemię lat
> Wydało płód! i stał się cud!
> I rozraduje świat!“

Wejrzawszy głębiéj w naturę mistycyzmu widzi się, że jest on tylko inną formą rozkołysanego uczucia, że mistycy wszystkich czasów tak samo mniéj więcéj przemawiali, że byli to ludzie jeżeli nie zawsze, to bardzo często schorowani na ciele, a przeto dochodzący do extazy, wizyonerstwa i prorokowania nie lepiéj i nie gorzéj od prorokini w Delfach.

Co się tycze mistycyzmu naszych romantyków, to wyznać trzeba, że nie odrazu zrozumieli konieczność tego elementu w swoich utworach: pierwotne ich poezye są jeszcze dość trzeźwe, obrazy dość podobne do tego, co się dzieje lub mogło dziać na świecie. Powoli jednak, gdy się przed nimi coraz jaśniéj rozwijało powołanie proroków czyli wieszczów, mistycyzm również coraz bardziéj owładał nimi, apokaliptyczne widzenia stają się coraz częstsze, i zastosowano do tych jasnowidzeń język równie apokaliptyczny. Nie można też pominąć milczeniem, że dwaj z nich t. j. Mickiewicz i Słowacki od zetknienia się z towianizmem, gdy zostali apostołami mesyanizmu, przesiąkli na wskroś mistycznością. Jeden z nich widocznie już pod wpływem Towiańskiego rymował:

„Nie mów—leniwych duchów nie budź rzeszy,
Bobyś obudził ogień nienawiści;
Kto grzeszny teraz, niechaj jeszcze grzeszy,
A kto jest czysty, niech się jeszcze czyści.
Czas blizki, który święte z nas pocieszy,
A złymi pogna, jak wiatr chmurą liści;
I będą się jak zwiędły liść sypali,
W czarne jeziora, które duch zapali.“

Coraz częściéj w utworach ich z tego okresu przejawia się myśl o królestwie Ducha św., albowiem Ojciec i Syn już królowali; coraz częściéj powtarza się myśl o cierpieniu dla cierpienia, tak iż zda się, że duch Towiańskiego z nich mówi:

„Świat nam duchowy stanął otworem,
Widzim zkąd moce te biegą,
Które tu snem są albo upiorem,
Lub ogniem Ducha Świętego.
Widzim, i cali drżym przerażeni,
Gdy nam widzenie ukaże
Powietrze puste, pełne płomieni
W szkłach wichru lecące twarze.“

Do wielu utworów mniejszych i do większych poematów romantycznych trzebaby komentarza; są one istotnie jak Apokalipsa. Wielbiciele mistycyzmu widzą w nich zwykle to, czego inni dojrzeć nie mogą, i dziwią się ograniczonemu sądowi krytyków, którzy śmieją powątpiewać o doskonałości tych głęboko pomyślanych wyrobów. Ale jak tu rozumieć taką np. głębokość:

Nieśmiertelność i Wszechmocność —
Oto dwa nowe żywioły!
Dotąd cielesnych czynów bezowocność
Wyżarła Ducha stodoły."

Bezowocność cielesnych czynów wyżarła ducha stodoły! Qui potest capere, capiat. A ileż to takich, lub podobnych ustępów w *Dziadach, Nieboskiéj Komedyi, Irydyonie?* Azyatyzm nawiał na aryjskie plemiona rozmaitych upiorów, z pod których duch europejski przez wieki nie może się otrząsnąć, i te bezładne chorych mózgów marzenia mają być brylantami poezyi! Nie chciałbym, ażeby mnie źle rozumiano. Nie myślę przeczyć pięknościom istotnym obficie rozlanym w dziełach romantyków naszych; sądzę jednak, że te mistyczne extazy nie są piękne. Być zresztą może, iż pokolenie obecne trzeźwiéj patrzące na świat, nie gustuje w tém, nad czém się poprzednie unosiło. Smak estetyczny zmienia się zarówno jak wszystkie pojęcia ludzkie. Poprzednicy nasi smakowali w takich np. wierszach Słowackiego (syna):

„Przy kościołku,
Mój aniołku,
Koronka,
Zonka,
Pieczonka;

Przy klasztorze,
Moj kaczorze,
Świętość,
Wziętość,
Nadętość;

Przy krzyżyku
Na stoliku
Fakta:
Dwa akta..."

My już w tém nie smakujemy, a chociaż przypomina Bakowskie rymy o Smierci niechybnéj, wcale do wesołości nie pobudza. Czytając powyższe i wiele innych a podobnych sensem wierszy romantycznych, przychodziło nam na myśl, jak niefortunnie wydawcy postąpili, zamieszczając w całkowitych wydaniach te częstochowskie obrazki, które wcale nie podnoszą genialnych poe-

tów naszych. Ta skrupulatność w przechowywaniu ułamków pisanych w złéj godzinie, dowodzi wprawdzie pobożnéj czci, ale sprawia wrażenie takie, jak gdy się z pysznéj komnaty przejdzie do rudery.

Według wymagań teoryi romantyzmu, poezye romantyczne powinny zawierać coś *oryentalnego*. Pod tym wyrazem rozumiem przenoszenie wyobrażeń, scen i obrazów Wschodu do utworów europejskich. Poeci romantyczni sądząc zapewne, że źródła, z których dotąd czerpano, już wyschły, zaczęli szukać natchnienia w podaniach i powieściach Wschodu. Znudzone jednostajnością oko w Europie, podążyło napawać się widokiem minaretów i krajobrazów azyatyckich. Uważano więc jak się zdaje za punkt honoru, żeby napisać tak coś *wschodniego*, jakieś sonety, jakiegoś *Araba* lub *Mnicha*, pogawędzić o Salaminie i Grekach. Jeżeli się nie mylę, lord Byron był tu przykładem. Lord Byron bowiem był typem dla naszych romantyków nietylko pod względem zamiłowania w oryentalizmie; sceptycyzm jego także się przebija u naszych poetów. Zaczęto jęczeć *weltschmerzem*, przeklinać, złorzeczyć i wzdychać tak po Byronowsku, że się ztąd urodziła nowa prawie forma poezyi zwana *Bajronizmem*.

Zdawaćby się mogło na pozór, że ta przymieszka oryentalizmu do romantycznych poezyi jest czémś przypadkowém, ucieczką przed nudami; tymczasem pamiętając o tém, że w romantyzmie uczucie zapanowało jedynie i wszechwładnie nad wszystkiemi władzami umysłu; można widzieć pewną konieczność w takiém powiązaniu z sobą: wygórowanego uczucia, mistycyzmu i oryentalizmu. Imaginacya poetów przechodziła te stopnie prawie koniecznie, wprawdzie nie zawsze po kolei, często spółcześnie, ale bądź co bądź logicznie. Czuli oni, że Wschód ze swojemi baśniami i strachami, ze swoją naturą dziką, olbrzymią, należy do składu ich umysłowego życia. Czary, upiory, duchy, strachy, wróżby, wieszczby, proroctwa, wizye—wszystko to lubo i w Europie się znajdowało swojego czasu, ale racyonalizm XVIII wieku przepłoszył te koszlawe utwory wylęknionéj imaginacyi. Przenosząc swoich bohaterów na Wschód, stawiali ich poeci romantyczni w lepszém otoczeniu, we właściwéj dla nich atmosferze, albowiem atmosfera europejska byłaby te kreacye swoim rozsądkowym chłodem zmroziła. Była tedy owa przymieszka oryentalizmu u poetów romantycznych czémś koniecznem, tak jak się to konieczność pojmuje w znaczeniu umysłowém, gdy wyobrażenia pokrewne kojarzą się, a różnorodne wyłączają. Ta cecha romantyzmu jest przynajmniéj dla nas zrozumiałą, i tak ją sobie tłómaczymy. Daleko

trudniéj jest zrozumieć wcielenie do romantycznych utworów metafizyki. Zdawałoby się, że metafizyka zabija uczucie, że zatém w poezyi miejsca dla niéj być nie może. Tymczasem znalazła się ona w poezyi, a nawet zdaniem teoretyków romantyzmu, nadała jéj dopiero filozoficzne namaszczenie. Związek romantyzmu z metafizyką objaśniamy sobie jak następuje:

Pod koniec zeszłego wieku i na początku bieżącego w sąsiednich nam Prusiech i w dalszych Niemczech panowała po uniwersytetach filozofia Fichtego, Schellinga i Hegla a w części Spinozy, którego przypomina Jacobi. Schelling osobliwie się podobał, był to bowiem filozof wielce do mistycyzmu skłonny, a nawet wykładał filozofią Objawienia. Zaczęto się i u nas zaprzątać temi rzeczami, znaleźli się wielbiciele Schellinga i podobnych jemu filozofów oraz wysnutych z ich systematów pojęć estetycznych sformułowanych przez Schleglów i Tieck'a. Natrząsano się z klasyków, którzy tylko La Harpa znali, a o téj niemieckiéj mądrości wcale nie słyszeli. Tym sposobem romantyzm przez pośrednictwo Niemców pobratał się z metafizyką i filozoficzną i religijną. Niebawem znalazł się teoretyk w osobie M. Mochnackiego, który jeszcze głębiéj wniknął w metafizyczne przepaści, i w rozprawie swojéj o *Literaturze polskiéj w XIX wieku* zaczął już niby na własną rękę metafizykować i *estetykować*. Rozprawa ta uchodziła za najlepszy płód teoretycznego romantyzmu i za pierwszy wzór literackiéj krytyki. Roztrząsając ją dzisiaj, trudno nam widzieć w niéj to, co widzieli romantycy: metafizyka Mochnackiego słaba jest i niezdarnie kopiowana z niemieckiéj *filozofii natury*. Niemniéj jednak był to umysł także niepospolity, i słowo jego przydało romantyzmowi metafizycznego namaszczenia.

Tyle co do filiacyi metafizyki z romantyzmem pod względem historycznego ich sojuszu. Ale kojarzyć się z sobą mogą tylko pojęcia pokrewne: gdyby więc nie było pewnego wewnętrznego pokrewieństwa między metafizyką a romantycznością, ten historyczny ich sojusz byłby przypadkowym, niczegoby nie dowodził. Otóż metafizyka jest treścią swoją pokrewna romantyzmowi. Metafizyka pyta o początek bytu, o tak zwane fundamenta istnienia i rozprawia o nieskończoności. Romantyzmowi tego właśnie potrzeba było, bo i on żadnych granic znać nie chciał i w nieskończoności czuł się jak w domu u siebie. Metafizyka gubi się w abstrakcyach, w pojęciach nieokreślonych, niepochwytnych, jest swojego rodzaju poezyą, czasami nawet bardzo zbliżoną do poezyi romantycznéj jak w Platonie lub Schellingu. Nie dziwi nas zatém, że poznał swój swego, i że romantyzm wciągnął do swoich pro-

roctw i do swojéj historyozofii metafizykę. Co większa, nadawało mu to pewną głębokość, otaczało nimbem poezyi filozoficznéj. W niektórych poematach romantycznych znać trochę metafizyki Heglowskiéj, w innych panteistycznéj. Tak *Syn Cieniów* filozofuje nieco panteistycznie, gdy mówi:

„Wszędzie kolebki—nie ma nigdzie trumny,
I wszędzie niebo—nie ma nigdzie ziemi,
I wszędzie bogi—nad tobą i w tobie,
Na każdém miejscu i o każdéj dobie,
Byłeś—nie jesteś, lecz znów będziesz z niemi!“

Albo oto ustęp jeszcze wybitniéj nacechowany indyjskim panteizmem:

„I wszystkie dusze, co wierzyły Tobie
I przez ciąg wieków spać się kładły w grobie,
Coraz to wyżéj z grobu w grób na zmiany
Wschodząc i żyjąc do ciebie wróciły!
Tém są na końcu czém w początku były—
Świat jeden ducha z twoim duchem zlany—
Lecz każda dusza na *ciebie* wyrosła,
I siebie samą w twoje łono wniosła;
I wie o sobie—że stała się synem
Równym Ci, Ojcze, i wiecznie jedynym.
Bo w każdéj jeden Ty jesteś o Panie!
I w każdéj wołasz „Ja,“ a oprócz Ciebie
Nigdzie nic nie ma...“

Krytyk znający dobrze dzieje umysłowe poety, jego walki z sobą samym, wpływ spółczesnych systematów filozoficznych, mógłby objaśnić genezę takiego *Syna Cieniów;* nam tu chodziło jedynie o małą próbkę—a jest ich więcéj—romantycznéj metafizyki. Nie dziwimy się jéj, gdyż jest ona rodzoną córką uczucia: miéj serce i patrzaj w serce!

Nareszcie do romantyzmu weszły i poezye gminne, jak tego sobie życzyła teorya romantyczności. Prawie każdy z poetów romantycznych uważał za konieczne przerabianie podań gminnych, i chociażby nie byli dopisywali na czele takich utworów, że są osnute na podaniach ludowych, łatwo się tego domyślić porównywając je z tém, co niańki dzieciom, a baby pod kądzielą starszéj młodzieży w czasie długich wieczorów zimowych opowiadają.

Zdawało się romantykom, że odkryli nową, złotodajną żyłę poezyi w tych podaniach i śpiewkach ludu prostego; rzucono się do zbierania tych bajek, a nawet do dziśdnia są jeszcze zbieracze układający śpiewniki z krążących między pospólstwem weselnych lub pogrzebowych piosenek. Jaka jest w istocie wartość poezyi gminnéj? Kto te legendy układał? Ile z nich powstało jako wyrób plemienia, a ile stworzyła rasa? Nie są to pytania nad któremiby się nie warto zastanowić raz jeszcze, pomimo że romantycy rzecz rozstrzygnęli i poezyą tę za pokrewną swojemu kierunkowi uznali. Że niejedna z legend może stanowić materyał poetyczny surowy, przydatny do kunsztownéj obróbki, to pewna: żeby jednak w tych samorodnych płodach pospólstwa upatrywać takie bogactwo jak sądzili romantycy, to już trudniejsze do zrozumienia. Utwory poezyi gminnéj, będące owocem dziecinnéj prawie wyobraźni, są po większéj części tak mało udatne, tak pozbawione jakiegokolwiek sensu, że tylko na uspokojenie krzyczących dzieci przydaćby się mogły. Już zaś poezya sięgająca wyżéj i przeznaczona dla ludzi, których i smak estetyczny wykształceńszy i pojęcia o świecie wielce różne od tych, jakie prostactwo przez pokolenia sobie przekazuje — nie potrzebowałaby aż tam szukać natchnienia. Utwory te mogłyby pozostać tém czém są, i dla tych, ku uciesze lub pociesze których ułożyły je wieki i nieznani bajarze. Dlaczego więc romantyzm zawrócił do poezyi gminnéj? Zdaje się, że upodobanie w mistycyzmie, w cudowności, nadzwyczajności, których poezya gminna jest w istocie skarbcem nieprzebranym, przekonało romantyków, iż podania, klechdy, legendy, bajki pełne duchów, strachów, diabłów, wilkołaków, że cały ten zaczarowany świat prostaczéj wyobraźni, doskonale przypada do ich wyobrażeń o tém, co jest poetyczném. Więc zaczęli w tym piasku poszukiwać złota — ale wydobyte niby złoto poezyi już nie mogło uchodzić za ten drogi kruszec w wyobraźni ludzi innego świata, innego że tak powiem pokroju. Témbardziéj spółczesne pokolenie nie może smakować w podobnych utworach poezyi gminnéj, gdy ludzie coraz mniéj się strachami i upiorami zajmują.

Tak więc w istocie, utwory romantyczne zawierają w sobie wspomniane wyżéj w definicyi romantyzmu elementa: uczucia tęskne za przeszłością, mistycyzm, oryentalizm, metafizykę panteistyczną i gminne podania. Jest-to mniéj więcéj cecha romantyzmu spólna temu kierunkowi w literaturze wszystkich zachodnich narodów Europy. Trzeba jeszcze dodać rycerskość czasów feudalnych, która weszła do romantyzmu zachodnio-europejskiego, a któréj prawie

nie znać u naszych romantyków poprostu dlatego, żeśmy u siebie nie mieli tych romantycznych czasów, kiedy to komesi wypadali z kryjówek i w biały dzień grabili podróżnych: zaczém nasi romantycy nie mogli wzdychać do tych błogich wspomnień i idealizować rycerskich rozbojów. Brak elementu rycersko-średniowiecznego u naszych romantyków, został jak zaraz zobaczymy czém inném zastąpiony, i dlatego właśnie czegoś innego stał się popularnym, a nawet zatryumfował dzięki temu pierwiastkowi, nad trejbhauzowym klasycyzmem. Ale to wzdychanie zachodnio-europejskich, mianowicie niemieckich romantyków do średniowiecznych wspomnień, było dla ich kierunku zabójczém, albowiem lękano się, żeby to pobratanie się ze średniemi wiekami, nie sprowadziło pławienia czarownic, sądów bożych i czartowskich pikników tak romantycznie pięknych.

Wspomnieliśmy, że romantyzm u nas oprócz cech wspólnych całemu temu kierunkowi, ma jeszcze właściwe sobie znamię, które go uczyniło popularnym. Brodziński pisał, że poezya romantyczna budzi uczucia tęskne za przeszłością. Otoż ta przeszłość nasza zamarła w rzeczywistości: romantycy wskrzesili ją w poezyi, a tym sposobem związali urwaną nić tradycyi, któréj klasycy podjąć i snuć daléj nie umieli. Jest to dodatnia strona naszego romantyzmu. Klasycy, z wyjątkiem Woronicza i Niemcewicza, tak ci co rymowali pod koniec zeszłego wieku, jako i ci co byli kopią francuzkiéj kopii na początku bieżącego, dziwnie obojętnie patrzali na to, co się wkoło nich działo. Wielkie wypadki, które się dokonywały na Zachodzie, usuwanie się gruntu pod ich własnemi nogami, wytrącenie społeczeństwa, pośród którego żyli, z organicznego życia publicznego; wszystko to przeszło mimo ich uszu, nie znalazło prawie echa w ich duszach. Niepojęte to w istocie, a jednak prawdziwe. Nieustające pochlebstwo możnym płynące odami, listami, i dytyrambami, nadzwyczaj odstręcza od klasycznego Parnasu naszego. Najzdolniejszy z klasyków, Trembecki, namalował swój i swoich portret, nad który lepszego najniechętniejszy klasycyzmowi romantyk nie mógłby nakreślić. Oto ten portret:

Portret Kiopka Szpica,
faworytnego króla Stanisława Augusta.

„Czy dola szczęsna, czy skołatana
Przez dzikie ludów narowy,
Ten zawsze strzegąc stóp swego Pana,
Żywot dać przy nich gotowy:

Z równością myśli wszystko to znosi,
Co zdarza dola niebieska;
Służy najwierniéj, o nic nie prosi,
Mójże to obraz, czy pieska?"

Ciążyły tedy na niektórych klasykach ciężkie grzechy: brak charakteru, pieczeniarstwo, rymowanie na zimno, podrzeźnianie francuzkich wierszorobów, a nadewszystko zatracenie swojskości, głuchota i niemota wobec najtragiczniejszych kolei, przez jakie przechodziło spółczesne im pokolenie. Wobec takiego zniżenia poetycznego tonu, nic dziwnego, że romantyzm nie dla swoich upiorów, strachów i duchów, ale dlatego, że uderzył w strunę prawie nietkniętą, znalazł chętne ucho. Z poezyi i przez poezyą dowiedziało się spółczesne romantykom pokolenie, na jakiéj mieliźnie osiadła nawa publiczna. Z odrętwienia i uśpienia letargicznego zbudzili romantycy społeczeństwo i nowy duch po niém powiał, duch swojski, już nie grecki ani rzymski, ani nawet średniowieczny rycerski, ale do gruntu miejscowy, i z mogił wykwitło życie bujne, ale życie przedewszystkiém uczuciowe. Pokazały się utwory po mistrzowsku kreślone, sięgające bądź w głębszą przeszłość, bądź w bliższe poetom czasy. A chociaż utwory te nie odpowiadały wymaganiom *Sztuki Rymotwórczéj* Dmochowskiego, chociaż bohaterowie tych powieści przenosili się jednym skokiem ze wschodu na zachód, albo z Londynu do Rzymu, ztąd na Mont-Blanc, a potém jadąc na chmurach spadali gdzieś nad Wisłą; jednak pomimo tych wszystkich nieprawdopodobieństw, spotykali gorące uznanie. Zaczęto się kusić o epopeję swojską, zaczęto w formie dramatycznéj wskrzeszać dawno minioną przeszłość i tym sposobem związano nić tradycyi. W tém podług mnie leżała siła romantyzmu i w tém wielka jego zasługa. Epopei w klasycznem znaczeniu nie stworzono, zdaje się bowiem, że wiek nasz zanadto jest chłodny, pozbył się wielu złudzeń, patrzy na rzeczy inném okiem niż greckie ludy, które czytywały *Iliadę*, lub nawet te, które smakowały w *Jerozolimie wyzwolonéj*; niemniéj jednak utwory naszych romantyków obfite są w bohaterskie epizody, które się zawsze podobać będą. W ostatecznym więc rezultacie nie potrzebujemy zazdrościć ani Grekom *Iliady*, ani Rzymianom *Eneidy*. Większe poemata Mickiewicza, Słowackiego, a częściami i Krasińskiego są nawet dla nas o wiele sympatyczniejsze niż gniew Achillesa lub nieszczęścia Eneasza. Pod tym względem nie ma, zdaje się, między nami wątpliwości, i gdyby klasycy ożyli, pewnieby sąd ich inaczéj wypadł niż wtenczas, gdy kruszyli kopie z romantyzmem.

Ale każdy prąd umysłowy, każdy kierunek bądź w naukach, bądź w sztukach pięknych ma swe dodatnie i swe ujemne strony; taka to już dola myśli i usiłowań ludzkich. Historya oceniając sprawiedliwie światła i cienie, wymierza sąd swój bezstronny zarówno na ludzi jak i na ich dzieła. Takiego sądu romantyzm jeszcze się nie doczekał, ani my też doraźnie wydawać go nie będziemy. To jednak pewna, że krytyka romantycznych utworów w literaturze naszéj zaledwie małą cząstkę roboty dokonała. Mamy kilka obszerniejszych rozbiorów prac Mickiewicza, porządne studyum Małeckiego o Słowackim, dość obszerną rozprawę Tarnowskiego o Krasińskim: wszystko to jednak są po większéj części wielbiciele zostający pod czarem prac roztrząsanych. Nadto, krytyczne owe artykuły są przeważnie literackiéj natury; na pływ romantyzmu w ogóle, na jego skutki i dla literatury i dla społeczeństwa mniéj zwracano uwagi. Chcemy tu więc jeszcze zastanowić się nad temi skutkami.

III.

W epoce, gdy kwitła poezya romantyczna, a czasy to jeszcze tak niedawne, popłacała teorya estetyczna, według któréj piękno ucieleśnione w sztukach pięknych jest samo dla siebie celem, jest jednym ze stopniów, po których się wspina idea bezwzględna w swéj wędrówce do zostania duchem bezwzględnym. Sztuka zatém według takiéj teoryi ma na celu, nie dążenie do uszlachetnienia społeczeństwa, lecz zadośćuczynienie dyalektycznemu rozwojowi idei bezwzględnéj: jeżeli zaś oddziaływa na społeczeństwo, to tylko pośrednio, mimo że tak powiem, swéj woli.

Pod tym względem t. j. co się tyczy pojmowania celu sztuki, dzisiaj zmieniły się nieco pojęcia; coraz mniéj o tém mówią, żeby sztuka miała być sobie saméj celem: przeciwnie uczą, że cel jéj równie jak nauki tkwić powinien w podnoszeniu społeczeństwa na wyższe uobyczajenia szczeble. I nietylko pojęcie o celu sztuki uległo zmianie: zmieniło się też wyobrażenie o jéj początku i rodowodzie. Nie mówimy bowiem, że idea bezwzględna zradza sztukę jako konieczny szczebel swojego rozwoju; lecz że uczucie piękna tkwiące w duszy człowieka na równi z innemi uczuciami, jak niemniéj potrzeby społeczeństwa, okoliczności śród jakich się rozwija, zradzają tę lub ową sztukę, że zatém nie może ona stać w odosobnieniu, ale musi być czynnikiem przykładającym się do rozwoju

moralnego społeczności. Przy tak zmienionem pojmowaniu i celu i rodowodu sztuki, muszą oczywiście uledz zmianie i sądy nasze o dziełach pięknych. Będziemy się pytali nietylko o to, czy poeta dobrze lub źle, konsekwentnie lub niekonsekwentnie przeprowadził swoje kreacye; lecz oraz jakie idee go ożywiały, do czego dążył w tych utworach fantazyi. Słowem będzie nam chodziło o zbadanie przewodnich myśli poety, o wywiedzenie się jak oddziaływał na swoich spółczesnych.

Pojmując literaturę w ogóle, a poezyą w szczególności jako zostające w ścisłym związku ze społeczeństwem; musimy się zapytać, co też ta ostatnia zrobiła na rzecz owego postępu społeczeństwa, który bądź co bądź, powinien być tak dobrze jéj, jak i wszelkich prac umysłowych naczelném zadaniem. Zobaczmy zatém choć pokrótce, o ile romantyzm u nas oddziałał na spełnienie tego zadania.

Ani publiczność, ani poeci nie zechcą zapewne przeczyć, że utwory fantazyi t. j. ich dzieła przeznaczone są do czytania lub wystawiania na teatrach: wszakże dla siebie nikt nie pisze. Ktokolwiek jest ten, co się publicznie odzywa, i bez względu na formę w jakiéj się odzywa, zawsze ma na widoku publiczność; a chcąc być czytanym lub słuchanym, musi albo bawić, albo uczyć, albo razem i jedno i drugie czynić. Słowem, piszący, świadomie lub nieświadomie oddziaływa na uczucia, wolę i rozum swoich czytelników. Już zaś dla normalnego rozwoju człowieka potrzeba, by jego uczucia, wola i rozum o ile można harmonijnie się kształciły i wzajem posiłkowały. Gdy damy wygórować jednemu kosztem drugiego, t. j. uczuciu np. nad rozumem, wówczas nastąpi nieład w rozwoju umysłowych zdolności, który koniecznie odbić się musi i w czynach ludzkich. Wprawdzie mówi się pospolicie, że ludzie częściéj się rządzą namiętnością, niż wyrozumowanemi pojęciami; niemniéj jednak zaprzeczyć nie można, by i pojęcia rozpowszechniane drukowaném słowem nie brały udziału i w codziennych i w ważniejszych sprawach ludzkich. Kierunek zatém spraw jakiegoś społeczeństwa zawisł w *pewnéj części* od jego literatury w ogóle, a jak w tym razie od literatury pięknéj. Nie myślimy twierdzić, że wszystko co jest, lub co było, stało się za sprawą literatury; wiemy, że na jeden czyn, na jedno zdarzenie wpływa tyle przyczyn i okoliczności, iż częstokroć niepodobna odrazu rozpoznać co stanowiło główną przyczynę a co występowało tylko jako okoliczności pomocnicze w przebiegu pewnego zdarzenia: dość nam jedynie stwierdzić, że literatura brała większy lub mniejszy udział w tych lub owych zdarzeniach.

Zrobiwszy to zastrzeżenie, utrzymujemy, że romantyzm u nas chociaż oddziałał dodatnio na rozkwit poezyi, jednak wpłynął bardzo ujemnie na rozwój nauki i bieg spraw społecznych. A to znów jakim sposobem? Oto najprzód przez nadmierne wytężenie struny uczuciowéj, a powtóre (co już było z pierwszego wynikiem), przez lekceważenie rozumu.

Że uczucie musi być głównym czynnikiem w produkcyi poetycznéj, tego nikt nie zaprzeczy: chodzi tylko o to, ku czemu owo uczucie będzie skierowane, i jakiéj skali dosięgnie. Jeżeli uczucie zwraca się ku przedmiotom nikczemnym i pospolitym, oczywiście nie podniesie tonu poetyckiego, i albo się wkrótce wyczerpie, albo przerodzi w ckliwą sentymentalność. Takich sentymentalnych poezyek znajduje się w dziełach naszych romantyków podostatkiem: jest to studenckie kwilenie przy *bladym blasku* księżyca. Jeżeli znów uczucie skieruje się ku przedmiotom wspaniałym, te i poetę natchną wzniosłą myślą, i czytelnikiem wstrząsną, lub go do podumania przywiodą. I takich podniosłego nastroju utworów romantycy nasi zostawili tyle, że ich starczy dla pary pokoleń. Ale uczucie, będące duszą poezyi, może być tak wytężone, może tak owładnąć poetą, że reszta władz umysłowych umilknie, rozum przestanie kontrolować działania imaginacyi, kreślone obrazy przybiorą formy olbrzymie, fantastyczne, uczucie przejdzie w extazę na wyrażenie któréj zabraknie farb odpowiednich w języku. Będzie to najwyższy romantyczności szczebel, ale też najniebezpieczniejszy dla niéj saméj—bo w tych sferach uczucie staje się samemu sobie nieprzytomne, musi się niedługo wyczerpać — a oczy zimnego rozsądku prędzéj lub późniéj w tych extatycznych utworach ujrzą karykatury. I takich karykatur romantyzm nasz niemało natworzył. Mieli więc słuszność romantycy, że się obawiali rozsądku: ma on *zimne nożyce*. Mistrz kazał im mieć tylko serce i patrzeć w serce. Rozum uważał za niebezpieczny, mędrców za niezdolnych do rozumienia prawd wysokich, bo „ich dusza ciemna jak mogiła.“ Uczucie to, spotęgowane do extazy dyktowało poecie te wiersze powtarzane potém nieraz naiwnie jako coś osobliwego, gdy radził młodości:

„Tam sięgaj, gdzie wzrok nie sięga;
Łam, czego rozum nie złamie.“

Uczucie zaczęło łamać to, czego rozum nie mógł złamać, i powiodło najprzód do czynów nierozważnych, a potém samo zgasło, zostawiwszy ludzi w zwątpieniu i bez przewodnika na dalszy

żywot, który przecież z uczuciem nie zgasnął i wlec go musieli wcale nieromantycznie. Na owoce tego wybujałego uczucia trzeba było poczekać pół wieku, ażeby się przekonać, że czego rozum nie złamie, temu młodzieńcze uczucie nie pomoże.

Gdy zatém romantycy zaczęli tak uczuciem szafować, zabrakło go najprzód ich następcom, dzisiejszym epigonom, do utworzenia czegośkolwiek ważniejszego; a powtóre drażniąc nieustannie uczuciową stronę społeczeństwa i tak już skłonnego do łez gorących, uczynili je niezdatném do mierzenia na chłodno rozwijających się dziejowych zdarzeń. Zdarzenia te sądzono kodexem romantycznym: miano serce i patrzano w serce, i tak się zapatrzono, że niespodzianie okazała się przepaść, wobec której najgorętsza fantazya musiała doznać śmiertelnych dreszczów i zimnym oblać się potem.

Czy to jednak nie zawiele na niekorzyść romantycznéj i na wskroś uczuciowéj poezyi? Możeż jéj być zadaniem kształcenie rozsądku, zbogacanie rozumu owocami doświadczenia wiekami nagromadzonego? Nie sądzimy, żeby poezya potrzebowała się ubierać w biret doktorski, żeby uczyła ludzi ładu panującego w świecie fizycznym i społecznym: trudnią się tém właściwe nauki. Nie mniéj jednak i poezya bierze pewien udział w dodatnim lub ujemnym kierunku ogólnéj cywilizacyi. Powinna ona idealizować ludzi i zdarzenia według skali prawdopodobieństwa, nie zaś chimerycznych, niebywałych i być niemogących; a tém mniéj godzi się jéj podsycać wiarę w upiory, czarownice i widma będące płodem ciemnoty. Tymczasem u naszych romantyków co rusz, co wiersz, wyskakuje upiór, duch, straszydło: nic się nie dzieje przyrodzonym porządkiem, wszystko nadzwyczajne, nieludzkie, gdzieś w chmurach, w otchłaniach. Może to poetyczne, ale co prawda dobre dla dzieci, które niańki także upiorami i duchami straszą. Podsycać i tak już zakorzenioną wiarę w guślarstwo, zjawienia, proroctwa delfickie, nie jest to służyć ani sprawie oświecenia rozumu, ani nawet zabawienia wyobraźni, która w naszych czasach cokolwiek wyleczonych z mistycyzmu, nie może smakować w tém, co tworzyła ciemnota. Pod tym więc względem romantyzm nie dobrze usłużył społeczeństwu. Prawda, że uniknąć tego nie mógł, gdyż jak Brodziński utrzymuje, poezya w ogóle a romantyczna przeważnie bez mistycyzmu obejść się nie może; przeciwnie zginąćby bezeń musiała. Lecz choćby to był i konieczny deus ex machina romantyzmu, nie mniéj jednak sprawił zły, a nawet gorszy skutek niż cały Olimp w poezyi klasycznéj.

Nieład w czynach i myślach będzie zawsze następstwem wygórowanego uczucia, które zechce *łamać to, czego rozum nie złamie*, ślepéj wiary także uczuciowéj, która *skuteczniéj przemawia niż szkiełko i oko mędrca.* Głoszenie podobnych maxym, nawet przy licencyi poetycznéj, musi koniecznie uchodzić za błąd, który prędzéj lub późniéj doprowadzi do pogardy nauki i doświadczenia, a mierzenia wszystkiego uczuciem: do egzaltacyi prowadzącéj za sobą rozczarowanie i zawody. Rozczarowanie i zawody, na które obecnie patrzymy, są w znacznéj części rezultatem romantycznéj poezyi, i rada nierada musi ona przyjąć odpowiedzialność za ten stan usposobienia umysłów.

Ale powiedziano wyżéj, że romantyzm ma u nas swoje znakomite zasługi przez ożywienie tradycyi i zwrócenie się do poetyzowania przeszłości, przez dotknięcie najsympatyczniejszéj a od klasyków zaniedbanéj struny. Co do tego punktu, trzeba się bliżéj przyjrzeć tym zasługom i zobaczyć, co one warte.

Przeszłość, zamarła w rzeczywistości, stała się tém droższą, że jéj wskrzesić nie można było. Spostrzeżono się, że stracono skarb, który jak to często bywa, nauczono się cenić dopiero po stracie. Romantycy zaczęli się rozglądać w przeszłości: skłonność plemienna ciągnęła ich do przekazania w pieśni klęsk i tryumfów należących już do historyi. Znając usposobienie romantyzmu, łatwo było przewidzieć, jakie sobie z przeszłości wybierze ideały. Wieków średnich w ścisłém znaczeniu nie mieliśmy u siebie; ale było coś podobnego, coś całkiem romantycznego, i to wtenczas gdy na Zachodzie dawno już minęły wieki średnie. Mickiewicz twierdził, że prawdziwy romantyzm kwitnął w wiekach średnich: trzeba więc było szukać czegoś analogicznego u siebie. I znaleziono te romantyczne elementa w zajazdach i najazdach, w buńczucznych i zawadyackich personatach, w rycerskich pożogach i zemście za prywatne urazy szlacheckie. Poeci może tu i nie tyle winni, co okoliczności czasu. Brak było za ich pamięci, a i teraz jeszcze brak bezstronnie zbadanych dziejów swojskich, brak téj rozumnéj i sumiennéj krytyki historycznéj, którаby nauczyła ludzi co z przeszłości cenić należy, a co powinno być napiętnowane ujemnie, a témsamém niezdatne do idealizowania poetycznego. Historycy nasi patrzali na dzieje swojskie to przez demokratyczne, to przez monarchiczne okulary. Znaliśmy jednego, który się już połączył z ojcami, utrzymującego, że *liberum veto* nie było niczém znów tak strasznem, ani tak naganném jak nieprzyjaciele wmawiają; inny radował się opisując jak szlachta roz-

niosła na szablach dokument w oczach króla, którego syna owym dokumentem za następcę obrać przyrzekła; trzeci znów cieszył się z demokratyzmu tak wcześnie u nas rozwiniętego: u wszystkich prawie zresztą na pierwszym planie tylko szlachta rębacze i krzykacze, jakby innych warstw w narodzie nie było. Dodajmy do tego paradox dość często powtarzany, że wina za złe nie w nas lecz w zewnętrznych okolicznościach gdzieindziéj leżała, a zrozumiemy, że poeci nie mogli czego innego podnosić i poetyzować, jedno te strony przeszłości, które i historykom najbardziéj się podobały. Owszem dla romantyków były to przedmioty jak najzupełniéj do ich smaku przypadające, rycerskie, przypominające średniowieczny *Faustrecht.* Takie epizody były najponętniejsze i najwłaściwsze w duchu romantyzmu do przedstawiania w epopowych ramach.

Potworzyli zatém nasi romantycy niby epopeje, których tłem społeczeństwo szlacheckie zuchwałe, krnąbre, nieszanujące praw, mściwe, pyszałkowate; a treścią najazd, zemsta z prywatnych i małoważnych pobudek, pożoga, mord, słowem rycerskość. Bohaterami są zwykle: jakiś wojewoda lub starosta brzuchaty, wąsaty, mściwy, zakamieniałego serca; jakiś romantycznie czuły rycerz, jakaś roztkliwiona niewiasta, a wszystko to powleczone tajemniczością także romantyczną. Nie chodzi w téj chwili o to, czy charaktery w tych utworach pół opisowych a pół dramatycznych są utrzymane w konsekwencyi z sobą, czy psychologicznie mogą być usprawiedliwione; chodzi o idee przewodnie, o typy wypowiadające te idee lub akcyą swoją oneż wyrażające. I pod tym względem uważane, pomysły i zdarzenia wybrane przez romantyków prawdziwe lub fikcyjne, najwięcéj zdaniem mojém grzeszą. Klasycy wybierali za przedmiot swoich opowiadań fakta dziejowe mniéj lub więcéj doniosłe, jakąś wyprawę np. pod Chocim, jakiegoś bohatera istotnie wielkiego, np. Czarnieckiego: epopeje ich może nie dorównały *Iliadzie*, ale zawsze przedmioty te nadawały się do kreślenia obrazów wspaniałych, podnoszących czytelnika: a jako pochodzące z lepiéj znanych czasów, mogły być podobne do rzeczywistości. Romantycy przeciwnie, szukali bohaterów swoich przeważnie w czasach mało znanych, ale bardziéj po romantycznemu rycerskich, w walkach z Krzyżakami, w peryodzie, który kronikarze niedołężnie opisali, gdzie więc zostawione było swobodne pole dla niesfornéj fantazyi. Ztąd postaci romantycznych bohaterów, bez względu na swoję wewnętrzną małość, musiały być kreślone niewyraźnie, niepewną ręką i przez to wychodziły naj-

częściéj mgliste, niepodobne do ludzi, pół widma a pół koszlawe olbrzymy. Było to jednak całkiem zgodne z duchem romantycznym.

Ale te nienaturalne i nieprawdopodobne postaci, ich działania, dyalogi i monologi mniéj nas tu zajmują; krytyka patrząca na nie ze stanowiska sztuki może im zarzucić wiele artystycznych niedokładności, to jéj zadanie: my chcemy jeszcze na jednę stronę romantyzmu zwrócić uwagę.

Romantycy chcieli wskrzesić przeszłość i wybrali z niéj to, co najmniéj było warte zachowania w pieśni: ujemne strony. Im zdawały się one dodatnie, lecz dalszy rozwój zdarzeń historycznych pokazał, że w istocie były ujemne: zajazdy, burdy, niekarność i ci co byli ich sprawcami, nie mogą stanowić ideałów dla pokolenia, które owoce tych rycerskich nasion zbiera. Romantycy nasi tego nie rozumieli: im się zdawało, że siłą uczucia można zakląć zbutwiałe formy i zbutwiałych ludzi, i powołać ich do życia w zupełnie zmienionych warunkach i okolicznościach. Dzieje ludzkie rozwijają się koniecznym związkiem przyczyn i skutków: dla romantyków zaś dzieje były przypadkową gmatwaniną, wśród któréj nie mogli znaleźć przewodniéj nici i chcieli zawracać rzekę do źródła.

Z tego nierozumienia dziejów ogólnych i swoich wynikł fałszywy pogląd na przeszłość i jéj roboty, i równie fałszywy program dla przyszłości. Przeszłość ta wygląda u romantyków jak Chrystus ukrzyżowany, którego to porównania używano często i nadużywano bez potrzeby. Chrystus był niewinny; cierpiał za wszystkich i wszystkich zbawił. A więc... przeszłość była także bez winy i powołaną jest do zbawienia rodu ludzkiego. Jak w układzie Ptolemeuszowym ziemia była centralném ciałem, około którego wszystkie inne krążyły; tak romantycy przeszłość zrobili tém słońcem, na które wszelkie zdarzenia powinny były ciążyć, osią, około któréj i dla któréj cały świat społeczny europejski musiał odbywać swoje obroty. Sofizmata te ubrane w powabne obrazy stanowiły długi czas kodex do sądzenia społecznych zdarzeń, i zasiały najfałszywsze wyobrażenia o przeszłości.

Pod tym względem, t. j. pod względem wpływu, jaki romantycy nasi wywarli na ocenianie przeszłości i urobienie wyobrażeń o przyszłości, jeszcze o ile nam wiadomo krytyka nie tykała prawie utworów romantycznych. To, co o nich pisano, nosi charakter przeważnie krytyki estetycznéj i literackiéj. Zostając pod urokiem artystycznym, krytyka nie zdała sobie sprawy o ile

i w jakim duchu oddziałał romantyzm na bieg zdarzeń spółczesnych. Naiwne, sentymentalne uwielbianie tego wszystkiego co pisali romantycy, osobliwie Mickiewicz, Słowacki i Krasiński, nie pozwoliło dotychczas wyrobić się krytyce sumiennéj i rozumnéj, któraby zwaliła niektóre bałwochwalcze sądy o romantyzmie i pokazała go zarówno z dodatniéj jak i z ujemnéj strony.

Powiadają, że każdy wiek lub pewien okres czasu ma sobie właściwe dążności, idee, które poruszają umysły i serca, ma swoje ideały, które urzeczywistnić pragnie. Chociaż nie jest to może żadném prawem, dałoby się jednak z dziejów umysłowego rozwoju okazać, iż w istocie tak bywa. Jakiż tedy ideał, jaki typ stworzył romantyzm, nad którego urzeczywistnieniem miało pracować spółczesne mu pokolenie? Typem, ideałem poezyi romantycznéj jest zapaleniec, fantastyczny marzyciel, na poły bohater, na poły szaleniec, który pragnąłby świat wysadzić z zawias i pchnąć go na nowe tory; który się nie rachuje z rzeczywistością, z faktami; w którego mózgu plączą się najrozmaitsze i najsprzeczniejsze pojęcia; trochę sceptyk, trochę idealista, który o sobie i podobnych sobie sprawiedliwie powiada:

„Oto ja sam, jak drzewo zwarzone od kiści!
Sto we mnie żądz, sto uczuć, sto uwiędłych liści.“

Naśladując Szekspira i Byrona, romantyczny bohater powiada na inném miejscu:

„Teraz czas, świat młodzieńca zapałem przemierzyć,
I rozwiązać pytanie: żyć? alboli nie żyć?“

Romantyk, albo co jedno znaczy bohater romantyzmu, ma swoję religią i swoję moralność, swoje wyobrażenia o przeszłości, swój pogląd na teraźniejszość. Jest on mistykiem; gdy chce być głębszym, jest panteistą lub sceptykiem. Jest demokratą lub arystokratą stosownie do partyi i zasad w jakich go wychowywano. Bohater romantyzmu jest mieszaniną pod względem charakteru tak nienaturalną, nieprawdopodobną, że gdy go się widzi w czynach lub rozważa jego słowa, trzeba mimowoli powiedzieć sobie: to karykatura człowieka. A jednak był czas, gdy w téj istocie upiorowéj podobano sobie, gdy niejedna dusza gorąca chciała zostać choć w miniaturze romantycznym typem. Egzaltacya posunięta prawie do obłąkania zmysłów okazała się być najwyższym szczeblem, na jaki romantyk wstąpiwszy rozwiązywał apokaliptycznym językiem zagadki bytu i losy narodów. I tym sposobem

romantyzm wyhodował marzycieli, którzy z *Irydyonem* pod pachą przebudowywali społeczność, rwali się do łamania tego, czego rozum złamać nie mógł.

Skutków tych romantycznego kierunku nie przewidywali klasycy, którzy przeciw niemu walczyli. Ich raziło w romantykach odstąpienie od prawideł poetyki Horacyuszowéj, prowincyonalizmy lub niegramatyczne zwroty mowy. Sam nawet Śniadecki bił głównie w tę stronę, obawiając się skażenia mowy. Tymczasem, trzeba to przyznać na chwałę romantyków, że język pod ich piórem najmniéj ucierpiał. Wprawdzie można sobie było życzyć, żeby „Greczynki nie *piały*, a także i Czerkieski;“ żeby nie „*piały* szumiące lasy;“ żeby ludzi nie „*pożałowano* w biskupy;“ żeby „*rozżaglone* łabędzie“ nie pływały; żeby się „trzody nie *wyperliły*;“ żeby się czas nie „*przeteraźniejszał*;“ żeby mniéj „było anielic *rozklęczonych*, *rozmodlonych* i *rozanielonych*:“ są to jednak drobnostki wobec prześlicznych i cudnym językiem nakreślonych obrazów. Skutki romantyzmu gorzéj daleko odbiły się w życiu pokolenia, niż w języku. Romantyzm to w znacznéj części sprawił, że mierzono siły na zamiary, a nie zamiary podług sił, że rozkołysano uczucie i z pogardą rozumu połączono lekceważenie doświadczenia; że uczuciem chciano wszystko mierzyć wtenczas gdy w około nas rozum coraz więcéj brał górę nad średniowieczną rycerskością, że powołano do życia czarownice upiory, widma, proroctwa, wróżby i całą maszyneryą dawno zardzewiałą, by wytrzeźwiony z banialuk umysł znów cofnąć do wieku dziecinnego.

Tak się przedstawiają skutki romantyzmu, wymienione tu zaledwie w drobnym ułamku. Wiem, że sąd ten powinienby być poparty liczniejszemi dowodami z dzieł samych romantyków: gdy to jednak przechodzi granice krótkiego artykułu, poprzestaję na tém ogólném wrażeniu, jakie na czytającym sprawiają utwory pierwszorzędnych naszych romantyków. Ktoby chciał utwory te poddać raz jeszcze krytyce, i rozważyć je nietylko pod względem estetycznym jako dzieła sztuki, lecz także pod względem ich wpływu na kierunek umysłów, uczyniłby istotną przysługę literaturze naszéj, a pośrednio przyczynił się do sprostowania wielu błędów z dobrą wiarą dotychczas powtarzanych.

Historycy literatury naszéj stereotypowo uczą, że płody umysłowe należy rozważać w związku z całém życiem społeczeństwa, przypatrywać się jak literatura oddziaływała na ludzi, jak znowu ludzie, zdarzenia, smak i uobyczajenie wieku na nią wpływały; ale gdy przyjdzie do rozwinienia tego zadania kończą zwykle na kilku wytartych komunałach i patetyczném uwiel-

bianiu, na niemém podziwianiu ubóstwianych wieszczów i wieszczek. Tak się ma osobliwie z ostatnim okresem literatury naszéj. Mniejsza o to, czy go nazywać będziemy Mickiewiczowskim, czy romantycznym. Należy rozważyć, co ten kierunek wniósł do społeczeństwa, jakie nowe idee, jakie pojęcia, i o ilę te pojęcia zasługują na uznanie lub odrzucenie. Żeby zaś zasługi nowego kierunku wystąpiły dobitniéj, należy go postawić obok poprzedniego t. j. klasycznego, ażeby ten kontrast pozwolił na jasne orzeczenie, co któremu z nich zarzucić, a co podnieść i uznać trzeba. Otoż pod tym względem i artykuły dorywcze i obszerniejsze prace dziejom literatury naszéj poświęcone grzeszą dwoma błędami: z jednéj strony poniewierają tak zwanymi klasykami, z drugiéj bez miary uwielbiają romantyków. A przecież i klasycy byli dalszym ciągiem tego samego historycznego rozwoju, który romantyków powołał do życia, i klasycy stanowili ogniwo w łańcuchu zbiorowéj myśli i także przyłożyli niejednę cegiełkę do poetycznéj świątyni, w któréj tylko romantykom palą się kadzidła. Klasyków ożywiały dążenia nie z La Harpe'a wysnute, ani też romantyków sam Szekspir, Byron lub Bürger wychowali: jedni i drudzy dla sławy swoich pracowali; tylko ze zmianą smaku zmieniły się estetyczne wyobrażenia o pięknie a témsamém utwory ich noszą inne znamiona i stosownie do tych wyobrażeń powinny być oceniane Nam dzisiaj ani Jowisze, ani uosobione Zemsty, Zazdrości nie przypadają do smaku; rażą nas równie upiory, szaleńcy, wiedźmy i cały ten kram nieokrzesanéj, gminnéj fantazyi. Wszakże po za tą różnorodną maszyneryą ten sam duch swojski pracował i w klasykach i w romantykach: stanowili oni ogniwa tego łańcucha indywidualnéj, plemiennéj naszéj myśli. Do historyka literatury należy bezstronnie ocenić zasługi i błędy jednych i drugich, chłodno, sine ira et studio: a do tego trzeba się wytrzeźwić tak z nienawiści do klasyków jak i z niemego uwielbienia dla romantyków. Jedni i drudzy byli koniecznemi przejawami specyalnéj naszéj myśli oraz dążeń i ogólno-europejskich wyobrażeń.

BULGARYA I BULGAROWIE.

Zarys historyczno-etnograficzny

przez

BRONISŁAWA GRABOWSKIEGO.

CZĘŚĆ DRUGA.

Teraźniejszość Bulgaryi.

Roszczenia Carogrodu.—Upadek patryarchatu.—Rządy biskupów fanaryockich.—Ruch unicki.—Upadek ruchu.—Egzarchat.—Skutki egzarchatu.—Dążenia młodo-bulgarskiego stronnictwa.

II.

Stosunki kościelne.

Niezależność pod względem religijnym była za czasów wolności politycznéj główném władców bulgarskich staraniem; dla niéj to monarchowie tacy jak Borys, Kalojan skłaniali się chwilowo na stronę Rzymu i ze stolicą papiezką zawiązywali stosunki. Dla téj to niezależności Symeon założył patryarchat bulgarski, którego zniesienie Jan Zimisces za najpilniejszą sprawę po podbiciu kraju poczytywał. Samuel dla oderwania się od Carogrodu arcybiskupa ochrydzkiego wyniósł na patryarchę; potém Asienowicze nie omieszkali dołożyć wszelkich starań, aby patryarchat, przez nich w Ternawie ustanowiony, mógł należne sobie stanowisko utrzymać, co im się dzięki smutnemu stanowi Cesarstwa Wschodniego, mimo niechęci i oporu w Konstantynopolu udało w zupełności. Przykład Bulgarów podziałał i na Serbów, i Duszan także ustanowił samodzielny kościół serbski z osobnym patryarchą w Pecu (Ypek). Słowianie z największym wstrętem patrzali na patryarchat carogrodzki, a zależność kościelna od owego dostojnika była dla nich również straszną, jak nieznośne jarzmo bizantyjskie.

Z drugiéj strony duchowieństwo greckie nie mogło się nigdy z tym stanem rzeczy pogodzić, roszczenia jego do władzy duchownéj nad Słowianami na Półwyspie nigdy nie ustawały, a patryarcha carogrodzki bulgarskiego swego kolegi bynajmniéj nie poczytywał za *równorzędnego* innym patryarchom (1). Zatargi pomiędzy obu dostojnikami kościoła nader często się odnawiały; carogrodzki wymagał, aby w Bulgaryi imię jego w modlitwach wspominano, a w r. 1355 patryarcha Kallistos groził patryarsze tèrnawskiemu, że go zapozwie przed synod w Konstantynopolu. Za Asienowiczów rozmaite biskupstwa w Tracyi i Macedonii przyłączały się do patryarchatu tèrnawskiego ku wielkiemu udręczeniu przeciwnika. Gdy Stracimir, aby oderwać się od brata, poddał się zwierzchnictwu carogrodzkiemu, o metropolią bdyńską sroga toczyła się walka, gdyż obaj patryarchowie osobnych metropolitów mianowali. Z upadkiem Carstwa Bulgarskiego upadł i patryarchat tèrnawski, a Grecy rzucili się chciwie na ofiarę, pod nogami ottomańskiego zdobywcy leżącą. Już w r. 1394 Carogród oddał dyecezyą tèrnawską biskupowi multańskiemu, jako podwładnemu swemu. Odtąd aż do r. 1870 na Bulgaryi ciążyło fatalne jarzmo duchowne greków, niemniéj straszne od tureckiego.

Po wzięciu Konstantynopola Mahomet II zatwierdził patryarchę na urzędzie. W ogóle Turcy pozostawili duchowieństwu greckiemu wolność pasienia i strzyżenia swéj trzody, jak mówi Kanitz, zwycięzca bowiem zanadto niém gardził, aby miał mu wiarę Proroka narzucać. Z wolności téj patryarchowie i metropolici korzystali w pełnéj mierze, odwdzięczając się za to Porcie Ottomańskiéj prawowitością, do granic nizkiego służalstwa posuniętą. Szczególniéj co się tycze narodu bulgarskiego, duchowieństwo greckie oddało Turkom nieocenione usługi: ono to postarało się skuć ducha narodowego takiemi łańcuchami, żeby Bulgarowie o przeszłości swojéj i odrębności narodowéj całkiem zapomnieli.

Oszczędzając, a nawet popierając duchowieństwo, rząd turecki doskonale swój własny interes pojmował; wiedział on, iż obowiązani mu do wdzięczności kapłani, będą w umysłach rajasów wpływem swym tłumili wszelką myśl oporu, zohydzając im bunt, jako grzech ciężki—tym sposobem zwycięzcy spokojnie będą owocu łupów i grabieży zażywali. Przy zbytkach sułtanów i baszów wyczerpywały się jednak nieprzebrane prawie skarby, ztąd zaszła potrzeba obejrzenia się za nowemi źródłami. Źródłem tém stała

(1) Jireczek str. 351.

się od XVI wieku sprzedaż godności patryarszéj. Kupców znaleziono w dzielnicy Konstantynopola, zwanéj *Fanar* (Fena-jer), gdzie mieszkali bogaci kupcy greccy, którzy z chęcią wciągnęli nową operacyą do swych obrotów finansowych, gdyż ta zapewniała im możność wyciskania od dusz, patryarchom podległych, ogromnych dochodów, jakie duchowieństwo zawsze zbierało.—Pierwszy przykład dał niejaki Szymon mnich—ten bowiem kupił godność patryarchy carogrodzkiego za summę 1000 dukatów, a zarazem zrzekł się wszelkiéj płacy ze skarbu publicznego. Na drugi rok cenę tę już zdwojono; a niezadługo patryarchów tylko na dwa lata mianować poczęto. W r. 1573 cena podniosła się do 6000 dukatów, a dziś dwadzieścia pięć razy jest wyższą, a nadto prawie drugie tyle pieniędzy potrzeba na przekupienie rozmaitych urzędników. Rozumie się, że podobne summy możliwe są jedynie dla członków bogatych rodzin, ztąd więc Fanaryoci utrzymali się przy monopolu i tylko wśród nich zachodzi konkurencya. Patryarcha odbija wydane pieniądze za pomocą sprzedaży biskupstw, których cena przeciętnie 4000 dukatów wynosi. Biskupi ze swéj strony sprzedają parafie więcéj dającemu; a frymark godnościami duchownemi do tego stopnia dochodzi, że niektórzy z bogatszych popów po kilkanaście miejsc naraz kupują, aby je potém z zyskiem odprzedać. Pop już bezpośrednio z ludzi winien wybrać tyle, by mu się koszta kupna wróciły, a nadto jeszcze żeby miał odpowiedni zarobek.

Hatti-Humajum obiecywał mianowanie dożywotnich patryarchów, nadto stawiał zasadę stałego uposażenia wszystkich niemuzułmańskich duchownych. Porta zalecała zwołanie synodu w celu wykonania powyższych artykułów, ale Fanaryoci potrafili synod ów, tyle dla siebie niepożądany, na nieokreślony czas odroczyć. Dążącym do władzy duchownéj nad całym Półwyspem dostojnikom carogrodzkim solą w oku musiały być wszystkie trzy inne niezależne na Półwyspie patryarchaty—to też nie omieszkali korzystać ze sposobności ich zniesienia, w czém pomagali im sami Turcy, widząc w fanaryockiém duchowieństwie pokornych służalców i dogodne sobie narzędzia. Jak obalono patryarchat w Tèrnawie, powiedzieliśmy wyżéj. W drugiéj połowie przeszłego stulecia przyszła koléj na Pec i Ochrydę—w r. 1767 Arseniusz, niezależny dotąd arcybiskup ochrydzki ze łzami w oczach drżącą ręką podpisał pod naciskiem zrzeczenie się, na korzyść konstantynopolitańskiego dostojnika. We dwa lata potém padł staroserbski patryarchat w Pecu—liczne wychodźtwo osłabiło było w staréj Serbii żywiół serbski, a patryarcha Bazyli, prześladowany przez tłoczących się na opuszczone miejsca Turków i zbisurmanionych Al-

bańczyków, uszedł do Rossyi. Fanaryoci nad całym Półwyspem rozpostarli swą władzę, jedna tylko Czarnogóra nie uznała ich roszczeń, a zabroniwszy pod karą śmierci greckiemu duchowieństwu przystępu do kraju, potwierdzenia dla swych władyków szukała u patryarchatu karłowickiego, założonego w r. 1740 dla wychodźców serbskich, do Austryi tłumnie uchodzących. Po wojnie za niepodległość i Serbia oderwała się od patryarchatu w Konstantynopolu, którego jarzmo zaciężyło nad Bośnią i Bulgaryą w okropny sposób. Zobaczmy pokrótce, jakie były skutki panowania greckich pasterzy nad bulgarską owczarnią.

Przedewszystkiém Fanaryoci o wiele pogorszali swym wpływem stosunek Turków do podbitego ludu; zamiast osłaniać przed prześladowaniem owieczki swoje, Fanaryoci przedstawiali ich jako buntowników i zdrajców, wiecznie z myślą rokoszu się noszących, których oni tylko wpływem swym na wodzy trzymać potrafią. Że zdzierstwa niesłychane praktykować się musiały, jasno każdy zrozumie, wziąwszy pod uwagę system symonii i nadzwyczaj wystawny żywot metropolitów i biskupów greckich. Wyższe duchowieństwo owo bynajmniéj oświaty ani ludu, ani prostych popów nie brało do serca. Ci ostatni, rekrutując się z ludu bulgarskiego, mało bardzo od reszty mieszkańców się różnią—a to prawie tylko strojem i brodą. Wykształcenie ich całe zasadza się na umiejętności czytania ksiąg świętych, którą nabywać muszą z praktyki, bo seminaryów duchownych nie ma wcale. Sztuka pisania niezawsze popom jest znaną; częstokroć chrzty, śluby i pogrzeby znaczą się karbami na kijach, zamiast zapisywania w księgach; zresztą pop wiejski chodzi za pługiem, sieje, żnie, pasie bydło tak jak każdy inny rolnik. Nie do uwierzenia prawie, jakie indywidua wyświęcali nieraz greccy biskupi; za dobry *bakczysz* nawet łotr powszechnie znany, mógł godności kapłańskiéj dostąpić.

Nie dbając o swych podwładnych, tém mniéj troszczyli się Fanaryoci o lud prosty i jego oświatę—owszem, utrzymywanie ludności w ciemnocie stanowiło ważny punkt ich planów. Co tylko w Bulgaryi dla wykształcenia narodowego poczyniono, stało się to bez udziału biskupów, a nawet na przekór ich chęciom, i pod tym względem rząd turecki więcéj cywilizacyjnych dążności okazał, bo władze niejednokrotnie napominały gminy chrześciańskie, by starały się o zaprowadzenie szkółek, czemu Fanaryoci usilnie zapobiegali. To protegowanie ciemnoty leży już to w pojęciu interesu wyższego duchowieństwa, już przypada do marzeń greckich co do odbudowania kiedyś wielkiego państwa Greckiego. W skład tego państwa winny wejść jeśli nie wszystkie prowincye, przez Bul-

garów zajmowane, to przynajmniéj Rumelia i Macedonia, gdzie słowiański żywioł ma liczebną przewagę. Nie mogąc już myśleć o całkowitém zhellenizowaniu Bulgarów, Grecy starają się o utrzymanie ludu tego w ciemnocie, bo w takim razie obczyzna i wynaradawianie się indywidualne łatwiejszém się staje. W tym to duchu działając, duchowieństwo usilnie popierało greckie szkoły, a często i grecki język narzucało kościołom—takie kościoły nawet między ludnością czysto-słowiańską nie bywały rzadkością. Dodajmy do tego wzgardę dla Słowian ze strony Greków dumnych ze starożytnéj wielkości i sławy,—doprowadzała ona do objawów fanatyzmu i wandalizmu takich, jak postępek Neofita, metropolity tèrnawskiego, który kazał spalić wszystkie rękopisy słowiańskie, w kościelném archiwum przechowywane. Oburzeni tym okropnym wandalizmem Bulgarowie podali skargę na Neofita, ale patryarcha osłonił metropolitę i w dodatku rozkaz uwięzienia skarżących wyjednał—i dopiero potém Neofit w skutku jakichś pospolitych przewinień, godności swéj został pozbawiony (1).

Znane są powszechnie wady nowożytnych Greków, a między innemi chytrość, chciwość, niesłychana żądza rozkoszy i niemoralność. Życie fanaryockiego duchowieństwa przedstawiało udoskonalony wzór tych wad narodowych — pod względem zbytku i przepychu prześcigali baszów samych, a występki pojedynczych biskupów przechodziły wszelkie pojęcie. Sama Porta czuła się w obowiązku r. 1850 napomnieć patryarchę urzędownie, iżby *metropolici i biskupi nie dopuszczali się takich czynów, jakich nie dopuściliby się najgorsi nawet ludzie.* Nic dziwnego, że wobec takiego położenia rzeczy, wydobycie się z pod jarzma duchowieństwa greckiego było przedmiotem najgorętszych pragnień bulgarskich. Gdy w r. 1860 objazd wielkiego wezyra Keprislego natchnął lud nowemi nadziejami, spodziewano się, że i pod względem kościelnym pewne obecnego stanu polepszenie nastąpi; ale oczekiwania się nie ziściły i nadzieje Bulgarów spełzły na niczém, do czego między innemi i złoto Fanaryotów się przyczyniło. Zawód, który spotkał Bulgarów, natchnął ich myślą szukania ratunku w zwrocie ku Rzymowi.

---

(1) Fakt ten nie jest jedynym w swoim rodzaju. W klasztorze Matki Bozkiéj *Preczista* w Kernowie (Albanii), opowiadali pani Karłowowéj mnisi bulgarscy, że przed dwudziestu kilku laty biskup Melecyusz, Grek rodem, zobaczywszy w klasztorze wiele starych rękopisów słowiańskich, kazał wykopać dół, spalić rękopisy i spalone resztki ziemią zasypać (Wiestnik Europy 1870 r. T. IV str. 178).

Już w początkach panowania Piusa IX, w Rzymie noszono się z myślą połączenia kościołów Zachodniego ze Wschodnim, i papież w tym celu zawiązał przyjazne stosunki z Portą, co jednak do niczego nie doprowadziło. Jasną rzecz, że ruch antfianaryocki musiał ze strony kuryi rzymskiéj gorącego doznać poparcia. Ruch ów rozpoczął się w końcu 1860 r. W wielu miastach bulgarskich powypędzano greckich biskupów, stawiąc na ich miejsce narodowych księży; nawet w samym Stambule gmina bulgarska groźbą wygnania przynagliła biskupa swego, Hilaryona, że oderwał się od patryarchy. Wiele gmin podpisywało adresy z żądaniem unii kościelnéj z Rzymem na zasadach zachowania oddzielnego rytuału, słowiańskiego języka w służbie bożéj i narodowego patryarchatu. Zwolennicy unii, między którymi odznaczali się literaci Cankowowie, autorowie wybornéj gramatyki bulgarskiéj, zwrócili oczy na Francyą, gdzie cesarz Napoleon III stał w zenicie sławy i znaczenia. Rządowi papiezkiemu niezbyt warunki unii przypadały do smaku, ale z innéj strony potrafiono wpłynąć na usunięcie skrupułów Rzymu.

30 Października 1860 r. deputacya bulgarska przedstawiła w Konstantynopolu wikaryuszowi apostolskiemu Bruноniemu adres do papieża, tysiącami podpisów okryty, z prośbą o przyjęcie narodu bulgarskiego na łono katolickiego kościoła. Krok ten obudził niechęć Rossyi i Anglii, i oba mocarstwa postanowiły zapobiedz unii. Starano się nakłonić obie strony nieprzyjazne: Bulgarów i patryarchę do wzajemnych ustępstw, ale obie strony o niczém słyszeć nie chciały. Tymczasem Pius IX (22 Stycznia 1861 r.) wydał bullę, zatwierdzającą unią i archimandrytę z Grabowa Sokolskiego wyświęcił w Rzymie na biskupa unitów bulgarskich. Wszelako unia małe robiła postępy pomimo usiłowań Jezuitów, Lazarystów i Zmartwychwstańców—Anglia i Rossya stawiały dziełu zjednoczenia z Rzymem wszelkie możliwe przeszkody, poparcie zaś ze strony Francyi, oraz innych państw katolickich było za słabe, aby miało odpowiednią przeciwwagę stanowić. Zrobiona Bulgarom nadzieja pokojowego załatwienia sprawy kościelnéj, która w gruncie rzeczy miała charakter administracyjny, a nie dogmatyczny, sprawiła upadek unii. Greccy biskupi poczęli wracać do swych dyecezyi, a Sokolski wraz z ogromną większością gmin unickich do dawnéj swéj wiary powrócił. By zapobiedz powtórzeniu się podobnego ruchu Rossya, przez posła swego generała Ignatjewa, nie szczędziła zabiegów u Porty w celu zadosyćuczynienia pragnieniom Bulgarów, i rzeczywiście dokazała tego, iż firman sułtański z dnia 12 Marca 1870 r. ustanowił niezależny egzarchat bul-

garski. Patryarcha konstantynopolitański, a z nim cały Fanar, widząc tylowiekowy łup, wydarty sobie w jednéj chwili, postanowili wytężyć wszystkie siły, by odzyskać stratę. Lubo cała kwestya miała czysto administracyjny charakter, Fanaryoci gwałtem kojarzyli ją z dogmatami wiary, a patryarcha krzątał się na wsze strony w celu zwołania soboru powszechnego, któryby sprawę tę rozstrzygnął. Odwołanie się do Synodu w Petersburgu w tym celu miało ten skutek, iż Synod uznał zwołanie owo za zbyteczne; Fanaryoci jednakże nie przestali agitować w tym duchu, koniecznie starając się, by odłączenie się Bulgarów uznane zostało za herezyą. Walka ze sfer duchownych przeszła i do ludu, a po miastach, jak naprzykład w Ruszczuku, trafiały się nawet bójki uliczne o kościoły, do których język słowiański wprowadzono. Mimo to usamowolnienie kościelne Bulgarów zostało faktem dokonanym, a *autokefalny* egzarchat rozwija działalność z pożytkiem dla uciskanéj tak długo przez Greków narodowości.

Z zadowoleniem jednego z najgorętszych pragnień bulgarskich osłabł duch rokoszu w Dunajskim wilajecie—aczkolwiek nie można powiedzieć, by miał zagasnąć całkowicie. Marzenia o zrzuceniu jarzma tureckiego dają sposobność agitatorom serbsko-bulgarskim, gromadzącym się w Bukareszcie, wywoływania pojedynczych, krótko zwykle trwających wybuchów, które tylko sprowadzają tracenie rokoszan i liczne deportacye do Azyi. W obecnéj chwili w Bulgaryi panuje spokój, chociaż powstanie hercegowińskie mogło być zaraźliwym przykładem i zachętą, ale rząd turecki rozwinął baczność, aby pożar i Bulgaryi nie ogarnął. Pewne oznaki i wiadomości dziennikarskie każą wnioskować, iż Bulgarowie nie śpią i w stosownéj chwili mogą Porcie Ottomańskiéj niemało kłopotów i trudności przysporzyć. Może niedaleka przyszłość pozwoli temu, najsilniejszemu liczebnie z ludów w Turcyi mieszkających, odegrać ważną rolę polityczną, a nawet odzyskać niepodległość, któréj dobija się w warunkach najniekorzystniejszych pod słońcem.

III.

Ziemie Bulgarskie.

Granice narodowości.—Góry.—Wody.—Klimat.—Płody.

Stan każdego narodu, jego rozwój fizyczny i duchowy nie jest jedynie rezultatem dziejowych wypadków, ale zarazem w zna-

cznéj mierze zależy od geograficznych warunków przestrzeni, na któréj ten naród żyje i działa. Obraz kraju pod względem geograficznym, musi koniecznie dopełniać opowieść o jego losach w przeszłości—ztąd w obecnym rozdziale przystępujemy do krótkiego opisu ziemi, gdzie Bulgarowie dzisiaj mieszkają. W opisie tym opieramy się głównie na dokładnym i jasnym przeglądzie oro- i hydrograficznym we wstępie do dzieła Jireczka. Autor starannie korzystał z prac podróżopisarzy takich, jak Boué, Blanqui, Hahn, Lejean, Kanitz, którzy sprostowali tysiące fantastycznych wiadomości o półwyspie Bałkańskim, powykreślawszy mnóstwo nieistniejących miast, gór, rzek i jezior, do niedawna jeszcze mapy Turcyi napełniających. Nadto p. Jireczek nie omieszkał zaglądać i do prac krajowych, co opisowi jego wiele dodaje wartości. Prócz tego opisu posługiwaliśmy się innemi jeszcze źródłami, zwłaszcza co do klimatu i płodów przyrodzonych, o czém p. Jireczek milczy. Z tych liczby, szczególniéj pomocnemi nam były dwa obszerne artykuły: „Z pamiętników Bulgara“ Karawelowa (Ruskij Wiestnik 1867, 3 i 4) i Podróż pani Karłowowéj w roku 1869 po Macedonii i Albanii odbyta, a pomieszczona w Wiestniku Europy 1870, 6 i 7—a nadto nieocenione dzieło Kanitza.

Granice narodowości bulgarskiéj daleko przechodzą po za granicę prowincyi, geograficznie nazwę Bulgaryi noszącéj. Można śmiało powiedzieć, że Bulgarowie stanowią przeważną massę ludności w prowincyach tureckich: we właściwéj Bulgaryi, Rumelii i Macedonii, jedynie tylko pas nadmorski węższy po nad morzem Czarném, szerszy po nad morzem Marmara i Egejskiém pozostał po Byzantyjskiém państwie we spuściźnie narodowości greckiéj. Na téj przestrzeni narodowość Bulgarska hojnie przeżyłowaną jest przez obce żywioły: Turków, Greków, Rumunów, Arbanasów, Tatarów, Czerkiesów i t. d. Po za wspomnionemi prowincyami, znajdziesz Bulgarów i w Austryi, mianowicie w Banacie, gdzie liczą ich około 23000. Są to potomkowie katolików, którzy już w XIV w. uchodząc przed prześladowaniem ze strony duchowieństwa wschodniego, wynosili się do ziem węgierskich. Mieszkając wśród ludności serbsko-rumuńskiéj, do greko-katolickiego kościoła należącéj, Bulgarowie ci zachowali katolicyzm, oraz język i obyczaj narodowy. W Siedmiogrodzie dopiero na początku bieżącego stulecia zrumuniły się osady bulgarskie, zostawiwszy kilka pomników swégo narzecza, które wydał Miklosicz p. t. *Die Sprache der Bulgaren in Siebenbürgen.* W Rumunii znajdziesz wsie bulgarskie rozrzucone po kraju, a po miastach liczni mieszkają Bulgarowie—w dodatku Rumunia stanowi główny przytułek dla tych, co muszą z pod pa-

nowania tureckiego uchodzić. W Bukareszcie obrał sobie siedzibę główny komitet młodo-bulgarskiego stronnictwa i tu organizowano oddziały powstańcze, co w ostatnich dwu dziesiątkach lat zaburzyły cmentarną ciszę w kraju. Większą massą zajmują w Rumunii Bulgarowie kraj na północ od ujść Dunaju pomiędzy Prutem a miastem Ismaiłem—przestrzeń ta należała była do Rossyi, ale w skutku traktatu paryzkiego odeszła do Mołdawii, przy czém większa część ludności słowiańskiéj wyniosła się w inne strony Rossyi. Kilkadziesiąt tysięcy Bulgarów mieszka w Bessarabii i w Krymie; są to wychodźcy, o których wyżéj mówiliśmy.

Prowincya, zwana Bulgaryą (u Turków *Bulgar-Ili*, albo *Bulgarek*), ma około 1600 mil kwadr.; na téj przestrzeni ma mieszkać do 3 mil. mieszkańców, którą to liczbę jedni zmniejszają na 2 mil., drudzy do wysokości 4 mil. podnoszą. Statystyka w Turcyi jest rzeczą niesłychanie trudną – cyfry urzędowe bardzo mało pomagają w dojściu do pewnych danych, gdyż obliczają jedynie głowy męzkie, opłacające podatek, nie troszcząc się wcale o kobiety i dzieci.

Główném pasmem gór na ziemiach, przez Bulgarów zajętych, są góry Bałkańskie, starożytny Haemus. Wyraz turecki *Bałkan* oznacza w ogóle *pasmo gór:* Bulgarowie górom tym dają imię *Stara Planina*, t. j. stare góry. Bałkany są właściwie przedłużeniem Karpat Banackich, oddzielonych korytem Dunaju, i długim łukiem ciągną się od zachodu na wschód aż do morza Czarnego. Od północo-zachodu idzie naprzód kilka łańcuchów stromych gór serbskich; właściwy Bałkan zaczyna się dopiero od góry, zwanéj *Iwanowa Liwada* (łąka Jana), która wznosi się na rozgraniczu Serbii i dwu baszałyków widyńskiego i niszeńskiego. Ku Dunajowi Bałkany opuszczają się albo szeregiem coraz niższych gór, albo w kształcie olbrzymich stopni, lub też wreszcie pochyłemi stokami. Od południa Bałkany przedstawiają strome, nagie skały, które od Pirotu aż do Mesembryi wyglądają niby jedna wielka ściana, 60 mil się ciągnąca. Geolog Hochstetter tłómaczy to skutkiem rozdarcia się Bałkanów na dwie połowy, z czego drugie pasmo gór, środkowemi zwanych, powstać miało. Góry Bałkańskie od północy nie uderzają niczém wzroku widza, szczytów i wierzchołków mają niewiele, przedstawiają jeden równy prawie przełęcz; z południa zato widok ich jest prawdziwie wspaniały. Zachodnie Bałkany składają się z pasma skał wapiennych i piaskowcowych, stromych z jednéj i z drugiéj strony. Na północ w okolicach warowni Belgradczik zwanéj, znajduje się romantyczna grupa skał, którą wychwalają Blanqui i Kanitz. Skały z czerwonego pias-

kowca mające kształt domów, wieży, obelisków, okrętów, ludzi i zwierząt, tworzą fantastyczne grupy i aleje, a drzewa zapuszczające korzenie swe w szczeliny, bujna zieloność, potoki szumiące pomiędzy skałami, malownicze tło pod całość podkładają. Blanqui woła z zapałem, że „Przesmyki Ollioulskie w Prowancyi, wąwozy Pancorbo w Hiszpanii, Alpy, Pireneje, najdziksze góry Tyrolskie i Szwajcarskie nie przedstawiają nic takiego, coby z tém w porównanie iść mogło.“ Kanitz w zupełności zapał Blanquiego podziela (1). Podobnież malowniczą jest *Wraczanska Planina*, gdzie idąc od północy, wędrowiec ujrzy gromadę olbrzymich mass wapiennych, gołych, a białych jak śnieg, wznoszących się niby kolumny, wieże, piramidy, a z górskiéj przepaści wypływa rzeka Lewa, z szumem tocząc się pomiędzy stromemi ścianami. Wschodnie Bałkany poczynają się na prawym brzegu rzeki Iskru od góry Murgasz, niejednokrotnie w pieśniach ludowych wspominanéj, z któréj wierzchołka widać miasto Sredec czyli Sofią, w kotlinie leżące, daléj góry aż do Rhodopu. Daléj zasługuje na wzmiankę góra Sopotska czyli Trojańska na 2,000 metrów wysoka, nagą cała z żyłami miedzi i srebra. Północny stok Bałkanów w téj stronie pokrywają wielkie lasy dębowe lub bukowe, południowy stromy niesłychanie składa się z łupku i miki. Podnoże z téj strony równe, jak gdyby podług sznura ucięte, u wejścia do krótkich, ale głęboko werzniętych dolin, zawsze znajdzie wioskę bulgarską. Przesmyków, pozwalających przebyć tę naturalną zaporę we wschodnich Bałkanach, jest siedm, prócz mniejszych ścieżek, przez gór grzbiety idących. Główne przejście, strzeżone przez dwie tureckie strażnice, znajduje się na północ od miasta Kazanliku; miasto owo ma cudowne położenie; wpośród niebotycznych gór ujrzysz rozległe ogrody różane--a miasteczko Szipka, u którego właśnie przesmyk się rozpoczyna, słynie z wyrobu różanego olejku. Za przesmykiem owym rozpoczynają się dziewicze lasy Bałkańskie, kryjące się w głębokich wąwozach i w niedostępnych prawie parowach. Bałkan składa się tu z granitu, gnejsu, a nagie szczyty i przełęcze sterczą ponad gęstym lasem bukowym. Tutaj po niedostępnych skałach, w lasów gęstwinie, w przepaścistych wąwozach, tułają się hajducy bulgarscy; ztąd każdy prawie zakątek związany jest z jakąś pieśnią lub podaniem. Pobyt w tych górach zimą prawie jest niemożliwy. Panajot Chitjow, hajduk, a potém wódz powstańczy, który całe Bałkany z jednego końca na drugi niejednokrotnie prze-

---

(1) Donau-Bulgarien und der Balkan str. 261.

nowania tureckiego uchodzić. W Bukareszcie obrał sobie siedzibę główny komitet młodo-bulgarskiego stronnictwa i tu organizowano oddziały powstańcze, co w ostatnich dwu dziesiątkach lat zaburzyły cmentarną ciszę w kraju. Większą massą zajmują w Rumunii Bulgarowie kraj na północ od ujść Dunaju pomiędzy Prutem a miastem Ismaiłem—przestrzeń ta należała była do Rossyi, ale w skutku traktatu paryzkiego odeszła do Mołdawii, przy czém większa część ludności słowiańskiéj wyniosła się w inne strony Rossyi. Kilkadziesiąt tysięcy Bulgarów mieszka w Bessarabii i w Krymie; są to wychodźcy, o których wyżéj mówiliśmy.

Prowincya, zwana Bulgaryą (u Turków *Bulgar-Ili*, albo *Bulgarek*), ma około 1600 mil kwadr.; na téj przestrzeni ma mieszkać do 3 mil. mieszkańców, którą to liczbę jedni zmniejszają na 2 mil., drudzy do wysokości 4 mil. podnoszą. Statystyka w Turcyi jest rzeczą niesłychanie trudną—cyfry urzędowe bardzo mało pomagają w dojściu do pewnych danych, gdyż obliczają jedynie głowy męzkie, opłacające podatek, nie troszcząc się wcale o kobiety i dzieci.

Główném pasmem gór na ziemiach, przez Bulgarów zajętych, są góry Bałkańskie, starożytny Haemus. Wyraz turecki *Bałkan* oznacza w ogóle *pasmo gór;* Bulgarowie górom tym dają imię *Stara Planina*, t. j. stare góry. Bałkany są właściwie przedłużeniem Karpat Banackich, oddzielonych korytem Dunaju, i długim łukiem ciągną się od zachodu na wschód aż do morza Czarnego. Od północo-zachodu idzie naprzód kilka łańcuchów stromych gór serbskich; właściwy Bałkan zaczyna się dopiero od góry, zwanéj *Iwanowa Liwada* (łąka Jana), która wznosi się na rozgraniczu Serbii i dwu baszałyków widyńskiego i niszeńskiego. Ku Dunajowi Bałkany opuszczają się albo szeregiem coraz niższych gór, albo w kształcie olbrzymich stopni, lub też wreszcie pochyłemi stokami. Od południa Bałkany przedstawiają strome, nagie skały, które od Pirotu aż do Mesembryi wyglądają niby jedna wielka ściana, 60 mil się ciągnąca. Geolog Hochstetter tłómaczy to skutkiem rozdarcia się Bałkanów na dwie połowy, z czego drugie pasmo gór, środkowemi zwanych, powstać miało. Góry Bałkańskie od północy nie uderzają niczém wzroku widza, szczytów i wierzchołków mają niewiele, przedstawiają jeden równy prawie przełęcz; z południa zato widok ich jest prawdziwie wspaniały. Zachodnie Bałkany składają się z pasma skał wapiennych i piaskowcowych, stromych z jednéj i z drugiéj strony. Na północ w okolicach warowni Belgradczik zwanéj, znajduje się romantyczna grupa skał, którą wychwalają Blanqui i Kanitz. Skały z czerwonego pias-

kowca mające kształt domów, wieży, obelisków, okrętów, ludzi i zwierząt, tworzą fantastyczne grupy i aleje, a drzewa zapuszczające korzenie swe w szczeliny, bujna zieloność, potoki szumiące pomiędzy skałami, malownicze tło pod całość podkładają. Blanqui woła z zapałem, że „Przesmyki Ollioulskie w Prowancyi, wąwozy Pancorbo w Hiszpanii, Alpy, Pireneje, najdziksze góry Tyrolskie i Szwajcarskie nie przedstawiają nic takiego, coby z tém w porównanie iść mogło.“ Kanitz w zupełności zapał Blanquiego podziela (1). Podobnież malowniczą jest *Wraczanska Planina*, gdzie idąc od północy, wędrowiec ujrzy gromadę olbrzymich mass wapiennych, gołych, a białych jak śnieg, wznoszących się niby kolumny, wieże, piramidy, a z górskiéj przepaści wypływa rzeka Lewa, z szumem tocząc się pomiędzy stromemi ścianami. Wschodnie Bałkany poczynają się na prawym brzegu rzeki Iskru od góry Murgasz, niejednokrotnie w pieśniach ludowych wspominanéj, z któréj wierzchołka widać miasto Sredec czyli Sofią, w kotlinie leżące, daléj góry aż do Rhodopu. Daléj zasługuje na wzmiankę góra Sopotska czyli Trojańska na 2,000 metrów wysoka, naga cała z żyłami miedzi i srebra. Północny stok Bałkanów w téj stronie pokrywają wielkie lasy dębowe lub bukowe, południowy stromy niesłychanie składa się z łupku i miki. Podnoże z téj strony równe, jak gdyby podług sznura ucięte, u wejścia do krótkich, ale głęboko werzniętych dolin, zawsze znajdzie wioskę bulgarską. Przesmyków, pozwalających przebyć tę naturalną zaporę we wschodnich Bałkanach, jest siedm, prócz mniejszych ścieżek, przez gór grzbiety idących. Główne przejście, strzeżone przez dwie tureckie strażnice, znajduje się na północ od miasta Kazanliku; miasto owo ma cudowne położenie: wpośród niebotycznych gór ujrzysz rozległe ogrody różane—a miasteczko Szipka, u którego właśnie przesmyk się rozpoczyna, słynie z wyrobu różanego olejku. Za przesmykiem owym rozpoczynają się dziewicze lasy Bałkańskie, kryjące się w głębokich wąwozach i w niedostępnych prawie parowach. Bałkan składa się tu z granitu, gnejsu, a nagie szczyty i przełęcze sterczą ponad gęstym lasem bukowym. Tutaj po niedostępnych skałach, w lasów gęstwinie, w przepaścistych wąwozach, tułają się hajducy bulgarscy; ztąd każdy prawie zakątek związany jest z jakąś pieśnią lub podaniem. Pobyt w tych górach zimą prawie jest niemożliwy. Panajot Chitjow, hajduk, a potém wódz powstańczy, który całe Bałkany z jednego końca na drugi niejednokrotnie prze-

(1) Donau-Bulgarien und der Balkan str. 261.

chodził, w opisie swych wędrówek, wydanym w roku 1872 w Bukareszcie, tak jednę noc zimową opisuje: „Wicher dął jak wściekły, śnieg bielał, rzeki i potoki szumiały żałośnie, po górach wyły wilki i jakieś ptastwo zimowe skrzeczało — zresztą nic więcéj ni widać, ni słychać nie było. Ciężko nam było iść naprzód, bośmy ciągle w śnieg wpadali. Przez całą noc ledwie zdołaliśmy trzysta kroków uczynić; wiatr nas popychał gdzie mu się spodobało i bardzo często na ziemię obalał.“ Najdziksza część Bałkanów ciągnie się do przesmyku Sliweńskiego, daléj góry rozszczepiają się na trzy łańcuchy: Mały Bałkan, Starą Planinę i Matejską Planinę. Przylądek Emine, wchodzący w morze Czarne, kończy pasmo gór Bałkańskich. W téj części góry składają się z wapienia i porfiru i po większéj części pokryte są lasem z buków, dębów, grabów, leszczyny i t. d. złożonym. W lasach żyją niedźwiedzie, wilki, lisy, sarny, jelenie, zające.

We wschodniéj Tracyi ponad morzem Czarném ciągnie się pasmo gór, zwane *Strandża*, oddzielone od Bałkanów wulkaniczną wyżyną pełną wygasłych kraterów. Strandża składa się z wapienia—ku morzu opuszcza się stromym stokiem, za to od strony lądu stok ów spada pochyło; pełno w niéj dolin i jaskiń, które według podań ludowych mają pod Bałkanem sięgać aż do Dunaju. Przez tutejsze dziewicze lasy dębowe, hajducy przechodzą z Bałkanów aż pod sam Carogród.

W kącie pomiędzy rzekami Tundżą i Marycą wznosi się granitowa *Sakar Planina,* dąbrowami zarosła, z któréj wierzchołka daleki widok się roztwiera. Na południo-zachód od Strandży i Sakar Planiny, leży niezmierna równina, gładka niby morze, bez drzew i wzgórków. Po piaszczystym lub gliniastym gruncie gdzieniegdzie rosną nizkie krzaki dębowe, większą jednak część przestrzeni pokrywa step, więcéj rumiankiem, ślazem, chwastami, aniżeli trawą zarosły; step ów skwary letnie w czystą pustynię zmieniają. Po tym stepie pasą się nieliczne stada; zato ujrzysz tu gromady bocianów, kawek i sępów, a w parowach niezliczone mnóstwo żółwi.

Pomiędzy Sredcem (Sofią) a Sliwnem równolegle do Bałkanu ciągnie się łańcuch gór, zwany przez Bulgarów *Sriedna góra.* Hochstetter, w niedawnych czasach zbadawszy należycie te góry, dał im nazwę *Rumelskich Gór Środkowych;* dawniejsze mapy zwykle zaliczały je do Bałkanów. Wschodnia część przedstawia szereg okrągłych szczytów, lasami pokrytych. Pomiędzy nią a Bałkanami, wśród niebotycznych gór po obu stronach, leży najcudowniejsza z dolin na świecie, dolina rzeki Tundży z miastami Kaloferem i wspomnionym już Kazanlikiem, pełna różanych ogrodów.

Na bezleśnym stoku południowym rosną winnice, a u stóp rozkłada się nieprzejrzana równina górnéj Tracyi, spichlerz Turcyi Europejskiéj, z nadzwyczaj żyznym czarnoziemem. W powodzi sadów owocowych toną wioski nieprzeliczone. Północna pochyłość gór środkowych, odpowiada całkiem południowemu stokowi, jest tak jak tamten stromą, z czego Hochstetter, jak również z kierunkn równoległego z Bałkanami, wniósł o rozdarciu się Bałkanów wzdłuż na dwie połowy.

W środku półwyspu, ponad źródłami Maricy, Iskru, Strumy i Niszawy, sterczy ogromny węzeł górski, dopiero przez Hochstettera dostatecznie wyjaśniony. Tutaj panuje nad całą okolicą olbrzymia skała Witosz, na 2,300 metrów wysoka, ze szczytem piramidalnie zakończonym. Ami Boué przepowiada Witoszowi, że z czasem przy rozwoju dróg żelaznych w Turcyi stanie się tém, czém jest Rigikulm w Szwajcaryi. „Czarownym jest“ mówi Boué, „Woden w Macedonii, romantycznem Tempe pod wysokim Olimpem, ale wszystko przechodzi widok z Witosza. Gdzież na świecie znajdzie tyle rozmaitych widoków z jednego łatwo dostępnego szczytu?“ Rzeczywiście z Witosza widać u nóg samych, niby w przepaścistéj głębi, Sriedec, w zielonéj schowany kotlinie, daléj Bałkany, znacznie od Witosza niższe, na południe znowu potężne góry Rylskie, Rhodopskie i cały labirynt innych gór i pagórków.

Z jakie cztery mile na południe od Witosza leżą góry Rylskie (Ryl-planina, Ryl-dag). Najwyższy ich szczyt dochodzi do 2,750 metrów. Okolica tutejsza przypomina Tatry; podobnie jak tam Pięć Stawów, Morskie Oko, Czarny Staw i t. p., znajdziesz tutaj ciemno-zielone jeziora, na ogromnéj wysokości pod szaremi, dziwnie poszarpanemi skałami położone. Woda z tych jezior, przez skalne szpary torując sobie drogę, tworzy liczne wodospady. Z pięciu stawów we wspaniałych dolinach, jeden nad drugim pomiędzy sporą kosodrzewiną leżących, wypływają dwa potoki, które łącząc się z sobą, tworzą Czarny Isker, do fal Dunaju zdążający. Po drugiéj stronie z sześciu innych stawów wypływa Krzywa Rzeka, wpadająca do Rylu, a z nią razem do Strumy. Ryła, słynna ze swych pstrągów, wśród wąwozu skacze bystro po kamieniach i skałach, pieniąc się, tworząc małe wodospady i głusząc szumem swym podróżnego. Nad rzeką sterczą strome góry, na 1,000 metrów wysokie, gęstym lasem jodeł, świerków i buków przystrojone. Starannie utrzymana, lubo nie szeroka droga wije się to po téj, to po owéj stronie rzeki; ponad rzeczką spotykasz mosty to drewniane, to kamienne, staréj budowy, z jednéj wysoko zgiętéj arki złożone. Droga ta, oczyszczona z kamieni i w miej-

scach niebezpiecznych w poręcze zaopatrzona, należy do najlepszych w Turcyi i prowadzi do starożytnego klasztoru z kościołem św. Jana Rylskiego. Sam klasztor leży w wąwozie na pagórku; wysokie góry zamykają go wkoło, osłaniając od promieni południowego słońca tak, że tutaj wiecznie piwniczny niemal chłód panuje (1). Po górach Rylskich błąkają się niedźwiedzie, rysie, ze skały na skałę skaczą dzikie kozy, w lasach pełno sarn, jeleni i dzików, a orły i sępy szybują w obłokach. Na północo-wschód od Rylu leży miasto Samokow, którego nazwa znaczy to, co u nas Kuźnice i pochodzi od hut żelaznych, w niém się znajdujących. Żelazo to dobywa się z piasku w potokach.

Od Rylu w kierunku południowym idzie system gór Rhodope (po bulgarsku Rudopa), doliną rzeki Mesty na dwie gałęzie rozdzielonych. Wschodnią gałąź, właściwą Rhodope lub po turecku Despoto-dag (Dospat planina po bulgarsku) stanowią massy granitowe, gnejsowe i mikowe, gdzieniegdzie wapieniem poprzerywane. Niższą część pokrywają dębowe i jodłowe lasy, nad niemi ukazują się krzaki świerkowe, daléj znowu pastwiska alpejskie, z pośród których wystają szare kamienie i skaliste piramidy z płatami wiecznego śniegu. Ciekawą jest kotlina na wschód od Rhodope, zwana *Ciepiną;* w niéj, w pośrodku leży jezioro *Batackie* albo *tresawiszte* t. j. trzęsawisko. Do brzegów jeziora nie ma przystępu, bo okala je bezdenne bagno, gęstą zarosłe trawą, niby zdradną zasłoną na zgubę nieświadomych przykryte. Na około pełniutko dzikich gęsi, różnego ptastwa wodnego, prócz tego wilków, lisów i zajęcy— w jeziorze zaś ryb niesłychana obfitość. Wody jeziora odpływają do rzeczki Jelidery, która przez ciasny przesmyk wypływa na równinę Tracką — z przesmyku owego co noc wieje wiatr południowy, zwany *weczernik.* W Ciepinie znajdują się obszerne jaskinie oraz źródła gorącéj wody. W okolicy miasteczka Pesztery są jaskinie lodowe i górskie jezioro. O mieście Bataku powiadają znowu, iż zima trwa tam ośm miesięcy, a owoce nie rodzą się wcale. Zachodnia gałąź Rhodopy idzie pomiędzy rzekami Mestą i Strumą na południe i rozmaite nosi nazwiska.

Na zachód od Rhodopy między rzekami Strumą i Wardarem rozciąga się kilka mało-znanych pasm; na północo - zachodnim krańcu, w górach *Osogow,* niedaleko miasta Kratowa, są kopalnie

---

(1) P. Karłowowa. Turecka prowincya i jéj żywot. Podróż po Macedonii i Albanii.

złota i srebra, z których już w wiekach średnich drogie kruszce wybierano.

Na granicy pomiędzy Macedonią i Albanią w kierunku od północo-wschodu na południo-zachód, ciągnie się wązkie pasmo nagich skał Szar-planiny (Szar-dag) z odosobnionemi ostrokręgowemi szczytami. Góry te mają spadziste pochyłości, od północy nagie, z południa porosłe lasem lub krzakami, mnóstwo potoków skacze bystro po kamieniach z gór szczytu, a gdy na wiosnę massa topniejącego śniegu przepełni ich koryta, niemałe sprawiają one spustoszenia. Szczyty Szar-planiny nie zostały jeszcze dokładnie wymierzone, niektóre z nich napewno mają przeszło 2,500 metrów. Z nich najwyższe są Korab, Kobilica i Lubotran, wszystkie trzy strome, dzikie i niełatwo dostępne. Najobszerniejszym jest widok z tego ostatniego: oko wędrowca obejmuje cały Szar-dag, labirynt gór północnéj Albanii, a nurza się w leżących u stóp dolinach Kosowego pola, Metochii i doliny rzeki Wardaru. Z dołu wspaniale wygląda Korab, ostrokrąg dolomitowy, szaro-żółtego jasnego koloru z trzema spiczastemi szczytami, z których środkowy jest nadzwyczaj ostry i wysoki. Po stokach niedostępnych Korabu skaczą dzikie kozy, urągając strzelcom i drapieżnemu zwierzowi.

W zachodniéj Macedonii, Grisebach (Reise durch Rumelien, 1841 r.) wyliczył na wschód od Szaru i Pindu cztery kotliny okrągłe, dokoła wysokiemi opasane górami, każdą z tych dolin skrapia rzeka, z gór powyższych biorąca początek, przez głęboki kanał z kotliny uchodząca. Na południe od rzeki Czarnéj wznosi się wspaniały marmurowy szczyt Nica albo Nidża, z któréj widać zielone, bezleśne doliny Bitolską i Prilipską, doskonale uprawne, ze 170 wioskami. Na południowém podnożu Nidży kończy się granica wiecznéj zieleni, kraina platanów i cyprysów, zawarta w prześlicznéj równinie południowéj Macedonii aż do morza. Z Nidżu dojrzysz także na północo-wschodzie ciekawą okolicę Moglenu, siedzibę fanatycznych Turków i poturczeńców, słynną z przyjemnego i zdrowego powietrza. W ogóle Macedonia z małym wyjątkiem jest krajem górzystym, labiryntem skał i kotlinowatych dolin. W jednéj z takich dolin, na południe od Nidżu leży jezioro Ostrowskie, do tego stopnia górami zamknięte, iż nigdzie nie ma odpływu.

Z wód na pierwszém miejscu należy postawić Dunaj (po bulgarsku Dunaw), granicę północną narodowości bulgarskiéj. Omywając brzegi Bulgaryi, olbrzymia ta rzeka, *beli Dunaw*, jak ją pieśń nazywa, *morze słodkiéj wody* według pisarzy bizantyjskich, zmierza do ujścia swego powoli. Brzeg bulgarski stanowi równą

wyżynę, ciągnącą się aż do podnoża Bałkanów, wyniesioną na jakie 60 metrów nad powierzchnią rzeki, a zatém pięć razy wyżéj aniżeli brzeg rumuński; widok z tego pierwszego sięga daleko po za rzekę i ukazuje kraj pięknie uprawny i zaludniony. Po brzegach Dunaju stoją ludne miasta, zwykle parami, jedno w Rumunii, drugie wprost niego w Bulgaryi, jak np. Widin i Kalafat, Ruszczuk i Dżurdżewo, Silistrya i Kalarasz i t. d. Delta Dunaju należy całkowicie do Bulgaryi i zajmuje 130 mil kwadr. Ujść głównych jest trzy. Pod miastem Izakczą Dunaj dzieli się na dwie odnogi: lewa kilijska omywa brzegi Bessarabii, prawa pod Tulczą dzieli się na dwie nowe odnogi: sulińską i święto-jerską. Obie krańcowe odnogi obecnie zaniedbaniu podległy, a cała żegluga i handel posługują się środkową sulińską odnogą. Na ziemiach bulgarskich do Dunaju wpadają liczne rzeki i rzeczki: Timok, Isker, Lom i t. d. Isker bierze początek pod Rylem z dwóch potoków Czarnego i Białego Iskru, Czarny, jakeśmy już wspomnieli, czerpie wody z pięciu stawów wysoko na górach, jeden nad drugim leżących. Potém Isker wchodzi w kotlinę sofijskiego pola, niegdyś dno jeziora stanowiącą i ztamtąd długim przesmykiem przedziera się przez potężną ścianę Bałkanów, dążąc do swego ujścia w Dunaju. Fale Iskru pędzą bystro w łożysku, niebotycznemi skałami ściśniętém, podmywają strome, niby prostopadle siekierą ścięte urwiska, a niosąc gromady drzewa, po drodze zabrane, ze straszliwym hałasem biją niemi o kamieniste ściany, niby taranem waląc o mury.

Pomiędzy Dunajem, Bałkanami a morzem Czarném, roztacza się ludna, żyzna, hojnie wodami skropiona równina bulgarska, z brzegiem wysoko nad rzeką podniesionym. Wschodnia część owéj równiny nosi nazwę Dobrudży, od wojewody bulgarskiego Dobroticza, który w końcu XIV wieku za panowania carów Aleksandra i Szyszmana tutaj niezależne państwo ze stolicą w Warnie założył. Jest to płaszczyzna, na 100 do 200 metrów nad poziom morza wyniesiona, w pobliżu ujść Dunaju gromadką lesistych pagórków rozcięta. Stanowi ona step trawiasty, ogołocony z drzew i poniekąd *puszty* węgierskie przypomina; poniżéj koczują pasterze owiec i kóz, aż z Siedmiogrodu tutaj przybywający. Dobrudża w pewnéj części posiada żyzne grunta i dobrze jest uprawną— trafiają się tu bagniste i nizkie miejsca, z klimatem nadzwyczaj niezdrowym; gorączki i zimnice dają się ludziom, zwłaszcza obcym we znaki, a w czasie wojny krymskiéj, Francuzi niemało ludzi w téj okolicy stracili. Prócz Dunaju, do morza Czarnego wpada jeszcze Kamczija, oddzielająca Mały Bałkan od głównego pasma.

Do morza Egejskiego czyli Białego, jak go Bulgarowie, Turcy i Grecy nazywają, wpadają trzy rzeki większe: Maryca, Struma i Wardar.

Maryca bierze początek pod Rylem i płynie przez sam środek pięknéj i urodzajnéj równiny Trackiéj, przez Bulgarów po prostu *polem* nazywanéj. Bezleśna owa równina odznacza się żyznością, zwłaszcza rodzi się tu ryż, dzięki sztucznéj irrygacyi. Największą z rzek, do Marycy wpadających, jest Tundża, wypływająca z pomiędzy Bałkanów i Średniéj góry— z początku płynie ona ze wschodu na zachód przez ową cudną dolinę, o któréj dwukrotnie wspominaliśmy.

Struma źródła ma pod Witoszem i po drodze swéj prawie ciągle przedziera się pomiędzy skałami, tylko miejscami żyzne i kwitnące mija doliny. Niedaleko od ujścia przepływa przez wielkie jezioro Tachynos i pod rozwalinami starożytnego Amfipolisu kres swój w falach morskich znajduje.

I Wardar, starożytny Axios, musi sobie drogę pomiędzy skałami torować. Wypływając z pod Szaru, płynie bystro, zkąd już w Iliadzie szybkopłynnym się zowie, i przyjąwszy w swe nurty wiele potoków i rzeczek pobocznych, między któremi największą jest Czerna, przez bagnistą deltę wody swe w morze Egejskie wylewa. Koludej, rzeczka blizko ujścia łącząca się z Wardarem, koło miasta Wodenu stanowi przedmiot podziwu podróżników. Przez samo miasto przepływa wielu odnogami a za niém, wielkiemi wodospadami rzuca się na dół z tarasu na 100 metrów wysokiego. Stok ten pod miastem zarosły jest granatami, wijącemi się roślinami; w gruncie widać małe stalaktytowe jaskinie, które ciągną się bardzo daleko. W XII wieku rzeka nad miastem ginęła pod ziemią, a owemi jaskiniami wypływała z pod ziemi; z czasem jednak jaskinie te zapchały się i woda w jezioro zbierać się poczęła. Skoro nastąpiło zupełne podziemnych kanałów zapchanie i woda w jeziorze z brzegów występowała, musiała sobie nowych dróg szukać przez miasto i owe wodospady wytworzyła. Z domów na krańcu tarasu stojących, oko podróżnika ogarnia rozległy krajobraz aż do Soluna, gór Chalcedońskich i morza Egejskiego.

Na południe Macedonii w kierunku wschodnim płynie wartka Bystrica; brzegi jéj tworzą podługowatą dolinę.

Do systemu wód morza Adryatyckiego należą w zachodniéj Macedonii dwa malownicze jeziora, wysokiemi górami rozdzielone, Presponskie i Ochrydzkie. Leżą one w okolicy gdzie narodowość bulgarska styka się z dzikimi Arbanasami, a do nich przyłączają się jeszcze Macedo-Rumunowie. Jezioro Prespoń-

skie leży w bardzo ludnéj i urodzajnéj kotlinie Prespą zwanéj, i składa się z dwóch nierównych jezior, piaszczystym pasem oddzielonych. Woda odpływa z niego dwoma podziemnemi kanałami, jednym podobno do jeziora Ochrydzkiego, drugim pod wysoką stromą górą o dwóch szczytach przepływa przez jaskinią, zkąd wychodzi jako szeroki potok, do rzeki Dewola wpadający. Nierzadko woda na długo, nawet na całe lata podnosi się tak wysoko, że jedno tworzy jezioro. Po jeziorze Presponskiém pływają na długich wązkich łodziach, z jednego pnia wyżłobionych. Jezioro Ochrydzkie owalnego kształtu, przezroczystością błękitnych fal swoich przypomina głośne jeziora lombardzkie. Okolica dzika; starożytne miasto Ochryd wznosi się z jednéj strony, z drugiéj strony widać ogromny klasztor św. Nauma, a za nim w dali drugi klasztor.

Z tego oro-i hydrograficznego obrazu, czytelnik może powziąć pojęcie, że przyroda nie skąpo obdarzyła ziemie bulgarskie pięknościami położenia. Nieliczni podróżni cudzoziemscy i krajowcy z uniesieniem mówią o skałach Belogradcziku, spokrewnionych z Adersbachem, o kotlinie Sofijskiéj i związanym z nią Witoszem, o dolinie górnéj rzeki Tundży, którą porównywają z doliną Granadzką, o cudach miasta Wodenu z jego kaskadami, nakoniec o rozkosznym owalu Ochrydzkiego jeziora. Brak komunikacyi, którym dopiero zaradzi większy rozwój nielicznych dróg żelaznych, a nadto brak tysiąca europejskich dogodności i ułatwień, na które turyści tyle są czuli, sprawiają, że cuda przyrody, których tu znajdzie tysiące, nie cieszą się takim rozgłosem jak Alpy szwajcarskie, albo o wiele skromniejsze gór szlązkich piękności.

O klimacie Bulgaryi różne są zdania. Kanitz (1) nazywa go bardzo łagodnym i powiada, że gorąco nawet w Sierpniu rzadko przechodzi 30° R., w zimie zaś nie bywa więcéj mrozu nad 18° R. Inni skarżą się na znaczną różnicę temperatury dziennéj i nocnéj, i nagłe zmiany pór roku.

Niewątpliwie klimat półwyspu Bałkańskiego o wiele jest surowszy, niżeli na półwyspie Apenińskim i Pirenejskim, lubo wszystkie trzy leżą prawie pod jednakowemi stopniami geograficznemi. I na samym półwyspie temperatura bywa różną, stosownie do stopnia wyniesienia ponad poziom morski. Szczyty Bałkanów już w Październiku bieleją od spadłych śniegów, kiedy u stóp jeszcze wszystko bujną zachwyca zielenią. Pani Karłowowa chwali jesienną pogodę Macedonii i powiada, że w Listopadzie dopiero

(1) Str. 53.

na wyżynach zachodniéj Macedonii spotkała się z chłodem i słotą, a choć na Bitolskiém polu miejscami śnieg leżał, za to w kotlinie Prespy, łańcuchem gór tylko oddzielonéj; było ciepłe wiosenne powietrze i na polach zieleniła się trawa (1).

Pod względem roślinności półwysep Bałkański także Apenińskiemu i Pirenejskiemu ustępuje. W Bulgaryi tylko nadmorska równina południowéj Macedonii koło ujść Wardaru i Bystricy, osłoniona ze wszech stron górami należy do pasa wiecznéj zieleni. Bardzo urodzajną jest równina, ciągnąca się na północ Bałkanów; powiadają o niéj, że zdolną jest wyżywić trzy razy większą ludność, aniżeli obecnie. Również żyzną jest równina Tracka ponad rzeką Marycą, spichlerzem Turcyi nazywana. Ze zbóż głównie uprawia się kukurydza, najważniejszy pokarm ludności, daléj pszenica, żyto, ryż (nad Marycą, gdzie w użyciu bywa sztuczne nawodnienie). Tytuń sieją po nad Wardarem i w innych odpowiednich miejscach w znacznéj bardzo ilości. Uprawa lnu, konopi i bawełny coraz bardziéj się rozwija. Z jarzyn hoduje się głównie groch, cebula i czosnek; ten ostatni pewnego rodzaju przysmak stanowi. Cebula gra rolę naszego kartofla, Bulgarom bardzo mało znanego. Z drzew wielkie mają znaczenie orzechowe, wszelkiego rodzaju owocowe drzewa, zwłaszcza śliwki, do robienia śliwowicy przydatne, nareszcie morwy. Jedwabnictwo bardzo jest w kraju rozwinięte. Po stokach gór zasłonionych od wiatrów ujrzysz bogate winnice, ale w ostatnich czasach podwyższenie opłaty od wina, w wielu baszałykach wprowadzone, szkodliwie na tę gałąź uprawy oddziałało. W niektórych miejscach całkowicie winnice porzucono. Na południe od Bałkanów w cudownéj dolinie górnéj Tundży hodują mnóstwo róż po ogrodach w celu fabrykacyi różanego olejku. Szczególniéj głośném jest z tego wyrobu miasto Szipka, u stóp Bałkanów leżące. Nazwa tego miasta oznacza krzak różany, i miasto rzeczywiście tonie w powodzi różanych ogrodów. Zbiór róż i wyrób olejku odbywa się w Maju; z okolicznych siół schodzą się dziewczęta i zrywają róże codziennie przed wschodem słońca, póki rosa z nich nie oschnie. Olejek zawozi się do Konstantynopola i ztamtąd rozwozi się po całéj Europie, gdzie go bardzo drogo sprzedają.

Bałkany prawie wyłącznie porosłe są dębami i bukami — gdzieindziéj znajdziesz prześliczne lasy liściaste i iglaste, a w Tracyi i Macedonii handel drzewem budulcowém na wielką skalę prowadzą.

---

(1) W. Eur. Czerwiec str. 728, Lipiec str. 180.

Ze zwierzęcego państwa, bulgarskie ziemie obfitują w konie, woły, bawoły, owce, kozy i drób wszelkiego gatunku. Bawół gra tu ważną rolę, dając się użyć do jazdy i roboty, w trójnasób siłą wołu przewyższa, zato też większego niż ten wymaga starania, zwłaszcza w suchych okolicach.

Bogactwa kopalne gór Bulgaryi, Tracyi i Macedonii są prawie nieruszone jeszcze. Z kuźnic żelaznych, bardzo w przestarzały sposób urządzonych, słynie wspomniony już Samokow, na północo-wschód od gór Rylskich leżący. Piasek złoty znajduje się w łożyskach Timoku, Jantry, Topolnicy (poboczna rzeka Marycy), a nad górną Strumą jest węgiel brunatny — obfitość drzewa jednak, dobywanie tego ostatniego zbytecznem dzisiaj jeszcze czyni.

IV.

Etnografia—Obce żywioły.

Turcy – Tatarzy — Czerkiesi — Grecy — Ormianie — Cincarowie — Albańczycy — Żydzi — Cyganie i t. d.

Na ziemiach powyżej opisanych, a stanowiących prowincye tureckie: Bulgaryą, Macedonią (za wyłączeniem półwyspu Chalcydyjskiego) i Rumelią (z wyjątkiem Konstantynopola z okolicą oraz całego pasa nadmorskiego) mieszka przeważnie ludność słowiańska, Bulgarów imię nosząca. Na pasie nadmorskim rozsiadł się żywioł grecki i od dawnych czasów odpycha Słowian od morza. I w obrębie swych granic narodowość bulgarska przeżyłowaną jest na wsze strony obcemi żywiołami. Zanim skupimy całą uwagę na Bulgarach, musimy pokrótce przejrzeć wszystkie obce naleciałości, które z łaski okoliczności zewnętrznych starają się tłumić żywioł rodzimy, czemu ten, jedynie dzięki swej liczbie i wytrwałości, nieprzezwyciężony stawia opór. Zaczniemy od plemienia zdobywców, panów tej ziemi, Turkow osmańskich.

Wszystkich Turków w Europie liczą na milion z górą głów; z tych blizko 400000 mieszka w samej stolicy, reszta rozlała się głównie po ziemiach bulgarskich. Miejscowości, przez ludność turecką zajęte wyglądają niby wyspy w słowiańskiem morzu. Turcy głównie mieszkają po większych miastach, jak Nisz, Widyn, Nikopol, Ruszczuk, Szumla, Sredec, Filipopol (po bulg. Filipe albo Plowdiw), Adryanopol i t. d. Po wielu miastach stanowią oni przeważającą liczebnie ludność. Miasta w Turcyi widziane z daleka, z chaotycznemi gromadami najróżnobarwniejszych

domów, z białemi meczetami i wysmukłemi minaretami, z cudowną zielenią cmentarzy i ogrodów, zachwycający przedstawiają widok. Za to, wszedłszy w ulice, podróżny spotyka się ze wszystkiém, co najzupełniejsze przeciwieństwo do zachodniego ładu i porządku przedstawia—ulice krzywe, wązkie, w błocie grubą warstwą leżącém gniją trupy psów, kotów, nawet koni, i wyziewami zgnilizny zarażają powietrze. Ludność muzułmańska zajmuje całkiem oddzielne od chrześcian dzielnice. Turcy zajmują wszystkie prawie urzędy, począwszy od wali-baszy, czyli namiestnika, aż do kancelaryjnych pisarzy, żyjąc głównie z tego, co uda im się wycisnąć od rządzonych przez siebie rajasów. System zdzierstw urzędowych jest nieodłączny od rządów tureckich; niższe urzędy kupują się od baszów oraz innych wyższych urzędników—to też z żadnym, choćby najniższym urzędniczkiem nikt bez *bakszyszu* czyli kubana (łapówki), do ładu nie trafi—a innych różnego rodzaju nadużyć niepodobna nietylko wyszczególnić, ale nawet policzyć. Cały stan urzędniczy w Turcyi jest straszną plagą kraju, gorszą od szarańczy i nieurodzaju, jest główną zaporą, krępującą ekonomiczny rozwój tego hojnie darami przyrody osypanego kraju i główną przyczyną nędzy, nietylko materyalnéj, ale i duchowéj mieszkańców. Karawelow daje wyborną charakterystykę wyższych urzędników tureckich (1): „Na prowincyi basza jest témże samém, co sułtan w Konstantynopolu; jest to tyran w małych rozmiarach, despota, a przytém nieodzownie głupim być musi. W Turcyi godności gubernatora, policmajstra i inne, otrzymują się nie według zasługi lub zdolności, lecz dzięki osobistéj łasce sułtana, wielkiego wezyra, sułtanki-walidy, baszów“ i t. d.

„Zresztą w Turcyi baszy nie mianują przez wzgląd na dobrobyt kraju; żyje on i działa nie dla honoru lub sławy, ale dlatego, by utrzymywać przy sobie gromadę kobiet, tak samo jak i on ciemnych i rozpustnych, oraz gromadę chłopców, eunuchów, kilkaset koni; dlatego, żeby żyć bez pracy, nie troszcząc się ni o dzień jutrzejszy, ni o przyszłość państwa, ni o własną nawet przyszłość. Nowomianowany gubernator, przybywszy do swéj gubernii, zwykle za pierwszy obowiązek poczytuje sobie okazanie surowości; przechadza się więc po mieście, ogląda porządek, kilku ludzi każe stracić, a kilku znowu pakuje do więzienia. Takie środki dają wysokie pojęcie o cnotach i działalności nowego gu-

(1) Rusk. Wiestn. 1867. 3, str. 386.

bernatora. Od pisarza do gubernatora wszyscy żyją z dochodów z zajmowanych urzędów, dlatego, że albo wcale nie otrzymują płacy, albo też bardzo nieznaczną; nadto każdy stara się co prędzéj odebrać summę, na otrzymanie urzędu wydaną. Takim sposobem cały zarząd jest tylko łupieztwem, w system ujętém—łupieztwem wieśniaków, kupców i sarafów (bankierów); od tych ostatnich wypożyczają się pieniądze na wieczne nieoddanie. Chociaż baszowie co rok się znieniają,—mimo to nowy basza zwykle tak samo jak i wszyscy jego poprzednicy postępuje. Po gubernatorze najważniejsze miejsce zajmuje *kady*. Wstąpiwszy na urząd, kady za pierwszy swój obowiązek uważa pozmieniać wszystkich swoich podwładnych. Za kadym idzie *tiufekczi-baszi* (oberpolicmajster), potém członkowie rady (medżlisu), miejski *czorbadżi* (burmistrz, starosta z pośród chrześcian wybierany) i t. d. Te i wiele innych miejsc basza sprzedaje, lub darowywa swym kucharzom, *kawedżijom* (kawiarzom), woźnicom i t. p. Czy podobni zarządcy mogą mieć co wspólnego z głośném odrodzeniem Turcyi?“ Czy może istnieć choć cień jakiegoś porządku społecznego przy takiéj administracyi, gdzie nic nie widać, prócz panowania złego i występku?“ Prócz urzędników są jeszcze po miastach Turcy kupcy i rzemieślnicy, oraz motłoch, niewiadomo z czego żyjący. Kupcy tureccy rozkładają w *czarszijach* (gościnnych dworach, bazarach) obok chrześciańskich kolegów towary swe, spokojnie z czysto oryentalną flegmą oczekując kupujących; rzemieślnicy pracują w tychże samych sklepach, gdzie swe wyroby sprzedają.

„Turcy, niemający majątku, mówi daléj Karawelow, i niezajmujący urzędów są nieokrzesani, ciemni i prawie nie znają wygód życiowych... Są oni w najwyższym stopniu leniwi, rozrzutni i zarażeni wszystkiemi zwierzęcemi występkami, które przy ubóztwie jeszcze jaskrawiéj i wstrętniéj się wydają. Zobaczcie ich w kawiarni tureckiéj, tam siedzą, palą tytuń, piją kawę gorzką, bez cukru, przysłuchują się muzyce i zachwycają tańcami *kieczeków* (chłopców tancerzy) — są to biedacy, nazywani *czapkynami* (włóczęgami),—biedacy, którzy nie mają ziemi, albo jeżeli ją mają, to uprawiać jéj nie chcą, uważając to za poniżające prawowiernego Turka; nie umieją żadnego rzemiosła, patrzą na pracę, jako na rzecz, stosowną tylko giaurom, i żyją jedynie z gwałtu i łupiestwa.“ Po wsiach przeważnie mieszkają chrześcianie, ale gdzieniegdzie trafiają się sioła tureckie, zwłaszcza osady wychodźców z Azyi, zwanych *jurukami*, które podobnie jak i wsie zbisurmanionych Arbanasów, Bulgarów i Rumunów, wyglądają nader nędznie i ubogo—dowód, że tam żyją ludzie, co się za wyższych nad obo-

wiązek pracy poczytują. Gdzieniegdzie znajdziesz wsie, stanowiące tak zwane *czyftliki*, t. j. własność ziemską bogatych Turków, którym wieśniacy obowiązani są oddawać *tretinę*, t. j. trzecią część zbiorów, lub połowę, jeśli od właściciela otrzymują inwentarz albo zboże do siewu. Pańszczyznę (hariją) odrabiano do r. 1854; właściwie była ona nadużyciem, przymusową robotą, za którą *bejowie* nie płacili wcale, albo bardzo mało— ale rząd turecki pod naciskiem mocarstw zachodnich zniósł ją zupełnie.

Szczególniejszą protekcyą rządu cieszą się Tatarzy i Czerkiesi; ci po wyemigrowaniu z Rossyi, w Europie wyłącznie w Bulgaryi osadzani byli. Osady tatarskie liczniejsze są we wschodniéj Bulgaryi, zwłaszcza w Dobrudży i przedstawiają kwitnące wsie z pięknemi białemi domkami, ogrodami, dobrze uprawnemi niwami, pasiekami i licznemi stadami koni i owiec. W każdéj wsi znajdziesz meczet i szkołę — potrzebę bowiem oświaty Tatarzy czują w wysokim stopniu. Gościnność, umiarkowanie, zamiłowanie w pracy, w życiu rodzinném, a nadto spokojny charakter, znamionuje tych potomków dzikich hord, co niegdyś były postrachem Europy i wcieleniem wszelkiéj dzikości i barbarzyństwa.

Całkiem odmiennie przedstawiają się osady czerkieskie. Wojowniczy mieszkańcy Kaukazu bynajmniéj nie mają ochoty do życia rolniczego, jakie w nowych siedzibach prowadzić mieli; gospodarstwa ich stoją pustką, potracili pieniądze dane sobie na zagospodarowanie, posprzedawali bydło, kobiety i obecnie uciekają się do rozbojów, łupieztwa i kradzieży. Porta Ottomańska, osadzając Tatarów i Czerkiesów, miała na celu trzymanie rajasów w szachu; chciała ona mieć ludność, któraby na przypadek rokoszu chrześcian, mogła tworzyć milicyą, ożywioną nietylko religijnym fanatyzmem, ale i sąsiedzką zawziętością. Pod tym względem, o ile się zdaje, Tatarzy zawiodą oczekiwania rządu; za to Czerkiesi skwapliwie chwycą za broń i dadzą dowód, że orężne rzemiosło jest ich drugą naturą.

Obok Turków z roszczeniami do przodownictwa, do władzy, do arystokracyi duchowej i społecznéj, występują Grecy. W Turcyi Europejskiéj liczą ich do półtora miliona, zajmują oni najruchliwsze i najzamożniejsze dzielnice w Stambule, cały pas nadmorski, począwszy od ujść Dunaju, półwysep Chalcydyjski, Tessalią i południową Albanią. Prócz tego Greków niebrak w każdém znaczniejszém mieście. W handlu oni rej wiodą, bankierskie interesa prowadzą na wielką skalę; do ustanowienia egzarchatu wszystkie ważniejsze miejsca kościelne w swych ręku dzierżyli, traktując

kwestyą religijną, niby olbrzymią a korzystną spekulacyą. Do bardzo niedawna narodowość grecka posiadała znaczną siłę przyciągającą dla Bulgarów; niejeden Bulgar, dorobiwszy się majątku, osiadał w mieście, przekręcał nazwisko swoje, aby miało grecki pozór, i poczynał wstydzić się ojczystego języka. Do owego przeobrażenia wielce przyczyniają się kobiety, które lubią z *bulgarskiéj skóry robić grecki safian*. Greczynki i zhellenizowane Bulgarki mają wstręt do pracy, nie czytają nic, chyba jaki romans Dumasa lub Pawła Kocka, na nowo-grecki język przełożony i wydany w Atenach — a zbytkami swemi w stroju nierzadko mężów do ruiny i bankructwa przywodzą. Damy owe, *kokony*, jak je w Turcyi nazywają, odgrywając rolę pionierek mody, są dowodem, jak na ziemiach ottomańskich cywilizacya zachodnia przejawia się tylko w blichtrach zewnętrznych, i to w karykaturalnych formach jedynie.

Do wynaradawiania Bulgarów przyczyniały się także i szkoły greckie. Szkół narodowych wyższych nie było wcale, a w niższych, i to nieraz nawet w czysto bulgarskich okolicach wprowadzano obczyznę, rugując z nich cały żywioł słowiański. Charakterystyczny obrazek greckiego *gimnazion* w Filippopolu podaje Karawelow (1). „Greccy nauczyciele przyjęli mię z góry, zakazali nosić ubiór bulgarski i mówić po bulgarsku, grożąc w przeciwnym razie rózgami. Starszy nauczyciel Xantos, wychowaniec uniwersytetu wiedeńskiego, wykładający greckich klassyków, a szczególniéj Platona, bił pięścią, a jednocześnie prawił o miłości ku ludziom. Litera *theta*, któréj Bulgar nie wymówi odrazu, niejednokrotnie poruszała pięść wiedeńskiego filologa. Oprócz klassyków w *gimnazionie* uczono arytmetyki, katechizmu i geografii. Historyą Bizantyjskiego państwa i Grecyi przechodzono bardzo obszernie, o wszystkich innych narodach robiono wzmiankę na jakich pięciu, sześciu stronicach (2). Do greckich szkół rodzice oddają dzieci, żeby się w w domu nie kręciły i ja, *ośmnastoletnie dziecko* musiałem znosić szyderstwa dzieciaków za to, że nie mogłem wbić sobie w głowę katechizmu w języku całkiem dla mnie niezrozumiałym, i dostawałem za to batem z pobożnych rąk metropolitalnego dyakona Grzegorza. Z początku wziąłem się gorliwie do dzieła,

---

(1) Rusk. Wiest. 1867. 3. str. 387.

(2) W *Gimnazionie* tym uczono także po turecku, jak autor nieco wyżéj powiada.

ale przyszedłem do przekonania, że lepiéj brać baty, niżeli nabijać sobie głowę grecką scholastyką. Zrobiłem się leniuchem. Jedno tylko wyniosłem z *gimnazionu:* nauczyłem się grzbiet zginać, pochlebiać, kłamać, kłaniać się, byleby tylko trafić nauczycielom do gustu.“

Lubo Grecy tureccy są bardzo dalecy od idealistycznych marzeń i handlowe swe interesa wyżéj nad wszelki patryotyzm stawiają, wszelako ulubioną ich mrzonką jest wielkie państwo helleńskie w granicach dawnego Bizancyum (rozumie się w najświetniejszych jego czasach), któreby mogło po spodziewanym kiedyś Porty Ottomańskiéj upadku, zapanować jeśli nie nad całym, to przynajmniéj nad większą częścią Bałkańskiego półwyspu. Ideologom owym wielce wadzi massa ludności słowiańskiéj, zalewająca dawną Mezyą, Tracyą i Macedonią; ziemie te uważają oni za niezaprzeczone swoje dziedzictwo, i dlatego też *barbarzyńcy* owi powinni być jedynie gruntem, na którym ma się przyjąć cywilizacya helleńska. W tym duchu pracowało duchowieństwo fanaryockie, ale w końcu doznało porażki. Chociaż nizko bardzo stanął Bulgar, do czego się cywilizatorowie owi przedewszystkiém przyczynili, jednakże ani kultura nowo-grecka, niedołężna pretendentka do spadku po klassycyzmie starohelleńskim, ani charakter dzisiejszych Greków, sławny ze swéj nieuczciwości i niemoralności, ani liche szkoły, wszystko to nie mogło mieć tyle przyciągającego wpływu, aby Bulgara do narodowości greckiéj i mrzonek patryotów bizantyjskich mocnemi przywiązać węzłami. Owszem świeża jeszcze pamięć zdzierstw i ucisku ze strony fanaryockich kapłanów, a nadto ów wrogi stosunek, w jakim znowu greccy dzierżawcy podatków stają do obdzieranego na téj drodze wieśniaka, wcale nie przyczyniły się do stłumienia odwiecznéj nienawiści, dzielącéj Bulgara i Greka.

Wspomnieliśmy o wydzierżawianiu podatków — na tém polu, równie jak i w handlu Grecy mają współzawodników w Ormianach, których także w żadném większém mieście nie brakuje. Wpływ Ormian na półwyspie datuje się od bardzo dawnych czasów, bo jeszcze na kilka wieków przed zaborem tureckim.

Prócz Greków i Ormian po wszystkich miastach ważniejszych znajdziesz Rumunów, którym w nowszych czasach Serbowie i Bulgarowie dają nazwę Cincarów.—Jireczek (1) widzi w tém pewną przy-

(1) Str. 182.

ganę, gdyż *cincar* po wołosku znaczy komar. Cincarowie szczególniéj głośni są ze swych filigranowych robót złotniczych; z niesłychaną cierpliwością i zręcznością ciągną złote i srebrne nitki, skręcając je w kółka, gwiazdy, arabeski, z czego powstają podstawki do filiżanek, ozdoby stroju, kolczyki, szpilki do włosów, łańcuszki i tym podobne cacka wytwornéj i misternéj roboty. W południowéj i zachodniéj Macedonii i w górach Rhodopos od dawiendawna istnieją osady Macedo-Rumunów — wsie ich pewny dobrobyt przedstawiają. Tam, gdzie ludność wołoska pomieszana jest z bulgarską, Bulgarów na pewno znajdziesz w dolinach, a Wołochów na górach. Górale ci, prowadząc życie pasterskie, pasą latem konie, owce i kozy po halach górskich, na zimę zaś ze stadami swemi schodzą w doliny, zwłaszcza na *pole Soluńskie* i na obszerną równinę Muzaké ponad Adryatyckiém morzem, gdzie w lecie niepodobna mieszkać z powodu zabójczego klimatu. Za przezimowanie tych stad pasterze cincarscy płacą Turkom, właścicielom ziemi pewną summę, a na lato w góry swe powracają. Żywioł rumuński w ostatnich czasach wzmógł się znacznie wpływem rolników, uchodzących z właściwéj Rumunii przed uciskiem bojarów; szczególniéj osiadali oni nad rzeką Timokiem. Tutaj zdala od swych tyrańskich panów, lubo pod rządami obcego, wrogiego chrześcianom mocarstwa, rumuńscy wieśniacy, ciemni i leniwi we własnym kraju, rozwinęli piękną i pracowitą działalność. Kanitz (1) opisuje ich osadę Bregowę nad Timokiem, jako wieś zamożną, dobrze uprawną, gdzie między innemi produktami hodują tytuń i jedwabnictwo prowadzą. Wieś ta ma szkołę i ładną cerkiewkę, wewnątrz przez cincarskich rzemieślników trochę jaskrawo, ale misternie i wytwornie snycerską robotą i wyzłacaniem ozdobioną. Wszystkich Cincarów na ziemiach bulgarskich liczą przeszło 300,000; w téj liczbie mieszczą się już i ci pasterze, co w Tessalii w górach Pindu mieszkają. I oni, podobnie jak Macedo-Rumuni na zimę ze stadami swemi przychodzą w doliny, aż po sam Bałkan. Karawelow spotkał ich na łąkach, do miasta Szipki należących, wraz z bałkańskimi i dospackimi pasterzami. Cincarscy pasterze są bardzo wysokiego wzrostu, zahartowani na wszelkie zmiany powietrza i do niewygód przywykli; kobiety na odwrót u nich małego wzrostu i nieraz bardzo urodziwe.

Na polach i górach macedońskich nad jeziorem Prespońskiém

---

(1) Str. 282.

i Ochrydzkiém i w ogóle na całéj zachodniéj granicy, żywioł słowiański walczy o siedziby z Albańczykami, tym najstarszym, ale zarazem najdzikszym, najmniéj tchnieniem cywilizacyi dotkniętym z ludów Europy. Jakeśmy już w części pierwszéj mówili, Albańczycy jeszcze w XIII i XIV wiekach zszedłszy z gór, wyparli lub zgnietli Słowiańszczyznę w dolinach Epiru i Albanii. Parcie ich na północ i na zachód do dziśdnia nie ustało — a rząd turecki popiera ich szerzenie się na wsze strony, gdyż nigdzie wiara Mahometa tylu co tam zwolenników nie znalazła i żaden z podbitych ludów nie dał się użyć za tak powolne rządu narzędzie, co owi potomkowie starożytnych Illirów. Nie lubiąc zajęcia koło roli, Arbanasowie oddają się rozbojom, łupieztwom, albo opuszczają wioski rodzinne i idą w służbę do baszów, do cudzoziemskich konsulów, a nawet do bogatych chrześcian, biskupów i klasztorów. W całéj Turcyi *kawasowie* (policyanci), *suwarowie* i *zaptíje* (t. j. konni i piesi żandarmi), przeważnie z Arbanasów się składają. Malowniczy ich strój: wyszywana złotem kurtka z rozciętemi rękawami, *fustan* czyli biała, fałdowana spódniczka, szerokie szarawary, białe wełniane pończochy po kolana zachodzące, fez na głowie i płaszcz szeroki, cieszą się wielkiém na półwyspie uznaniem i niejeden junak bulgarski z upodobaniem go używa.

Żydzi do Turcyi przybyli z Hiszpanii, uchodząc przed inkwizycyą—znaleźli się tu we właściwym sobie, oryentalnym żywiole, ale z drugiéj strony przy duchu kupieckim tuziemców, przybysze ci nie mogli pochwycić w swe ręce całego handlu, a nawet ważniejszego w nim nie zdobyli sobie stanowiska. Zajmują się bankierstwem, albo handlem hurtownym, mówią skażonym staro-hiszpańskim językiem i noszą długą wschodnią odzież, pstrych kolorów — mężczyzni chałaty do ziemi, a na nich sukienne *dżube* (kaftan), żółte lub czarne pantofle, na głowie fez, chustką obwiązany. Kobiety ubierają się tak jak Turczynki w szarawary; w *feredże* (wierzchnia suknia) ciemno-zieloną, wzorzysto wyszywaną; czalma obwiązana chustką pokrywa głowę, twarz zaś odsłonioną miewają. Karawelow chwali Żydów z uczciwości, miłości bliźniego bez różnicy wiary — powiada, że pomiędzy nimi nie spotkał ani żebraka, ani złodzieja (1); być może, iż tu jest pewna przesada, ale i inni podróżni dobrze mówią o tureckich Żydach, przyznając im wyższość moralną nad niemieckimi.

---

1) R. W. 1868. 3. str. 388.

Po równinach włóczą się gromady Cyganów, trudniące się niby kowalstwem, a właściwie kradzieżą i żebraniną — bez Cyganek z tamburynami, śpiewających i tańczących, żadna uroczystość turecka obejść się nie może.

W Dobrudży, zwłaszcza w okolicach Babadagu mieszkają Kozacy Nekrasowcy, potomkowie tych, co po zniesieniu Siczy Zaporozkiéj pod wodzą Nekrasa wyszli do Turcyi. W Dobrudży są także *rozkolnicy*, którzy prześladowani opuścili Rossyą. Dodawszy do tego jeszcze Serbów na zachód od rzeki Bugar-Morawy, mamy wszystkie obce żywioły, które w pośród massy narodu bulgarskiego żyją i mieszkają.

(Dokończenie nastąpi.)

KRYTYCZNY POGLĄD NA DARWINIZM

przez

Henryka Hoyera.

Gdy w r. 1859 Darwin po raz pierwszy wydał swoje klassyczne dzieło „O Powstawaniu gatunków drogą naturalnego wyboru czyli utrzymywanie się rass doskonalszych w walce o byt,“ oparte na 20-letniéj ścisłéj obserwacyi i doświadczeniu; przewidywał zapewne, że głoszone tam idee będą miały do walczenia z silną opozycyą naukową, jak również i zakorzeniałemi przesądami i uprzedzeniami: wszakże godna podziwu jego skromność, przebijająca się na każdéj stronicy, w każdym niemal wierszu jego dzieł, nie pozwoliła mu wtenczas jeszcze przypuścić, żeby jego pogląd już w krótkim przeciągu czasu mógł spowodować wielki przewrot w naukach biologicznych, zakreślając im nowe cele i nowy kierunek, żeby mógł nawet posłużyć jako fundament do wzniesienia nowego systemu przyrodniczo-filozoficznego, powszechnie znanego pod mianem „Darwinizmu.“ System ten stworzonym został nie przez samego Darwina, lecz przez zagorzałych jego zwolenników i agitatorów; dotąd nie zdołał zjednać sobie pełnego obywatelstwa w nauce, ale za to popularnemi wykładami rozpowszechnił się pomiędzy publicznością i nie małe tam wzniecił wzburzenie. Stronnicy owego systemu wychwalają go jako nową ewangelią, jako zupełnie nowy, „naturalny i prawdziwy“ pogląd na świat, doniosłością daleko przewyższający reformę, spowodowaną genialnemi odkryciami Kopernika; przeciwnicy zaś wygłaszają, że nowoczesna nauka na wieki się zhańbiła, nie potępiając z gruntu owych opacznych poglądów, niby najwybitniéj świadczących o zniedołężnieniu władz umysłowych w obecném stuleciu.

Śledząc historyczny rozwój nauk i oświaty od czasów najodleglejszych aż do obecnéj chwili, łatwo się przekonać,

iż każdy postęp, każda wznioślejsza, nowo odkryta prawda, tylko po ciężkich i długotrwałych walkach z panującemi poglądami zdołały zapewnić sobie prawo bytu lub zyskać ogólne uznanie, i że stronnicy nowéj nauki często stwierdzać musieli jéj prawdziwość przelewem swéj krwi męczeńskiéj. Śmierć Sokratesa nie wstrzymała zwycięztwa nowych filozoficznych poglądów nad politeizmem starożytnego świata, lecz nawet skutecznie przygotowała umysły na objawienie się chrześcianizmu; chrześcianizm dopiero po niezliczonych krwawych ofiarach zdołał pokonać świat pogański; a nareszcie nauki nowoczesne w walce przeciwko nieograniczonemu tradycyjnemu autorytetowi i zabobonom, po poniesieniu niemniéj ciężkich ofiar zapewniły zwycięztwo ideom tolerancyi i prawu swobodnego badania naukowego. Lecz gdy w dawniejszych walkach zastarzałe poglądy w zupełności musiały ustąpić miejsca nowym zwycięzkim ideom, chrześcianizm o tyle dowiódł swéj niepokonalnéj siły, iż nietylko nie postradał panowania, ale nawet rozszerzył się i na nowo odkrytych lądach.

Musiał jednak zrzec się tych zupełnie nieuzasadnionych poglądów i twierdzeń, które pierwotnie nie należąc do zakresu jego władzy, dopiero w późniejszych wiekach i zupełnie niewłaściwie do niego przyłączone zostały. Nieugiętą siłą logiki i przekonywającą potęgą faktów, samodzielna i niezależna nauka objęła powoli pod swoje panowanie całą dziedzinę czystego rozumu i doświadczenia i zamknęła religią we właściwych jéj sferach wiary i moralności. W poczuciu niespożytéj swéj siły i w zwycięzkim zapędzie, stronnicy nauki zapuścili się jednak po za kres, odgraniczający naukę od wiary, zamierzając wstrząsnąć ostatniemi podporami religii; wszystkie ich ataki atoli okazały się na tém polu bezsilnemi, albowiem nauka potrafiła tylko negować, ale nie stworzyła dotąd nic takiego, coby mogło ludzkości zastąpić wiarę. W szeregach wojowników nauki zaczynają się zresztą odzywać coraz liczniejsze i poważniejsze głosy, wyznające, iż istnieją granice, których nauka przekroczyć nie zdoła, granice, po za któremi zaczyna się niezaprzeczone panowanie wiary. W walce nauki z wiarą powtarza się zjawisko powszechne w życiu jednostki, jak również i całego społeczeństwa, że zwycięzca przecenia zwykle siłę swego oręża i klęskę przeciwnika, gdy tymczasem ostatni pilnie śledzi każdą słabą stronę nieprzyjaciela, by w stosownéj chwili zaczepić go i szalę przeważyć na własną stronę. Tym sposobem każda nowa zdobycz naukowa zostaje zużytkowana do wzniesienia na jéj fundamencie nowego filozoficznego systemu, zdolnego niby zastąpić pokonaną zupełnie wiarę, gdy tymczasem nie dający się omamić

zdrowy umysł ludzki wynajduje słabe miejsca w owym fundamencie, a uznawszy budowę systemu za chwiejną, woli porzucić dotychczasowe stronnictwo, aniżeli poświęcić mu wiarę w nieograniczoną potęgę bezwarunkowéj prawdy.

Przewaga nauki nad wiarą pochodzi głównie ztąd, iż rzetelna nauka jest najzupełniéj bezstronną, że stara się poznać istną prawdę, że nic nie uznaje za rzeczywiste, co przed najsurowszym sądem krytyki nie okazało się wolném od wszelkiego zarzutu. Nauka przez pewien czas może błądzić, pod wpływem namiętności stronniczych może zboczyć na fałszywą drogę, gdyż krytyczny rozsądek nie zawsze zdoła zapanować nad ludzkiemi słabościami; lecz ostatecznie nauka zawsze musi powrócić na właściwą drogę, bo rozum nie znosi za długo sfałszowania prawdy. Prawdziwa nauka wolną też jest od namiętności, nie dba o przypodobanie się partyom, gdyż jako bezstronny sędzia spogląda na stronnictwa ze wznioślejszego stanowiska; ona na pewno przyzna słuszność wierze, jeżeli się przekona, iż rozum i logika, stanowiące istotną podporę nauki, nie zdołają nigdy zadawalająco rozjaśnić wszelkich fenomenów bytu, tak w zakresie świata materyalnego, jako też duchowego.

Przyznać należy, iż walka o prawdę przez obrońców nauki niezawsze bywa prowadzoną bez namiętności, że w utworach naukowych przebija się nader często mniéj lub więcéj widoczna zawziętość przy zaczepianiu przeciwnika. Przyczyny tego objawu nie można jednak kłaść tylko na karb ludzkiéj słabości, ale raczéj szukać jéj należy w doświadczeniu stronników nauki, iż przeciwnicy ich zwykli posługiwać się inną bronią, niż sama nauka, a mianowicie, najwygodniejsze środki znajdują w oszczerstwie i rzucaniu podejrzenia, a nowoczesna historya poniekąd usprawiedliwia obawę, że to samo stronnictwo, które podało w przekleństwo najwznioślejsze zdobycze ostatnich wieków, mianowicie zasady humanitarności i tolerancyi, w razie odzyskania dawnéj potęgi, nie zawahałoby się użyć tych samych środków radykalnych, przy pomocy których przez tyle wieków potrafiło nakładać hamulec rozwojowi nauk i prawu swobodnego badania. Oczarowanie, w którém nauka, korzystając z obecnie niemal ogólnie uznanego prawa swobodnego badania, zaczęła rozkwitać i doszła do wysokiego stopnia rozwoju, nader jest krótkie w porównaniu z szeregiem wieków, w których niezaprzeczony autorytet i nieograniczona władza owéj partyi czuwały nietylko nad wiarą, ale i nad wiedzą, myślą i czynem człowieka. Kopernik dopiero po długich latach wahania odważył się podać do druku sławne swe dzieło „de orbium

coelestium revolutionibus libri VI,“ przeczuwając, iż takowe będzie powodem do zachwiania owéj uzurpowanéj powagi i że ten zamach nigdy nie będzie mu wybaczony. Giordano Bruno za to, iż ośmielił się wyciągnąć konieczne filozoficzne wnioski z odkrycia Kopernika, skazany został na stos; a Gallei omało nie podzielił jego losu za rozpowszechnienie i dalsze rozwinięcie systemu Kopernika; przez długie lata był uwięziony za ogłoszenie drukiem rezultatów swobodnych swych badań, które należą obecnie do najelementarniejszych przedmiotów szkolnego wykształcenia.

Śmiertelny cios został zadany owemu nieograniczonemu autorytetowi dopiero przez odkrycie Ameryki i podróż Magellana na około świata; albowiem wtenczas nie można było już powątpiewać o kulistości ziemi i o prawdziwości teoryi Kopernika. Nowe zapatrywania się na świat jeszcze bardziéj rozszerzyły się przez odkrycie teleskopu, głębsze wniknięcie w tajnie wszechświata, ścisłe zbadanie ruchu planet naokoło słońca, sprawdzenie praw Kepplera i wyrobienie się pojęcia o nieskończoności przestrzeni i czasu. Wtedy ziemia przestała być środkiem świata, a człowiek, który w swéj dumie uważał się za najcelniejsze stworzenie na tym środku, a zatém za pana świata, zredukowany został do znaczenia drobnéj cząstki. Autorytet i tradycya, straciwszy tym sposobem wszechwładztwo, nie zdołały już dłużéj skutecznie opierać się swobodnemu rozwojowi nauk; wzrastającéj potęgi wyswobodzonego z więzów badania nie można już było wstrzymać dawniejszemi środkami. Pomimo tego dawne roszczenia ku wszechwładztwu nie ustały; każdą nową pozycyą nauka musiała zdobywać przemocą i odpierać przeciwnika, obdarzającego ją za to oszczerstwami i groźbami; lecz daremnie. Nauka posuwała się bezustannie: za rozpowszechnieniem się systemu Kopernika poszło odkrycie prawa grawitacyi przez Newtona; nauka o ruchu ciał niebieskich, odbywającym się wedle stałych praw, dała popęd do ustalenia się pojęcia ogólnéj prawidłowości wszechobjawów w przyrodzie. Nauka ta zyskiwała coraz silniejsze poparcie w mnożących się bezustannie odkryciach w dziedzinie fizyki, oraz w zastosowaniu przez Lavoisiera wag do poszukiwań chemicznych. Odkrycia w chemii potwierdziły axyomat o stałości i niezmienności materyi, która nie może być wytworzoną z nicości, jak również nie może zginąć bez śladu. W najnowszym czasie zasady te fizycznego poglądu na świat zostały uzupełnione dodaniem nauki o stałości i niezmienności sił w przyrodzie (Mayer, Helmholtz). Pod innym także względem nauki przyrodnicze wywarły nadzwyczajny wpływ na wyobrażenia ludzkie, zagarniając także w obręb swojego badania świat

ożywiony i wyświetlając objawy i warunki życia organicznego. Odkrycie mikroskopu, zbadanie cudownéj flory i fauny w nowoodkrytych częściach ziemi, zapoznanie się z zupełnie nieznanemi dotąd rassami ludzkiemi, w części jeszcze zupełnie dzikiemi, w części zaś dość wysoko ucywilizowanemi; daléj, bliższe wniknięcie w budowę pokładów skorupy ziemskiéj zawierających szczątki wygasłych obecnie form zwierzęcych i roślinnych; nareszcie spostrzeżenia i odkrycia w dziedzinie anatomii i fizyologii: wszystko to dało popęd do nader ciekawych poszukiwań, mających na celu wykazanie wzajemnego związku wszystkich wymienionych objawów. Związek ten okazał się w znacznéj części zawisłym od przyczyn chemicznych i fizycznych, od stosunku morza i lądu na powierzchni kuli ziemskiéj, od różnego rozdzielenia ciepła i światła, prądów powietrznych, które znów zależą od kierunku promieni słonecznych, od kierunku osi ziemskiéj względem ekliptyki i t. p.

Wielkie te zdobycze nauki nie mogły pozostać bez wpływu na sposób zapatrywania się na świat ludzi wykształconych, témbardziéj, iż wiedza zaczęła się coraz bardziéj rozpowszechniać, a wpływ rozwoju nauki na materyalny byt człowieka tak widocznie się uwydatnił w najdonioślejszych odkryciach i nadzwyczajném ulepszeniu środków komunikacyjnych. Pomimo tego wiara nie przepadła, religia chrześciańska nie przestała istnieć, jéj dział etyczny służy jako podstawa dla obecnego porządku społecznego i cieszy się ogólném uznaniem, a z działem dogmatycznym ludzie po największéj części godzić się jeszcze potrafią. Lecz wiele dawniejszych, poniekąd dziecinnych, wyobrażeń trzeba było porzucić i zastąpić więcéj dojrzałemi pojęciami. Miejsce ograniczonego, rozpościerającego się tylko nad ziemią sklepienia niebios, zajęła nieograniczona przestrzeń wszechświata z niezmierną liczbą systemów słoneczno-planetarnych; panującą dawniéj na niebie i ziemi przypadkowość i dowolność, zastąpiło niewzruszone prawo. Ziemia nie powstała nagle przed 6,000 lat z nicości, albowiem składająca ziemię materya nie może ani utworzyć się z nicości, ani też zginąć bez śladu; lecz obecny kształt ziemi rozwinął się powoli przez niezmierzony przeciąg czasu, o czém najwymowniéj świadczą spoczywające w różnych jéj warstwach odwieczne dokumenta; a nawet sam człowiek egzystował na ziemi już w czasach odległych, gdy powierzchnia ziemi jeszcze zupełnie odmienne przedstawiała zarysy.

Wszystkie te zmiany w wyobrażeniach i pojęciach o świecie, dopiero po stoczeniu uporczywych walk zdołały zjednać sobie ogólne uznanie. Każdy postęp w rozwoju nauk trafiał na zacięty opór konserwatywnych stronników starego kierunku; logika faktów

zawsze jednak odnosiła zwycięztwo, a przeciwnicy znaleźli nareszcie sposób pogodzenia się z nowemi poglądami.

W tém samém położeniu, co wymienione powyżéj fazy w rozwoju nauki, znajduje się i ostatni jéj postęp, nad którym mamy się tu bliżéj zastanowić, a mianowicie nauka o powstawaniu różnych form istot organicznych czyli tak zwana *teorya descendencyjna* (teorya pochodzenia), niezupełnie stosownie przez ogół nazwana *teoryą Darwina;* albowiem nie jest wcale nową. Już niejednokrotnie starano się powstawanie wyższych form organicznych wyprowadzać z form niżéj stojących, lecz nauka odrzucała wszystkie dawniejsze hypotezy zmierzające do owego celu, gdyż żadna z nich nie mogła dotrwać wobec gruntownéj krytyki, a dopiero stworzona przez Darwina teorya o powstawaniu gatunków drogą naturalnego wyboru, czyli tak zwana *teorya selekcyjna* podała nauce podstawy, które czynią możliwém przyjęcie przypuszczenia o przemianie prostszéj organizacyi na więcéj złożoną. Od tego czasu nauka wytknęła sobie nowe cele badań i stara się rozbudzone przez Darwina idee zużytkować w najrozmaitszych kierunkach. Właściwa teorya Darwina czyli teorya selekcyjna stanowi więc tylko jednę z części pomocniczych teoryi pochodzenia czyli descendencyjnéj; wspominając zaś na samym wstępie o Darwinizmie, nie mieliśmy na myśli ani jednéj, ani drugiéj z tych nowych gałęzi naukowych, lecz osnuty na gruncie Darwinowskich hypotez system przyrodniczo-filozoficzny, zawdzięczający swe istnienie przeważnie popularnym wykładom Haeckl'a.

Naszém zadaniem będzie obecnie, zbadać bez uprzedzenia czy nauka miała prawo, albo była nawet zmuszoną do przyjęcia teoryi pochodzenia (descendencyjnéj), a z drugiéj strony wykazać, iż przez jéj zastosowanie do badań naukowych, nie zmienia się bynajmniéj dotychczasowy stosunek pomiędzy nauką i wiarą w takim stopniu, jak to stronnicy i przeciwnicy Darwina zwykle przypuszczają.

Przedewszystkiém należy stwierdzić, iż teorya pochodzenia dotąd należy jeszcze do rzędu rzeczywistych teoryi, to jest do nauk opartych na hypotetycznych założeniach, oczekujących jeszcze potwierdzenia przez fakta. Gdyby była faktem niezbitemi dowodami stwierdzonym, to dyskussya nad możliwością jéj przyjęcia lub nieprzyjęcia byłaby zupełnie zbyteczną; albowiem fakt pewny *musi* być przyjętym przez naukę, czy odpowiada dotychczasowym jéj systemom, lub nie; a wszystkie przeciwne lub niezgodne z faktem poglądy, koniecznie muszą ustąpić. Dotąd jednak nie może jeszcze być mowy o bezpośredniém wykazaniu zasadności owéj teoryi.

Wielki szereg spostrzeżeń czyni ją nader podobną do prawdy, większa część objawów dopiero staje się dla nas zrozumiałą przy jéj pomocy, i dla tych to przyczyn znalazła tak sympatyczne przyjęcie u większości morfologów (to jest zajmujących się nauką o powstawaniu i wzajemnym stosunku kształtów w świecie organicznym). Pomimo tego dotychczas pozostaje ona jeszcze teoryą. System Kopernika pierwotnie należał równie do rzędu teoryi, i różnił się nawet od rzeczywistości w przypuszczeniu, iż planety w swoim biegu naokoło słońca opisują linie kuliste; w zasadzie jednak teorya ta w zupełności została potwierdzoną przez późniejsze ścisłe obserwacye i wymierzenia Tak samo też i teorya pochodzenia przez zebranie odpowiedniego materyału z obserwacyi, zyskać może taki stopień prawdopodobieństwa, iż żaden badacz o jéj słuszności powątpiewać nie będzie, chociaż mało jest nadziei, aby kiedykolwiek udało się zyskać fakta bezpośrednio potwierdzające prawdziwość teoryi, a mianowicie aby się udało z form niżéj stojących wyhodować istoty wyższéj organizacyi.

Nie zważając jednak na niewątpliwą możność dalszego rozwoju i udoskonalenie teoryi pochodzenia, na nader wybitne jéj braki i niedostatki; już w obecnéj szacie przedstawia ona nader cenną zdobycz dla nauki o istotach żyjących, a mianowicie dla morfologii. Mało chyba już znajdzie się badaczów form organicznych, którzy byliby gotowi zrzec się ważnego tego środka naukowego, otwierającego niespodziane poglądy na powstawanie, wzajemny stosunek i pokrewieństwo różnych form organicznych. Teorya ta dla morfologa takie samo ma znaczenie jak teorya atomistyczna dla fizyka i chemika. Atomistyka nie daje się również dowieść bezpośrednio, pomimo tego pozostaje niezbędną dla wytłómaczenia fizyczno-chemicznych procesów; nauka zawdzięcza jéj najpłodniejsze idee; ona służyła jako przewodnia nić przy wnikaniu za pomocą experymentu w labirynt najróżnorodniejszych i najzawilszych objawów. To samo można powiedzieć o wielu innych teoryach, które pomimo że nie dają się dowieść bezpośredniém spostrzeżeniem, jednak wydały najdonioślejsze rezultaty dla niektórych gałęzi nauk, jak np. wibracyjna teorya światła. Chociaż fale światła nie dają się bezpośrednio dostrzegać, egzystencya ich niewątpliwie jednak wynika z doświadczeń, dokonanych na zasadzie owych teoryi i w przewidywaniu takiego właśnie rezultatu; jak np. z doświadczeń nad dyffrakcyą, interferencyą i polaryzacyą fal świetlnych. Gdyby nasze oczekiwania nie miały się sprawdzić i gdyby teorya pochodzenia nie zyskała pewniejszych, trwalszych i obszerniejszych podstaw, to pomimo tego bynajmniéj nie pozostanie bezowocną dla nauki; al-

bowiem już obecnie otworzyła nader obfite źródło nowych poglądów i idei, dała popęd do ułożenia nieprzejrzanego szeregu nowych kwestyi i zadań naukowych. W ostatnich dziesiątkach lat w chemii jedna teorya musiała ustępować przed drugą, ponieważ w części tylko się sprawdzała, w części zaś okazała niedostateczną; pomimo tego jednak, każda z nich w wysokim stopniu przyczyniła się do postępu nauki, mianowicie w dziedzinie organicznych związków, dostarczając idei do nowych doświadczeń i odkryć; teorya pochodzenia form organicznych bezwątpienia przyniesie nierównie obfitszy plon dla morfologii. Już obecnie sposób wyłożenia rzeczy w podręcznikach i w rozprawach naukowych pod wielu względami zupełnie się zmienił; na powinowactwo form zwierzęcych i roślinnych zapatrują się uczeni z zupełnie odmiennego stanowiska; nowe gałęzie zaczynają się oddzielać od przedmiotów, dotąd wspólnie traktowanych; a chociaż przy tém jeszcze zbyt dużo błędnych, nieuzasadnionych tłómaczeń wkrada się do nowych poglądów naukowych, nie można jednak wątpić, iż przy pomocy obszernych i ścisłych badań bezstronna, ostra krytyka powoli odcedzi fałsz od prawdy.

Lecz nie dla płodnych swych idei teorya pochodzenia w tak krótkim czasie otworzyła sobie podwoje nauki, ale dlatego, że zaradziła już dawno uczuwanéj potrzebie. Stanowi ona konieczny wynik ogólnie przyjętych zasad, już dawno poszukiwany łącznik pomiędzy licznemi faktami mniéj lub więcéj dokładnie zbadanemi, lecz dotąd nie związanemi z sobą w jednę całość.

Przegląd chociażby krótki, wszystkich faktycznych spostrzeżeń zniewalających do przyjęcia teoryi pochodzenia, nie byłby tu na miejscu, to jest, nie możemy tu wyłożyć całéj historyi rozwoju zasad i podstaw, na których ona spoczywa; trzeba się ograniczyć na zwięzłém wyliczeniu najgłówniejszych punktów zniewalających do jéj przyjęcia każdego, kto chce pozostać konsekwentnym w swych naukowych poglądach.

Do najważniejszych faktów, świadczących na korzyć teoryi pochodzenia, należy szczególniéj warstwowy układ skorupy ziemskiéj, wraz z zawartemi w jéj pokładach szczątkami istot organicznych. Rozpatrując kolejno osadzone z wody pokłady od najgłębszych aż do najbardziéj zbliżonych do powierzchni, łatwo się przekonać, iż organizacya owych „skamieniałości“ przedstawia pewne stopniowanie; albowiem najgłębiéj położone, a zatém najstarsze pokłady, zawierają tylko szczątki takich gatunków zwierząt i roślin, które w systematach obecnéj flory i fauny zajmują najniższe miejsce i reprezentują poniekąd najprostsze formy organiczne;

w następnych formacyach ziemi, dostrzegać się daje powoli i stopniowo wzmagająca się zawiłość organizacyi, aż nareszcie w najbardziéj zwierzchnich pokładach zaczynają pojawiać się pierwsze ślady człowieka. Formy środkowych i bardziéj zwierzchnich pokładów, oraz obecnie żyjące wprawdzie bardzo są zbliżone do najstarszych gatunków, lecz bynajmniéj nie są z niemi identyczne; owszem w pokładach utworzonych w różnych geologicznych peryodach często się znajdują bardzo charakterystyczne odmiany obecnych rodzajów lub gatunków, używane zwykle dla bliższego rozpoznania owych pokładów. Wytłómaczyć to zjawisko można tylko dwojakim sposobem: przy zupełnych przeistoczeniach powierzchni ziemi i osadzaniu się nowych pokładów, w każdym peryodzie całe poprzednie pokolenia istot organicznych ginęły i zostały pochowane w wielkim skamieniałym grobie, a nowe nieco odmienne i wyżéj uorganizowane istoty powstały zrazu za pośrednictwem wielkiego aktu twórczego w zupełnie gotowéj formie; albo też wraz z przekształceniem się powierzchni ziemi, bardzo wolno postępującém w ciągu niezmierzonych epok, powoli przekształciło się zaludnienie ziemi z organizacyą zastosowaną do zmienionych warunków bytu. Hypoteza jednorazowego stworzenia najprostszego organizmu, zdolnego egzystować i rozwijać się bez współudziału organizmów rodzicielskich, i wydającego potomstwo, które przy powolnéj zmianie warunków bytu w ciągu niezmierzonego czasu również powolnemu uległo przeistoczeniu i zyskiwało coraz doskonalszą organizacyą, jest dla nauki daleko zrozumialszą i słuszniejszą, aniżeli przypuszczenie wielokrotnie powtórzonych aktów twórczych, przy których całe dawne pokolenia znikały, a nowe zostały odrazu stworzone przez bezpośrednią kombinacyą materyalnych atomów. Przyjmując tę ostatnią hypotezę, nauka nigdy nie byłaby w stanie wytłómaczyć, jak mogły odrazu powstać nader złożone organizmy ciepłokrwistych zwierząt, które przynajmniéj w obecnéj epoce rodzą się tylko przy nader ważnym i daleko sięgającym współudziale rodzicielskich organizmów.

Drugi ważny szczegół, przemawiający na korzyść teoryi pochodzenia, przedstawia nam układ obecnego świata organicznego. Chociaż wyższe formy organiczne tak znacznie różnią się od utworów niższych, iż zrazu trudno dopatrzyć się tam wspólnego łącznika; po bliższém rozpatrzeniu form organicznych, rozmieszczonych w dziełach naturalnego systemu, nie można jednak zaprzeczyć, iż istnieją różne formy pośrednie, łączące formy niższéj organizacyi z najbardziéj zawiłą organizacyą zwierząt ssących i człowieka.

Oprócz tego we wszystkich bez wyjątku utworach organicznych znaleźć można pewne właściwości w budowie i objawach życia, przemawiające za ich pochodzeniem od wspólnego zawiązku. Tak np. najniższe formy zwierząt i roślin tak się zbliżają do siebie, iż w wielu razach nie ma możności rozstrzygnąć, do którego z obu państw należy zaliczyć dane utwory organiczne; dlatego też Haeckel uważał za stosowne, pomieścić je w osobnym pośrednim dziale t. z. protystów. Każdy taki organizm reprezentuje istotnie pojedynczą komórkę, t. j. żyjący osobnik najprostszéj budowy, złożony z dość jednorodnéj, drobnoziarnistéj, miękkiéj bryłki (protoplazmy), wykonywający w pierwotnym stanie mniéj więcéj wyraźne, samodzielne ruchy; przy nieco zupełniejszéj organizacyi zjawia się w owéj massie przezroczysty pęcherzyk nazwany jądrem (nucleus). Wszystkie wyżéj uorganizowane istoty są złożone z mniejszego lub większego zbioru takich komórek (mikroskopijnéj wielkości), albo też z komórek i tkanek t. j. utworów powstałych z dalszéj przemiany komórek. Przechodząc do istot zajmujących średnie i najwyższe szczeble w państwie zwierzęcém, znajdziemy ich ciało złożone z organów, pod względem przeznaczenia istotnie do siebie podobnych, np. z organów trawienia, krążenia krwi, oddychania, wydzielania, ruchu, czucia i t. p. Organa utworzone są z tkanek, reprezentujących właściwą ich część składową. Pomimo różnicy w zewnętrznéj formie ciała i w sposobie życia u różnych form zwierzęcych, tkanki tak do siebie są podobne, iż przeznaczenie ich często można bez trudności rozpoznać z formy i ułożenia ich pierwiastków.

Jednakowy w istocie swojéj sposób powstawania najniższych i najwyższych organizmów, dostarcza drugiego ważnego momentu, przemawiającego za wspólném ich pochodzeniem. Jednokomórkowe istoty rozmnażają się po prostu w ten sposób, że komórka i jéj jądro dzielą się zrazu na dwie części, z których każda zamienia się na nowy samodzielny organizm; proces ten może się powtarzać bez końca tak, że z pojedynczéj rodzicielskiéj komórki powstać może nieograniczona liczba nowych młodych komórek, które odżywiają się, rosną i okazują te same własności, co komórka pierwotna. Organizmy złożone z większych mass komórek, mogą się również rozpaść w całości, albo też wydzielić mniejszy zbiór komórek w formie pączka, a każda z tych części w następstwie staje się podobną do rodzicielskiego organizmu; lecz taki sposób rozmnażania zdarza się tylko u istot stojących jeszcze na stosunkowo nizkim szczeblu organizacyi (np. u polipów, roślin). Obok tego organizmy te rozmnażają się równocześnie i za pośrednictwem ko-

mórki jajkowéj, która u zwierząt najwyższéj organizacyi (u kręgowych) reprezentuje jedynie możliwy sposób wytwarzania nowych pokoleń. Każdy wyższy organizm powstaje więc z pojedynczéj komórki, t. j. z najprostszego organizmu, najbardziéj podobnego do najniższych form zwierzęcych i roślinnych Komórka jajkowa powstaje z komórek składających organizm rodzicielski; do wytwarzania jaj zwykle przeznaczony jest oddzielny organ, nazwany jajnikiem. U wyższych zwierząt komórka jajkowa musi być zapłodniona t. j. musi bezpośrednio połączyć się z morfologicznie odpowiadającym jéj pierwiastkiem, powstającym w analogicznym organie drugiéj podobnéj (męzkiéj) istoty; bez zapłodnienia komórka jajkowa niezdolną jest do wytwarzania nowego organizmu. Wytwarzanie to, czyli t. z. rozwój komórki jajkowéj odbywa się w ten sposób, iż ona rozmnaża się przez dzielenie; nowo powstałe komórki, układając się obok siebie we właściwy sposób, dają początek zasadniczéj formie organizmu i pojedynczych organów, a następnie przemieniają się w części składowe tkanek; pierwotnie bardzo proste zaczątki tułowia i pojedynczych organów w następstwie dalszym ulegają przeistoczeniom, aż nareszcie pojawi się gotowa forma nowo utworzonego osobnika, zupełnie podobna do organizmu rodzicielskiego.

Przy rozwoju jajka wyższych zwierząt, występują nader ciekawe i bez teoryi pochodzenia wcale niezrozumiałe objawy. Po ukończeniu procesu dzielenia (t z. segmentacyi), dostrzegamy w jajku szereg przekształceń (metamorfoz), zacząwszy od najprostszéj aż do nader złożonéj, dojrzałéj formy zwierzęcia, a różne stopnie w tym szeregu bardzo są zbliżone do postaci, spotykanych na różnych szczeblach naturalnego systemu zwierząt. Tak np. po ukończeniu dzielenia, jajko zwierząt ssących przedstawia się w formie prostego, napełnionego przezroczystą cieczą pęcherzyka; ściankę pęcherzyka tworzy błonka, powstała przez wzajemne zespolenie się komórek segmentacyjnych (t. j. wytworzonych przy segmentacyi jajka). Na tym stopniu rozwoju zarodek zwierzęcia ssącego nader jest podobny nietylko do odpowiedniego stanu najniższego zwierzęcia kręgowego (amphioxus lanceolatus), ale i do pierwszych stadyów w rozwoju niższych zwierząt bezkręgowych, np. do zarodka gąbki i najbliżéj spokrewnionych z nią jamochłonnych (coelenterata), a nawet do zarodków niektórych robaków. Na znacznie daléj posuniętym stopniu rozwoju, zarodek ssących okazuje wielkie podobieństwo do pewnych stadyów w rozwoju ryb. Zarodki różnych klass kręgowych w ogóle bardzo są do siebie podobne w początkowych stadyach rozwoju. Przy powstawa-

niu pierwszych śladów kończyn (nóg, skrzydeł), zarodki ptaków i ssących jeszcze bardzo małe okazują różnice, a młode zarodki ssących tak są do siebie podobne, że żadną miarą nie można na pewno rozpoznać rzędu, do którego należy forma dojrzała, jeżeli się nie zna dokładnie pochodzenia zarodka. To samo można też powiedzieć o rozwoju człowieka. Podczas zmian rozwojowych występują też u zarodków różne części organizmu, które u wyższych kręgowych w następstwie znikają, u niższych zaś przech - wują się nawet w stanie zupełnéj dojrzałości, reprezentując nieraz nader ważne organa. Tak np. tak nazwane łuki i szpary skrzelowe, powstają u wszystkich zwierzat kręgowych w stanie zarodkowym, lecz przechowują się tylko u ryb, zamieniając się na organ oddechowy; u ssących zaś i u ptaków szpary zrastają się, łuki w części giną, w części przemieniają się w muszlę uszną, kostki słuchowe i t. p. części, których u ryb nie spotykamy.

Szczegółowy rozbiór całéj teoryi pochodzenia i bogatego zasobu spostrzeżeń świadczących o wielkiém jéj znaczeniu dla morfologii, nie byłby tu na miejscu; dlatego ograniczyliśmy się na pobieżném wymienieniu najgłówniejszych tylko momentów, popierających teoryą. Nim jednak przejdziemy do innego rozdziału naszéj pracy, wspomnieć jeszcze należy o niektórych spostrzeżeniach, niedających się zadawalająco wytłómaczyć bez zastosowania teoryi pochodzenia. Tak np. wielka niepewność w odróżnianiu odmian od gatunków, gatunków od rodzajów i t. d., najlepiéj się tłómaczy brakiem stałych granic pomiędzy spokrewnionemi skupieniami; nawet całe zasadnicze grupy zwierząt, jeden badacz zalicza do jednego typu, drugi do drugiego: tak np. gąbki, jedni mieszczą w odgałęzieniu pierwotworów (protozoów), inni w typie coelenteratów; mszywioły (bryozoa) jedni opisują przy mięczakach, gdy tymczasem inni stawiają je pomiędzy robakami; tak samo i osłonnice (tunicata), niektórzy chcą przenieść do działu robaków, który i tak już obejmuje prawdziwe mixtum compositum, albowiem wszystkie formy bezkręgowych, które nie dają się pomieścić w żadnym innym dziale, znajdują wygodne schronienie pomiędzy „robakami.“ Do nader ważnych i rozpowszechnionych objawów świata zwierzęcego, pozostających dla nas zupełnie niepojętemi bez teoryi pochodzenia, należą przeobrażenia zwierząt (metamorfozy) i przemiany pokoleń (Generationswechsel). Wiadomo, iż osobniki zwierząt wielu grupp po wyjściu z jajka, wielokrotnie się przeobrażają, nim dojdą do stanu dojrzałego (znane są np. powszechnie przemiany gąsiennicy w poczwarkę, poczwarki w motyla, kijanki w żabę i t. p.); pojedyncze formy przejściowe bardzo

się różnią jedna od drugiéj i od formy dojrzałéj (np. gąsiennica nierównie więcéj ma podobieństwa do robaka, aniżeli do motyla), a niższe formy zwierząt (np. polipy, meduzy, wnętrzaki) na różnych stopniach swego rozwoju mogą się odżywiać i rozmnażać, a mianowicie przez dzielenie lub pączkowanie, a w niektórych przypadkach i przez wytwarzanie niezapładniających się komórek jajkowych. Nareszcie należy tu jeszcze wymienić tak często zdarzające się niedokształcone organa, lub utwory zupełnie niepotrzebne i bezużyteczne; znaczenie ich tylko przy pomocy teoryi pochodzenia może być wytłómaczone; wymienimy tu tylko powszechniéj znane utwory, jak drobne włoski na całéj powierzchni ciała człowieka, brodawki piersiowe u mężczyzn, muskuły uszne, które u pewnych osób tak silnie są rozwinięte, iż ucho może być dowolnie poruszane i t. p. Właściwie należy tu także zaliczyć zarost mężczyzn, długie włosy na głowie kobiet.

Wszystkie wymienione tu fakta były już dość dawno znane w nauce i już nieraz dawały powód do tworzenia hypotez, nie wytrzymujących jednak krytyki. Po większéj części starano się zużytkować owe objawy dla nadania teoryi pochodzenia istot organicznych ze wspólnego początku więcéj prawdopodobieństwa. W dawniejszych rozprawach uczonych, niemogących obecnie zdecydować się na przyjęcie teoryi Darwina, znajdujemy nieraz uwagi nad wzajemnym stosunkiem spokrewnionych form organicznych, które czynią wrażenie, jak gdyby były utworem wielbiciela teoryi pochodzenia, chociaż w czasie ich napisania teorya ta dopiero zaczynała rozświtać w głowie jéj wskrzesiciela. Nikt z badaczów nie odważył się wtenczas na wznowienie niepomyślnych prób Lamarck'a i Geoffroy St.-Hilaire, ponieważ brakowało jeszcze odpowiednich spostrzeżeń, które mogłyby być z korzyścią zużytkowane dla poparcia teoryi pochodzenia. Tym sposobem, dopiero dzieło Darwina „O powstawaniu gatunków drogą naturalnego wyboru etc", które w następstwie zjednało sobie tak wielki rozgłos, otworzyło nową epokę w rozwoju nauki o istotach organicznych, dostarczywszy środków dla naukowego uzasadnienia teoryi pochodzenia.

Doświadczenie uczy, iż za pomocą sztucznéj hodowli u zwierząt i roślin, możemy wytworzyć tak znaczne odmiany nietylko w zewnętrznym kształcie, ale i w wewnętrznéj budowie, że niewątpliwie uważanoby te nowo powstałe formy za oddzielne gatunki lub rodzaje, gdyby się zdarzały u istot żyjących na wolności i okazały się stałemi. Zestawiając ten fakt z wielu innemi, nader bystremi spostrzeżeniami, Darwin doszedł do wniosku, że odpo-

wiedne odmiany, występujące także u istot żyjących w zwykłych naturalnych warunkach, utrwalają się w walce o byt. Jeżeli bowiem zmieniają się zewnętrzne fizyczne stosunki na powierzchni ziemi (np. ciepło, wilgoć i gazy w powietrzu, ciśnienie powietrza i t. p.), to takie tylko organiczne formy będą w stanie wytrwać i utrzymać się, które w skutku występujących samodzielnie większych lub mniejszych zmian organizacyi, nabyły zdolności zastosowania się do zmienionych warunków bytu; wszystkie zaś istoty, które téj zdolności zastosowania się nie posiadają, koniecznie ginąć muszą. Oprócz tego istoty, zamknięte na pewnéj, bardziéj ograniczonéj przestrzeni, zaczynają z sobą współzawodniczyć, walczą o przestrzeń, o ciepło, światło, powietrze, a mianowicie o pokarm; zwierzęta istnieją albo kosztem roślin, albo nawzajem się pożerają. W téj bezustannéj walce o byt takie tylko organizmy zwyciężają, które przy pomocy samodzielnie występujących odmian, nabyły możności do wytrzymania współzawodnictwa, które więc odznaczają się albo siłą, albo zwinnością i zmyślnością bądź w zdobywaniu żywności, bądź w umykaniu przed grożącém niebezpieczeństwem, albo też zadawalają się gorszą żywnością, nie wzbudzającą współzawodnictwa. Człowiek panuje nad całym światem organicznym w skutku przewagi swych zdolności umysłowych; ażeby się odżywić, odziać lub uchronić od zimna, zabija on istoty roślinne i zwierzęce bądź przemocą fizyczną, bądź przewagą rozumu, posługując się dla osiągnięcia celu różnemi narzędziami, nawet znacznie silniejsze zwierzęta czyni od siebie zależnemi, ażeby posługiwać się niemi do pracy, jazdy i t. d. (1).

---

(1) Walka o byt odbywa się bezustannie i na całéj powierzchni kuli ziemskiéj. Każdy osobnik od początku aż do końca swego istnienia zdobywać sobie musi pożywienie, bronić się przeciwko fizycznym wpływom szkodliwym i wrogom zagrażającym jego życiu. Tak samo i człowiek pracuje nietylko dla powszedniego chleba, ale broni się przeciwko fizycznym niebezpieczeństwom, stawia budynki dla schronienia, odziewa się, unika zagrażających zdrowiu wyziewów i t. d. Pomimo tego nie zawsze udaje mu się wyjść zwycięzko z walki ze ślepą potęgą przyrody; najwymowniéj świadczą o tém nadzwyczajne klęski, jakiemi różne części Europy w ostatnich czasach były nawiedzane (burze, wylewy rzek, runięcie gór, wybuchy w kopalniach i t. p.). Z tego jednak wnosić nie można, iżby walka o byt miała być jedyną sprężyną w dążnościach i zamiarach człowieka. Niektórzy zdają się przypuszczać, że taki wniosek jest ostatecznym wynikiem teoryi Darwina, gdy tymczasem ani Darwin, ani żaden z rozsądniejszych jego zwolenników nie wyłączał etycznych zasad z motywów, które powinny kierować ludzkiemi dążnościami. Człowiek nietylko ma rozum, ale także współczucie i pojęcie sprawiedliwości, a zdolności te powinny być wyłącznemi kierownikami w porządkowaniu stosunków społecznych.

Wyłożone wyżéj zasady Darwinowskiéj teoryi wyboru, dają się sprowadzić do dwu głównych momentów: mianowicie do współdziałania i zrównoważenia się zdolności organizmów w *zastosowaniu* do danych warunków bytu, i zdolności *przekazania* raz nabytych własności. Nie jest tu miejsce dla bliższego rozbioru tych zasad; możemy tylko uczynić wzmiankę, iż zdolność stosowania się jest u pojedynczych osobników dość ograniczona, a rzadko zdarzające się odmiany rzadko też przechodzą na potomstwo; dziedziczność wtenczas tylko odgrywa ważną rolę, gdy zmiany często występują, a zmienione osobniki pomiędzy sobą się kojarzą. Potomstwo w takim razie będzie podobném do rodziców i przechowa nabyte własności, jeżeli mianowicie warunki bytu, do których zostały zastosowane, również nie zmieniają się, albo sprzyjać nie będą ustaleniu się innych odmian.

Przy téj sposobności należy jeszcze odeprzeć zarzut, nieraz czyniony teoryi wyboru, jakoby wyniki sztucznéj hodowli nie były „naturalnemi“ i że poczynione na nich postrzeżenia, nie dają się zastosować do istot żyjących „w przyrodzie.“ Przypuszczenie, iż człowiek może stworzyć coś nienaturalnego, w ogóle bardzo jest dziwném. Jak wszystkie istoty żyjące na ziemi, tak i człowiek zależy od przyrody, i nietylko pod względem warunków bytu najzupełniéj od niéj jest zawisły, ale i czuciem, myślą i czynem ściśle z nią jest związany. Człowiek nic nie może wykonać bez zastosowania się do praw przyrody: nie może mówić lub poruszać się wbrew prawom mechanicznym, bez współudziału sił fizycznych i chemicznych; nawet każda myśl, każde drgnięcie cząstki nerwowéj, kojarzy się ze zmianą materyi (1). Nie możemy poruszać się wbrew sile ciężkości, wyrobić jakiś przedmiot materyalny, niestosując się do praw przyciągania się cząstek, elastyczności i t. d. Jakim więc sposobem może być mowa o stojących po za obrębem przyrody rezultatach hodowli, témbardziéj, że właśnie w dziedzinie czynności żywotnych tak mało posiadamy władzy nad objawami przyrody, że nawet nie potrafimy sztucznie stworzyć najprostszéj istoty żyjącéj, jak np. komórki. Tak zwana „sztuczna“ hodowla odróżnia się tém od hodowli odbywającéj się samodzielnie na wolności, iż warunki dla powstania zmian w pierwszym razie, mogą być dostarczone łatwiéj i obficiéj i odpowiednio regulowane, a zmiany powstają tu zwykle łatwo i odrazu; na wolności

---

(1) Nie utrzymujemy tu bynajmniéj, iżby zmiana materyi była ostateczną lub wyłączną „przyczyną“ mysli.

zaś wyrabiają się nader wolno i niepostrzeżenie, ale zato też pierwsze łatwo znów znikają, drugie zaś są trwałe. A choćby nawet nie wolno było ze spostrzeżeń przy sztucznéj hodowli wyciągać żadnego ważniejszego wniosku co do powstawania gatunków, to w każdym razie dowodzi ona możliwości powstawania odmian i przekazywania nabytych własności, albowiem wszystkie nasze zwierzęta domowe, jak również i hodowane rośliny, pochodzą pierwotnie z „naturalnych" gatunków.

Zapoznawszy się w poprzedzających ustępach z podstawami teoryi pochodzenia, wypadałoby obecnie rozebrać także uzasadnione zarzuty, które mogą jéj być poczynione, i w ogóle zbadać słabe jéj strony. Albowiem pamiętać należy, iż w naukach opartych na doświadczeniu, pojedynczy ściśle obserwowany i dowiedziony fakt może odrazu zachwiać cały system teoretyczny, sztucznie osnuty na szeregu spostrzeżeń i wniosków. Gdyby np. udało się bezpośrednio dowieść możliwości wytworzenia *złożonego* organizmu (np. zwierzęcia kręgowego) z martwéj materyi bez współudziału rodzicielskiego organizmu, to teorya pochodzenia straciłaby odrazu wszelką podstawę faktyczną i kwalifikowałaby się do składu urojonych hypotez i fantazyi. Takiemu przypuszczeniu sprzeciwia się jednak stwierdzony ścisłemi spostrzeżeniami fakt, iż złożony organizm może powstać tylko za pośrednictwem drugiego podobnego (rodzicielskiego) organizmu; nawet dla najprostszych form organicznych, pomimo licznych naumyślnie w tym względzie dokonywanych doświadczeń i prób, nie udało się potwierdzić możliwości t. z. samorodztwa (generatio spontanea, autogonia). Dawniéj wprawdzie sądzono, iż samodzielne powstawanie organizmów bardzo jest rozpowszechnione, opierając się na codziennem doświadczeniu, niby dowodzącém, że w gnijącém mięsie powstają samodzielnie robaki, wewnątrz owoców podobnym sposobem rozwija się pleśń, a w pozornie niedostępnych od zewnątrz organach ciała zwierzęcego, wytwarzają się pasożyty i t. p. Nawet i nazwa wymoczków (infusoria) powstała w owym czasie, gdy jeszcze sądzono, że przez nalewanie wody na różne martwe ciała organiczne można wytworzyć mikroskopijne zwierzęta i rośliny. Ścisłe badanie wykazało jednak, że wspomnione utwory przenikają albo wprost do wnętrza ciała zwierzęcego lub roślinnego (np. trychiny, węgry i t. p.), albo zostają złożone na ciałach organicznych w formie jaj, lub też dostają się w spadającym z powietrza pyle w takie miejsca, które dostarczają im najkorzystniejszych warunków do ich rozwoju i dalszego rozmnażania (np. pleśń). W skutek tych spostrzeżeń bardzo wątpliwą jest rzeczą, czy obe-

cnie na ziemi jeszcze istnieją warunki, umożebniające samodzielne powstawanie organizmów. Ogłoszone w nowszym czasie doświadczenia, mające na celu wykazanie możliwości samorodztwa (t. z. abiogenesis) nie sprawdziły się wobec ściślejszéj experymentalnéj krytyki. Ta niemożebność samodzielnego powstawania nawet najprostszych organizmów odsłania zarazem jednę ze słabych stron teoryi pochodzenia; teorya ta albowiem zmuszona jest przypuszczać, iż na ziemi istniały kiedyś okoliczności bardziéj sprzyjające samorodztwu, które umożebniły powstawanie najniższego organizmu, komórki, a owa pierwsza komórka stała się rodzicielką wszystkich następnych pokoleń komórkowych, bądź egzystujących oddzielnie, bądź skojarzonych z sobą w organizmach zawiłych.

Trudno odpowiedzieć na zapytanie, czy pojedyncza tylko komórka zrazu utworzona została, czy też zjawiło się jednocześnie kilka komórek, z których każda dała początek oddzielnemu szczepowi; najwięcéj przemawia jednak okoliczności za powstaniem wszystkich istot organicznych z jednéj, pierwotnéj komórki. W nowszym czasie zjawiła się hipoteza, według któréj pierwsza komórka dostała się na ziemię z innego, podobnego do naszéj planety świata, który tak samo był kiedyś zaludniony żyjącemi istotami; lecz to ciało niebieskie zostało zburzone, szczątki jego błądzą jeszcze po nieskończonéj przestrzeni wszechświata, a przybliżając się czasami do innych, większych ciał, jak np. do kuli ziemskiéj, w skutek przyciągania spadają na ich powierzchnią w formie meteorytów. Na jednym z takich szczątków, który spadł w czasie, gdy ziemia przedstawiała najpomyślniejsze dla wytworzenia organizmów warunki, prawdopodobnie znajdował się przechowany przez miliony lat zawiązek komórki, zapewne podobny do zarodników (spór) najmniejszych, obecnie jeszcze egzystujących, komórek grzybkowych ($^1/_{10,000}$ linii wielkości), które mogą wytrwać przez nieskończenie długi czas w dość przeciwnych życiu warunkach, aż nareszcie dostają się na grunt właściwy, gdzie wracają do życia i zaczynają odżywiać się i rozmnażać. Tym sposobem więc owa pochodząca wprost z „nieba“ pierwsza komórka, dostawszy się do wody na ziemi, odżyła i wydała niezliczone potomstwo, do którego należą wszystkie obecnie jeszcze żyjące komórki. Takie bujne fantazye nie zasługują wcale na poważną krytykę; przytoczyliśmy ową hipotezę tylko dlatego, ażeby pokazać, dokąd czasami dają się unieść fantazyą sumienni badacze, jeżeli dotarłszy granic badania, zniewoleni są dopełnić niedostatki wiedzy fantazyą.

Marzenia nad sposobem pojawienia się pierwszego organizmu na ziemi naprowadzają nas na drugą słabą stronę teoryi pocho-

dzenia t. j. na kwestyą co do pierwszych śladów istot organicznych w najstarszych pokładach ziemi. Pierwotne formy organiczne zupełnie nie są znane i nie ma też widoków, ażeby kiedykolwiek się znalazły, albowiem najprostsze organizmy składały się zapewne tak samo jak obecnie z miękkiéj nikłéj substancyi, a najgłębsze pokłady, zawierające najstarsze ślady organiczne, pod wpływem ciepła, ucisku, wody i działaczy tak znacznym uległy zmianom, iż nawet z takich istot, które były opatrzone twardym skieletem, przechowały się tylko nader szczupłe szczątki. Dla téj też przyczyny przejściowe formy, od najprostszych istot organicznych aż do stosunkowo bardzo wysoko stojących ryb, w pierwotnych formacyach nader skąpo są reprezentowane, i dlatego też teorya pochodzenia nie mogła z zebranych tam faktów wiele skorzystać dla swoich celów. Lecz i z organicznych pozostałości w młodszych formacyach stosunkowo nader szczupła tylko cząstka dotąd zbadana została i tylko w pojedynczych przypadkach udało się bliżéj oznaczyć stopniowe przemiany pojedynczych gromad, rodzajów i gatunków; lecz bezwarunkowo brak wszystkich form pośrednich pomiędzy oddzielnemi typami, mogących nam naocznie okazać przejście jednego typu w drugi. Oprócz tego nadmienić też wypada, iż ze zwierząt zaginionych zachowały się tylko skielety, skorupy lub odciski, nie dostarczające dość pewnych wiadomości o wewnętrznéj organizacyi istot, do których należały.

Podobne zarzuty można uczynić systematycznemu zestawieniu świata organicznego, obecnie jeszcze zaludniającego powierzchnią ziemi. System ten bez zaprzeczenia przedstawia skalę stopniowo wznoszącą się od form najniższych aż do form najdoskonalszych, najbardziéj złożonych. Pojedyncze stopnie téj skali są wszakże nader nierówne; rzadko można wznosić się po niéj stopniowo, krok za krokiem; po większéj części należy wykonywać potężne skoki, a miejscami nawet wypadnie zdecydować się na prawdziwe salto mortale, ażeby z jednego piętra przedostać się do drugiego. W ogóle teorya pochodzenia tylko w główniejszych zarysach daje się zastosować do naturalnego systemu; w szczegółach zaś krytycznie postępujący badacz spotyka się z nieprzezwyciężonemi trudnościami. System można w tym względzie porównać z pasmem gór, które widziane z wielkiéj odległości dają się objąć jednym rzutem oka, lecz w miarę przybliżania się coraz wyraźniéj uwydatniają swe strome skały i nieprzebyte przepaści.

Przekonaliśmy się powyżéj, że historya rozwoju organizmów dostarcza obfitego materyału faktów, przemawiających na korzyść

teoryi pochodzenia. Na zasadzie podobieństwa zarodkowych stadyów wyższych zwierząt, z dojrzałą formą niżéj stojących organizmów stworzono hypotezę (czyli nawet axyomat, wedle zdania krańcowych zwolenników teoryi pochodzenia), orzekającą, iż proces rozwoju składa się właściwie tylko z szeregu przeobrażeń w jajku, a stopnie płodowe są mniéj więcéj wyraźném powtórzeniem historycznego rozwoju *szczepu*, do którego należy rozwijająca się istota. Ta więc, na różnych stopniach rozwoju, po kolei przybiera wszystkie postaci, przez które przechodził także cały szczep w ciągu następujących po sobie epok geologicznych, nim z komórki doszedł do obecnéj udoskonalonéj formy. Te stopniowe przemiany zarodka wyższych zwierząt, zwykle jednak tak prędko się odbywają, iż w ciągu kilku dni zarodek przechodzi przez wszystkie główne fazy odpowiadające pojedynczym stopniom w rozwoju szczepu. W skutek tego pośpiechu w odbywaniu się przeobrażeń zacierają się właściwości pojedynczych form przechodnich i na pozór zupełnie zostają pominięte, albo ulegają znacznym przeistoczeniom, a zboczenia te oznaczono nazwą skrócenia lub sfałszowania rozwoju. Porównywając jednak pomiędzy sobą rozwój istot należących do różnych typów, albo nawet do zasadniczych skupień tego samego typu, badacze stale dostrzegają tak znaczne zboczenia od typowego procesu, iż są zniewoleni raz po raz uciekać się do wygodnego wybiegu „skrócenia“ rozwoju. Tym sposobem można jednak w końcu wszystko wytłómaczyć i dowieść, co tylko komu do gustu przypadnie.

Jak mało zresztą osiągnięto pewności i stałości w specyalném wyłożeniu przejść niższych form ku wyższym, pokazuje ta okoliczność, iż w jednéj z nowszych prac naukowych starano się formy osłonnic (tunicata), lancetnika (amphioxus), krążkoustych (cyclostoma), reprezentujące według Häckla i i. postępowe stopnie w przejściu od zwierząt bezkręgowych do kręgowych, wytłómaczyć jako utwory wstecznych przemian (degeneracyi) wyżéj stojących ryb, opierając się na doświadczeniu, które dobitnie wykazało, iż takie wsteczne przeobrażenia często się zdarzają u zwierząt pasożytnych i że krążkouste czasowo żyją na ciele innych zwierząt jako pasożyty. Ta niepewność w szczegółowém określeniu historyi rozwoju szczepów w znacznéj części i ztąd pochodzi, że prawdopodobnie nader mała tylko część obecnego świata organicznego bierze początek od przodków dotąd jeszcze żyjących, a zatém właściwi przodkowie obecnego pokolenia szczepów nie są nam dokładnie znani; być może, że obecnie egzystują tylko pierwotne formy nader blisko spokrewnionych z sobą gatunków i rodzajów; odmia-

ny tworzą się i obecnie jeszcze, mianowicie też u roślin za pośrednictwem przypadkowéj hybridacyi (skrzyżowania przez zapłodnienie). Większość przodków, a mianowicie przodkowie całych gromad i typów musieli zniknąć, albowiem według teoryi wyboru z walki o byt mogły wyjść zwycięzko tylko odmiany dawnych form, zdolne zastosować się do zmienionych warunków bytu, gdy tymczasem formy niezmienione utrzymać się nie mogły. Jeżeli zaś warunki bytu pozostały te same, to i odmiany po większéj części nie mogły się zachować, lecz musiały powrócić do formy pierwotnéj. Takie powracanie do formy przodków, zdarzające się nader często u sztucznie wyhodowanych istot, niezbyt rzadko spostrzegać się też daje u istot na wolności żyjących; zjawisko to oznaczono wyrazem powrotu (atawizm). Przy powstawaniu form organicznych powrót niemałą zapewne odgrywał rolę obok zdolności zastosowania się i dziedziczności; albowiem wsteczne przeobrażenia czyli powroty, zdarzające się nieraz w zmienionych warunkach bytu, mogły oddać większe usługi od odmian postępowych, tak samo jak np. człowiek wychowany w niedostatku często lepiéj potrafi sobie poradzić w nieszczęściu i biedzie aniżeli człowiek wyrosły w dostatkach.

Jakże jednak wytłómaczyć, dlaczego do chwili obecnéj zdołały utrzymać się nietylko istoty z wyższą organizacyą, jak to właściwie być powinno wedle zasad teoryi wyboru; ale nadto powierzchnią ziemi pokrywają i najniższe formy organiczne, chociaż warunki bytu tak znacznie się zmieniły? Jakże daléj wytłómaczyć, że nawet na dość ograniczonéj przestrzeni mogą obok siebie istnieć liczne, bardzo blizko spokrewnione formy, a pomimo tego nie zacierają się różnice gatunkowe, ani też przy współzawodnictwie o niezbędne warunki życia jeden gatunek nie ruguje drugiego? Widzimy więc, iż teorya wyboru sama przez się nie wystarcza dla wyjaśnienia wszystkich kwestyi, odnoszących się do powstawania i utrzymywania się różnych form organicznych; trzeba ją uzupełnić innemi jeszcze hypotezami, lecz nie możemy się tu wdawać w bliższy rozbiór wszystkich tych szczegółów.

Kończąc wyliczenie słabych stron i braków teoryi pochodzenia, nie możemy pominąć pobieżnego rozbioru zasadniczych jéj podstaw, mianowicie nauki o dziedziczności i o zdolności zastosowania się t. j. skłonności organizmów do odziedziczania i przekazywania raz nabytych przymiotów, oraz skłonności do tworzenia nowych odmian; dotychczas bowiem pozostaje bez wyjaśnienia nietylko sama ich istota, ale nadto wzajemny ich stosunek, oraz oddziaływanie jednéj skłonności na drugą. Dotychczas nie mamy

żadnego prawie wyobrażenia o rzeczywistém źródle owych objawów, albowiem nikogo nie może zadowolić tłómaczenie Häckla, według którego dziedziczność ma być wynikiem dzielenia się pierwotnych komórek na dwie zupełnie równe części. Objawy te są bezwątpienia wynikami nader zawiłych procesów; zwolennicy teoryi pochodzenia przyjmują je za elementarne własności uorganizowanéj materyi i posługują się niemi do wytłómaczenia najróżnorodniejszych innych zjawisk żywotnych.

Wyłożone powyżéj zalety i braki teoryi pochodzenia zapewne wystarczą dla wykazania, że hypoteza ta może być z korzyścią zastosowana przy badaniach naukowych i dla wytłómaczenia wielu zagadkowych objawów w świecie organicznym; przekonaliśmy się także, iż teorya zdolna jest do otwarcia nowych poglądów na zjawiska przyrody, a nawet nie wątpimy, że przy jéj pomocy nader różne procesa organiczne dadzą się do pewnego stopnia złączyć w jednę zaokrągloną całość: ale z drugiéj strony stało się też widocznem, iż brak jéj wszelkich warunków dla fundamentalnéj reformy filozoficznych poglądów na świat Gdybyśmy nawet przypuścili, że taka reforma dałaby się już obecnie przeprowadzić na podstawie nauk przyrodzonych, to w każdym razie powinnaby się opierać nie na saméj teoryi pochodzenia, ale na faktach dostarczonych przez wszystkie nauki przyrodnicze t. j. fizykę kosmiczną (w najobszerniejszém znaczeniu), porównawczą fizyologią, antropologią i i., przyczém naturalnie i teorya pochodzenia znalazłaby stosowne miejsce.

Bojaźliwe serca, które się obawiały, ażeby „teorya Darwina" nie dokonała zamachu na dotychczasowe poglądy i nie obraziła najdroższych ich uczuć, mogą się tedy uspokoić. „Darwinizm" tak samo nie zdoła zachwiać prawdziwie uzasadnionych podstaw osobistego przekonania i wiary, jak tego nie dokonały wszystkie dotychczasowe reformy w nauce. Dlatego też pojedynczy człowiek nie ma powodu z nienawiścią i wzgardą spoglądać na tę nową fazę w rozwoju nauk; owszem może spokojnie przyznać jéj prawo bytu tak samo, jak się dzieje z nauką o stałości materyi i siły, o nieskończoności przestrzeni i czasu, o geologicznych epokach w rozwoju kuli ziemskiéj i wielu innemi podobnemi teoryami, które również nie dają się pogodzić z tradycyjnemi poglądami.

Darwinizm i dla innego jeszcze powodu ściągnął na siebie nienawiść mass, a mianowicie z powodu przyjmowanéj spólności pochodzenia człowieka i małpy, czém też największy zyskał rozgłos u publiczności. Dużo osób „wykształconych" niewiele więcéj wie o teoryi Darwina, tylko to, iż rodowi ludzkiemu małpę

narzucać ma na przodka; obok tego tu i owdzie znajdujemy w pewnych utworach gazeciarskich przycinki i płaskie dowcipy kosztem „walki o byt.“ Co się dotycze owego wzgardzonego „przodka,“ to na podstawie wyłożonych wyżéj zasad teoryi wyboru z góry można wnosić, że człowiek nie pochodzi od żadnego z egzystujących gatunków małp, choćby pod względem kształtu najbardziéj do niego zbliżonego. Bezpośredni przodek rodu ludzkiego musiał zginąć w walce o byt, a na jego miejscu zjawił się wyżéj stojący człowiek; lecz przodek ten przymiotami umysłowemi bez wątpienia znakomicie przewyższał obecne gatunki małp, posiadał nierównie wyższe zdolności, gdy tymczasem małpy być może powstały z pobocznego plemienia owego człowieka pierwotnego i przedstawiają wsteczny (degeneracyjny) stopień rozwoju, spowodowany brakiem zdolności do dalszego rozwoju umysłowego. Gdyby nawet rzeczywiście było dowiedzioném, że człowiek pochodzi od małpy, to i wtedy każdy ze wzgardą spoglądający na owego przodka i pragnący wyrzec się go dopuściłby się wielkiéj niedorzeczności. Czy człowiek, który własną zasługą z nizkiego rodu wzniósł się na poważne stanowisko, nie zasługuje na większy szacunek od niedołęgi ze sławnym rodowodem? Wewnętrzne przyczyny, wpływające na ludzkie sympatye i antypatye, po większéj części bywają nader zagadkowe i paradoxalne. Ciekawy byłby ściśle krytyczny rozbiór procesów psychicznych, ktorych rezultatem bywają tak różnorodne objawy ludzkiéj dumy. Duma nie pozwala człowiekowi przyznawać się do nizkiego pochodzenia, naprzykład do pochodzenia od małpy; ale ta sama duma nie przeszkadza mu być często moralnym nędznikiem. Trudno też zrozumieć, dlaczego człowiek nie wstydzi się, że kiedyś istniał jako prosta komórka, albo że pływał w wodach płodowych jak ryba na wędce, że przyjmował pierś jak cielę i bezwiednie wykonywał inne zwierzęce czynności. Zasada: „naturalia non sunt turpia“ odnosi się niemniéj do teoryi pochodzenia, jak i do naturalnych funkcyi naszego organizmu.

Gdybyśmy pomimo wszelkich sprzeczności i niedostatków teoryą pochodzenia uznali za zupełnie dowiedzioną, czy byłaby wtenczas w stanie dostarczyć podstawy do zupełnie nowego poglądu na świat? Przekonaliśmy się powyżéj, że taka reforma nie mogłaby się opierać na saméj teoryi pochodzenia, lecz nowy system filozoficzny powinienby być wzniesiony na wynikach wszystkich gałęzi nauk przyrodniczych. Lecz nawet w takim związku teorya nie wystarczyłaby do wyjaśnienia istoty bytu. Choćbyśmy przypuścili, że wkrótce zostanie dowiedzona możność powstawa-

nia pierwotnéj komórki z prostéj kombinacyi cząste materyi, kto z tego moglibyśmy jedynie wnosić, że objawy życia zależą od wzajemnego oddziaływania na siebie cząstek materyalnych (co zresztą już i obecnie się przyjmuje), lecz pomimo to nie bylibyśmy w stanie zdać sobie sprawy, na czém w szczególności polega zdolność cząstek do takiéj właściwéj czynności. Użycie wyrazów: przyciąganie (attrakcya) i odpychanie, ruch molekularny i t. p. nie daje nawet zadawalającego wytłómaczenia różnych fizycznych własności materyi w ogóle, a tém mniéj własności pierwiastków zespolonych w organizmach żyjących. Czy można owemi wyrazami rozjaśnić objawy żyjącéj komórki jajkowéj, jéj proces rozwoju, powstawanie ruchów zależnych od woli, czy attrakcya lub ruch molekularny wytłómaczą nam objawy czucia, spostrzegania, tworzenia pojęć, samowiedzy i woli? A choćbyśmy wzięli do pomocy teorye pochodzenia i wyboru, choć przyznamy, że w walce o byt organa intelligencyi od pierwszych początków w formie „nabłonków zmysłowych" w skutek postępującego podziału pracy powoli daléj się rozwinęły i stworzyły nareszcie nader złożony mózg ludzki; to pozostawałoby jednak odpowiedzieć jeszcze na zapytanie, zkądże pierwsza komórka otrzymała zdolność do dalszego rozwoju w walce o byt i do przelania owych własności na następne pokolenia? Jeżeli daléj przyznamy, że objawy umysłowe powstają ze współdziałania miliardowych atomów, odpowiadającego prawom fizycznym, czy przez to stanie się dla nas zrozumiałém, jakim sposobem regularne drgania naszego nerwu słuchowego przemieniają się w uczucie dzwięku, drgania nerwu wzrokowego w uczucie światła i barw? Uczucia zadowolenia i przykrości, zdolności moralne (jak np. uczucie sprawiedliwości), siła woli, zdolność kojarzenia pojęć i t. p. niezawodnie otrzymały pochop do dalszego rozwoju i udoskonalenia przez walkę o byt, lecz *pierwotnego* ich źródła nie wyjaśnia ani teorya wyboru, ani też teorya atomistyczna. Choć wola nasza niewątpliwie ulega najróżnorodniejszym zewnętrznym i wewnętrznym wpływom i wahaniom, to jednak sami zbyt dobrze czujemy, że wola jest niezależną, że nie jest prostym bezpośrednim objawem ślepo działających fizycznych sił. Czy zresztą oddziaływanie na naszę wolą lub na kierunek myśli mowy drugiéj osoby lub jakiegoś pisma albo książki można tłómaczyć jako rezultat materyalnego oddziaływania światła lub dzwięku, pobudzającego nasze nerwy słuchowe lub wzrokowe?

Przekonaliśmy się więc, iż wiadomości zaczerpnięte z samych nauk przyrodniczych, nie wystarczają do wytłómaczenia wszystkich

zjawisk życia i czynności umysłowych; nie tłómaczą one nawet zadawalająco objawów czysto fizycznych, gdy stosujemy hypotezę o przyciąganiu i odpychaniu atomów i o ruchu molekularnym. Czy można bowiem wszystkie objawy współdziałania różnych sił w pojedynczéj cząstce materyalnéj uważać za wyjaśnione samém zastosowaniem owych wyrazów, które już same przez się w rzeczy saméj nie są zrozumiałe i właściwie nie są niczém inném, tylko abstrakcyą z ogólnych doświadczeń? Czy pojmujemy, jakim sposobem mogą kojarzyć się z sobą w jednéj cząstce różne siły, różne własności? Czy zjawiska ciążenia, chemicznego powinowactwa, przyciągania dają się wytłómaczyć jako skutki jednéj i téj saméj siły? Jakim sposobem może się przenieść siła żywa z jednéj cząstki na drugą, jakim sposobem udziela się magnetyzm lub elektryczność? Czy ten sam atom może jednocześnie przyciągać i odpychać, czy też należy koniecznie przypuszczać, że przyciągający i odpychający atom jest złożony z dwojakiego rodzaju ciał t. j. ze zwykłéj materyi i eteru? Czy w rzeczy saméj istnieje substancya, obdarzona tylko pewną częścią własności materyi, czyli t. z. eter? Jak mamy wystawiać sobie nieskończoność przestrzeni i czasu? Widzimy więc, iż nawet najdoskonaléj obrobione gałęzie nauk przyrodniczych, gałęzie mające do czynienia z elementarnemi własnościami materyi, pozostawiają nas w ciemności, skoro tylko przekroczymy zwykły ich zakres i dotkniemy choćby z daleka zasadniczych kwestyi bytu. Zasadnicze pojęcia fizyki, jéj axyomata są poprostu abstrakcyami opartemi na doświadczeniu, szematami, które sprawdzają się w każdym szczegółowym przypadku i pozostają w ścisłym z sobą związku, lecz bynajmniéj nie wyjaśniają istoty najelementarniejszych zjawisk.

Czy mamy jednak prawo do szukania wyjaśnień, sięgających głębiéj i niezadawalających się prostém określeniem elementarnych własności i praw materyi; czy takie wyjaśnienia w saméj rzeczy są możliwemi; jakie pojęcie w ogóle łączymy z wyrazem *wyjaśnienie*? Na takie zapytania możemy tylko odpowiedzieć, że dotarliśmy tu do granic metafizyki i że powinniśmy kompetentnemu specyaliście pozostawić wykazanie psychologicznego powstawania pojęć materyi, siły, prawa, przyczyny i skutku, przestrzeni, czasu i t. d. Możnaby nam jednak zarzucić, że dotknęliśmy najtrudniejszych kwestyi tylko w tym celu, ażeby się zręcznie wywinąć z trudnego położenia. Na taki zarzut odpowiedzieć wypada, iż do zakresu naszego zadania nie należało wyczerpujące rozjaśnienie wszystkich kwestyi, których pomimo daleko sięgających pretensyi

zwolennicy teoryi pochodzenia nie rozstrzygnęli; żywiliśmy tylko nadzieję, że uda nam się wykazać niezdolność teoryi pochodzenia (nawet wspólnie z innemi gałęziami nauk przyrodniczych) do otwarcia nowéj ery w poglądach na świat. Zamknięcie naszych wywodów będzie usprawiedliwione i tém, że zapowiedziany przez zagorzałych zwolenników teoryi pochodzenia nowy pogląd na świat czyli t. z. ich „monizm" (w istocie nieco uszlachetniony materyalizm), zasadza się w istocie na zaprzeczaniu możności istnienia innych warunków i czynników bytu, prócz leżących w saméj tylko materyi. Oprócz hypotezy o powolném i stopniowém doskonaleniu się świata organicznego, w saméj rzeczy nader ważnéj, obrońcy Darwinizmu zresztą nie stworzyli nic pozytywnego. Owa skłonność do negacyi przeważnie jest spowodowana przez skłonność dualistycznego poglądu na świat, do tłómaczenia wszystkich nie dających się zrazu pojąć zjawisk w sposób teleologiczny lub antropomorfistyczny, do wynajdywania wszędzie jakiegoś deus ex machina, działającego na wzór człowieka i wedle z góry oznaczonych celów. Tłómaczenie powstawania świata na zasadzie pojęć „monistycznych" t. j. przez rodzaj emanacyi, nie jest dla nas jednak więcéj zrozumiałe niż stworzenie świata z nicości wedle dualistycznego poglądu; przypuszczenie co do powolnego doskonalenia się świata organicznego może być przyjęte przez rozsądnych zwolenników dualistycznego poglądu, jak i przez obrońców monizmu, tylko nie wypada wystawiać sobie Stwórcy w ludzkiéj postaci i działającego wedle ludzkich zasad. Potęga Stwórcy będzie się wydawała niemniéj cudowną, jeżeli przypuścimy, iż świat powstał pod wpływem jego woli nie odrazu wedle szematu przez tradycyą podawanego, ale w niezmiernym przeciągu czasu, który dla ludzkich pojęć wydaje się kolosalnym, ale w porównaniu z wiecznością sprowadza się do znaczenia jednéj chwili; przytém świat wytworzył się sam z siebie i rozwinął się daléj wedle raz ustalonych przez Stwórcę praw, a nareszcie nastąpiła chwila, w któréj na tym świecie mógł zjawić się człowiek, odróżniający sam siebie jako odmienną od zewnętrznego świata istotę, tak we własnéj duszy, jak i w cudownym mechanizmie całego świata poznający wszechwładną dłoń Stwórcy. Należycie rozważając ostatnie poglądy, z pewnością dojdziemy do wniosku, iż teorya pochodzenia bynajmniéj nie znosi dotychczasowych *poprawnych* poglądów na świat, nie znosi także uprawnienia wiary; owszem daje się najzupełniéj pogodzić nietylko z „monizmem," ale i z rozsądnym dualizmem, który sprowadza doniosłość teologicznego tłómaczenia rzeczy do właściwych granic i przyznaje

także pewną miarę swobody istotom organicznym, zresztą zupełnie zależnym od praw przyrody. Teorya pochodzenia nie koniecznie więc prowadzi do materyalistycznych poglądów, owszem ostateczny jéj cel jest czysto *idealistyczny*.

MORZE W SAHARZE

przez

STANISŁAWA WARNKĘ.

Już temu więcéj jak 2,300 lat minęło, kiedy stary Herodot pisał o krajach leżących na południe Numidii i ziem Kartagińskich (1). „Kraina ku południowi i w głąb Libii rozciągająca się jest pusta, bez wody, bez zwierza, bez deszczu i bez drzewa, owoż żadnéj wilgoci w niéj nie masz... A mieszkańcy Atarantowie przeklinają słońce i przesyłają mu sprośne obelgi, przeto, że ich pali i niszczy tak ludzi, jak ich kraj.“ Ten prosty opis Sahary greckiego historyka niemniéj i dzisiaj jest prawdziwy. Wprawdzie mniemanie Arystotelesa, jakoby podrównikowe kraje były niezamieszkane z powodu zbytniego gorąca, okazało się mylne; ale olbrzymia pustynia, wielkością swoją nieledwie Europie wyrównywająca, która zaległa północną Afrykę, nie inaczéj wygląda w opisie podróżników nowoczesnych jak u Herodota. 150,000 mil kw. obejmująca Sahara jest wyżyną, na przemiany skalistą, to znowu ruchomemi zaspami delikatnego, żółtawego piasku pokrytą, z światem roślinnym i zwierzęcym tak ubogim, że nie wystarcza on na wyżywienie człowieka. Tylko w górskich kotlinach wznoszących się tu i owdzie z jednostajnéj płaszczyzny do znacznych wysokości, tylko w niezdrowych oazach, tak samo nielicznych, mieszkają ubogie plemiona, walczące bezustannie z naturą o najpierwsze życia potrzeby.

Czyż miałoby tak zostać na zawsze? Czy natura wypowiedziała tutaj stanowczy wyrok potępienia, którego najenergiczniejsze wytężenie sił ludzkich zmienić nie potrafi? Udało się pilności

(1) Herodot. IV. 184, 185.

człowieka zamienić stepy północnéj Ameryki w żyzne pola, niebotyczne zapory, jakiemi Alpy rozgraniczyły narody zostały usunięte i koleje żelazne pędzą po ich grzbietach, albo wiercą się tunelami przez sam ich środek; rozkopano przesmyk suezki i rozdzielono od siebie od tysiąców lat połączone ze sobą dwie części starego świata. W czasie, gdy przedmiotem poważnych i niebezowocnych dyskussyi jest przebicie przesmyku daryjskiego, przewiercenie tunelu pod wodami kanału La Manche, opasanie ziemi żelaznym pierścieniem kolei przez Azyą, wyspy Aleuty i Amerykę, gdy nieustraszeni żeglarze angielscy z całą pewnością szczęśliwego rezultatu puszczają się w drogę do bieguna północnego—w takim czasie było konieczne, aby umysł ludzki zaprzątnęła myśl wyszukania środków, któreby owe niezmierne przestrzenie afrykańskie oddały pod panowanie człowieka i cywilizacyi.

Francuzi szczycą się i słusznie, że od wieków dają pobudkę do wielkich przedsięwzięć, które torują drogę postępowi ludzkości. Francya podjęła i doprowadziła szczęśliwie do końca przekopanie przesmyku suezkiego, największe techniczne przedsięwzięcie naszego wieku, a zaledwie ukończono tę pracę, kiedy z téj saméj Francyi wybiegł na świat projekt zalania części Sahary wodami morza Śródziemnego i zamienienia wskutek koniecznéj odmiany klimatu w tych okolicach, wielkich dzisiaj pustych przestrzeni na urodzajne i mieszkalne. Przyjęto ten projekt w Europie z niedowierzaniem, tu i owdzie nawet z szyderstwem, bo ogół publiczności rozumiał, że tu idzie o zalew całéj Sahary, co jest niepodobieństwem, bo Sahara jest wyżyną wzniesioną w przecięciu 300 metrów nad poziom morza; gdy tymczasem twórca projektu, kap. sztabu francuzkiego Roudaire proponował tylko zalew przestrzeni około 350 geogr. mil kwadr. w Saharze algerskiéj i tunetańskiéj, kędy w starożytności miały się kołysać fale jeziora Tritona. Utworzenie tak rozległego morza wewnętrznego na południe Algeru byłoby niezmiernéj wagi dla téj prowincyi francuzkiéj i Tunisu; to też zajęto się gorliwie tą sprawą we Francyi i Włoszech, interesowanych także z powodu ożywionego bardzo handlu z tunetańskim krajem. Wysłano komissye celem zbadania dokładnego tych okolic, niwelacyi geometrycznéj przestrzeni, które mają być zalane, roztrząśnięcia na miejscu pytania, czy korzyści jakich spodziewać się można z zalewu szottów algerskich i tunetańskich odpowiedzą kosztom, jakichby wymagało tak ogromne przedsięwzięcie. Prace te są w części dokonane, a jeżeli niwelacya szottów tunetańskich wykaże tak korzystne dla projektu rezultaty, jak niwelacya szottów algerskich, to jest prawdopodobném, że za dzie-

sięć lat będziemy mogli morzem dopłynąć do kraju daktylów, Bilut-el-Dżerid, w południowym Tunisie. W każdym razie, czy projekt przyjdzie do skutku, czy nie, nauka geografii odniosła już dzisiaj wielkie z niego korzyści. Zbadane zostały okolice, które były dotąd prawie terra incognita, i ze względu na nowość tych geograficznych rezultatów, jak i na wysokie znaczenie polityczne i ekonomiczne, pomysłu kap. Roudaire, zasługuje ten przedmiot na uwagę szerszego koła publiczności.

I.

Na południe żyznych płaszczyzn prowincyi Konstantyny wznosi się potężne, do 2,300 metrów wysokie pasmo gór, Dżebel Aures, którego zachodnie ramię, zwane Dżebel Amar Khaddu najwięcéj się wysunęło ku południowi, jak przednia straż ku pustyni. Dżebel Aures stanowi północną granicę Sahary, to też kontrast pomiędzy jego stroną północną a południową jest jak najbardziéj stanowczy. Północne stoki zielenią się bujnemi pastwiskami, przez które wiją się strumienie, nad któremi piękne laski szepcą sobie odwieczne swe tajemnice, a plemię kabylów Szanja rozsiadło się w licznych i zamożnych wioskach. Na południowéj stronie gór rozpostarła się bezbrzeżna pustynia. Czerwonawy piaskowiec, z którego składają się skały Dżebel Amaru, świeci swoją nagością i odstrasza brakiem wszelkiéj wilgoci. Wprawdzie i po południowéj jego stronie toczą w czasie, gdy śniegi na wierzchołkach tają, potężne strumienie swe zamulone fale i rozryły one boki góry i poszarpały je w głębokie jary, cisnęły ku dolnym stokom olbrzymie głazy oderwane u góry, które jak ruiny miasta sterczą w fantastycznych kształtach i naniosły na nizinę żyzny muł, na którym przecież nic nie rośnie, bo gorący oddech Sahary wnet wysuszył wilgoć i spalił kiełkujące rośliny (1). Od zachodu opada powoli, stopniami, „przychodzi umrzeć,“ jak mówią poetyczni Arabowie, wyżyna Sahary.

---

(1) Po ułożeniu tego opisu pozbierałem wiadomości z rozmaitych raportów najnowszych podróży. Podawanie odrębnych cytat niepodobne, bo nieraz na jedno zdanie złożyły się wiadomości u kilku podróżnych zaczerpnięte. Podaję więc na tém miejscu razem źródła, ktoremi się posiłkowałem: *Exploration* scientifique de l'Algérie Vol. IX. *H. Duveyrier:* Les Touareg du Nord. Paris 1864. *Roudaire*: Une mer in-

Tu od południa leży bogaty w owsy Wadi Rir, dokąd zimą toczy swe wody Ighargharen, płynący około 1,000 kilometrów z wyżyny Ahagar, przez Tuaregów zamieszkanéj. Od północo-zachodu wpada do szottu Melrir Wadi Dżeddi, rzadko tylko zroszony wodą, zwykle suche łożysko. A na południe rozciąga się w nieskończoność falisty, pagórkowaty kraj, wyglądający jak „morze wzburzone, które nagle stęgło,“ to kraj ruchomych zasp piaszczystych, to „Erg“ Arabów, albo „Adehi“ Tuaregów, albo „Igidi“ Berberów.

Rozciągają się te zaspy lotnego piasku od zatoki Gabes do przylądka Barbas na brzegu Atlantyku w długości 2,400 kilometrów, a szerokość ich wynosi z południa na północ od 50 — 500 kilometrów. Drobny, żółtawy piasek Ergu, ułożył się we wzgórza czasami do 100 metrów wysokie, które północno-wschodni wiatr w tym samym kierunku umuskał. Pomiędzy wzgórzami ciągnie sie prawdziwy labirynt dolin, kędy w głębiach pod piasku pokrywą, tworzącą nieprzepuszczalną osłonę od promieni słonecznych, sączą się wody spadłe ze skąpemi deszczami pustyni. Piaszczyste te wzgórza zmieniają bardzo powoli swój kształt, i dlatego wprawne oko zoryentuje się pomiędzy niemi, ale niemniéj konsekwentnie odbywa się ta zmiana i piasek wędruje wciąż na południo-zachód. To też karawany przebywające Erg, muszą nadzwyczaj trzymać się razem, bo jeżeli się przerwie ten żywy łańcuch wielbłądów i ludzi, to niebawem piasek zawieje ślady, a spóźnieni chyba trafem szczęśliwym odnajdą karawanę. Tu i owdzie tylko sterczy wśród piasków zębata skała, czasami stoły na lodowcach, czasami obeliski swym kształtem przypominająca. Arabowie nazywają te skały „gâra,“ świadkiem. Trafna to nazwa, bo rzeczywiście te skały świadczą, że przed tysiącami lat Erg nie był piaszczystą, ale skalistą płaszczyzną jak przyległa mu „Hammada.“ Tylko powietrze, światło i zmienna temperatura, która w Saharze w przeciągu jednego dnia wskazuje nieraz 75° C. różnicy,

---

térieure à établir en Algérie. Revue d. d. Mondes. 15 Mai 1874. *Listy H. Duveyrier* pisane w czasie wyprawy exploracyjnéj r. 1874 i 5 do p. Massoin, sekretarza tow. geogr. paryzkiego, a drukowane w Bulletin de la Société. Janvier, Fevrier, Mars 1875. *H. Duveyrier:* Premier rapport sur la mission des chotts. Bulletin, Mai. 1875. *Roudaire:* La Mission des chotts de Sahara de Constantine. Bulletin. Août. 1875. *Dr. Tirant i Dr. Rebatel* w Mitth. der geogr. Ges. in Wien Nr. 8 i 9. 1875. *Raport komissyi włoskiéj* w Explorateur 1875 Nr. 24. Nadto na posiedzeniu V gruppy kongresu geograficznego w Paryżu toczyła się o tym przedmiocie żywa dyskussya. P. *Cesare Correnti* zdawał sprawę z wyprawy włoskiéj, a Roudaire miał obszerny wykład.

rozkruszyły powoli piaskowe skały, zamieniły je w lotny piasek i tylko ruiny jako świadków przeszłości pozostawiły.

Pomiędzy górami Aures, a zaspami piaszczystemi Ergu rozciąga się w długości około 380 kilometrów, a w szerokości zmiennéj, bo od 1 — 40 kilometrów, od 3^0 45' wschod. dług. Paryża do zatoki Gabes, i pomiędzy 33^0 45' a 34^0 30' szer. półn., kraina szottów, leżąca poniżéj poziomu morza, a oddzielona od niego nie szerszym niż 18 kilometrów przesmykiem, który p. Roudaire przebić i tak nizinę szottów wodami morza Śródziemnego zalać zamyśla. Najdaléj ku zachodowi wysunięty, prawie pod południkiem Biskry zaczynający się, jest szott Melrir i połączony z nim szott Sellem, daléj ku wschodowi szott Rharsa i największy ze wszystkich szott Kebir albo Dżerid. Pomiędzy szottem Melrir a szottem Rharsa leżą pomniejsze szotty, jak Muia, Tuidżin, Hodżela, Asludż. „Szott“ albo „sebkha“ nazywają krajowcy błotniste niziny, pokryte kryształtami soli, w których tylko wyjątkowo, w czasach obfitszych deszczów gości woda. Brzegi tych szottów oznaczają zwyczajnie sznury kamyków, których okrągła, jak gdyby utoczona forma świadczy, że woda je tak upolerowała. Grunt szottów jest gliniasty, utrzymujący zawsze wilgoć, nawet i w tym czasie, gdy się porozpękał w szerokie szczeliny pod wpływem słońca. Ku środkowi nabiera ta glina kasztanowatego koloru, w tych miejscach znajdują się przepaści błotniste, zwane przez Arabów „borma“ albo „szviats“ — kociołki. W tych miejscach śmierć niechybna czeka zuchwalca, któryby śmiał nogę na nich postawić. W oczach kap. Roudaire i Henryka Duveyrier nieostrożny spahis o mało że wraz z koniem nie utonął w Szott Sellem. Najniebezpieczniejszy jest Szott Dżerid w tunetańskim kraju. Przecież oswojono się z niebezpieczeństwem, doświadczenie nauczyło omijać bormy i od niepamiętnych czasów przebywają karawany Szott el Dżerid, wędrując gęsiego po wąziutkim przesmyku z Tour do Nifzana. Ale biada temu, kto chociaż o krok zboczy z przepisanéj ścieżki. Mula-Ahmed słyszał, że karawana z 1,000 wielbłądów złożona, przepadła w grzęzkich błotach Dżeridu, a w jego oczach zapadła się w tém samém miejscu pod karawaną przestrzeń 100 łokci kwadratowych i pochłonęła wielbłądy i ludzi. Powierzchnią szottów pokrywają słone materye, najczęściéj sól magnezyi. Wygląda wtedy wyschłe błoto jak szronem pokryte. Oczy bolą olśnione blaskiem promieni słonecznych, odbijających się i łamiących w kryształach solnych. Przedmioty stojące nad brzegiem odbijają się jak w najprzezroczystszéj wodzie w téj solnéj pokrywie.

Od południa przysunęły się piaski Ergu tuż do brzegów ni-

ziny szottów, czyli depressyi tunetańsko-algerskiéj, rozdzieliły ją nawet w samym środku, przy Szott-Asludż na dwie połacie. Ku północy od Szott-Rharsa wznosi się w Tunis w kierunku gór Szambi kraj daktylów, Bilud-el-Dżerid, którego liczne oazy najpiękniejszych dostarczają daktylów. Na zachód, już na północ algerskich szottów, leży „Farfarya," niziny nagie, marglowate, twarde w czasie suchym, równe i nieprzerwanie gładkie, pociągnięte solą, jak gdyby skórką białą, a nad niemi prawie nieustannie fata morgana tworzą znikome swe obrazy. Daléj na zachód, na północ szottu Melrir ku górom Aures piaszczysta nizina przesiąknięta solą, zwana „Bakhbakha." Wierzchni jéj pokład utworzył muł spławiowy przez górskie strumyki z wyżyn Auresu i Amar Khaddu, a w czasie gorącym odrywa się ten wierzchni pokład od dolnych warstw, na których spoczywa i tworzy wielkie wypukłości, jak gdyby bąble, które rozpryskują się naciśnięte, a na spodniéj ścianie wypukłości pokazują się miliardy solnych kryształów. Tę nizinę przerzynają liczne strumyki, które wiosną spływają z Auresu i w nizinie rozdzielają się w coraz drobniejsze, nieledwie, powiedziałbym, nitki wodne, które giną powoli.

Powietrze w tych nizinach jest ciężkie i gorące; kap. Roudaire obserwował w początku Marca 1873 r., gdy śniegi na szczytach Auresu jeszcze nie były stopniały, nad brzegiem szottu Melrir 39° C. A przytém jest powietrze tak przejrzyste, że Dżebel Amar Khaddu zdawał się Roudaire'owi tylko o kilka kilometrów odległy. A przecież był to czas, gdy temperatura najchłodniejsza; bo czas najgorętszy, w którym termometr czasami do 70° C. się wznosi przypada na lato, od Czerwca do Września. Najchłodniéj jest przed wschodem słońca, najgoręcéj od 2—3 po południu. Nie ma w tych szerokościach ani brzasku porannego, ani zmroku wieczornego; słońce wstaje i zachodzi nagle bez przejścia. Swiatło słoneczne w całéj Saharze jest tak silne, że oko ludzkie nie jest w stanie go wytrzymać bezkarnie i chociaż mieszkający na południe Tuaregowie zasłaniają burnusem twarz całą, rzadko między nimi spotkać starszego człowieka, od 40—50 lat, któryby nie chorował na oczy. Aparata fotograficzne podróżników były nie do użycia, bo słońce spaliło platy.

Nad rozpaloną ziemią rozpięty namiot pogodnego niebieskiego nieba, koloru indigo. Skoro tylko powietrze ciche, a temperatura cokolwiek wzniesiona, igrają nad szottami i Farfaryą fata morgana. P. Largeau, który w ubiegłym roku podróżował z Biskry do Tuggust wzdłuż wybrzeża szott Melrir, opisuje nam to

cudowne, a tam codzienne zjawisko (1): „Gdy w piękny poranek tarcza słoneczna wysunie się ponad horyzont czystego nieba, pokrywa nagle niezmierne morze (którego fale tak się iskrzą i błyszczą, że oko ich zmiennych form pochwycić nie może) wyschłe łożysko szottów. Zielone wyspy, tak ciemno-zielone, że niepodobna rozróżnić, jakiego rodzaju drzewa na nich rosną, zdają się pływać na powierzchni i zmieniać swe położenie jak okręty za każdym wiatru podmuchem. W miarę tego, jak się słońce na firmamencie wznosi, zmieniają się kształty wysp, przedłużają się i zaokrąglają, nareszcie zanurzają się w fantastycznéj wodzie i toną w iskrzących falach, które niebawem rozwiewają się w nic. I podróżny znajduje się znowu wobec smutnéj rzeczywistości i patrzy na grunt chropowaty, pokryty grubą warstwą soli, grożący mu lada krok rozstąpieniem się i zagładą.“

Deszcz pada w tych okolicach bardzo rzadko; Duveyrier naliczył w oazie Suf, tuż na południe szottów leżącéj, tylko 16 deszczów w przeciągu 4 miesięcy, a jeszcze rzadsza jest burza, albo długi deszcz, jaki naprzykład zlał wyprawę exploracyjną 31 Stycznia 1875 roku w Muia-el-Tunsi, na południowym brzegu szottów, a który padał 15 godzin. Wtedy radość panuje u okolicznych plemion, bo pastwiska wiosenne zapewnione. Za to częstszym aniżeli deszcz gościem, jest straszliwy sirocco. Niebezpiecznie jest staczać walki z tym wszechwładnym panem pustyni, jak opowiada Herodot (2): „Nazamonom pograniczni są Psyllowie. Ci takim sposobem wyginęli. Wiatr południowy wysuszył im wody i kraina cała wewnątrz Syrty stała się bezwodną pustynią. Tedy rzecz rozważywszy wedle wspólnéj narady, wyciągnęli zbrojno naprzeciwko wiatrowi południowemu Notusowi, a kiedy stanęli wśród piasków, Notus zadąwszy zasypał ich.“ Prawdziwie greckie uobrazowanie skutków tego straszliwego wiatru. Sirocco wieje zwyczajnie z południa, w czasie bardzo gorącym, wyjątkowo tylko z innéj strony, w którym to razie jest on powracającym prądem powietrznym, odepchniętym przez wiatry północne, wschodnie albo zachodnie. Unosi on z sobą zwyczajnie massy drobniutkiego, pyłkowatego piasku. Natenczas atmosfera wygląda, jak gdyby pałająca ogniem, czerwonawa, wysuszająca, częściowo zaciemniona kurzem, który wiatr unosi. Rośliny po przejściu sirocco wyglądają jak gdyby ścięte przed 48 godzinami. Ludziom

---

(1) Le Globe. 1875. Organ Tow. geogr. w Genewie.

(2) Herodot IV. 173.

przyśpiesza ten straszliwy wiatr oddech, skóra wysycha, umysł traci energią. A razem z wiatrem leci trąba piaszczysta, mająca średnicy 50—60 metrów, czerwonawego koloru, „jak gdyby ognisko olbrzymiego pożaru.“ A pędzi z szybkością orkanu, to sunąc się po ziemi, to wznosząc się nad nią, jak upior zniża się i podnosi, jak gdyby nie należała do ziemi, aż znajdzie grób, który pagórkiem piasku przysypie.

Że w takich warunkach klimatycznych nie może być mowy o bogatém życiu roślinném lub zwierzęcém, samo się przez się rozumie. To też kraina szottów jest straszliwą pustynią. Na drodze z Biskry do szottu Melrir jest las Saada,—las, tak wysokie mający drzewa, że jeździec spogląda swobodnie ponad wierzchołkami, a nie są one wcale gęste w tym maleńkim lasku. Dalej tylko tu i owdzie, w okolicy Dżenuejir w wilgotnych miejscach bujna trzcina wyrasta, sporadycznie cierniste krzewy „Limoniastrum guyonianum“ pokryły obszerniejsze przestrzenie, a pomiędzy niemi rzadkie „Ranunculaceae,“albo „Plumbagineae,“ nieśmiertelniki i inne drobne, grubolistne rośliny nieśmiało podnoszą swe główki. Częściéj rosną niektóre rodzaje „Solsaceów,“ jak np. „Atriplex mollis,“ u Arabów „Dżell“ zwany, po którego kwiat chyłkiem o zmroku spieszy Arabka niezadowolona ze zbytniego błogosławieństwa boskiego; a jeszcze częściéj wyrastają krzewy „Atriplex halimus“ — po arabsku „getof“—którego świeże latorośle dla ich słonawego, orzeźwiającego smaku bardzo lubią wielbłądy. Uważny botanik spotka się z krótkim pniem wspartym na nieskończenie długich korzeniach „Ephedra alata,“ którego cylindrowatéj formy liście zwracają uwagę, a w zachodniéj części szottów często z Tamariską. Nakoniec „Lotus corniculatus,“ „Athrotherum pungens,“ „Calligonum comosum,“ „Mesembryantemum crystallinum“ i różne gatunki Salsoleów, Fumariaceów, Zygophyllów: ale są to wszystko rzadkie i karłowate okazy roślinnego świata.

Więc też tylko owady i płazy zamieszkują te okolice. Ostatniéj francuzkiéj wyprawie udało się napotkać 2 metry długiego węża Pytho. W trzcinach szottów tylko jaskółki i nieodstępne wróble świergocą, a czworonożny zwierz jest rzadkością. Zimą przypędzają pasterskie plemiona Sahary na północny brzeg szottów swe trzody, wtedy ożywia się trochę ten smutny kraj. Studnie w nim są rzadkie i dlatego pasterze często tylko co dwa dni raz pędzą swoję trzodę do studni. Pocieszny widok sprawiają wtedy wielbłądy, które objadłszy się słonego Atriplex, wyskakują jak kozy z radości, gdy się zbliżają do studni. Od połowy Kwietnia

zaś do końca Września niema ani jednego pasterskiego namiotu w okolicy szottów i cisza panuje na pustyni.

Rzadko, bardzo rzadko czerni się ciemną zielonością oaza na jasném tle piasków i solnych błot krainy szottów. Jedynie na południowo-zachodnim i północno-wschodnim krańcu rozkoszuje się ich widokiem oko wędrowca. Na południo-zachód ciągną się szeregiem oazy Wadi Rir, w części sztucznie za pomocą studni artezyjskich utworzone. A na północ od Szott-Dżerid, na stokach góry Arbet, gdzie leżą wielkie oazy Gafsa i Guettar, albo Geltar, rosną najpiękniejsze palmy daktylowe, jakie w ogóle istnieją. Jest to Bilud-el-Dżerid, kraj daktylów. Podziemne wody użyzniają oazy i najpiękniejsze palmy wyrastają z prawdziwych studni. Palma powinna mieć głowę w ogniu, a nogi w wodzie, powiadają Araby. A pod cieniem palmowych liści, chroniących od zabójczych promieni słońca rosną zboża i jarzyny. „Niechaj nikt nie żąda od nas," piszą Dr. Tirant i Rebatel, „abyśmy opisywali cuda lasu palmowego w Gafsa; każde porównanie, chociażby oryentalne, będzie za słabe. Słowa niezdolne dać wyobrażenia o téj olbrzymiéj cieplarni, gdzie falisty dach palmowego liścia do wysokości 100 stóp osłania inne rośliny. Brzoskwinie, grusze, oliwne i migdałowe drzewa i tyle innych, których nam niepodobna wyliczyć, dochodzą w tym zbawczym cieniu do kolosalnych rozmiarów. Każda palma jest też hodowana z największą troskliwością, bywa co ośm lat mierzwioną, płaci ogromne podatki, a niemniéj stanowi niewyczerpane bogactwo Dżeridu."

II.

Że ta kraina szottów leży poniżéj poziomu morza, że zatém należy do rzadkich zjawisk depressyi ziemskich, wiedzieli geografowie już dawno, ale nie była to wiedza, lecz raczéj wiara historyczna w stare opisy geografów greckich o będącém w tych okolicach jeziorze Tritona, które miało być w połączeniu z morzem. Obserwacye barometryczne podejmowane w różnych czasach przez panów Vaillimont, Marès, Dubocq, Ville dawały tak sprzeczne rezultaty, że było niepodobieństwem oznaczyć z pewnością, czy kraina szottów leży poniżéj czy powyżéj powierzchni morza. Było to naturalne. Obserwacye barometryczne nigdy nie mogą dać zupełnie dokładnego oznaczenia wzniesienia powierzchni ziemskiéj,

zwłaszcza w okolicach, gdzie stosunki atmosferyczne są tak zmienne. Francuzi przytém aż do ostatniéj wojny nie dość dbali o poznanie swéj algerskiéj prowincyi i od czasu podróży Henryka Duveyrier w latach 1860 i 61, dopiero militarne expedycye gen. Lacroix do Wargla i gen. Gallifet do El-Golea, w celu uspokojenia zbuntowanych w r. 1871 plemion, podjęły także nanowo naukowe zbadanie tych okolic. W roku 1872 polecono kapitanom Villars i Roudaire wymierzyć łuk południka, pod którym leży Biskra. Roudaire dokonał tego w r. 1873 z pomocą kapitana Noll'a, przyczém skonstatował, że szott Melrir leży 27 metrów niżéj poziomu morza i że jego łożysko opada ku wschodowi o 22 centimetry na kilometr, że zatém prawdopodobnie sąsiedni szott Sellem, oddalony o 60 kilometrów od zachodniego brzegu Melriru, będzie leżał o 42 metry niżéj poziomu morza. W tym samym czasie podróżował kap. Parissot wzdłuż granicy algersko-tunetańskiéj z Guettaria do Negrin i także w tych okolicach depressyą ziemską zaznaczył.

W czasie swych prac niwellacyjnych spotkał kap. Roudaire na drodze pomiędzy Konstantyną a Batna Araba Bu-Lakras, z rodu Ben-Gannah, kaida plemion wędrownych Sahary algerskiéj. Ciekawy Arab pytał się, w jakim celu podejmują oficerowie francuzcy tak dokładne, a z takim trudem połączone pomiary ziemi, a usłyszawszy, że wyprawa miernicza zamyśla posunąć się aż w głąb Sahary i zbadać, czy szott Melrir nie leży poniżéj poziomu morza, odpowiedział zamyślony: „Nieraz przypatrywałem się szottom, nieraz myślałem, że one są morzu podobne i że kiedyś fale morskie sięgały tak daleko.“ A gdy kap. Roudaire mu wykazał, jakim sposobem możnaby znowu sprowadzić wody morskie do szottów: — „Allah jest wielki!“ zawołał Arab, „to byłoby wielkie dzieło.“

Niemniéj żywo jak Araba, zajęła ta myśl francuzkiego oficera. W liście do p. Maunoir, generalnego sekretarza tow. geogr. paryzkiego, czytanym na posiedzeniu towarzystwa d. 5 Listopada 1873 r., nakreślił kap. Roudaire plan zalewu szottów, a obszerniéj rozwiódł się nad tém w artykule drukowanym w Revue d. d. Mondes z 15 Maja 1874 r. Z opisów geografów starożytnych, Herodota, Scylaxa, Pomponiusza Meli, Ptolemeusza, usiłował dowieść p. Roudaire, że jeszcze w historycznych czasach była kraina szottów zalana wodą i stała w połączeniu z morzem Śródziemném. Podług jego interpretacyi słów greckich i rzymskich geografów, jezioro Żółwiowe, to dzisiejszy szott Melrir, jez. Libii to szott Sellem, jez. Pallady, to szott Rharsa, a jez. Tritona, w którém statek Jazona miał się kołysać, to szott Dżerid. Kędy dzisiaj suche łożysko Wadi Akareit wije się ku brzegom morza, tam niegdyś była

cieśnina łącząca jezioro Tritona z morzem. Ujście to było bardzo wązkie, już za czasów Scylaxa, w V wieku przed Chrystusem, zabarykadowane w samym pośrodku wyspą i dla okrętów tylko w czasie przypływu morza dostępne. Jeszcze za czasów arabskiego geografa Edrisi (1) w XII w. po Chrystusie, istniało to połączenie szottów z morzem i dopiero późniéj silne prądy morskie w małéj Syrcie zasypały mułem i piaskiem wązką cieśninę. Nie będzie zatém trudno, zdaniem p. Roudaire, usunąć te namulenia morskie, 18 do 20 milionów franków wystarczą na zbudowanie odpowiedniego kanału, a jakie olbrzymie korzyści! Południowe wiatry nie będą już wysuszały stoków gór Araes i Amarkhaddu, ale przeciwnie nasycone wilgocią wyssaną z nowoutworzonego morza, zroszą obfitym deszczem dzisiaj nagie skały i pokryją je bujną wegetacyą. Płynący wzdłuż południowych granic Algeru, Wodi Dżeddi, dzisiaj najczęściéj suche łożysko, napełni się znowu wodą i będzie baryerą, odpychającą piaski pustyni od południowego Algeru. „Cała południowa część naszéj prowincyi Konstantyny i Tunisu odmłodnieje,“ pisze z zapałem p. Roudaire. „Zostanie utworzony dobry port, jakiego nie ma na brzegach Syrty; oazy Sufu, Wadi Rir, Tugurt, Wargla, Goleach i Ghadames zbliżą się o 300 kilometrów do morza, drogi handlowe z Sudanu do Marokka wiodące, zwrócą się koniecznie do bliższego im nowego morza, sława—„le prestige,“ mówi p. Roudaire—Francyi urośnie u plemion arabskich i zapewni spokojnie posiadanie Algeru.

Już w r. 1869 poruszył był p. Vernaudel w wychodzącym w Konstantynie dzienniku „Indépendant,“ myśl zalewu szottów, ale dopiero gruntownym badaniom i gorliwości kapitana Roudaire udało się pozyskać dla téj myśli rząd i naród francuzki Na wniosek Pawła Bert, prof. Sorbony paryzkiéj, wyznaczyło zgromadzenie narodowe 10,000 franków na koszta wyprawy naukowéj, celem niwellacyi geometrycznéj szottów; tow. geograficzne paryzkie, zachęcone gorącemi słowami sławnego astronoma Leverrieru i Lessepsa, wyznaczyło ze swéj strony fundusz i wydelegowało ze swego grona na członka wyprawy znakomitego podróżnika po Saharze, Henryka Duveyrier; rząd algerski pospieszył z gotowością wszelkiéj pomocy. We Francyi od czasu wojny niemieckiéj badania geograficzne i wyprawy exploracyjne stoją na pierwszym planie, podniesienie wiedzy geograficznéj jest tam zasługą patryotyczną, to też

(1) Vivien de St. Martin: Le Nord de l'Afrique dans l'antiquité, Paris, 1863 p. 55.

Roudaire nietylko uzyskał co chciał, ale przygotowania do wyprawy odbyły się z nadzwyczajną szybkością.

Już d. 1 Grudnia 1874 widział się uszczęśliwiony Roudaire w Biskrze na czele wyprawy składającéj się z kapitanów sztabu, panów Parissot i Martin, por. Baudot, lekarza Jacquemet, inżyniera Lechatelier, delegowanego tow. geograficznego Henryka Duveyrier, 30 ludzi batalionu afrykańskiego pod dowództwem kap. Comoy, 20 żołnierzy do pociągów i kilku spahisów. Prace niwellacyjne trwały od d. 7 Grudnia 1874 r. do d. 12 Kwietnia 1875 r. i oznaczono geometrycznie linią 650 kilometrów. Okrążono tą linią wokoło szotty algerskie i pociągnięto ją przez ich środek, aby tak granice, jak i głębokość przyszłego morza oznaczyć. Przekonano się, że szotty algerskie, których rozciągłość wynosi około 6,000 kwadr. kilometrów, leżą od 20 — 27 metrów poniżéj poziomu morza, że brzegi zachodnie i południowe bassenu szottów są spadziste, tak że największe statki będą mogły przybijać do brzegów, a tylko od strony północnéj łagodne pochyłości stoków Auresu, będą im broniły przystępu. Przekonano się dalej, że wszystkie oazy w Suf i większa część oaz w Wadi Rir żywią się ze studni wyniesionych nad poziom morski i że tylko kilka drobnych oaz we Wadi Rir zostałoby zalanych przez zalew. Jednocześnie przekonano się, że niema naturalnego połączenia pomiędzy szottami algerskiemi i tunetańskiemi, że leżący pomiędzy niemi szott Asludż jest wyniesiony nad poziom morza. Lecz wyniesienie to nie wynosi więcéj nad 3,2 metrów, i tylko na brzegach 6 do 7 metrów, a grunt składa się z pokładów luźnego piasku, przez które nie trudno będzie przekopać 18 kilometrów długi kanał do wschodniego Szott-Rharsa, w którym znowu ziemia nagle opada, tak że przypuszczać należy, że szotty tunetańskie leżą nawet niżéj aniżeli algerskie.

Rozległość szottów tunetańskich, dotąd dokładnie niezbadanych, wynosi mniéj więcéj 10,000 kilometrów kwadratowych (1 □ mila geogr.=55 □ kilom.), zatém cała depressya obejmuje około 16,000 □ kilom. Przypuściwszy, że cała depressya jest w przecięciu 25 metrów głęboka, potrzeba będzie na jéj zapełnienie około 400 miliardów metrów kubicznych wody, którą należy wprowadzić kanałem 80 metrów szerokim, a wykopanym w łożysku suchego Wadi Akareit, na północ od Gabes. Szerokość przyszłego kanału zależeć jeszcze będzie od geologicznych stosunków w Wadi Akareit. Ponieważ morze w zatoce Syrty jest płytkie i w czasie przypływu nanosi wiele piasku na brzegi Tunisu, trzeba będzie poprowadzić ten kanał dalej w morze aż do wielkiéj tamy, która będzie chroniła kanał przed zamuleniem. Oczywiście, że wązkim

kanałem nie odrazu, nie w tydzień, ani w miesiąc wpłynie do szottów olbrzymia massa wody, potrzebna do ich wypełnienia. Roudaire przypuszcza, że potrwa ten przypływ od 2 do 3 lat, tém więcéj, że silna ewaporacya nieustannie będzie zmniejszała ilość wody. Ze względu na to uważa p. Roudaire za szczęśliwą okoliczność rozdzielenie depressyi na dwie części przez wywyższenie przy Szott-Asludż. Będzie można wpuścić wody morza Śródziemnego najpierw do pierwszego, potém do drugiego bassenu i przeszkodzić tym sposobem zbyt szybkiéj ewaporacyi.

Na przeszłorocznym kongresie geograficznym w Paryżu były wyłożone w salach wystawy francuzkiéj wyborne karty krainy szottów i przyszłego morza, oraz obszerny memoryał, sporządzony przez członków wyprawy exploracyjnéj, a nadto pan Roudaire w długim wykładzie, mianym na jedném z publicznych posiedzeń kongresu, starał się dla swego projektu pozyskać poklask uczonych całego świata.

Ale właśnie pomiędzy tymi znalazł on kilku stanowczych przeciwników. Już dawniéj, zanim jeszcze p. Roudaire powrócił był z Afryki, wystąpił przeciw jego projektowi i na posiedzeniu tow. geog. paryzkiego i w osobnéj broszurze (Note sur l'isthme de Gabés et l'extrémité orientale de la depression Saharienne) pan E. Fuchs, inżynier w służbie tunetańskiéj. Zdaniem tego uczonego, próg rozdzielający krainę szottów od morza, składa się nie z piasków namulonych przez wody lądowe i morskie, ale z wapiennych pokładów peryodu trzeciorzędowego; w czasach historycznych nie istniało połączenie depressyi z morzem Śródziemném, a przebicie przez skaliste wzgórze kanału, zbudowanie tamy, założenie dobrych portów na brzegach nowego morza będzie kosztowało nie 20, ale 300—400 milionów franków. Na posiedzeniu 5-éj sekcyi kongresu geograficznego, zajmującéj się geografią handlową, dnia 7 Sierpnia 1875 r. wystąpił p. Fuchs ponownie ze swemi zarzutami przeciw projektowi p. Roudaire i został poparty przez p. Cesare Correnti, prezesa tow. geograficznego rzymskiego.

Wspomniałem już na wstępie, że Włochy zostały żywo zainteresowane projektem p. Roudaire, ile że prowadzą bardzo zyskowny handel z Tunisem; więc w tym samym czasie, gdy wyprawa francuzka powracała do domu, została wysłana z Włoch wyprawa exploracyjna, która d. 24 Maja 1875 r. wylądowała w Tunisie. Składała się ona z p. Castelnuovo, bogatego bankiera włoskiego, posiadającego kopalnie srebra w Tunisie, a który opłacił koszta wyprawy, margr. Antinori, sekretarza tow. geog. rzymskiego, p. Belucci geologa, inżynierów pp. Vanutti i Lambert, malarza Ferrari,

pułkownika Galvagni i kap. Basaftieri. Pan Correnti zdawał sprawozdanie (1) z badań téj wyprawy, które wykazują, że przesmyk przy Gabes składa się z pokładów wapienia gipsu krystallicznego i piaskowca epoki trzeciorzędowéj, a nadto wschodni kraniec szottu Dżerid jest prawdopodobnie wyniesiony nad poziom morza i depressya zaczyna się w okolicy Nifzana. Kanał zatém łączący szotty z morzem, będzie musiał mieć 80—100 kilometrów długości, a nie 18, zatém koszta będą niezmierne i prawdopodobnie przewyższą jeszcze przyjętą przez p Fuchsa summę. Członkowie wyprawy włoskiéj przyszli z tych powodów do przekonania, że utworzenie morza w Saharze algerskiéj jest fizycznie możliwe, ale z powodów ekonomicznych niewykonalne, bo możliwe korzyści nie wyrównają kosztom. Raport p. Correnti'ego wywołał na posiedzeniu żywą dyskussyą. P. Roudaire nie chciał uznać, żeby wywody p. Correnti'ego były stanowcze, bo pomiary wysokości dokonane przez wyprawę włoską, nie są dokładne, bo nie dokonane geometrycznie; daléj wyprawa zbadała przesmyk tylko w okolicy Gabes, a pominęła wklęsłość Wadi Akareit, gdzie zdaniem Roudaire'a była niegdyś cieśnina łącząca szotty z morzem. Dlatego żądał p. Roudaire, aby została wysłana nowa wyprawa, celem geometrycznéj niwellacyi i geologicznego zbadania szottów tunetańskich, tak jak się to stało w Algerze. Sekcya kongresu przychyliła się do jego żądania i na wniosek p. Napoleona Ney uchwaliła odpowiednią rezolucyą.

Tymczasem geolog austryacki, dr. Gwido Stache odbył w Lipcu tego samego roku wycieczkę naukową do Tunisu i potwierdził zupełnie zdanie Fuchsa i uczonych włoskich (2). Próg, oddzielający morze od szottów, jest 60—100 metrów wysoki i zwolna opada tak ku morzu, jak ku szottom. Pokłady wapienia i gipsowatego piaskowca pochodzą z końca epoki trzeciorzędowéj i z epoki czwartorzędowéj, ale nie sięgają czasów historycznych. Tylko w okolicy Gabes spoczywa pokład gipsowatego piaskowca pomiędzy dwiema warstwami, w których się znajdują ślady istnienia już wówczas człowieka. Gdyby zatém udało się dowieść, że pokłady gipsu, które zatarasowały wklęsłość Wadi Akareit są z téj saméj epoki, co wspomniany gipsowaty piaskowiec, wtedy uzyskałoby podstawę zdanie pana

(1) Sprawozdanie z badań wyprawy zostało następnie wydrukowane w Bolletino della societa geografica italiana. Zeszyt Wrześ. 1875.

(2) Mittheilungen des K. K. geogr. Ges. in Wien. 1875. Nr. 8 u. 9.

Roudaire, że jeszcze w historycznych czasach istniało połączenie pomiędzy morzem a depressyą szottów.

Żeby badania nowsze taki wykazały rezultat, wątpić należy. Mojém przekonaniem, dotychczasowe badania stanowczo rozstrzygnęły tę kwestyą i można już dzisiaj twierdzić, że dno szottów pospołu z całą Saharą wynurzyło się z głębin morza. Gdyby w czasie tego ostatniego kataklizmu depressya szottów pozostała była zatoką morską, którą późniejsze wzniesienie się gabetańskiego progu oddzieliło od morza, a gorąco słoneczne wysuszyło, w takim razie musielibyśmy mieć w szottach całe pokłady soli, jak w innych częściach Sahary. Tymczasem zawartość soli w błotach szottów jest wcale niewielka i Henryk Duveyrier z dr. Lechatelier przekonali się w Szott-Sellem, że już w niewielkiéj głębokości piasek i glina nic prawie soli nie zawierają. Więc zapewne cienka powłoka solna, która się lśni na szottach jak całun śnieżny, nie jest osadem wód morskich, ale została naniesiona z przesiąkniętych solą piasków Sahary przez rzeki Ighargharen i Wadi Dżeddi. Szotty zatém były jeziorami lądowemi, których powierzchnia, jak to wykazał Duveyrier, leżała czasem nawet niżéj poziomu morza, a które były zbiorowiskiem wód wspomnianych dwóch rzek, w czasach, gdy te rzeki jak za Ptolemeusza płynęły stale i obficie. Już słynny Henryk Barth zauważył (1), że Sahara musiała być dawniéj nie tak pustą i nie tak ubogą w wodę, jak dzisiaj. W swéj podróży po Saharze i krajach Sudanu znalazł on ślady, że kiedyś karawany wołów przebywały Saharę, co dzisiaj jest niepodobieństwem. Daléj Rzymianie nazywali perlice—avis africana,—zatém musieli je mieć nie z Egiptu, ani Fenicyi, ale z Kartaginy (2), dokąd tylko przez Saharę z Sudanu dostać się mogły te ptaki. Z tego powodu, pomimo że sprzeciwiamy się w téj chwili zdaniu takiéj powagi jak p. Vivien de St. Martin (3), śmiem twierdzić, że kartagińczycy utrzymywali stosunki handlowe z Sudanem. Jeżeli zaś to przyjmiemy, to musimy przypuścić, że Sahara musiała bardziéj obfitować w wodę aniżeli dzisiaj, bo w innym razie przebycie pustyni bez wielbłądów, które dopiero w III wieku po Chrystusie wprowadzono do Afryki (4), byłoby niepodobném. W owych zatém czasach obficiéj płynęły Ighargharen i Dżeddi, napełniły swe-

(1) *H. Barth*: Reisen und Entdeckungen in Nord-und Central-Africa in den Jahren 1849—55. Gotha, Perthes, 1857—58. Band I.

(2) *Victor Hehn*: Culturpflanzen und Hausthiere. Berlin. 1872, p. 262.

(3) Le Nord de l'Afrique dans l'antiquité. Paris, 1863.

(4) *V. Hehn* p. 181.

mi wodami depressyą, która podług świadectwa Arabów jeszcze w r. 681 była jeziorem, a ze zwiększeniem się posuchy w Saharze, rzeki przestały płynąć stale i jeziora wyschły i pozostawiły błota po sobie.

Przecież rozstrzygnięcie kwestyi dawniejszego związku szottów z morzem, interesujące dla geologii i geografii historycznéj, nie niweczy bynajmniéj jeszcze projektu kap. Roudaire. Że zalew jest możliwy, bo depressya istnieje, nikt nie przeczy. Chodzi tylko o to, czy koszta przekopania kanału nie będą za wysokie i będą w stosunku do korzyści, jakich się spodziewać należy. Na tę ekonomiczną kwestyą powinna przedewszystkiém nowa wyprawa, którą organizuje kap. Roudaire, zwrócić uwagę. Bo twierdzenie p. Stacheá, jakoby utworzenie nowego morza nie przyniosło żadnych korzyści, jest niesłusznem. P. Stache twierdzi, że pokłady ziemi w okolicy szottów są zanadto przepuszczalne i nie zdołają zatrzymać spadłéj z deszczami wody w potrzebnéj blizkości górnych warstw, na których wegetacya wyrasta, zatém chociażby przez utworzenie morza zwiększyła się liczba deszczów, to pozostałyby one bez skutku. Otoż w czasie ostatniéj wyprawy francuzkiéj widział p. Duveyrier, co potrafił zdziałać jeden 15-godzinny deszcz. Zapewnił pastwiska wiosenne. Jednym z najlepszych znawców stosunków afrykańskich, a mianowicie krajów beberskich, jest Gerhard Rohlfs. Owoż co ten słynny podróżny pisze o tém (1): „Nie można wątpić, że najbliższe nowemu morzu okolice będą miały w skutku parowania wody wilgotniejszy klimat, a zatém i bujniejszą wegetacyą. Skoro zaś brzegi szottów aż do Auresu pokryją się osadami i plantacyami, wtedy spowoduje ta bujniejsza wegetacya obfitszy spadek deszczów, a rzeki Itel, Hadid, Fahoma, Dżeddi, Duis, Mahana, Tlenein, które dzisiaj skąpo i co najwięcéj raz na rok wylewają swe wody do szottów, będą płynęły obficiéj... Stanowisko Francuzów w Afryce zostanie wzmocnione, ale możemy na to patrzeć bez zazdrości, bo zwycięztwo Francyi w Algerze, jest zwycięztwem nad barbarzyństwem panującém w państwach Berberów. Życzymy Francyi, która najwięcéj zdziałała, żeby Afrykę wciągnąć w koło krajów ucywilizowanych, jak najlepszego powodzenia, bo stanowcze ucywilizowanie Algeru, które musi pociągnąć za sobą i inne państwa berberyjskie, będzie nietylko korzyścią dla Francyi, ale dla całéj Europy."

(1) Ill. Zeitung. 1875. No 1666.

Niechaj mi będzie wolno wypowiedzieć to samo życzenie względem śmiałego planu kap. Roudaire.

III.

Na zakończenie prawie curiosum! Nieuwite jeszcze laury kap. Roudaire odjęły sen kilku Anglikom. Inżynier Donald Mackenzie wystąpił z twierdzeniem, że zachodnia część Sahary, zwana El-Dżuf, brzuchem pustyni, jest olbrzymią depressyą, obejmującą nie mniéj jak 30,000 □ mil geogr., a rozciągającą się od Murzuk i Asben aż do Adeser i Maghar na zachodzie i z północy od oaz Tafilelet i Tuat aż po Timbuktu. Depressya ta ma mieć brzegi stromo nakreślone, a stać w połączeniu z Atlantykiem przez dolinę, w formie ostrego kąta uchodzącą do morza naprzeciw wysp Kanaryjskich, którém to ujściem wpadała dawniéj do morza zasypana dzisiaj piaskiem rzeka Belta. P. Mackenzie zaproponował usunąć tę przeszkodę i utworzyć wielkie morze, którém będzie można dopłynąć do Timbuktu i ominąć tym sposobem pustynią i niezdrowe wybrzeże Gwinei, chcąc się dostać do Sudanu. Projekt ten podjął p. Skertchly, utworzył z p. Mackenzie i Fairlie komitet i odwołali się tak do publiczności, jak do rządu o pomoc, celem wysłania wyprawy, któraby dokładnie zbadała El-Dżuf.

Już przeciwko projektowi kap. Roudaire podnosiły się w szwajcarskich i włoskich dziennikach głosy lękliwych, których nigdzie nie braknie i którzy się boją każdéj nowości, chociażby ona drogą żelazną się nazywała, a którzy prorokowali oziębienie się klimatu włoskiego i szwajcarskiego w skutku utworzenia maleńkiego morza na południe Algeru. Przeciw myśli p. Mackenzie podniósł głos oburzenia geolog irlandzki, G. H. Kinahan w czasopiśmie „Iron,“ i twierdził, że urzeczywistnienie tego projektu sprowadziłoby nanowo epokę lodów do Europy. Sahara przestałaby ogrzewać Europę, ciepłe wiatry afrykańskie nie topiłyby lodowców alpejskich, Ren i Dunaj przestałyby płynąć wśród zielonych pagórków winną latoroślą pokrytych, a zaczęłyby się czołgać jako olbrzymie lodowce, na podobieństwo grenlandzkich, do morza. Większa część Włoch, Hiszpanii, Szwajcaryi i Francyi stałaby się niezamieszkalną.

P. Kinahan i jego zwolennicy mogą spać spokojnie. Projekt pp. Mackenzie i Skertchly jest tak lekkomyślnie powzięty i tak

bez znajomości wszelkiéj stosunków pustyni zakreślony, że o jego wykonaniu myśleć nie można. Najpierw El-Dżuf nie ma tak olbrzymich rozmiarów, leży on pomiędzy 21°—23° półn. szer. i pomiędzy 9° a 14° wsch. dług. od Ferro. Gdyby zatém został El-Dżuf zalany, to brzegi nowego morza nie sięgałyby bynajmniéj do Timbuktu, ale nawet od 17° szer. półn. gdzie się zaczyna urodzajny Sudan, byłyby jeszcze oddalone na 250 mil ang., a droga od bezludnych brzegów, byłaby może uciążliwszą aniżeli dzisiaj karawanowa wyprawa z Tripolis i Murzuk. P. Skertchly obiecuje sobie wielkie korzyści z tego morza, ponieważ dosięgnie ono brzegów oaz Tafilelet i Tuat, których bogactwa mineralogiczne będą mogły być wyzyskane. Ale kto kiedy badał mineralogią tych oaz? Kto w ogóle zaznaczył chociażby barometrycznie depressyą w El-Dżuf, na którym nigdy jeszcze nie stanęła stopa europejskiego podróżnika? Kto wie, że te przestrzenie leżą poniżéj poziomu morza?

Awanturniczość angielskiego projektu wykazał jasno Gerhard Rohlfs w Petermanna Mittheilungen 1875 p. 322—24. Pomimo to— p. Skertchly zebrał drogą składek potrzebną summę, rząd polecił konsulowi angielskiemu na Teneryffie popierać go pod każdym względem, i wyprawa ruszyła w drogę. Bardzo dobrze! Chociaż zachodnia Sahara nie zostanie zalaną, to zostanie zbadaném dokładnie El-Dżuf i znowu zniknie jedna biała plama z karty Afryki.

KRONIKA NAUKOWA.

Odkrycie nowego pierwiastku.

Chemia w ostatnich latach olbrzymim postępuje krokiem: ilość materyału faktycznego jest wcale pokaźną, nie ustępuje jéj i ilość materyału teoretycznego. W ostatnich latach uczeni bardziéj zwrócili uwagę na wewnętrzne własności pierwiastków, czyli ciał prostych, i wykryli pomiędzy niemi ścisłą zależność, szczególniéj zaś pomiędzy ich tak zwanemi wagami atomowemi, to jest liczbami pokazującemi stosunek, w jakim się pierwiastki łączą z sobą. Odkrycie to dozwoliło ugrupować znane nam dotąd pierwiastki w pewny systemat, zwany systematem peryodycznym. Układ ten dzieli się na dwanaście szeregów, a każdy szereg zawiera ośm grup pierwiastków, ułożonych według wzrastających wag atomowych. Oto główniejsze wyniki z powyższego układu: 1) pierwiastki jednego szeregu tak się mają względem siebie, iż ich własności są pośredniemi pomiędzy własnościami sąsiednich pierwiastków; 2) pierwiastki jednéj i tejże saméj grupy są do siebie podobne, lecz podobieństwo pierwiastków z grup parzystych i nieparzystych jest o wiele większe, niż podobieństwo pierwiastków z samych grup parzystych, lub z samych nieparzystych; 3) w układzie tym każdy ósmy pierwiastek jest podobny do pierwszego, każdy dziewiąty do drugiego i t. d., a każde siedm pierwiastków stanowi zamknięty szereg; 4) układ peryodyczny przypuszcza istnienie przynajmniéj 30 pierwiastków, których własności do pewnego stopnia oznaczyć możemy à priori i których odkrycie przyszłości pozostawiamy.

W powyższym naprzykład układzie, pomiędzy grupą trzecią a czwartą szeregu piątego istnieją dwie luki. Mające je zapełnić dwa pierwiastki już nawet nazwano ekaglinem i ekakrzemem. Z układu zaś peryodycznego dla ekaglinu wynikają następne własności: ma on posiadać wagę atomową = 68, tlennik jego pod względem składu ma odpowiadać tlennikowi glinu lub tlennikowi

żelaza; toż samo się odnosi do soli jego. Chlornik naprzykład ekaglinu musiałby zawierać 61% chloru i 59% metalu. Siarek ekaglinu musiałby zawierać 61% chloru i 39% metalu. Siarek ekaglinu powinien się strącać siarkowodorem, musiałby być nierozpuszczalnym w siarku amonu. Metal sam powinienby się łatwo otrzymać przez redukcyą: gęstość jego musiałaby być równą 5,9 a ztąd objętość atomu = 11,5. Metal ten powinienby się łatwo topić, i na powietrzu nie utleniałby się, rozpalony do czerwoności rozkładałby wodę. Na czysty, stopiony ekaglin, kwasy musiałyby działać bardzo słabo. Tlennik ekaglinu powinien mieć ciężar właściwy równy 5,5, musiałby się rozpuszczać w mocnych kwasach i alkaliach, dawałby bezkształtny wodan, nierozpuszczalny w wodzie, nie powinien dawać wcale soli kwaśnych, lecz tylko zasadowe. Ałun ekaglinowy byłby rozpuszczalnym, lecz trudniéjby się krystalizował. Można wreszcie zawyrokować, iż ekaglin będzie się strącał od węglanu baru. Lotność, oraz wymienione własności ekaglinu, każą go umieścić pomiędzy glinem i indem, a w skutek tego każą przypuszczać, iż pierwiastek ten można będzie podobnie jak ind i tal, odkryć za pomocą analizy spektralnéj.

30 Sierpnia 1875 roku pan Lecoq de Boisbaudran, zawiadomił Paryzką Akademią o odkryciu nowego pierwiastku, któremu nadał miano „*gal*.“ Pierwiastek ten, znaleziony w rudach cynkowych, pochodzących z kopalni Pierrefitte, w górach Pirenejskich, charakteryzuje się następującemi własnościami: Sole galu dają świetne widmo z nieznacznemi śladami linii cynkowych Zn α 144,62 i Zn γ 150,05. Żelazocyanek potasu zachowuje się jednakowo tak z galem jak i z cynkiem. Rozcieńczony roztwór chlorku cynku i galu, zadany 0,4 obj. kwasu solnego, traktowany następnie nadmiarem żelazocyanku potasu, wreszcie rozwolniony 4 obj. wody, strąca całą ilość potasu i cynku; żelazocyanki zaś, przemyte kwasem solnym i rozłożone siarkiem amonu, dają mieszaninę siarczanów, których roztwór w kwasie solnym okazywał w widmie jeszcze wyraźniejsze linie cynku i galu. Kadm nie strąca roztworu chlorniku galu i chlorku cynku nawet przy wrzeniu. Frakcyonując mieszaninę obu chlorków z węglanem sodu, stęża się gal w pierwszych osadach. Oddzielony z pierwszych osadów gal, daje w widmie widoczniejsze linie galu niż cynku. Z dwóch linii 417 i 404, pierwsza z nich jest o wiele jaśniejszą. Następne osady, prócz linii galowéj 417, dawały już jasne widmo cynkowe. Dodając do amoniakalnego roztworu siarczanów lub chlorków galu i cynku kwasu octowego, strąci się cała ilość galu w postaci białego osadu galaretowatego. Osad ten, gotowany

z nadmiarem kwasu octowego, już powtórnie się nie rozpuszcza. Chlornik i siarczan galu, traktowany amoniakiem, daje osad, po części rozpuszczalny w nadmiarze strącalnika. Amoniakalny roztwór siarczanu lub chlorniku galu, na zimno i na gorąco strąca się nadmiarem kwasu octowego;—bardzo tylko rozcieńczone roztwory nie dają osadu. Kwaśny octan amonu nie strąca wcale na zimno ani chlorniku, ani siarczanu galu, na gorąco zaś strąca je w zupełności. Siarczan galu, ogrzewany do zupełnego oddalenia par siarkowych, nie traci swéj rozpuszczalności w wodzie; rozpuszcza się on w 60% alkoholu i daje pewno ałun amonowy, którego nie zanalizował Lecoq, ani też krystalograficznie nie oznaczył. Sól ta (ałun) rozpuszcza się w zimnéj wodzie, zagotowana zaś, rozkłada się; krystalizuje w sześciany i ośmiościany, podobne do zwykłego ałunu. Mocno zakwaszony chlornik galu strąca się żółtym cyankiem. Wodny roztwór siarczanu galu, poddany działaniu prądu galwanicznego, osadza gal na ujemnym biegunie platynowym. Elektrolitycznie osadzony gal, tworzy silnie przylegającą warstwę, jest twardym i z trudnością daje się polerować agatem, przyczém nabiera mocnego blasku, i o ile się zdaje, jest bielszym od platyny.

Ze sposobu otrzymania (strącenie siarkowodorem przed cynkiem), strącalności węglanem baru, rozpuszczalności wodanu w amoniaku, lotności i z niektórych innych jeszcze własności, wniósł prof. Mendelejew, twórca układu peryodycznego, iż pierwiastek pana Lecoq de Boisbaudran, odpowiada hypotetycznemu jego ekaglinowi. Pan Lecoq tłómaczy się, iż nie znał wcale prac professora petersburskiego; gdyby je bowiem znał i z nich korzystał, nie byłby odkrył galu. Mendelejew bowiem nadaje ekaglinowi własności pośrednie pomiędzy indem i glinem, według czego tlenek ekaglinu nie rozpuszczałby się w amoniaku, pierwiastek zaś p. Lecoq zachowuje się wprost przeciwnie. Prof. Radziszewski, w pierwszym poszycie czasopisma lwowskiego „Kosmos“ mówiąc o galu, skłania się do przyjęcia go za ind. Prof. Radziszewski upatruje to podobieństwo w widmach obu tych pierwiastków, następnie w niektórych własnościach chemicznych: chlorek galu i chlorek indu strącają się węglanem baru; siarek galu, *jak się zdaje* (mówi Lecoq), jest białym, siarek indu strącony siarkowodorem w obecności octanu sodu, jest pomarańczowy i tak samo jak siarek galu rozpuszcza się w kwasach mineralnych, a nie rozpuszcza się w kwasie octowym. Siarek zaś indu, strącony siarkiem amonu, posiada barwę białą. Przytacza też prof. Radziszewski i różnice pomiędzy temi dwoma ciałami: tlenek galu rozpuszcza się w amoniaku i węglanie amonu, tlenek zaś indu ani w jednym, ani w drugim się nie rozpuszcza;—

siarek galu nie rozpuszcza się w siarku amonu, siarek zaś indu jest rozpuszczalny w gorącym siarku amonu; — gal posiada w widmie jednę linią niebieską, drugą fioletową, ind zaś obie fioletowe;—lecz przyczynę ich upatruje w niedokładności doświadczeń, pochodzącéj z nieznacznéj ilości badanego ciała. W końcu p. Radziszewski nadmienia: „W każdym razie przed zapisaniem gallium do liczby pierwiastków, należy jeszcze poczekać na bliższe szczegóły, które usunęłyby powyższe wątpliwości. Sądzimy też, że p. Mendelejew zanadto się pośpieszył ze swym wnioskiem, że pierwiastek gallium jest prawdopodobnie przewidzianym przez niego pierwiastkiem ekaaluminium. Chcąc jakiemuś ciału naznaczyć miejsce w systemie naukowym, potrzeba przedewszystkiém mieć pewność, że to ciało istnieje.“

Badania światła.

William Crookes, chemik angielski, znany w świecie uczonym głównie z odkrycia pierwiastku talu, oraz jako autor wielu prac cennych z dziedziny fotografii, wykonał w przeciągu kilku lat ostatnich cały szereg wielce ciekawych i zupełnie nowych doświadczeń, mających na celu wykazanie mechanicznego działania światła i ciepła. Do podobnych badań zachęciły Crookesa pewne zboczenia od praw grawitacyi, jakie zaobserwował przy ważeniu na wagach chemicznych ciężkiéj części pewnego aparatu szklannego. Wagi były umieszczane w żelaznéj skrzyni, z któréj w razie potrzeby wypompowywano powietrze. Zboczenia właśnie dały się dostrzegać przy opróżnieniu i przy temperaturze ważonego ciała, przewyższającéj temperaturę ciężarków i temperaturę otaczającego powietrza.

Dalsze doświadczenia, czynione na zasadzie poprzedniéj obserwacyi, oparte na powadze naukowéj samego autora, oraz na ścisłości ich wykonania, doprowadziły Crookesa do wniosku, iż tak ciepło jak i światło posiadają siłę poruszającą. Śmiały ten wniosek, jak się zdaje nieprawdopodobny, wywołał wiele zarzutów ze strony uczonych, wywiązała się zacięta polemika naukowa, w któréj udział przyjmują najpierwsze powagi świata uczonego. Za badaczem angielskim przemawia jego autorytet, ścisłość danych obserwacyi, pod sztandary zaś przeciwników gromadzą się tacy uczeni, jak Poggendorff. Crookes na poparcie swego odkrycia przytacza całe szeregi doświadczeń, wykonanych na obmyślanych przezeń przyrządach.

Z doświadczeń tych niektóre tu przytoczę, aby okazać, jakie to ścieżki prowadziły tego uczonego do tak zadziwiających, nieprawdopodobnych rezultatów, opartych na ścisłych, bez zarzutu obserwacyach, zmienianych stosownie do warunków zjawiska, skierowanych ku zbiciu zarzutów od przeciwników stawianych i nawodzących autora na coraz nowsze odkrycia.

Umieszczając w szklannym dzwonie małą pałeczkę bzową, zawieszoną na szklannéj lub jedwabnéj nitce, zauważył Crookes, iż przy wyssaniu powietrza z dzwonu, gałeczka ta pod wpływem nawet nieznacznego światła ulega pewnym ruchom. Rozbierając daléj to zjawisko, przekonał on się, iż gałeczka bzowa w tym razie pod wpływem światła zachowuje się zupełnie tak samo, jak wahadło elektryczne względem ciała naelektryzowanego: zwraca się pierwotnie do źródła światła, odwraca się następnie od niego i po pewnéj chwili zaczyna nawet wirować. Nietylko gałeczka bzowa tak się zachowuje: też same otrzymał Crookes rezultaty przy użyciu szkła, węgla drzewnego, drzewa, kości słoniowéj, korka, platyny, selenu, srebra, glinu, magnezu i t. p. Następnie, zamiast gałeczki, używał Crookes delikatnych igiełek, na których końcach umieszczał małe, lekkie kuleczki lub blaszki z rozmaitych ciał. Najczulszy aparat składał się z delikatnéj słomki, unoszącéj na końcach swych bzowe kuleczki. I tu Crookes doszedł do tychże samych rezultatów, tylko o wiele jeszcze widoczniejszych.

Zmieniał następnie Crookes formę swych doświadczeń: zamiast dzwonu, używał dwóch rurek skrzyżowanych prostopadle i posiadających kształt odwróconego T. W szerszéj rurce pozioméj umieszczał igiełkę z kuleczkami, zawieszoną na szklannéj nici, przechodzącéj przez rurkę prostopadłą. Kuleczki bzowe były zastąpione kuleczkami mosiężnemi. Z rurki dowolnie mógł wypompowywać lub znów wpuszczać do niéj powietrze. Gdy w rurce było powietrze, zbliżał Crookes z dołu rurki płomień lampki spirytusowéj do kuleczki i zauważył, iż ta się trochę zniża, przyciągana przez ciepło, lecz potém nagle się wznosi i wraca do pierwotnego położenia. Miało to pozór, jak gdyby ciepło wywierało przyciąganie na kulkę i jak gdyby ono w mgnieniu oka zostało niszczoném przez prądy powietrzne. Na kulkę zaś, znajdującą się na przeciwległym końcu igiełki, płomień lampki spirytusowéj działał odpychająco, kulka się wznosiła. Lecz nietylko płomień lampki spirytusowéj tak się zachowywał, tak samo bowiem działały: ciepła laseczka metalowa lub szklanna, rurka ciepłą wodą napełniona i t. d. Rozrzedzając powietrze, spostrzegł Crookes bardzo cie-

kawe zjawiska. Gdy barometr wskazywał 767 mm., a manometr, z poprzednim przyrządem i aspiratorem połączony, stał na zerze, kuleczka za zbliżeniem do niéj z dołu ciepłego ciała, wznosiła się gwałtownie. Usunąwszy źródło ciepła i poczekawszy, aż się ustali równowaga igiełki, zbliżano do kulki ciepłe ciało z góry, kuleczka się wznosiła, lecz o wiele wolniéj. W téj chwili wprawiał Crookes w ruch Sprenglowski aspirator, i skoro manometr wskazał 147 mm. obniżenia od wysokości barometrycznéj, czynił wtedy obserwacye i otrzymał też same, lecz mniéj wyraźne rezultaty. Opróżniał daléj rurkę z powietrza, od czasu do czasu przerywając tylko działanie aspiratora, obserwował działanie ciepłego ciała, przyczém przekonał się, iż działanie ciepła słabnie prawidłowo ze wzrostem rozrzedzenia powietrza. Lecz zmniejszanie się takie działalności ciepła nie jest bezgraniczném, skoro bowiem wskaże 12 mm. poniżéj wysokości barometrycznéj, działanie ciepła staje się znów widoczniejsze. A gdy znowu różnica pomiędzy wysokością barometryczną a manometryczną stanie się równą 7 mm., żadne już źródło ciepła nie wywrze na kuleczkę najmniejszego działania. Aspirator działał daléj:—gdy manometr, odnośnie do barometru wskazywał 3 mm., wznoszenie się kuleczki, za zbliżeniem ciepłego z dołu ciała, dorównywało wznoszeniu się, jakie otrzymywano przy zwykłém ciśnieniu powietrza. Przy równéj zaś wysokości manometru i barometru, wznoszenie było nie tak widoczne jak w powietrzu i dało się obserwować dopiero za zbliżeniem ciała bardziéj ciepłego. Od téj poczynając chwili, wpuszczał Crookes do rurki powietrze i otrzymał też same rezultaty, lecz w odwrotnym porządku,—a skoro wysokość manometru wyrównała 7 mm., nastała chwila zupełnéj bezwładności. Kawałek lodu okazywał, odnośnie do ciała ciepłego, wprost przeciwne działanie.

Ponieważ powietrze wywierało przy powyższych doświadczeniach widocznie wpływ na działanie ciepła, zmienił przeto Crookes swe doświadczenie następującym sposobem: Zbudował on przyrząd, w którym źródło światła znajdowało się wewnątrz samego aparatu. Była to wężownica platynowa, rozpalana prądem galwanicznym. Igiełka unosiła na swych końcach kuleczki mosiężne i mogła być umieszczaną jużto nad, już pod, to wreszcie z boku wężownicy platynowéj. Aparat ten służył do wykazania zachowania się igiełki pod wpływem ciepła, w powietrzu rozrzedzoném, powyżéj i poniżéj punktu, w którym żadne nie zachodziło działanie, oraz służył do zbadania ciśnienia, odpowiadającego powyższemu punktowi bezwładności. Skoro manometr wskazał 5 mm., Crookes powstrzymywał działanie aspiratora i zamykał strumień

galwaniczny. Gdy kuleczki znajdowały się powyżéj wężownicy, przyciąganie było jeszcze o tyle silne, iż kuleczka zbliżyła się do wężownicy na 2 mm. Pozwalano daléj działać aspiratorowi. I cóż się okazało? Gdy różnica wysokości barometrycznéj i manometrycznéj doszła do 1 mm., przyciąganie kulki przez wężownicę stało się jeszcze widoczniejszém. Manometr wznosił się daléj, dopóki różnica nie doszła do $^1/_2$ mm. Przy takiém rozrzedzeniu, stojącém na pograniczu z próżnią, dały się słyszeć metaliczne odgłosy, pochodzące z uderzeń opadającéj rtęci, porywającéj z sobą od czasu do czasu pęcherzyki powietrza. Przy zamknięciu strumienia galwanicznego, kulka bardzo słabo była przyciągana przez rozpaloną wężownicę. Niedługo, znów przerwano działanie aspiratora, wtedy przy zamknięciu toku, wężownica nie wywierała na kuleczkę żadnego działania. Była to chwila, w któréj wysokość barometru i manometru na jednym stała poziomie,— byłto ten punkt bezwładności. Po téj chwili bezwzględnego działania puścił Crookes w ruch aspirator. Dały się obserwować częstsze uderzenia rtęci i wchodzenie powietrza. Zamknąwszy po godzinie tok galwaniczny, spostrzegł on, iż już przeszedł znacznie poza punkt bezwładności, przyciąganie bowiem ustąpiło miejsca odpychaniu, acz słabemu, jednak widocznemu. Póki aspirator działał, odpychanie stopniowo wzrastało. Przemywszy aspirator kwasem siarczanym i dawszy mu działać przez godzinę, spotęgował Crookes odpychanie rozpalonéj wężownicy platynowéj. Ciepła pałeczka szklanna, płomień lampki spirytusowéj, kawałek ciepłéj miedzi, nawet ciepło palca działały na kuleczkę odpychająco. Nadmieniłem powyżéj, iż przez tak rozrzedzoną przestrzeń nie mogła przechodzić nawet iskra indukcyjna, trudno zatém byłoby przypisać ruchy powyższe kuleczek prądom powietrznym.

Następnie rzucał Crookes bezpośrednio na igiełkę z kuleczkami wiązkę promieni słonecznych, a potém poddawał je działaniu rozmaitych części widma słonecznego. W przestrzeni bezpowietrznéj odpychające działanie promieni słonecznych było tak silne, iż przyrząd w skutku nagłego obrotu igiełki z kuleczkami uległ zepsuciu.

Przyrząd służący do wykazywania działania w próżni ciepła na rozmaite ciała, składał się z rurki szklannéj z wydętą na końcu kulką; przez rurkę przechodziła nitka szklanna, a na niéj zawieszona była gałeczka bzowa. Rurkę po najdokładniejszém opróżnieniu zatapiano. Taki przyrząd jest bardzo czuły na działanie ciepła: zbliżenie naprzykład palca, skręca gałeczkę na 90^0; pod wpływem zaś kawałka lodu zachowuje się podobnie

jak igiełka względem magnesu. Udoskonaliwszy jeszcze przyrząd, zaznaczył Crookes, iż *przy użyciu cienkich blaszek bzowych punkt bezwzględny leży niżéj, niż przy użyciu odpowiednio grubych blaszek platynowych*, że zatém *dla punktu pośredniego pomiędzy dwoma wymienionemi, przez jedno i toż samo źródło promieniowania, blaszki bzowe będą przyciągane, blaszki zaś platynowe będą odpychane.* Teoretyczny ten wniosek sprawdził Crookes doświadczalnie przez złączenie dwóch swoich przyrządów, z których w jednym na końcach igiełek znajdowały się blaszki platynowe, w drugim zaś bzowe.

Z powyższych doświadczeń, o ile im wierzyć można, wypada, iż tak ciepło jako i światło posiada siłę mechaniczną, poruszającą. Nie pozbawiając jednak światła powyższéj siły, wykazał Crookes różnicę w działaniu promieni *cieplikowych* i *świetlnych.* Umieszczając w opisanym przyrządzie na końcach igiełki krążki bzowe, których jedne powierzchnie są białe, a odwrotne poczernione sadzą, zauważył Crookes, iż przy najmożliwszém opróżnieniu, *działanie ciepła tak na krążek biały, jak i na czarny jest zupełnie jednakowe*, albowiem oba zostają odpychane z równą siłą. Inaczéj zupełnie zachowują się *promienie światła*, te bowiem *odpychają powierzchnie czarne mocniéj, niż powierzchnie białe.* Jeżeli więc na końcach igiełki umieścimy jeden biały, drugi czarny krążek, wtedy, w skutek nierównego odpychania ich przez światło, nastąpi obracanie się igiełki około prostopadłéj osi,—co jeszcze będzie widoczniejsze, gdy jedna powierzchnia krążka będzie biała, a druga poczerniona sadzą i gdy odpowiednie powierzchnie w jednę będą skierowane stronę. Na téj zasadzie zbudował Crookes przyrząd, nazwany przezeń *Radiometrem* i służący do porównywania siły światła i ciepła. Główną część tego przyrządu stanowi lekki poziomy krzyż równoramienny. Każde ramię unosi na końcu krążek bzowy z jednéj strony biały, z drugiéj poczerniony. Wszystkie białe płaszczyzny są zwrócone w jednę, poczernione w przeciwną stronę. Miejsce przecięcia się ramion za pomocą panewki wspiera się na ostrzu. Cały taki układ umieszcza się w balonie szklannym i z niego za pomocą aspiratora rtęciowego Sprengla usuwa się powietrze. Rozrzedzenie zwykle przy tych doświadczeniach doprowadzał Crookes aż do chwili, w któréj iskra indukcyjna nie przechodziła przez tę przestrzeń. Postawiony taki przyrząd w blizkości źródła światła, w skutku niejednakowego działania tego ostatniego na ciemną i białą powierzchnią, zostaje wprawianym w ruch. Rozumie się, iż czas obrotu będzie zależny od siły źródła światła i od jego odległości od przyrządu. Czyniąc zaś odległości dwóch źródeł światła

równemi z czasu obrotu, będziemy mogli wnioskować o sile światła. Przytaczam tu niektóre dane Crookes'a:

Źródło światła	Czas obiegu w sekundach.
1. świeca na 20 cali odległa	182
,, 10 ,, ...	45
,, 5 ,, ...	11
2 świece 5 ,, ...	5
4 ,, 5 ,, ...	3
8 ,, 5 ,, ...	1,6
1 świeca, 5 cali odległa i oddzielona szkłem zielonem . .	40
,, ,, ,, ,, ,, niebieskiém. .	38
,, ,, ,, ,, ,, purpur. fiolet. .	28
,, ,, ,, ,, ,, pomar. fiolet. .	26
,, ,, ,, ,, ,, żółtém . . .	21
,, ,, ,, ,, ,, jasno-czerwon.	20
Rozproszone światło dzienne matowe	2,3
,, ,, ,, jasne	1,7
Czyste światło słoneczne o 10 rano	0,3
,, ,, ,, o 2 po południu	0,27

Z przytoczonych tu liczb wynika, iż *działanie mechaniczne światła jest prawie odwrotnie proporcyonalne do kwadratów z odległości źródła światła od przyrządu.*

Crookes swemu radiometrowi rokuje obszerne zastosowania w fotometryi i przemyśle. Liczba obrotów przyrządu wystawionego na działanie światła, odniesiona do jednostki czasu, może być miarą promieniowania. Jeżeli zaś pomiędzy radiometrem a światłem umieścimy przegrodę z ałunu, ustanie zupełnie wpływ ciepła, prędkość stanie się stosunkowo mniejszą i radiometr zmienia się na fotometr. Na zastosowaniu tego przyrządu fotometrya wieleby skorzystała, byłaby bowiem o wiele uproszczoną. Najrozmaitsze płomienie mogłyby być porównywane tak z sobą jako też i z innemi źródłami światła. Za normalną świecę możnaby przyjąć taką świecę, która przy x jednostek odległości, pokazałaby na radiometrze z obrotów. Zamiast więc mówić: płomień gazowy równy tylu a tylu płomienieniom świecy, mówionoby: płomień ten daje na jednostkę czasu, tyle a tyle obrotów na radiometrze.

Niemniejszą wartość posiada radiometr dla fotografów. Może on bowiem regulować z jednéj strony działanie światła, a z drugiéj znów strony uwolniłby fotografów od mozolnego obserwowania zmian światła dziennego przy otrzymywaniu negatywy.

* *
*

Powyższe przez Crookes'a ogłoszone fakta, wywołały ze strony przeciwników ostre zarzuty. Amerykanin Reynold objaśnia, iż przyczyną ruchów obserwowanych w przyrządzie Crookes'a, są prądy powietrzne lub para wodna, osiadająca na ściankach przyrządu, a któréj nie można usunąć w zupełności za pomocą aspiratora Sprengl'a. Para ta ma opuszczać, przy znacznem opróżnieniu, ścianki przyrządu i sprawiać prądy, powodujące ruch kuleczek. Na te zarzuty Crookes odparł nowemi doświadczeniami. Umieszczał on w dzwonie pałeczkę glinu (aluminium) i przy kilkakrotném ogrzewaniu go do czerwoności, wypompowywał przez kilka dni powietrze. Musiało tam nie pozostać ani śladu pary wodnéj, musiała być próżnia bardzo dokładna, skoro przez nią nie przechodziła iskra indukcyjna. Zdaje się, iż para wodna, któréj istnienie przyjmuje Reynold w dzwonie, wreszcie zostałaby w całéj swéj massie jednakowo pod wpływem ciepła ogrzaną, i radiometr musiałby przestać wirować. Trudno bowiem przypuścić, aby przy tak znacznéj ruchliwości cząsteczek gazów, nie ulegały one jednakowemu wpływowi ciepła, i aby jedne mniéj, inne więcéj były nagrzane.

Fizyk niemiecki Poggendorff sądzi, iż w swym radiometrze Crookes nigdy nie osiąga zupełnéj próżni, że w nim zawsze pozostaje powietrze, że powierzchnia czarna i biała niejednakowo się ogrzewają i że w skutek tego działają odpychająco na przyległe im powietrze, przez co ma być wprawiany w ruch tak delikatny przyrząd, jakim jest radiometr. Przypuszczenia te popiera Poggendorff faktami. Już z przytoczonych powyżéj obserwacyi Crookesa okazuje się, iż przyrząd jego wprawdzie wolno, lecz jednak stale wiruje przy pochmurném niebie, coby nie miało miejsca, gdyby światło, nie ciepło grało tu główną rolę. Przekonał się nawet Poggendorff, iż aparat jego wiruje nawet w ciemności. Umieszczał on pomiędzy radiometrem, a światłem taflę nieprzezroczystego czarnego szkła, jakiego używają do spolaryzowania światła. Tafla nie przepuszczała światła, a jednak przyrząd wirował. I tu więc gra rolę jedynie tylko ciepło. Z zupełnie przeciwnéj rozumując zasady, do tegoż również przyszedł Poggendorff rezultatu: przekonał on się, iż samo światło, będąc pozbawione promieni ciepła, nie wprawia wcale w ruch radiometru. W tym

celu Poggendorff przepuszczał światło świecy przez warstwę wody na 20 mm. grubą. Woda zatrzymywała w sobie ciepło, a przepuszczała światło. Wystawiony na działanie tak przez wodę przepuszczonego światła, radiometr będąc dobrze oświeconym, nie okazywał żadnych ruchów. Jest to także fakt, przemawiający za Poggendorffem, odrzucającym mechaniczne działanie światła, przez Crookes'a temu ostatniemu przypisywane.

Widoczna więc, iż gdyby rzeczywiście słuszność została po stronie Poggendorffa, radiometr Crookes'a wieleby stracił na wartości i samą nazwę wypadłoby zredukować na termometr, ponieważ ruchy jego zależą od ciepła, nie zaś od światła. Nie mógłby on więc służyć za wymiernik tego ostatniego, niezawsze bowiem siła światła zależy od siły ciepła. Palący się naprzykład wodór, wywiązuje o wiele mniéj światła, a więcéj ciepła, niż taki tlenek węgla, gaz oświetlający, lub gaz błotny, chociaż siła światła tych ostatnich jest bardzo znaczna.

Co na powyższe zarzuty Poggendorffa odpowie Crookes, czy odeprze je jak zarzuty Reynolda nowemi doświadczeniami, jaki będzie koniec téj naukowéj polemiki, nie omieszkamy w swoim czasie podzielić się wiadomością z czytelnikami.

Br. Pawlewski.

KRONIKA MIESIĘCZNA.

Rubryka niniejsza ma zamiar odzwierciedlać w sobie wypadki współczesne, ogół obchodzące. Tu, o ile siły nasze pozwolą, znajdzie czytelnik bądź streszczenie jakiegoś szerszego prądu myśli, bądź wzmiankę o donioślejszym fakcie, z którego społeczeństwo w téj lub owéj swojéj klassie, materyalny lub duchowy pożytek wycisnąć będzie mogło.

Tym sposobem do kroniki niniejszéj, z wielkim żalem naszym nie wejdą ani opisy upadków kominiarzy z dachów, ani szczegóły dotyczące wykradzenia téj lub owéj panny czy mężatki, ani statystyka korytek z wodą, które dobroczynność miejska ku pożytkowi ubogich psów a ku zazdrości ubogich ludzi, na ulicach zaprowadziła, ani sprawozdania z koncertów wykonywanych na fortepianie lub dzwonkach. Wszystkie te rzeczy bowiem, nierównie dokładniéj i wszechstronniéj są zapisywane gdzieindziéj, nie zginą więc ani dla przyszłego historyka, ani dla dobra odległych naszych następców.

Z drugiéj jednak strony, hołdując zasadzie: „cały świat jest dziedzictwem człowieka,“ i nie poprzestając na swojéj wyłącznie parafii, pozwolimy sobie od czasu do czasu przeskakiwać granice państwowe i naturalne, przechodzić od astronomii do kanalizacyi, od fabryki zapałek do uniwersytetów, od małych szachrajstw giełdowych do wielkiéj polityki, — podobni w tém pracowitéj pszczółce, która z cudzéj tatarki do własnego ula miód znosi.

Jak na tém wyjdą czytelnicy? czas pokaże!

Początek roku bieżącego odznaczył się niefortunnemi układami w sprawie hercegowińskiéj i srogiemi wylewami rzek niemal w całéj Europie. Oba te fakta odbiły się i u nas: z jednéj strony bowiem posłaliśmy Hercegowińcom dla ostatecznego zgnę-

bienia Turcyi kilkaset rubli zapomogi i parę wojowników; z drugiéj zaś—nasza Wisła dosięgła w końcu Lutego pod Warszawą wysokości 14 stóp 9 cali.

Wedle stawu grobla! gdybyśmy byli mniéj biedni niż jesteśmy, wówczas sympatye nasze dla wydobywającego się z pod jarzma narodu, zamanifestowałyby się niewątpliwie w sposób wydatniejszy, lecz bądź co bądź bardzo różny od austro-węgierskiego liberalizmu, który ma więcéj odwagi do chwytania powstańców niż ambicyi do tego, aby nie wymawiać zbiegom ofiarowanéj jałmużny.

To poczucie skromnéj roli, jaką nam los przeznaczył, podziela nawet i Wisła. Wie ona czém jest i co może; dlatego też (mędrsza od ludzi), nie naśladuje swoich siostr francuzkich, nie zalewa miast, nie przewraca kamienic, nie pochłania milionów franków, lecz poprzestaje na oborach, chatach chłopskich, nadbrzeżnych polach i zwykłym rocznym haraczu, nieprzechodzącym dziesiątek lub setek tysięcy rubli.

Jeżeli jednak w roku bieżącym rzeki francuzkie zawstydziły naszę, to znowu i ludzie tamtejsi, więcéj jakoś od naszych okazali energii i rozumu. My, po najbardziéj pustoszącym wylewie, kontentujemy się malowniczemi opisami i niedokładném obliczeniem strat; tam zaś, nietylko piękniéj opisują i dokładniéj obrachowują klęski, ale jeszcze starają się poznać ich przyczyny, wynaleźć środki zaradcze, a nawet sposoby wyciągnięcia z nich korzyści.

Znany popularyzator astronomii p. Flammarion zaznacza, że wielkie wylewy wód są zjawiskiem peryodyczném i odpowiadają epokom, w których na słońcu najliczniéj ukazują się plamy; na poparcie zaś tego twierdzenia cytuje lata 1846, 1856 i t. d. Może objaśnienie to jest słuszne—nam jednak bardziéj jakoś przypadają do gustu przyczyny ziemskie.

Otoż za najważniejszą z nich uczeni francuzcy, a zapewne i inni uważają: wyniszczenie lasów w okolicach górzystych. Gdy lasy okrywają góry, wówczas korzenie drzew i liście opadłe wzmacniają grunt, który ze swéj strony zmusza wodę do odpływu powolnego i do tworzenia źródeł. Gdy las zniknie, wówczas ziemia z okolic wyższych stacza się ku niższym, pozostają nagie skały a topniejący śnieg i deszcze, tworzą wielkie i gwałtowne potoki, których nic już nie zatrzymuje w biegu.

Z powyższych słów brać mamy tę naukę, że pierwszym warunkiem pohamowania wylewów jest zadrzewienie okolic górzystych. To jednak nie wystarcza: wylew bowiem nawet pozbyw-

szy się cech zjawiska straszliwego, nie przestaje być groźnym, a przytém powtarza się po parę razy na rok.

W tym stanie kwestyi, leśnictwu przybywa na pomoc inżynierya i radzi: kopać w okolicach górzystych sztuczne jeziora i kanały. Gdy po bokach rzeki znajdują się podobne jeziora, wówczas przyjmują one nadmierną ilość wód; gdy zaś są kanały, wówczas za pośrednictwem ich można w epoce suszy rozlać zaoszczędzoną wodę na okoliczne łąki i podnieść ich żyzność. Od téj chwili wylew staje się już dobrodziejstwem.

Nie poprzestając na tém, ukształcony ogół francuzki żąda, aby w górach pourządzano obserwatorya, a w związku z niemi komissye *wodne* czy *wodniste*, któreby za pośrednictwem telegrafów uprzedzały kraj o chwili topnienia śniegów, a tym sposobem dawały możność zapobiegania niespodziewanym klęskom.

Tak robią inni?... My w ogóle nie zajmujemy się podobnemi kwestyami, zostawiając je na łaskę i niełaskę zarządu komunikacyi, który po każdym wylewie buduje tamy na pastwę dla następnego. Przebąkują coś, a nawet mówią dosyć głośno, o mającém jakoby nastąpić uregulowaniu Wisły, naprzód w granicach Królestwa, następnie na całéj przestrzeni; o ile jednak regulacya ta będzie stanowczą i użyteczną, czas dopiero pokaże.

Nim to nastąpi, zanotujemy mimochodem, że przerwana w ciągu lat kilku żegluga w górę Wisły, a mianowicie do Puław, rozpoczęła się na nowo i ma trwać odtąd stale, przy pomocy parowców niezbyt głęboko zanurzających się w wodzie. Z drugiéj jednak strony, spółka *żeglugi łańcuchowéj* zwłóczy z rozpoczęciem swéj działalności, z powodu braku kapitałów.

Ten rodzaj komunikacyi znany na Sekwanie, dla nas stanowi zupełną nowość, i dlatego objaśnimy go w kilku wyrazach. Przy żegludze łańcuchowéj, w głębi wody znajduje się łańcuch, łączący dwa punkta między któremi komunikacya ma być utrzymywaną. Łańcuch ten przechodzi wzdłuż statku i w nim spotyka się z pewnego rodzaju blokiem, poruszanym przez machinę parową. Blok poruszając się, zaczepia o kolejne ogniwa łańcucha, a tym sposobem statek posuwa się naprzód. Kłopotliwy ten system oszczędza dużo siły, a więc węgli i pieniędzy, i pod tym względem stanowczo przewyższa statki zwykłe, w których łopatki kół lub skrzydła śrub opierają się o wodę, ciało łatwo ustępujące pod ciśnieniem, a tém samém bardzo lichą podporę dla ruchu przedstawiające.

Po powodziach, od których zaczęliśmy, najwłaściwiéj umieścić pożary. Sezon ich na rok bieżący jeszcze się nie zaczął—mo-

żemy jednak rozejrzeć się w pamiątkach, jakie nam z roku zeszłego zostały.

W r. 1875 mieliśmy 1365 pożarów w Królestwie, z których 9% wybuchło od pioruna, 13% skutkiem nieostrożności, 14% z podpalenia, a około 65% z przyczyn niewiadomych. Każdy z nich kosztował nas średnio około 3,200 rs. wszystkie zaś razem z górą 4 miliony rubli.

Epidemia ogniowa wzrasta u nas z każdym rokiem, o ile sądzić pozwalają dość nie godne z sobą wiadomości statystyczne. Dla wskazania z jednéj strony zamętu panującego w statystyce, z drugiéj zaś ogromu klęsk pożarowych, umieszczamy poniższą tabliczkę, nadmieniając, że dwie pierwsze jéj kolumny wzięte są (do r. 1873) z dzieła p. Załęskiego, trzecia zaś kolumna i r. 1874 z kalendarza Jaworskiego (pośrednio z wykazów statystyki kryminalnéj Komissyi Sprawiedliwości).

Rok.	Ilość pożarów.	Straty.	Ilość pożarów.
1871	1,831	1,159,245 rs.	2,144.
1872	2,077	1,882,388 „	2,296.
1873	2,009	2,064,889 „	2,306.
1874	—	3,222,048 „	2,812.

Jeżeli do strat tych dołączymy 4 miliony rs. z roku zeszłego, wówczas przekonamy się, że w ciągu pięciu lat pożary kosztowały nas z górą 12 milionów rubli. Gdybyśmy teraz cyfrę tę podzielili przez liczbę gmin, wówczas na każdą z nich wypadłoby 9,400 rs.

Wielka szkoda, że owych 9,400 rs. zamiast rzucać w ogień nie obrócono raczéj na zaprowadzenie straży i narzędzi ogniowych! Zapewne! byłoby to nierównie korzystniejsze — lecz któż w r. 1870 mógł przypuszczać, że w ciągu następnych pięciu lat, gmina jego tyle straci przez pożary?...

Gdyby wolno nam było obuć w téj chwili tragiczne koturny, wówczas powiedzielibyśmy: Oto nauka dla przyszłości! strat dawnych nic już nie wróci, ale przyszłym zapobiedz warto. Przy dotychczasowym stanie rzeczy śmiało twierdzić możemy, że do roku 1880 wydamy na pożary więcéj chyba niż 12 milionów rubli. Kontrybucya ta jest, dla nas szczególniéj, zbyt uciążliwą, należy więc wszelkiemi siłami starać się o jéj zmniejszenie.

Ale jak?... Wiele dróg bardzo różnych prowadzi do tego celu, a są niemi: umoralnianie ludu, reforma w systemie budowania szczególniéj domów wiejskich i wreszcie—zaprowadzanie płatnych lub ochotniczych straży ogniowych. Wzorów do podobnych instytucyi już nam nie brak, należy je więc tylko naśladować,

a nadewszystko brać się do tego szybko, bo inaczéj lata następne będą dla nas dalszym ciągiem pasma błędów, zaniedbań i klęsk straszliwych.

Że jednak obok stron ciemnych, należy ustawić i jasne, zapiszemy więc miejsca, w których straże ochotnicze już funkcyonują. Są niemi: Kielce, Kalisz i Łódź, tudzież parę osad fabrycznych. Wiemy, że we wszystkich tych punktach ochotnicy popisują się dobrze, lecz że wielu z nich bardzo prędko traci pierwotny zapał i wycofywa się ze służby. Bliższych jednak szczegółów udzielić nie jesteśmy w stanie, wskazówek bowiem nie znaleźliśmy nawet w takich sprawozdaniach rocznych, w których zanotowano przybycie do Warszawy „psów śpiewających.“

Odkładając zatém kwestyą ochotniczych straży na późniéj, powiemy parę słów o straży lubelskiéj, w któréj wszyscy ludzie są płatni i zostają pod kierunkiem jednego z wysłużonych brandmajstrów warszawskich.

Ogniowa straż lubelska składa się z 62 ludzi i 12 koni i kosztuje miasto rocznie 10,152 rs. Należą do niéj: miejscowi kominiarze, najemni nocni stróże, służba latarniowa, tudzież ludzie i konie przeznaczone do uprzątania ulic.

Instytucya ta utrzymuje się z następnych funduszów: 1) z rocznéj płacy z kassy miejskiéj 2,885 rs. 75 kop., 2) z oszczędności na oświetleniu miasta skutkiem zwolnienia przedsiębiercy od utrzymywania usługi 1,120 rs. 83 kop., 3) ze składki od mieszkańców w kwocie rs. 6,139 kop. 92. Ostatnia ta pozycya stała się właściwie ulgą dla obywateli, którzy dawniéj za najem stróżów nocnych i wycieranie kominów płacili rocznie 8,503 rs., dziś zaś wydatków tych nie ponoszą.

Dodać należy, że straż lubelska pod względem wymusztrowania i szybkości w ruchach, zbliża się bardzo do warszawskiéj.

Oto przykład, z którego okazuje się, że zaprowadzenie straży nawet płatnéj, w pewnych warunkach nietylko nie obciąża obywateli, ale nawet staje się dla nich korzystném. Straż lubelska istnienie swe zawdzięcza energii miejscowego prezydenta p. Wolińskiego, którego ośmielimy się postawić za wzór ojcom miast naszych. Na nieszczęście jednak ojcowie ci zbyt wiele czasu i pieniędzy zużywają na zakładanie skwerów, klubów i wiercenie studni artezyjskich, skutkiem czego troskliwości ich powierzone owieczki, mają więcéj szans do upieczenia się od ognia, niż doczekania jakiéj takiéj straży ogniowéj.

Miejmy nadzieję, że nowa ustawa miejska, o wprowadzeniu któréj chodzą bardzo poważne wieści, zmieni chorobliwy stan głównych ognisk kraju i stanie się źródłem zbawiennych a koniecznych reform w municypalnych gospodarstwach.

Do niedawnego czasu dziennikarstwo nasze zajmowało się przeważnie polityką i Warszawą. Dziś jednak poznawszy że europejska polityka stanowi pokarm zbyt mało pożywny i że Warszawa jest zbyt drobną cząsteczką kraju, zwróciła uwagę na sprawy wewnętrzne, na miasta prowincyonalne, a wreszcie na kwestye wiejskie.

Okoliczność ta niech nas wytłómaczy z tego, że i my zajmiemy się wybitniejszemi kwestyami wiejskiemi, jakie u nas z początkiem roku poruszano.

Przedewszystkiém tedy, ukazało się w dziennikach groźne widmo współzawodnictwa amerykańskich produktów rolnych z naszemi. Istotnie jest się czego lękać. Kiedy bowiem w roku 1851 przywieziono zboża z Ameryki do Europy za 17 milionów franków, to w r. 1871 przywóz podskoczył do wartości 402 milionów franków, w r. zaś 1874 do 768 mil. franków.

Z drugiéj znowu strony, najwięcéj zboża w Europie produkuje Rossya, a największym rynkiem zbytu jest Anglia, potrzebująca rocznie od 22 do 35 mil. korcy. Otoż kiedy w r. 1867 zboże rossyjskie stanowiło 44% ogólnéj ilości przywiezionéj do Anglii, a amerykańskie 14%, dziś przywóz rossyjski spadł do 21%, ameryk. zaś wzrósł do 44%.

Jakież w obec téj walki dwu potęg rolniczych my zajmujemy stanowisko?

Mamy w téj chwili pod ręką sprawozdania ze zbiorów pszenicy w r. 1875, w różnych państwach europejskich. Cyfry te wskazują zbiór ogólny w milionach hektolitrów i zbiór z jednego hektaru w hektolitrach, do czego ze swéj strony dołączymy trzecią kolumnę, obejmującą stosunek zbiorów do całéj powierzchni kraju, czyli zbiór przypadający na jednę milę kwadratową, który w pewnych przynajmniéj granicach wskazuje stopień kultury.

	Zbiór z jednego hektara w hektolitrach.	Zbiór ogólny w milionach hektolitrów.	Przypada na 1 milę kw. hektol.
Belgia	18,18	5,5	10,284
Francya	16,20	97	9,850.
W. Brytania	24,42	35,8	6,621.
Włochy	13,59	34	6,334.
Niemcy	14,80	29,6	3,611.
Hollandya	22,80	1,9	3,540.
Austr. Węgry	10,90	36,3	3,214.
Król. Pols. (w r. 1873)	?	5,2	2,262.
Turcya	9	10,3	1,581.
Dania	17,36	0,9	1,303.
Rossya	9,75	78	866.

Cyfry to bardzo wymowne. Pierwsza zaraz kolumna uczy nas, że największe plony zbierają, a więc i najstaranniéj uprawiają ziemię Anglia i Hollandya, najmniejsze zaś Turcya, Rossya, a prawdopodobnie i my. Z drugiéj kolumny widać, że „spiżarniami Europy" są dziś: Francya, Rossya i Austro-Węgry, i że najmniéj zbierają w ogóle pszenicy Dania i Hollandya. Z trzeciéj kolumny znowu okazuje się, że jeden z najmniejszych kraików—Belgia, już to dzięki klimatowi i naturze gleby, już to dzięki pracy mieszkańców i wysokiéj kulturze, zbiera z jednéj mili kwadratowéj prawie 3 razy więcéj niż Niemcy, przeszło 3 razy więcéj niż Austro-Węgry, prawie 5 razy więcéj niż my, 6 razy więcéj niż Turcya i prawie 12 razy więcéj niż Rossya.

Z ogółu cyfr tych widać również, że nie mamy bynajmniéj prawa tytułować się krajem *par excellence* rolniczym, i że na nazwisko podobne długo jeszcze pracować musimy. Zkąd inąd wiemy, że np. w Anglii w roku zeszłym, zaledwie 1,8% ziemi ornéj, znajdowało się pod ugorami, gdy u nas rok rocznie trzecia część gruntów ornych ugoruje, nie licząc już różnego rodzaju pustek i nieużytków, których na 100 posiadamy około 15 morgów.

Nie wypływa jednak ztąd, aby i dla nas nie miały kiedyś nadejść czasy lepsze—przeciwnie! Małe plony i wielka ilość ziemi wypoczywającéj wskazują, że w przyszłości rolnictwo nasze odegrać może wielką rolę. Pod względem eksploatacyi gruntów, Anglia i Hollandya doszły już prawie do zenitu, Belgia, Dania i Francya dochodzą, za niemi pójdą niebawem Niemcy i Włochy; a że Ameryka prawdopodobnie nie zaspokoi wszystkich przyszłych potrzeb Europy, my więc z natury rzeczy będziemy musieli wystąpić na scenę.

Tymczasem jednak trzeba nam zwolna przygotowywać się do owéj przyszłéj roli i poznawać przedewszystkiém to, co jest dobrém u obcych. Pod tym względem sama Ameryka, ów postrach naszych gospodarzy, znakomite przedstawia wzory. Z kolei też powiemy parę słów o jéj urządzeniach rolniczych, aby okazać, że na świetne tamtejsze rezultaty składają się nietylko klimat i grunt dziewiczy, ale jeszcze rozum i praca ludzka, i że Amerykanie umieją być nietylko oryginałami, zręcznymi rzezimieszkami i chciwymi dorobkowiczami, ale także dzielnymi rolnikami.

Przedewszystkiém tedy, kapitał fermerów amerykańskich rozkłada się w następny sposób: 83% stanowi wartość gruntu i budowli, 13% jest w bydle, 4% w narzędziach i machinach. Na każde 20 morgów przypada jeden pług i brona, a folwarki uprawiające około 50 morgów pszenicy, mają już siewnik, żniwiarkę i mło-

carnią. Kapitał obrotowy jest też bardzo wielki, tak że na każde 10 morgów przypada od 150—200 rs.

Robotnicy są bardzo drodzy, każdy z nich bowiem, jeżeli jest na stole właściciela, pobiera 20 rs., jeżeli zaś jest na swoim, wówczas bierze *35 rs. miesięcznie.* Z tego powodu wielu bardzo fermerów zamiast pensyi, daje robotnikom połowę plonów. Jakkolwiek rzecz się ma z kwestyą zapłaty, zawsze przecież jeden robotnik uprawia około 20 morgów; bydło zaś, narzędzia, zasiew, nawóz, omłot i pomieszkanie, należą do właściciela.

W rezultacie, właściciel zbiera około 11,6 hektolitrów pszenicy z hektara i ma od kapitałów w gruncie, budowlach i narzędziach średnio 10%.

Fermer zebrawszy pewną ilość produktów, wysyła je do miasta na ręce komissanta, który towar jak najśpieszniéj sprzedaje na giełdzie po odpowiednich cenach i w zamian, odsyła producentowi kwit nabywcy, który to kwit rolnik spieniężyć może natychmiast w banku znajdującym się w jego okolicy. Operacya jak widzimy niesłychanie prosta, szybka i tania.

Obok téj pracy i ułatwień ekonomicznych i materyalnych, istnieją jeszcze prace i ułatwienia w zakresie umysłowym. Ameryka zasypana jest mnóstwem tanich dzienników, które każdy czyta i w których każdy znajduje odpowiednie objaśnienia. Prócz tego, mają rolnicy sessye miesięczne, trzy zjazdy większe i dwie wystawy co rok, i oprócz tego w każdéj okolicy tak zwany: *departament rolnictwa.*

Te departamenta, znakomite i użyteczne instytucye, są dziełem i własnością rolników i istnieją w każdém prawie mieście, jak naprzykład u nas szpitale i towarzystwa filantropijne. W skład departamentu wchodzą: a) komissyoner, który co miesiąc rozsyła po folwarkach szematy, celem zebrania wiadomości statystycznych; b) statystyk, który cyfry zestawia i wyprowadza z nich wnioski; c) chemik, który robi analizy gruntów, nawozów i t. p.; d) geolog, który bada i bliżéj określa grunta różnych miejscowości.

Departament ogłasza co miesiąc sprawozdania, urządza nieustające wystawy geologiczne, mineralogiczne i rolnicze, a wreszcie utrzymuje stosunki z innemi departamentami i krajami.

I czy podobna dziwić się, że w takim składzie rzeczy, rolnik amerykański zna dokładnie swój grunt i okolicę i umie z nich wszelkie możliwe korzyści wyciągnąć?

P. Samolewski, który stan rolnictwa amerykańskiego przedstawił petersburskiemu zebraniu gospodarzy wiejskich, zwraca w końcu swego raportu uwagę na to, że już z powodu wysokich

cen robotników, zboże amerykańskie musi być drogie. Istotnie, ponieważ w Ameryce z hektara zbierają około 11,6 hektolitrów, więc z 20 morgów zbiór wyniesie około 82 korcy pszenicy; że zaś robotnik otrzymuje tam 420 rs. rocznie, dla pokrycia zatém kosztów saméj pracy, potrzeba sprzedawać korzec po rs. 5, doliczywszy zaś drugie tyle zysku dla właściciela,—po rs. 10.

U nas w roku 1873, w gub. Piotrkowskiéj, parobek kosztował najwyżéj rs. 150 rocznie. Gdyby zatém nasi ludzie pracowali tak jak Amerykanie, gdyby gospodarze używali machin i gdyby ziemia wydawała plony amerykańskie (od ostatniego warunku nie jesteśmy tak znowu dalecy), wówczas dla pokrycia kosztów saméj pracy cena korca wynosiłaby rs. 1 kop. 83, a więc bez mała trzy razy mniéj niż w Ameryce. Wypływa ztąd, że moglibyśmy taniéj zboże sprzedawać niż Amerykanie.

Dla Rossyi stosunek ten jest jeszcze pomyślniejszy, tam bowiem, według obrachowań p. Samolewskiego (przy zacytowanych warunkach) koszt pracy pokrywałby się już ceną 73 kop. od korca.

Nim jednak nadejdą lepsze czasy, nim plenność ziemi zostanie podniesiona, nim machiny wejdą w powszechny użytek, potęgując pracę ludzką, nim kilkunastu teraźniejszych pośredników, zastąpi jeden komissyoner, giełda zbożowa i bank powiatowy,—rolnictwo nasze długo i wytrwale pracować jeszcze musi nietylko nad postępem, ale poprostu nad usunięciem istniejących dziś przeszkód zdrowego rozwoju.

Z prawdziwą pociechą zaznaczyć musimy, że ruch w tym kierunku już się zaczął. Nowe rozporządzenia zezwalają na podział wspólnych paśników, na zamianę gruntów włościańskich pomieszanych z dworskiemi; dają możność właścicielom dóbr korzystać z lasów obciążonych służebnościami, pod warunkiem urządzenia gospodarstwa leśnego; a wreszcie określają nieco bliżéj granice służebności leśnych, o których włościanie nasi mają dotychczas pojęcia bardzo mętne i niezawsze zgodne z zasadą poszanonowania cudzéj własności.

Rozporządzenia te, jak słusznie mówi p. L. Górski w rozprawie o służebnościach, dotyczą zaledwie małéj cząsteczki serwitutów, niemniéj jednak gdy raz zostaną wykonane, oddziałają, do pewnego stopnia przynajmniéj, nietylko na sąsiedzkie stosunki między większymi i drobnymi posiadaczami, ale także i na produkcyą rolną.

Niemniéj ważną jest wiadomość, że Towarzystwo Kredytowe ma udzielać pożyczek na dobra rozparcelowane, czyli podzielone

na części, naturalnie przy zachowaniu pewnych warunków. Okoliczność ta pozwoli właścicielom pozbywać grunta zbyteczne, które dla braku odpowiednich kapitałów leżały odłogiem i zamiast pożytku stanowiły tylko ciężar popychający ziemianina do ostatecznéj ruiny.

Lecz jakiż jest sens moralny téj całéj pogawędki rolniczéj? O jest! i nietylko jeden, ale nawet dwa. Jeden z nich radzi nam uczyć się wielu rzeczy od obcych, drugi zaś wlewa otuchę płynącą ztąd, że mimo stron złych, mimo zawad i braków, występują jednak w naszém życiu społeczném zjawiska dobrze wróżące o przyszłości.

Od rolnictwa przechodząc do przemysłu i handlu, zaznaczyć przedewszystkiém musimy roczne posiedzenie komitetu giełdowego. Ze sprawozdania dowiedzieliśmy się, że w r. 1875 komitet polecił: notować w cedule listy Towarzystwa Kredytowego i akcye kolei Terespolskiéj, że na stacyi tejże kolei zniósł targi, że urzeczywistnił ideę odsyłania awizacyi do kupców z kolei Terespolskiéj, że postarał się o zniesienie opłaty patentowéj dla członków rodzin kupieckich, którzy chcą wejść do zgromadzenia, i że wreszcie przedstawił do zatwierdzenia regulamin meklerów przysięgłych.

Zaznaczyć również wypada lamenta prassy, która skarży się na komitet, że reprezentantów jéj na posiedzenia nie dopuszcza. Komitet zapewne jest u siebie gospodarzem, może przyjmować lub nie przyjmować gości, wówczas gdy mu się to podoba lub nie podoba; nie myślimy więc bynajmniéj kwestyonować prawa niedopuszczania dziennikarzy, lecz i nie dziwimy się temu, że komitet z niego korzystał. Istotnie, działalność téj instytucyi w ciągu ubiegłego roku zbyt była skromną,—słusznie zrobiono zatém nie kwapiąc się z jéj opublikowaniem.

W paragrafie 19 ustawy giełdowéj, pod literą *b* czytamy, że: „na komitecie ciąży obowiązek przedstawiania propozycyi, mających na celu ulżenie i rozwój wszelkich gałęzi handlu i przemysłu...“ Otoż niebędąc nawet specyalistą wiem, że u nas każda gałąź handlu i przemysłu, potrzebuje rozwoju;—ze sprawozdania komitetu nie widać jednak, żeby robił jakieś propozycye w tym kierunku.

Niedaleko sięgając, weźmy kwestyą chleba i mięsa.

Warszawa rocznie spożywa około 33 milionów funtów mięsa, które rzeźnicy sprzedają najniżéj po 12 kop. funt; w ostatnich zaś czasach powstała spółka, która takie samo mięso, z zyskiem dla siebie, sprzedaje po 10 kop. funt. Znaczy to, *że Warszawa za mięso przepłaca rocznie rs. 660,000!*

Wyjaśnienie zjawiska tego jest nader proste. Wół lub cielę

nie przechodzi wprost z rąk hodowcy do rzeźnika, ale na drodze do końca swéj opłakanéj karyery, znajduje mnóstwo pośredników, którzy ów zysk nadmierny zgarniają do własnych kieszeni.

Z górą przed rokiem Gazeta Polska obrachowała, że na bułkach piekarze mają 150% zysku, na chlebie 120% i że w ogóle zboże przerobione na pieczywo przynosi 250% zysku, kiedy we Francyi zysk tejże saméj natury nie przechodzi 71%. Któż znowu zagarnia owe 179% nadmiernych korzyści? Oto znowu pośrednicy, których oprócz rolnika, młynarza i piekarza, narachowano aż sześciu!

Ten kosztowny haracz opłacają nietylko Warszawiacy, ale w ogóle wszyscy ci, którzy nie są w stanie piec chleba we własnym piecu, z własnego zboża.

Słusznie zatém prassa, w słowach być może zbyt cierpkich, przypomina komitetowi potrzebę otworzenia giełdy produktowéj, na któréj co najwyżéj jeden agent mógłby pośredniczyć między rolnikiem a rzeźnikiem, młynarzem a piekarzem. Niesłuszném jednakże byłoby składać ogół naszych klęsk na głowy kilku-osobowego komitetu; klęskom tym bowiem przedewszystkiém winna jest powszechna niezaradność społeczeństwa, a wśród niego wszystkich producentów. Mniéj byłoby smutném, gdyby tylko komitet giełdowy nie dbał o ogół; smutniejsze jest to, że ogół sam o sobie za mało myśli. Wszyscy producenci narzekają na nadmiar pośredników, nikt jednak nie stara się o to, aby cyfrę ich zniżyć. Dla tego też ze smutkiem przypuszczamy, że nawet giełda produktowa nie przerzedzi ich szeregów, jeżeli nie przyjmą w tém udziału strony bezpośrednio zainteresowane. Okoliczność ta jednak nie usprawiedliwia komitetu, że dotychczas giełdy produktowéj nie otworzył.

Należy tu zrobić jednę jeszcze uwagę *ad usum* opinii publicznéj. Kapryśna ta pani od wieków lubiła robić kozłami ofiarnemi niepowodzeń ogólnych indywidua lub instytucye, i dziś robi to samo. Niebezpieczne illuzye! Ile razy mamy do czynienia z klęskami ogólnemi, np. z nieusprawiedliwioną drożyzną mięsa lub chleba, tyle razy mniéj patrzmy na piekarzy, rzeźników lub nawet komitet giełdowy, ale raczéj na całe społeczeństwo, na siebie samych. Złe społeczne jest olbrzymiém drzewem, którego mikroskopijne korzonki tkwią przedewszystkiém w naszych własnych domach, kieszeniach, głowach i sercach.

Przedmiotem największego zajęcia w początkach roku była reforma sądownictwa, a przedewszystkiém przyszłe sądy gminne. Osoby wchodzące w skład tych instytucyi są wybieralne i posia-

dają obszerną władzę: jurysdykcyi ich bowiem ulegają wykroczenia, ściągające na winnych karę do 300 rs., trzymiesięczny areszt i zamknięcie w wieży do roku jednego.

Prócz tego ławnikiem i sędzią może być każdy właściciel 6 morgów gruntu, który posiada choćby elementarne ukształcenie, lub który pełnił jakiś urząd dający możność nabycia praktycznych wiadomości w zakresie władzy sądowéj.

Nic zatém dziwnego, że ogół zainteresował się tą sprawą. Sąd bezpośrednio jest stróżem bezpieczeństwa publicznego, pośrednio zaś szkołą moralności. Sąd gminny ma przyzwyczajać ciemną ludność wiejską do poszanowania cudzego mienia, nawet tak drobnego, jak kawałek łąki, śliwka z sąsiedzkiego ogrodu, lub sosna z lasu, „który Pan Bóg stworzył na pożytek *wszystkich* ludzi.“ Sąd gminny ma ukrócić samowolę, nauczyć poszanowania osoby bliźniego, a wreszcie rozstrzygać tysiące drobnych sporów sąsiedzkich, które bez sprawiedliwego załatwienia, przerodzić się mogą w długotrwałą nienawiść, a nawet zbrodnią.

Sprawy podobne dotychczas rozstrzygały się w gminie, nie zawsze w sposób zgodny z moralnością i zdrowym rozsądkiem. Tak np. w jednéj wsi parobek zbił konia, który skutkiem tego wpadł w chorobę, wynędzniał i doszedł do wartości pięciu rubli. Właściciel konia zaskarżył winowajcę, gmina zaś wydała wyrok, na mocy którego parobek obowiązany był zapłacić poszkodowanemu pięć rubli, ten zaś oddać parobkowi konia!...

Podobnych wyroków zapadało mnóstwo, na skandaliczną treść ich zaś składały się: ciemnota, rozdraźnienie, a niekiedy przekupstwo. Nie ma się zatém dziwić czemu, że w szkole takiéj moralność ludu upadła.

Upadek ten objawił się bardzo wyraźnie w statystyce sądowéj. Na dowód przytoczymy średnie procenta przestępstw, spełnianych przez różne klassy w dwóch peryodach czasu:

	od r. 1865—1869	od r. 1870—1875 r.
Rzemieślnicy . . .	7,46%	6,21%
Czeladź rzemieślnicza .	2,88%	2,19%
Professye wyzwolone.	7,81%	7,21%
Sługi domowe . . .	5,16%	3,81%
Włościanie	32,6%	35,4%

Tabliczka ta pokazuje, że kiedy w drugim okresie wszystkie klassy społeczne umoralniły się, jedni tylko włościanie stali się gorszymi.

Przechodząc od cyfr ogólnych do przestęptw pojedynczych, przekonywamy się, że w ciągu dwu powyższych okresów, włościa-

nie w kradzieży posunęli się od 22,23%—25%, w oszustwie od 11,5%—17 w fałszerstwie od 18,2%—34,2%, w potwarzy od 38,4%—40,8%, w skaleczeniach od 50,6%—55,5%, w zabójstwie od 40% do 44,6%, w dzieciobójstwie od 11,9%—15,8%, w nieobyczajności od 16,3% — 29,3%, w podpalaniu od 31,5%—33,3%, w gwałcie i samowoli od 51,4%—61,5%.

Wcale ładna litania, która jak najdobitniéj przekonywa, że sądy gminne powinny się znajdować wrękach ludzi rozumnych, energicznych i uczciwych. Inaczéj bowiem jeżeli wzrost występków posunie się daléj w tym samym stosunku, wówczas za lat kilkanaście każda gmina będzie musiała budować więzienia na swój wyłączny użytek, a za lat kilkadziesiąt—w całym komplecie przenieść się do jego celek.

Zrozumiawszy ten stan rzeczy, prassa poczęła na wzór trąb archanielskich wzywać wszystkich żyjących, najmniéj sześć morgów posiadających, a nadewszystko ukształconych ziemian, do konkurowania o posady sędziów i ławników gminnych. Głos ten rzeczywiście nie przebrzmiał napróżno; inteligencya wiejska bowiem zwróciła uwagę na sprawę sądownictwa. Za kilka miesięcy przekonamy się o skutkach.

Lecz i nie czekając tak długo, dziś już słyszymy zdania, że rezultat wyborów czy nominacyi, nie odpowie ideałom stawianym przez prassę. Zachęceni wysokiemi pensyami, poczynają przy pomocy kwaterek „zbierać głosy" spadli z posad wójci, piśmienni lecz nie czytelni posiadacze sześciu morgów, a nadewszystko sławni z cudownéj oszczędności pisarze, którzy umierając pozostawiają rodzinom po 30,000 rs. gotówką, lub po kilka tysięcy rubli kassowych deficytów i długów prywatnych.

W kwestyi zatém wyborów, z góry przygotować się musimy na zawód ten mianowicie, że nie wszyscy sędziowie wyjdą z koła inteligencyi, a daj Boże, żeby nawet nie stało się tak z przeważną ich większością.

Jest to niewątpliwie złe, pocieszać się jednak możemy, że wybory na sędziów są dopiero pierwsze w kraju, i że wyborcy nie mają jeszcze ani odpowiedniego doświadczenia, ani rozumieją praw im przysługujących. Tym samym przyczynom przypisać należy niejednostajność kosztów na utrzymanie sądów, skutkiem czego np. sędzia w jednym okręgu brać będzie 900 rs., w innym zaś 400 rs., — a wreszcie niewłaściwy rozkład ciężarów. W znacznéj bowiem ilości okręgów, płacić się ma z morga, skutkiem czego większi posiadacze poniosą połowę kosztów utrzymania instytucyi co jest niesłuszne; indywidua zaś nie mające własności ziemskiéj nic płacić nie będą, co jest jeszcze niesłuszniejsze.

Widzimy więc, że w ważnéj téj sprawie panuje pewien, nie wielki wprawdzie zamęt,—jak zwykle w początkach. Niezawodném jest jednak, że z zamętu tego wypłyną drogocenne doświadczenia, byle tylko przyszłość chciała i potrafiła z nich korzystać.

Dziś do sądów wejdą bardzo rozmaite żywioły, ogół więc sprawdzi, które z nich są najdojrzalsze i na największą ufność zasługują. Koszta utrzymania instytucyi i rozkład ciężarów są również bardzo rozmaite, lecz w ciągu trzech lat będziemy mieli sposobność przekonać się, jakie koszta i jaki system ich rozkładu najlepiéj odpowiedzą celowi.

Krótko mówiąc, tak w tym jak i w innych wypadkach stwierdzić się może przysłowie, że: „nie ma złego coby na dobre nie wyszło,“ — byle tylko ludzie mieli szczerą chęć z tych gorzkich źródeł zbawienne czerpać lekarstwa. Niech więc inteligencya nie zraża się, jeżeli nie wszystko pójdzie według jéj pragnień, ale niech pracuje raczéj nad tém, aby zrobić co się da dla urzeczywistnienia ich z czasem. Kogo ominie ława sędziowska, niech konkuruje o wójtowską, a kto nie może być wójtem, niech zostanie ławnikiem sądowym lub gminnym. Miejsc jest dużo i raczéj kandydatów odpowiednich niż urzędów zabraknie.

Warszawa otrzyma podobno kanalizacyą. Podług bardzo poważnéj wieści, którą prawie wszystkie pisma powtórzyły, urządzenie jéj ma być następujące:

Kanał główny murowany, ma otaczać miasto w kształcie złamanego pierścienia, którego końce wchodzić będą pod Wisłę. Do końców kanału mają być przystosowane duże rury żelazne, które pod korytem rzeki wyjdą jedna na saską Kępę, druga na Pelcowiznę za Pragą. Nad otworami tych rur mają być zbudowane fabryki do dezinfekcyi i zużytkowania nieczystości.

Pod każdą ulicą przechodzić mają kanały murowane mniejsze, łączące się z głównym. Każdego dom z kanałem mniejszym połączony będzie za pomocą żelaznych rur średnicy 12—18 cali. Prócz tego na Saskiéj Kępie i Pelcowiznie mają być wybudowane potężne pompy parowe do wyciągania substancyi ściekowych z miasta.

Powiadają, że koszt całego urządzenia nie przeniesie 8 milionów rubli.

Plan ten odznacza się przynajmniéj na pozór elegancyą, prostotą i praktycznością. Oceniać go dziś nie możemy, nie mając żadnych materyałów pod ręką, lecz zwrócimy uwagę na jeden szczegół. Warszawa wzniesiona jest nad poziomem Wisły stóp 102; szerokość zaś miasta wynosi wiorst $4^1/_3$, z czego okazuje

się, że kanały mieć będą spadku 6 cali na 100 sażeni długości. Otoż zachodzi pytanie, czy spadek ten nie będzie zbyt mały, czy zatém spełni zadanie, i czy pomogą mu w tém nawet potężne pompy?

Lecz mniejsza o to; sprawy inżynierskie należą do inżynierów, nas zaś głównie obchodzi to, żeby była w mieście porządna kanalizacya, mamy bowiem nadzieję, że przy niéj dopiero zmniejszy się przerażająca śmiertelność.

W Londynie 1 zmarły przypada na 46 żyjących; w Paryżu, Moskwie, Madrycie, Kopenhandze 1 na 32; w Berlinie, Neapolu, Wiedniu, Rzymie 1 na 26,6; w Wenecyi i Bergamo 1 na 18,7. — U nas zaś w Warszawie w 1871 roku 1 umarły przypadał na 25,3 żyjących; w roku 1872 na 22, w 1873 na 15,9, w r. 1874 na 18,6 — średnio 1 umarły na 20 żyjących.

Wiadomo, że okolice wilgotne i błotniste należą do bardzo niezdrowych; w tych miejscowościach umiera 1 na 21. Indye Wschodnie mają prawie co rok cholerę i dosyć częste głody,—lecz i tam jeszcze np. w Bombayu, umiera 1 na 20. Według zdania Villermego, społeczność skazując przestępcę na więzienie, pozbawia go prawdopodobnie 20 lat życia,—a mimo to na galerach w Brescie (1815—1817), 1 zmarły przypadał na 49 żyjących, w więzieniu Grande Force 1 na 40, w Madelonettes 1 na 38, a w karnych więzieniach hollenderskich 1 na 12. Z cyfr tych wnosićby można, że lepiéj wprawdzie być uczciwym człowiekiem w Warszawie niż rozbójnikiem w Hollandyi, lecz że zato lepiéj być hultajem we Francyi niż poczciwym w Warszawie.

Widzimy więc, że sprawa kanalizacyi łączy się nietylko z porządkiem miasta, ale i ze spokojnością sumienia jego mieszkańców.

Już to w ogóle ludzie na prowincyi i po wsiach dłużéj żyją niż w mieście, a szczęśliwy śmiertelnik, któryby z Warszawy przeniósł się np. do gubernii Suwalskiéj, miałby wprawdzie mniéj szans wejścia w związki małżeńskie, lecz natomiast zyskałby prawdopodobieństwo, że dwa razy dłużéj pożyje. Wprawdzie gubernią Suwalską znakomicie pod tym względem przewyższać musi Brazylia, w któréj ludzie żyją tak długo, że aż sądy skazują przestępców na sto kilkunastoletnie więzienie; do Brazylii przecież jechać nie każdy może, na wieś zaś, na letnie miesiące każdy majętniejszy. Dlatego radzimy im, aby korzystali z téj możności, pozostałéj zaś reszcie przypominamy, aby wysyłała dzieci swoje jeżeli nie na wieś, to przynajmniéj do obszernych ogrodów na czas jak najdłuższy. Niechaj biedne zawiązki przyszłych obywateli miasta, choć przez parę miesięcy w ciągu roku, znajdą się w tych szczęśliwych wa-

runkach, które ich wiejskim rówieśnikom tyle przysparzają zdrowia i szans długiego życia.

Ciekawsi od nas Anglicy, dla wyrobienia sobie pod tym względem opinii, ważyli i mierzyli 14-o letnich chłopców miejskich i wiejskich. Otoż okazało się, że dzieci wieśniacze przerastają mieszczuchów o parę cali i przeważają o całe ośm funtów. Zaprawdę! dla przydania naszym więdniejącym wyrostkom owych ośmiu funtów powłoki doczesnéj, wartoby w każdém mieście zakładać ogrody dziecinne, a przynajmniéj wspierać już istniejące.

Zakładami takiemi są ogródki Froeblowskie, których Niemcy i Francya posiadają setki, my zaś dwa: jeden w Kaliszu (nie wiemy czy jeszcze istnieje?), drugi w Warszawie, przy ulicy Nowy Świat N, 34,—pod kierunkiem pani Teresy Mleczko.

W ogródku tym dzieci od lat 4—10 przebywają po 6 godzin dziennie. Uczą się gimnastyki, mnóstwa gier, trochę śpiewają, rozmawiają z przewodniczącemi, jeżdżą na welocypedach, a prócz tego wycinają, układają, wyszywają i modelują mnóstwo figur, według metody Froeblowskiéj. Cały szereg tych zabaw i zajęć wykonywanych na wolném powietrzu, zmierza do tego celu, aby ćwiczyć i kształcić bezpośrednio wszystkie muskuły i zmysły, pośrednio zaś umysł dziecka, a nadewszystko żeby rozwinąć jego siły i zdrowie.

Na nieszczęście, publiczność nasza niewiele wie o podobnego rodzaju zakładach, w znacznéj części z winy prassy, która niedosyć zwraca na nie uwagę ogółu. Z tego powodu tak mało mamy ogródków i tak mało nauczycielek znających metodę Froeblowską.

Sądzimy też, że prassa warszawska i prowincyonalna dobrze zrobią, jeżeli jednomyślnie poruszą sprawę ogródków dziecinnych, stawiając zarazem dwie propozycye: 1) aby nauczyciele prywatni płci obojéj starali się poznać metodę Froebla praktycznie, bądź w zakładzie pani T. Mleczko, bądź w ochronach; 2) aby publiczność warszawska i prowincyonalna postarała się o zaprowadzenie jak największéj ilości ogródków. Nie zapominajmy, że zdrowe dzieci, to zdrowa przyszłość kraju.

Przechodzimy do oświaty.

W początkach Listopada roku zeszłego, kilku starozakonnych kupców w Lublinie, z inicyatywy p. Majera Lichtenfelda, otworzyło szkołę wieczorną dla swych uczniów i subjektów. Wykłady poprzedzane jednogodzinną pogadanką popularną trwały tam od 7 do 9 w wieczór i obejmowały języki: polski i rossyjski, tudzież arytmetykę, geografią i kaligrafią.

Szkoły wieczorne, które odciągają ludność roboczą od szyn-

kownianych uciech i szerzą między nią wiedzę i moralność, znane są w całéj Europie U nas były kiedyś, lecz następnie upadły. Sądziliśmy też, że szkoła lubelska spełni swoje zadanie, a co ważniejsza, stanie się ewangeliczném ziarnem gorczycy, które z czasem rozrośnie się w wielkie drzewo i w całym kraju rozpleni.

Przeznaczenie jednak chciało inaczéj. Nie przebrzmiały jeszcze w prassie hymny na cześć założycieli, a publiczność nie zdążyła dostatecznie przejąć się ważnością faktu; gdy wtém pan Jakób Goldszmit, jeden z najżarliwszych lecz i najmniéj możnych promotorów szkoły, doniósł nam w „Izraelicie," że instytucya ta skutkiem jakowychś niesnasek, upadła w połowie Lutego.

Trudno!.. Pokazuje się jednak, że nasi bracia starozakonni nie dosięgli jeszcze tego stopnia dojrzałości, na jakim pragniemy ich widzieć. Zdołali stworzyć instytucyą piękną, na którą ogół z najwyższém patrzał współczuciem; lecz nie umieli wypielęgnować jéj aż do téj chwili, w któréjby już sama potrafiła utrzymać się o własnych siłach.

Niezbyt dawno „Niwa" w jednym z artykułów wstępnych rzuciła myśl zakładania bibliotek ludowych z funduszów gminnych. W szczęśliwéj widać godzinie podano ten projekt, wnet bowiem dowiedzieliśmy się, że gmina Stawiszyn w gub. Kaliskiéj, najmniejsza, bo tylko 21 licząca głosów, pierwsza w całym kraju przeznaczyła rs. 100 z funduszów karnych na założenie biblioteki, uprosiwszy miejscowego lekarza i aptekarza, aby zajęli się tą sprawą.

Tym sposobem pozostaje jeszcze tylko 1312 gmin bez bibliotek; miejmy jednak nadzieję, że przy szerszym udziale inteligencyi w sprawach gminnych, luka ta zapełni się z czasem.

Pozostaje do zapisania wypadek również jedyny w swoim rodzaju, lecz jeszcze dziwniejszy od poprzednich. Oto między trzydziestu kilku tysiącami karczem, istnieje jedna w gubernii Płockiéj, we wsi Ciołkowie, w któréj znajdują się pisma: Zorza, Gazeta Polska, Korrespondent Płocki i Kuryer Świąteczny. Pisma te przysyła jeden z ziemian, włościanie zaś czytają je lub słuchają bardzo chętnie.

Zdaje się, że zbyteczném będzie kłaść nacisk na doniosłość tego faktu, a tém mniéj zachęcać możniejszych ziemian, aby spadające ze swoich stołów okruchy drukowanego słowa oddawali na pożytek młodszéj swéj braci.

Aleksander Głowacki.

KRYTYKA.

Stefana Franciszka z Prószcza Medekszy, Księga Pamiętnicza wydarzeń zaszłych na Litwie 1654—1668.

Taki jest tytuł III-go tomu wydawnictwa: Pisarzy dziejów polskich (Scriptores rerum polonicarum), prowadzonego przez komissyą historyczną Akademii Umiejętności w Krakowie. Wydał go, pod koniec ubiegłego roku z rękopismu powierzonego Akademii, czł. nadzw. tejże Akad. i sekretarz komsisyi Dr. Władysław Seredyński.

Niemałéj wagi to przyczynek do dziejów Rzpltéj z początku drugiéj połowy XVII w.

Wydanie Księgi téj Pamiętniczéj wzbogaciło też niepowszednio wcale, pomnażające się wciąż zasoby historyczne owéj tyle ważnéj w dziejach Rzpltéj epoki. Dwie strony przedewszystkiém podnoszą źródłowe znaczenie tego zbioru. Najprzód, że obejmuje on wypadki odnoszące się wyłączniéj do Litwy; a obok tego, jest pamiętnikiem człowieka, który przy swéj dzielności, nie wyrosłszy dostojeństwem po nad pospolitą stronę koła rycerskiego, żył życiem szlacheckiego tłumu wyłączniéj.

Rzeczpospolita Polska była jedną wielką rzeszą związkową, była szeroką federacyą ziem i ludów, nie państwem w ściślejszém znaczeniu. Życie wszelkie w jéj łonie, wobec wytężonego nawet skupienia się kraju w wielkich chwilach, było rozstrzeloném autonomicznie pośród składowych onego dzielnic. Rozstrzelenie zaś to było tak silne, że dzielnice pojedyncze posiadały nawet nieraz swą własną domową i zewnętrzną politykę. Litwa naprz. wdrażana przez wieki do większego porządku i ścisłości, chętniéj zawsze gotowa była stawać po stronie władzy—króla czy panów; a jako autonomiczne księztwo, przestrzegała też i zewnętrznéj swéj polityki odrębnéj. Straszna nawałnica turecka ciążąca bez przerwy nad Rusią, czambuły tatarskie i rozpasana samowolność kozactwa—

mało to ją wszystko obchodziło. Nie więcéj dotykał i stosunek z cesarzem--tyle dla Małopolan ważny, jak dla Wielkopolan sąsiedztwo kurfirsta. Mało nawet względnie Litwę Szwed obchodził. Cała jéj uwaga była wciąż zwrócona ku wschodniéj granicy, ku Moskwie; Moskwa była jedyną grozą Litwy; a ztąd stosunek z Rossyą—wyjątkowiéj sprawą litewską.

Otoż i w tym czasie, w początku drugiéj połowy XVII w., gdy Rzeczpospolita była targana ze wszystkich stron, a Marya Ludwika przemyśliwała nad sposobami ubezpieczenia jéj na przyszłość, przez jaką szczęśliwą kombinacyą polityczną o Zachód się opierającą, Litwa żyje po swojemu, myśli sama za siebie. Przytłoczona przemożną siłą wschodniego sąsiada, ona to właściwie sama zawiera umowę wileńską 1658 r.; lecz co większa—wcale na seryo umowę tę bierze. Tymczasem głównem ogniskiem życia Rzeczypospolitéj było zawsze Powiśle, tu się wszystko ostatecznie rozstrzygało; więc i historya też baczniéj śledzi wypadki tam przedewszystkiém się odbywające się. Zwracając atoli w taki, sposób uwagę swą wyłączną na główne zarzewie życia Rzeczypospolitéj, z pominięciem nieraz mniejszych onego ognisk, historya już i z tego nawet powodu nie była dotychczas w stanie przedstawić obrazu pełnego tego życia, a z nim i całkowitéj prawdy faktycznéj. Traktowała też podobnie dotychczas historyografia nasza i ową epokę nieszczęsną dwudziestoletniego panowania Jana Kazimierza. Tu za tragicznym majestatem wypadków ogólnych, ginęły zwykle w cieniu objawy życia wyłącznego ziem pojedynczych Rusi, Litwy.—Otoż, co do téj ostatniéj właśnie brak dotychczasowy wybitniejszego oddania szczegółów, tyczących się jéj życia osobnego, zastępuje obecnie owa Księga Pamiętnicza Medekszy.

Medeksza, ziemianin litewski, skromnego rodu i stanowiska polityczno-obywatelskiego, był przecie człowiekiem publicznym w całém znaczeniu. Rozważny, wytrwały a pełen wrzącego szlacheckiego animuszu, należał też najczynniéj do wszystkich spraw głównych, jakie wtedy zajmowały Litwę. W księdze swéj pamiętniczéj podaje on wszakże to tylko, czego był sam bezpośrednim uczestnikiem i świadkiem, czego był dokładniéj świadom zblizka. O odsłonienie tedy nowych, nieznanych zupełnie stron na głównéj widowni powszechnych dziejów Rzeczypospolitéj, o fakta ogólne nieocenionéj doniosłości, ukryte dotąd, nie pytajmy go wcale. Ale za to księga jego roztacza przed nami całe grupy nieznanych szczegółów, uwydatniających dosadniéj pewne mniéj jasne dotąd fakta poważnego wielce w dziejach znaczenia; przed-

stawia całe obrazy życia wewnętrznego jednéj z bardziéj zaniedbanych dotąd w naszéj historyografii prowincyi Rzeczypospolitéj, a co więcéj, ujmuje powabem wysoce charakterystycznego indywidualizmu samego jéj autora, jaki tchnie tu z całego opowiadania i spisywanych świadectw.

Wszystko tu się splata z przebiegiem czynności osobistych Medekszy; lecz czynności publicznych jedynie, obywatelskich—o faktach bowiem prywatnych, rodzinnych, dumny ziemianin litewski zupełnie prawie milczy.

Księgę swą rozpoczyna on dyaryuszem własnych prac i usług JKMości i Rzeczypospolitéj tak z życzliwości przeciw ojczyznie oddawanych, jako też za powodem dwóch swych protektorów i dobrodziejów Aleksandra Gosiewskiego hetmana i Krzysztofa Paca kanclerza, panów obu rozumu wielkiego.

Zapiski te osobiste, w 60 punktach podane, obejmują przeciąg od r. 1654 po 1690; wszakże sama Księga Pamiętnicza doprowadzona tylko do r. 1668, zatém abdykacyi Jana Kazimierza. Świadczą też szczegóły owe bardzo zaszczytnie o dzielności obywatelskiéj Medekszy.

Żołnierz od lat młodych, w fatalnym dla Litwy 1654 r. wyzwany został do poważniejszych posług publicznych. W kraju i w wojsku rozprzężenie, współzawodnictwo nieszczęsne hetmanów ubezwładnia zwykłą sprężystość Litwy. Po poddaniu się Chmielnickiego w Perejasławiu, wojska carskie i ten kraj niemal cały zalewają, a tu 1655 Szwed się zbliża, Radziwiłł rzuca na szalę wyłączną swą rodową politykę—i wielkie księztwo Witoldowe ocuca się oto nad przepaścią. Jeden Gosiewski dzielnie walczy. Posługuje się zaś wszędy Medekszą, szląc go nieustannie: to do kolegi hetmana wielkiego, knującego zdradę; to do wojska, by je utrzymać przy dobréj sprawie; to na podjazd, w którym p. Stefan gromadzi około 2,000 chłopów za Zięblinem i pod Bieszenkowiczami, atakuje najezdców; to wreszcie spieszy na spotkanie posła hańskiego. Po wzięciu zaś przez wojska rossyjskie Wilna, wysyła go do obozu carskiego—i tak daléj, wciąż, bez wytchnienia lata całe...

Gdy Janusz Radziwiłł poddał się Szwedom, Gosiewski rozumiał trzeźwo, że jedynym ratunkiem dla Litwy może być tylko zwrócenie przeciw nim Moskwy, chociażby ceną pewnych ukazywanych w oddali widoków i nadzieją, témbardziéj, że potęga rossyjska zbyt była dotkliwie nad krajem zaciężyła. Szczyci się też Medeksza (N. 9): „W pierwszéj mojéj do Moskwy legacyi armistitium z carem pod Wilnem uczyniwszy, wsadziłem go na Szwedów. Jakoż car zaraz deklarował ruszenie się swoje pod Rygę

co właśnie Żmudź ratowało, bo tą potęgą, którą Szwedzi carowi bronili się, Żmudź całą zrujnowaćby mogli“... W roku zaś 1657 jeździł on do saméj stolicy Moskwy.

Spisany przezeń dyaryusz tego poselstwa, pomijając już zawarte w nim szczegóły, świadczące o istocie ówczesnego stosunku Litwy do jéj wschodniego sąsiedztwa, zawiera w sobie niezmiernie charakterystyczne fakta i obrazy, które znakomicie uwydatniają przeciwieństwa, nawet towarzyskie i obyczajowe, dwóch blizkich sęsiednich społeczeństw, i przedstawiają ciekawe nader rysy obyczajowe. Badacz więc ówczesnéj epoki znajdzie tu bardzo obfite źródło dla dziejowo-etnograficznych studyów.

Lecz daleko ciekawszym, daleko obfitszym materyałem historycznym w pamiętniku Medekszy, są przechowane przezeń szczegóły tyczące się smutnych dziejów konfederacyi wojska litewskiego pod Żeromskim (począwszy od r. 1659), splamionéj następnie bezecnie dokonaném morderstwem na dzielnym hetmanie Gosiewskim 1662 r. Medeksza, prawy szlachcic, przyjmuje z początku żywo do serca krzywdę, jaka się działa dobrze zasłużonéj braci wojskowéj. Przyjaciel serdeczny Gosiewskiego, pilnuje jego interesów po wzięciu pamiętném hetmana do niewoli rossyjskiéj, potém jeździ 1662 do Moskwy, starając się o jego uwolnienie. Lecz po powrocie z tego poselstwa, którego bardzo ważne dokumenta w księdze swéj przechował, widząc jak gwałtowny charakter związek wojskowy przybiera, odwrócił się od niego stanowczo; po śmierci zaś Gosiewskiego stawał z czynną pomocą we wszystkiém owdowiałéj żonie hetmana, i energicznie dopominał się o wymierzenie kary na zbrodniarzy.

Charakterystycznie bardzo zatytułował Medeksza cały dział źródeł odnoszących się do téj sprawy. Czytamy oto: „Skrypta różne, a potém i konfederacya bezbożna wojsk koronnych i w. ks. Litewskiego, związkiem braterskim ochrzczona, w Koronie może związkiem albo raczéj spiskiem ku naprawieniu wolności być zwana, ale w Litwie ku zepsowaniu i jawnéj dywersyi obywatelom w. ks. Lit-go uczyniona, a którzy wiadomi co w tym spisku ucierpieli z płaczem kronikę pisać muszą.“—W skryptach tych zaś zawarte są szczegóły niepospolitéj wagi do zrozumienia życia wewnętrznego ówczesnéj Litwy. Pomiędzy innemi, wielce tu ciekawym jest akt (Nr. 59), zatytułowany przez Medekszę: „Manifestacya sine scitu stanów w. ks. Litewskiego od pewnych senatorów i posłów na rozerwanie Unii z Koroną po sejmie anno 1661, którą potém na sejmie anno 1662, w oczach moich, na sessyi senatorów i posłów litewskich, zdrapać i skassować przyszło w warszawskim

zamku, na instancyą wielu posłów w. ks. Litewskiego tudzież koronnych." — W téj manifestacyi malkontenci litewscy, rozżaleni przeciw braci koronnéj za nieuwzględnienie potrzeby ciężkiéj, w jakiéj się Wielkie Księztwo wówczas znajdowało—gdy ani mu skutecznéj pomocy nie podano, ani pozwolono stanowczo ułożyć się z Moskwą w r. 1659 i 1660, ani dopuszczono królowi naznaczenia sobie za życia następcy—oświadczają: że w takich okolicznościach sami już „wszystkiemi, które czas i rozum pokaże sposobami, o sobie radzić i myśleć" będą musieli, z czego widać, że i wtedy jeszcze myślano na Litwie o samoistném działaniu na zewnątrz, że warunki komissyi wileńskiéj traktowano poważnie, i chętnie godzono się na zasadę elekcyi następcy tronu za życia króla, w skrytéj nadziei utrzymania najdogodniejszego dla W. Księztwa kandydata. Przy czém stał właściwie powracający z niewoli Gosiewski—odpowiedzieć nie łatwo. Większość wszakże Litwy trzyma widocznie, w dobrém i złém, z Koroną: bo i konfederacya wojskowa litewska, rozwiązana dopiero w r. 1664, przeciwną jest również elekcyi za życia, a następnie i ziemianie litewscy wiążą się powiatami w tak zwany „spisek przeciw spiskowi panów postronnych" i t. p.

Na r. 1668, roku abdykacyi Jana Kaz. kończy się Księga Pamiętnicza Medekszy, teraz już pisarza grodzkiego kowieńskiego. Jako poseł na sejm pierwszy 1668 r., sejm poprzedzający ostateczną króla abdykacyą, zapamiętał on szczegół jeden ważny, nieznany dotychczas. Od niego oto (Nr. 142) dowiadujemy się, że zmęczony walką z przeciwnikami Jan Kaz. zawołał w ostatniéj chwili do sejmujących: „Za lat 20 panowania dajcież mi proszę prolongacyą sejmu do jutra!"—„I na to nie pozwolono", smutną robi uwagę ziemianin litewski. Co tu przytém bardzo cechującego, że w téj walce stanowczéj o prawa wzajemne korony i szlachty, nie miał on, jak wielu może z obradującéj współbraci, ustalonego zdania—nawet względem winy rozerwania sejmu, i składał takową na nieszczęsne fatum Rzeczypospolitéj. Co zaś do stanowiska koła litewskiego wogóle na sejmie, przyświadczywszy, że „tego sejmu pokazali Polacy generositatem taką, jako rzadkich sejmów, bo posłowie byli i żwawi i wielcy weterani,"—„nasza Litwa, powiada szczerze Medeksza poseł kowieński, na gotowe rzeczy patrzała..."

Równie czynnym był Medeksza i w drugiéj połowie swego życia, za panowania królów Wiśniowieckiego i Sobieskiego—o czém wiemy z jego notatki osobistéj; ale pamiętniki jego z téj epoki nie dały się jeszcze odszukać. A nieodżałowana tego szkoda, bo wcześnie już jako sędzia ziemski kowieński, zgromadził był tam

napewno nie mniéj ciekawe źródła do dziejów wewnętrznych Litwy, jak te, które nam podał pisarz grodzki.

Wyznać wszakże musimy, że Księga Pamiętnicza Medekszy nie posiada wcale powabu zwykłych pamiętników. Ani jéj układ, ani opowiadanie, ani styl onego (chociaż język tu dość czysty), nie przedstawiają przecie niezbędnych warunków poczytnego dla szerszego koła obrazu. Zabytek to przedewszystkiém znaczenie źródła dziejowego mający, znaczenie suchego, lecz obfitego materyału do studyów nad życiem wewnętrzném jednéj z dzielnic Rzeczypospolitéj.

W ogóle atoli, wydawnictwo podobnych źródeł historycznych wyświetlających dzieje szczególne odrębnych prowincyi lub nawet pojedynczych województw i ziem, jest rzeczą niezmiernéj wagi. Konieczność onego wypływa z samego charakteru zbiorowego życia dawnéj Rzeczypospolitéj. Przy wielu bowiem ogólnych rysach i przymiotach, panowała w życiu jéj najbarwniejsza rozmaitość, gdzie każda część składowa politycznego jéj organizmu, oprócz ogólnego, żyła życiem własném. Ztąd dzieje polskie, bardziéj niż każdego innego silniéj scentralizowanego społeczeństwa, przedstawiają obraz rozwoju związkowego organizmu, nadewszystko przez zjednoczone współdziałanie jego cząstek, — jakiemi są właśnie odrębnie wyrobione prowincye. Obraz zaś ten wtedy tylko może być dokładny, jeśli będzie zawierał w sobie ile można żywy zarys współdziałania sił szczegółowych indywidualizmów w łonie ogarniającéj je całości. Jedném więc z poważniejszych zadań następnego dziejów badacza nieodzownie być winno ścisłe zrozumienie istoty, charakteru i kierunku ducha owych żywych indywidualizmów, gruntowne śledzenie ich żywota i postępu, nakoniec ich stosunku do siebie wzajemnie i do ogółu narodu. Wtedy bowiem jedynie zdobędzie on możność upostaciowania życia przeszłości w całéj wszechstronnéj onego pełni. Lecz nim się to stanie możliwém, potrzeba tymczasem skrzętnie zbierać i udostępniać przyszłym pracownikom wszelkie materyały, pamiętniki i monografie dotyczące wewnętrznego życia pojedynczych ziem i prowincyi. I oto, w tém właśnie spoczywa cała tajemnica téj niezmiernéj wagi, jaką dziś przywiązujemy do wydawnictw podobnego rodzaju. Im też życie któréj z krain Rzeczypospolitéj jest mniéj zbadane, tém żywiéj witamy każde nowe, wyświetlające je źródła dziejowe. Wielkie Księztwo Litewskie, owa potężna i wielce samoistna w swém życiu dzielnica Rzeczypospolitéj, czeka jeszcze na głębsze studya; spotykamy przeto z całą uprzejmością Księgę Pamiętniczą zacnego syna Litwy,

oddając zarazem należne uznanie i jéj wydawcy d-rowi Seredyńskiemu.

A. Jabłonowski.

Panteon wiedzy ludzkiéj. Oddział pierwszy: Nauki Matematyczne: — I Arytmetyka str. 96. — II Algebra str. 52 przez Dr. Baranieckiego. — III Geometrya elementarna str. 34. — IV Trygonometrya str. 22. — V Geometrya wykreślna str. 14. — VI Geometrya analityczna str. 41 przez Mikołaja Jaxę Bykowskiego. — VII. Rachunek różniczkowy i całkowy str. 72, przez Władysława Gosiewskiego.
Warszawa. Nakładem Redakcyi Przeglądu Tygodniowego 1876 r.

Pod tytułem, może nieco za szumnym i pretensyonalnym „*Panteonu wiedzy ludzkiéj*“ Redakcya Przeglądu Tygodniowego zaczęła wydawać szereg dzieł traktujących o wszystkich naukach, stanowiących wiedzę ludzką. Nie potrzeba tutaj dowodzić, że wydawanie dzieł, w którychby zasady nauk były systematycznie i dobrze wyłożone, jest rzeczą bardzo ważną i pożyteczną wszędzie, a témbardziéj u nas. Dlatego też wprowadzenie w czyn myśli opracowania i wydania takich dzieł, musimy poczytać za zasługę Redakcyi Przeglądu.

Ogłoszony obecnie pierwszy tom „Panteonu“ zawiera całą matematykę czystą. Nie możemy tutaj w pismie niespecyalném wdawać się w rozbiór szczegółowy rozmaitych części tego tomu, bardzo bogatego treścią. Część analityczna (Arytmetyka, Algebra i Rachunek różniczkowy i całkowy) są opracowane bardzo starannie i ściśle, i w zupełności odpowiadają téj opinii, jaką autorowie wyrobili sobie poprzedniemi pracami. Tym, którzy pragną dopełnić swoich szkolnych wiadomości arytmetycznych, śmiało możemy zalecić arytmetykę „Panteonu,“ gdzie na niewielu stosunkowo stronnicach znajdą dokładnie, jasno i zręcznie wyłożone główne zasady téj nauki.

Podobnież i w algebrze autor założył sobie wytłómaczyć wszystkie zasady działań algebraicznych i wykonał to bardzo starannie.

Gdyby nawet kto nie zgadzał się na taki programat rachunku różniczkowego i całkowego, jaki przyjęto w „Panteonie,“ jednak musi się zgodzić, że niepodobna w równie małéj objętości (bo tylko na 72 str.) zawrzeć więcéj treści. W rzeczy saméj ta część pierwszego tomu jest może najbogatsza ilością traktowanych przedmiotów: — prócz tego wszystko co się w niéj zawiera, jest wyłożone dokładnie. Autor nie poświęcił ścisłości mniemanemu

uprzystępnieniu przedmiotu, jak to się często przytrafia w dziełach popularnych. Słowem, zapatrując się na wymienione części „Panteonu“ z tego stanowiska, z jakiego autorowie zapatrywali się, musimy przyznać, że wywiązali się oni dobrze z tego zadania, jakie sobie założyli.

Jeden tylko brak nas uderza: mianowicie nie mogliśmy dopatrzyć nigdzie dowodu dwumianu *Newton'a* przy wykładniku całkowitym i dodatnim. Wprawdzie na str. 36 i 37 rachunku różniczkowego jest przytoczony dowód, w przypadku jakiegolwiek wykładnika, ale już na str. 16 i 27 rachunku przypuszcza się znajomość wzoru dwumianu, przynajmniéj w przypadku wykładnika całkowitego i dodatniego. Brak ten widocznie pochodzi z niedostatecznego porozumienia się autorów.

Z przykrością wyznać nam przychodzi, że nie możemy tych samych pochwał oddać geometrycznéj części „Panteonu.“ Ci, którzy odebrali całkowite średnie wykształcenie w gimnazyum u nas, mogą z korzyścią czytać arytmetykę i algebrę i znaleźć w nich wiele rzeczy albo całkiem dla siebie nowych, albo też przynajmniéj w nowém przedstawionych świetle; (rachunek różniczkowy i całkowy, rozumie się samo przez się, będzie dla nich zupełnie nowym przedmiotem).

Tymczasem nie możemy przedstawić sobie ucznia, kończącego gimnazyum i zarazem tak mało wykształconego w matematyce, dla któregoby znalazło się coś wartego czytania w planimetryi i stereometryi „Panteonu.“

Autor przyjął taki sposób traktowania przedmiotu, jaki jest używany w podręcznikach; ale treścią dzieło jego jest uboższe niż jakikolwiek podręcznik geometryi, a na każdym kroku dają się spotykać dowody nieścisłości i niedbałości wykładu. Wykład np. teoryi linii równoległych istotnie graniczy z naiwnością. Czytelnik, jeżeli tylko nie wiedział tego zkądinąd, ani się domyśli może istnienia jakiejś innéj teoryi linii równoległych: z tych kilkunastu wierszy wypowiedzianych z prawdziwie *przed-Euklidesowym* spokojem, nikomu przyjść do głowy nie może, że są pewne trudności w teoryi linii równoległych, że wielka liczba matematyków zajmowała się i jeszcze się zajmuje tą teoryą, — że jest geometrya *Euklidesowa* i *nie-Euklidesowa*. Z całéj książki nie można się nawet dowiedzieć, co autor za pewniki geometryczne uważa. Geometrya analityczna jest traktowana wyłącznie metodami dawnemi; nie znać tego, że dzieło to jest pisane już po śmierci *Hesse'go*.

Z całéj części geometrycznéj najlepiéj może jest wyłożona trygonometrya. Polecamy uwadze czytelnika zręczny sposób wy-

prowadzania wzorów na wstawę i dostawę summy i różnicy dwóch kątów, używany oddawna w dziełach zagranicznych, ale który o ile wiemy, po polsku jest tutaj po raz pierwszy wyłożony.

W dziele zbiorowém tego rodzaju co „Panteon," na które się składa znaczna liczba piszących, niezbędną jest rzeczą ciągłe porozumiewanie się z sobą autorów, wykładających różne działy należące do jednéj gałęzi wiedzy. Utworzenie komitetu redakcyjnego, posiedzenia odbywane przez piszących o pokrewnych przedmiotach, — wspólne ułożenie programatu, i wreszcie odczytanie wspólne niektórych ustępów z przygotowanych dzieł, jedynie może nadać cechę jednolitości takiéj książce zbiorowéj. Sposób, w jaki opracowana została geometrya w „Panteonie," jest dla nas dowodem, że wydawnictwo „Panteonu" nie szło tą drogą. Jesteśmy przekonani, że przy dostateczném porozumiewaniu się, geometrya byłaby zupełnie inaczéj opracowaną; a przekonanie nasze opieramy na tém, że w działach traktowanych przez autora geometryi są ustępy dowodzące, że autor mógłby ją inaczéj wyłożyć, gdyby wyrobił sobie inne zdanie o sposobie traktowania przedmiotów w „Panteonie." Wtedy geometrya z równym pożytkiem mogłaby być czytaną, jak i analityczna część pierwszego tomu „Panteonu."

W. Kwietniewski.

Henryk Struve: Synteza dwóch światów—Szkic filozoficzny, z dodaniem dwóch urywków: 1. Poezya, Religia i Filozofia. 2. Przeszłość, Przyszłość i Teraźniejszość. Warszawa, 1876.

Od chwili, kiedy nasz ruch literacki po długim zastoju na nowo się ożywił, ścierają się w naszych pismach i publikacyach dwa różne umysłowe kierunki. Każdy z nich ma pewien *podkład*, pewne *tło* filozoficzne, i dlatego też właściwości każdego najwyraźniéj występują w artykułach i dziełach treści filozoficznéj. I w saméj rzeczy, gdy wzmiankowane dwa kierunki literackie dadzą się oznaczyć niejasném tylko mianem „staréj i młodéj prassy," na polu filozofii występują one wyraźnie jako pozytywizm i idealizm, albo wyrażając się dokładniéj jako pozywizm i idealny realizm, gdyż z wielu odcieni filozoficznego idealizmu właściwie tylko idealny realizm znalazł u nas swych przedstawicieli.

Pozytywizm nasz był dotychczas o wiele ruchliwszy od swego współzawodnika i już nawet dwa razy zdobył się na ogłoszenie swéj ewangelii: w r. 1872 ogłosił drukiem p. Ochorowicz Wstęp do filozofii i pogląd ogólny na filozofią pozytywną; w roku

zaś bieżącym p. Eger wydał: „Zasady pozytywizmu.“ Idealny realizm, jakkolwiek wcześniéj niż pozytywizm u nas się zjawił (1), przecież w ostatnich pięciu latach trzymał się więcéj odpornie, a znaki swego życia dawał przeważnie w rozbiorach publikacyi pozytywistycznych. W skutek tego czytająca publiczność mogła tylko poznać słabe strony naszego pozytywizmu, ale zasad idealnego realizmu jeśli z obcéj literatury z niemi się nie zaznajomiła, tylko domyślać się mogła, gdyż nigdzie jasno wypowiedziane nie były. Brak nam było ewangelii idealnego realizmu. *Syntcza dwóch światów* brak ten wypełnia.

Idealny realizm nie jest bynajmniéj jakąś zamkniętą w sobie szkołą filozoficzną, jakimś stałym systemem filozoficznym w rodzaju filozofii Hegla lub Herbarta; nie jest też dzieckiem jednego filozofa, tak iżby go można było mianem tegoż ochrzcić: jedném słowem nie jest on pewną, oznaczoną teoryą filozoficzną, lecz grupą różnych filozoficznych poglądów, niejako nazwą gatunkową dla teoryi tych filozofów, którzy pod względem *zasady* starają się trzymać pośredniéj drogi między spirytualizmem a materyalizmem, pod względem *metody* zaś między spekulacyą aprioryczną a dedukcyą i indukcyą empiryczną. To środkujące stanowisko jest jedyną wspólną cechą filozofów kierunku idealno-realnego, cechą wyciskającą prawda swe piętno na wszystkich ich pojęciach i poglądach, ale zarazem dającą wiele swobody indywidualnemu rozumowaniu. A tak zgadzając się co do swych zasad, idealni realiśc rozchodzą się nietylko w sposobie przeprowadzenia ich, ale co ważniejsza, w dokładném oznaczeniu położenia tego gościńca złotego środka, co ich ma między idealizmem i realizmem bezpiecznie przeprowadzić. Jeśli więc książkę prof. Struve'go nazwaliśmy ewangelią idealnego realizmu, to dlatego, że trzymając się w granicach tylko najogólniejszych zasad, i mając na celu jedynie „szkic filozoficzny“ ogólnego poglądu na świat, nie potrzebowała wchodzić w szczegóły, a tém samém nie schodząc prawie wcale z gruntu wspólnego wszystkim idealnym realistom, mogła wybitnie uwydatnić stanowisko i tendencye idealno-realne. Autor nie nazwał wprawdzie swego szkicu idealnym realizmem, lecz „zarysem filozofii syntetycznéj“ (cf. dedykacyą), wszakże nazwa ta rzeczy nie zmienia; a ponieważ doskonale określa owo piętno, jakie stanowisko idealnego realizmu na przeróżnych jego pojęciach i teoryach wy-

(1) Za pierwszy jego objaw można uważać prof. Struve'go: „Wywód pojęcia filozofii“ r. 1863.

ciska, przeto jest bardzo odpowiednią dla tego filozoficznego kierunku. Piętno to wyraża się w tendencyi pogodzenia i zjednoczenia wszelkich zasadniczych krańcowych poglądów i wykazania, że sprzeczności ich są tylko pozorne.

Autor usiłuje dowieść, że jak we wszechświecie nie ma i nie może być sprzeczności, tak samo i we wszystkich kierunkach i objawach życia ludzkiego, bądź to teoretycznych, bądź praktycznych, mimo pozornéj walki i niezgody, panuje odwieczne i powszechne prawo harmonii. Wszelkie odstępstwa od tego prawa są nic nieznaczącemi zboczeniami, które z postępem czasu wyrównać się muszą, podobnie jak i zboczenia słońc i gwiazd „od matematycznéj linii, która naprzód ich drogę wyznacza“ (str. 57); „nawzajem tak się równoważą, że nigdy nie są w stanie naruszyć zgody i harmonii, porządku, zawarowanego na wieki przez rozum Najwyższy“ (str. 58).

W pierwszym więc rozdziale, zatytułowanym *Ludzkość na rozdrożu dwóch światów*, kreśli autor obecny stan życia ludzkiego dla zaznajomienia czytelnika z rodzajem i stopniem dzisiejszego zboczenia od powszechnego prawa harmonii. „Już oddawna dają się słyszeć zdania, mówi autor (str. 1), że żyjemy w czasach przejściowych, że stare porządki, stare przekonania i teorye się przeżyły, że niezadługo musi nastąpić zupełny zwrot w całym ustroju umysłowym narodów oświeconych; że jakieś nowe tchnienie ducha zstępuje na ziemię, owłada ludzkością i prze ją po nowych drogach ku nowym nieznanym, celom.“ „Pod wpływem tego dziwnego nastroju znajdują się wszystkie zdolności człowieka,“ w skutek czego i wszystkie przejawy życia ludzkiego: nauka, sztuka, religia, życie społeczne, „podkopują własne fundamenta, a nie mają jeszcze innych, stają się chwiejnemi, niepewnemi przy wzniesieniu nowéj budowy.“ To „nowe tchnienie,“ walcząc z dawnym porządkiem, rozerwało wreszcie ludzkość na dwa nieprzyjazne obozy: świat stary, ktorego godłem: Bóg, duch i wolność, i świat nowy, co na swym sztandarze wypisał: przyroda, materya i prawo konieczności. Jakkolwiek jednak oba te obozy zacięcie z sobą walczą, pojednanie ich wszelako możliwe. Wspólne ich źródło duch ludzki jest, według autora, rękojmią ich zgody.

Następujący za tym rozdział, roztrząsa trzy pary pojęć: ducha i materyi, Boga i świata, wolności i konieczności, w celu wykazania, że między pojęciami temi, stanowiącemi metafizyczną podstawę owych dwóch światów, nie ma sprzeczności. Nie mamy zdaniem autora, żadnego powodu przypuszczać, że między materyą a duchem istnieje sprzeczność, gdyż z braku objawów wewnętrznych stanów pewnéj istoty niepodobna nic wnosić o wewnętrznéj

naturze téj istoty; co większa, prawidłowa budowa kryształów, „ruch atomów, odbywający się w pewnym określonym kierunku" (str. 34) jest, jak twierdzi autor, objawem myśli w materyi a więc przejawem duchowego jéj życia. W ten sam więc sposób, wnioskuje autor, jak duch „przenika" (str. 36) mój palec, w ten sam sposób przenika duch i każdy atom materyi. W dalszym ciągu twierdzi autor, że ponieważ nie ma materyi bez wrażenia *oporu* i *ograniczenia* (str. 38), przeto „wszystko co *obce*, co nie ja, przedstawia mi się jako *materya*" (str. 41). I Bóg, uczy daléj autor, przedstawia się nam tylko jako świat materyalny: „każde prawo rzeczywiste świata, każdy proces jego, każdy ruch atomów czy słońc jest widzialnym i dotykalnym wyrazem myśli i woli samego Boga, który *wszystko* przenika, który stanowi jedyną przyczynę wszystkiego co istnieje, działa, żyje i rozwija się" (str. 44). Mimo to jednak, świat nie jest zupełném objawieniem Boga, ale tylko *jedną* jego myślą, gdyż „Bóg sam w sobie odróżnia się od świata, jako od swéj myśli, posiada sam w sobie świadomość, któréj świat nigdy wyczerpać nie może" (str. 45). I trzecia para metafizycznych pojęć: konieczności i wolności, podobnie jak dwie pierwsze, przedstawia nam związek dwóch pierwiastków, nie wyłączających się nawzajem. Konieczność bowiem jest tylko wyrazem niezmienności i porządku, a te nie stają w sprzeczności z wolnością, gdyż przecież mogą być one wynikiem samodzielnego postanowienia istoty wolnéj.

W świecie rzeczywistym nie ma również, uczy nas autor w 3-cim rozdziale *(Rozwój ludzkości)*, sprzeczności. W całéj przyrodzie, twierdzi on, panuje najzupełniejsza zgoda i harmonia; tylko człowiek walczy ze światem go otaczającym. Ale walka ta nie jest ani od wieków, ani też nie może być na wieki, przeciwnie jest ona tylko przemijającém zboczeniem, wycinkiem nieskończenie małym w porównaniu z niezmierzonym pochodem rozwoju ludzkości. Pierwotnie żyła ludzkość, zdaniem autora, w najzupełniejszéj zgodzie i harmonii z sobą i światem zewnętrznym; dopiero „*rozstrój wewnętrzny*, który duchem ludzkim owładnął" (str. 58) zakłócił tu spokój. Rozstrój ten datuje od chwili obudzenia się samowiedzy, która położyła kres „bezpośredniemu panowaniu uczucia, myśli i woli, instynktu i natury," i oderwała świadomość „od powszechnego źródła życia." Tym sposobem powstał ten opłakany stan ludzkości, co wydał pessymistyczne poglądy. Nie mają wszakże racyi, zdaniem autora, pessymiści głosić, że zło i nierozum jest istotą wszechbytu. Gdy bowiem wytykają zdrożności tego świata, toć muszą być sami obdarzeni wyższym rozumem i szlachetniejszemi

uczuciami niż on; a zdolnościami temi nie sami się uposażyli, lecz otrzymali je w udziale od tego bytu, któremu nierozum i zło zarzucają. Nie mają też racyi „realiści wszystkich odcieni, od grubych materyalistów aż do ostrożnych pozytywistów,“ gdy twierdzą, że „walka wzajemna jest konieczną podstawą postępu, że bez niéj nie byłoby życia, rozwoju“ (str. 71) i gdy temu faktowi przyznawają znaczenie prawa powszechnego. Nic ich, według autora, do tego nie upoważnia. Nietylko bowiem „uniwersalne prawo harmonii, porządku, które we wszechświecie *rzeczywiście* panuje, a które rozum ludzki stwierdza“ (str. 77), utrzymuje autor, temu się sprzeciwia, ale sama nawet zasada indukcyi, do któréj się realiści odwołują, na wygłoszenie podobnego prawa nie pozwala. Indukcya bowiem nie pozwala wyciągać ogólnego wniosku z jednego tylko faktu, a co więcéj z faktu anormalnego. Tymczasem realiści o powszechném prawie walki wnioskują tylko z życia naszéj ziemi, a przecież utrzymuje autor „istnienie, a prawdopodobnie i życie nie są objawami właściwemi tylko naszéj maluczkiéj ziemi“ (str. 76). Prócz tego obecny stan ludzkości, który realistom służy za podstawę do ich wniosków, jest stanem przejściowym, a nadto stanem niedojrzałości chłopięcéj, nie mogącym być pod żadnym pozorem normą warunków życia. Wziąwszy te okoliczności pod uwagę, a zarazem przypatrzywszy się bliżéj dziejom ludzkości, nie trudno, sądzi autor, dopatrzyć się w rozwoju jéj, „pomimo wszelkiéj niedojrzałości i dzikości“ „owego rozwoju i postępu, który napełnić może człowieka myślącego otuchą lepszéj, świetniejszéj przyszłości“ (str. 84). Autor przebiega w dalszym ciągu wszystkie objawy życia ludzkiego i wszędzie dopatruje już kiełków tego pojednania człowieka z sobą i światem zewnętrznym. Uniwersalna ta synteza jest według widzenia autora celem, do którego ludzkość w rozwoju swym niechybnie zmierza; dziś istnieje tylko *idea* jéj, w przyszłości idea stanie się rzeczywistością; a wtedy, woła autor, „przyjmiecie coraz czynniejszy udział w życiu wszechbytu, i zostaniecie coraz dojrzalszymi członkami owego społeczeństwa Ducha, które najodleglejsze słońca i gwiazdy bratniemi więzami miłości, prawdy i szczęścia, powszechnego porządku i harmonii, na wieki z sobą spaja“ (str. 105).

W powyższém staraliśmy się dać krótkie i przyznajemy niewyczerpujące sprawozdanie z treści i metody „Syntezy dwóch światów,“ z których pierwsza łączy świat idealny z realnym, druga zaś metody doświadczalne z dedukcyą, opartą na apiorycznych wymaganiach rozumu. Tym sposobem na polu sobie właściwém urzeczywistnia autor tę syntezę, któréj od przyszłości dla wszech-

świata się spodziewa. Ale na tém nie ograniczają się syntetyczne dążności autora. Zasadę swą przeprowadza on wszechstronniéj— gdyż stosuje ją i do *formy* dzieła. „Synteza dwóch światów“ nie jest utworem ściśle naukowym, ale też nie jest książką popularną w zwykłém znaczeniu tego słowa; nie zwraca się ona wprawdzie do szczupłego grona filozofów z fachu, ale też nie rzuca słów swych przed całe koło czytającéj i wykształconéj publiczności. „Kto poezyi nie lubi, mówi autor, (str. IX i in.), nie szanuje twórczéj, budującéj potęgi ducha, a natomiast, jak machina parowa, przez cały rok pracuje w mechanicznym warsztacie życia: — ten niech książki téj nie czyta, bo w niéj dla siebie nie wiele znajdzie. Ale również nie jest przeznaczoną dla *marzycieli*, świętujących przez całe życie.“ „Autor, kreśląc ten szkic, nie był ani abstrakcyjnym *myślicielem*, ani fantastycznym *poetą*, lecz był *człowiekiem* myślącym i czującym zarazem“ (ib.). Takich więc autor czytelników szuka, co też same zdolności harmonijnie w sobie łączą. Nie wątpimy, że poszukiwania jego wśród dzisiejszego społeczeństwa pożądańszym zostaną uwieńczone skutkiem niż niefortunne przedsięwzięcie Dyogenesa. Zgodnie zatém z zamierzonym celem przyobleka autor swe dzieło w szatę poetyczną. Wszakże nie rodzaj czytelników, jakiego autor sobie życzy, wpłynął na tę formę „Syntezy dwóch światów;“ to był wzgląd uboczny: właściwa przyczyna leży głębiéj i tkwi w całym poglądzie autora. Rozdział między głową a sercem, jaki z postępem czasu na polu pracy umysłowéj nastąpił, jest, zdaniem autora, tylko stanem przejściowym. Filozofia i poezya, dziś w skutek tego rozdziału rozerwane, powinny się na nowo połączyć, gdyż inaczéj podział pracy zaprowadzony „dla stworzenia siedziby *prawdy*, *piękna* i *dobra*“ (str. VII) nie doprowadzi „do *urzeczywistnienia* zamierzonego celu“ (str. VIII), „praca nie wyda *owocu*“ (str. IX). I my głęboko jesteśmy przekonani o potrzebie zaspokojenia potrzeb uczucia i rozumu; co większa, mniemamy, że pierwotna spójnia czucia i myślenia przetrwała i przetrwa wszelki podział pracy umysłowéj, ale pozwalamy sobie wątpić, czy podobne *rozmyślne* pomieszanie lub, jeśli autor woli, połączenie filozofii z poezyą może na dobre wyjść jednéj i drugiéj. Jednocześnie zaspokoić wszystkich dążności i wymagań człowieka nie podobna. Bezwątpienia nie idzie za tém, żeby zaspakajając myślenie, wymagania uczucia miały być pogwałcone, przeciwnie, wypada je szanować; sądzę wszakże, że najpewniéj da się to osiągnąć przez ściśle ograniczenie pokarmów, służących dla obojga tych dążności człowieka. Łączyć *rozmyślnie* filozofię z poezyą, to, zdaniem naszém, wkraczać na tory podobne, po jakich

chce kroczyć muzyka przyszłości. *Mutatis mutandis* na obu polach też same dążności: tu — jednia myśli i muzyki, tam — jednia myśli i poezyi. Być może, że syntetyczna filozofia autora, która nie jest jeszcze filozofią teraźniejszości, w przyszłości uświęconą zostanie; to jednak pewna, że przeszłość przeciwko niéj świadczy. Ilekroć bowiem ścisła myśl łączyła się z uczuciem, wywody rozumowe z poezyą, zawsze w filozofii zakwitał mistycyzm. Ów Platon, którego dzieła, według trafnego orzeczenia autora, są „najwymowniejszym i zarazem najwspanialszym wyrazem tego związku“ (str. VII), jest też i najwspanialszym mistykiem. *Plotin*, *Giordano Bruno*, *Eckhard*, *Jakób Böhme*, *Schelling*, łączą w swych spekulacyach filozofią z poezyą i są—mistykami; nawet taki trzeźwy umysł jak *Schopenhauera* nie mógł uniknąć mistycyzmu, i to właśnie wtedy, gdy dotyka się sfery, w której, jak twierdzi, myślenie nie wystarcza. I autor nasz bezkarnie nie stąpa po téj ślizkiéj drodze, i on wpada ostatecznie w mistycyzm. Jego pogląd, że „ludzkość dotąd, dla braku umysłowéj dojrzałości, stoi jeszcze zupełnie po za obrębem“ *społeczeństwa światów niebieskich* (str. 81); jego przewidywania o przyszłości rodu ludzkiego, o któréj się odzywa: „Wtedy przyjmiecie coraz czynniejszy udział w życiu wszechbytu, i zostaniecie coraz dojrzalszymi członkami owego społeczeństwa ducha, które najodleglejsze słońca i gwiazdy bratniemi więzami miłości, prawdy i szczęścia, powszechnego porządku i karności, na wieki z sobą spaja!“ (str. 105) — są nawskroś mistyczne. Być może, że sąd nasz jest jednostronny, że nie zdołaliśmy się podnieść po nad to dzisiejsze społeczeństwo, które, według orzeczenia autora, znajduje się w wieku zarozumiałego i niedojrzałego młodzieńca; być też może, że nie mamy prawa wliczyć się do grona ludzi „z umysłem świeżym, a sercem dążącém do światłości“ (str. X)—nie ulega wszakże wątpliwości, że jak z jednéj strony wiedza témbardziéj się bogaciła i tem więcéj zyskiwała na pewności, im bardziéj myślenie wewnętrznie krzepło i u uczucia posiłków nie szukało; tak z drugiéj — wątpliwości ulegać nie może, że w rzeczach poznania i prawdy ostateczny wyrok wydaje myślenie i tylko myślenie.

Przechodząc od zasady do sposobu urzeczywistnienia jéj, uderza nas przedewszystkiém pewna nierówność w traktowaniu obu czynników, które się na „Syntezę dwóch światów“ złożyły. W dziele, które pragnie być bezpośrednim wyrazem „nierozerwalnéj jedności ducha ludzkiego, organicznéj spójni jego dążności i potrzeb“ (str. IX), mieliśmy prawo szukać równéj pieczołowitości o myśl jak i o uczucie, taką samą dolę nauki jak i poezyi. Tymczasem autor

więcéj dba o poezyą i uczucie niż o myśl i naukę. Allegoryi i metafor wiele i często bardzo pięknych, ale zato myśl nieraz niejasna, chwiejna i niezupełnie prawdziwa, a rozumowanie na słabych oparte podstawach. Samo już określenie zadania, które autor postanowił sobie rozwiązać, samo orzeczenie sprzeczności, wśród których się biedzimy, jest niejasne i odbiega od rzeczywistego stanu rzeczy. Świat nowy, to według autora dziecko—myśli, wiedzy, badania; świat stary natomiast — dziecko uczucia, wiary, poezyi; tam króluje materya, tu duch; tu rozpierają się realiści, tam żyli idealiści. Ale czyż można wszystkich realistów tak ściśle bratać z wyznawcami materyi, a idealistów z wyznawcami ducha? Cóż wspólnego bowiem ma doświadczalna psychologia angielska i najnowsza niemiecka z teoryami Büchnera i Moleschott'a? Czyż Schopenhauer przestał być idealistą dlatego, że nie przyznaje istnienia duszy? Albo czyż teorye materyalistyczne powstają w skutku przewagi myśli nad uczuciem, a idealistyczne są rezultatem zwycięztwa uczucia nad myślą? Bynajmniéj. Wszystkie te różnice polegają na różności metod i punktów wyjścia *w rozumowaniu*, nie zaś na sprzeczności uczucia i myślenia. „Zastąpienie Boga przez *przyrodę*, ducha przez *materyą*, samodzielności i wolności przez prawo *konieczności*," mówi autor, oto znamię nowych czasów (str. 9). Do jakiejże więc to epoki naszego rozwoju odnosi autor właściwie ten „nowy świat"? Zaprawdę, na pytanie to odpowiedź nie łatwa, tak niejasno autor się wyraża. Ze słów: „We Francyi wielka rewolucya przecina węzeł gordyjski, łączy przeszłość z przyszłością" (str. 5); ze słów tych wnosićby można, że jutrzenka tego nowego świata zabłysła w XVIII stuleciu; tymczasem autor jako jedno ze znamion nowego czasu przytacza i rozpanoszenie się giełdy kosztem pracy—zjawisko najzupełniéj *dzisiejsze* i bodaj czy już nie należące do przeszłości; teorye zaś i poglądy materyalistyczne i ateistyczne zakwitły już przecież na klassycznym gruncie Grecyi. Naostatek autor z takim żalem opiewa upadek nauki, filozofii, poezyi i sztuk pięknych w „nowym świecie," iż zdawaćby się mogło, że ma na myśli stan Europy podczas wielkiéj wędrówki narodów. Całą tę niejasność wywołało nieszczęsne wprowadzenie poezyi do filozofii, w skutek czego autor dla żywych i jaskrawych obrazów poświęcił dokładność myśli. Jeszcze większą krzywdę wyrządziła autorowi poezya w ustępie o początku i źródle „dwóch światów." Tu myśl zupełnie skryła się za allegoryą, tak iż jasnego poglądu trudno się domacać. Prawda, że ustęp ten jest prawdziwie piękny, że śmiało można go porównać z niejednym ustępem Przemian Owidyusza, ale bogactwo poezyi w dziele filozo-

ficznem nie może zastąpić ubóstwa myśli. Tymczasem w całym tym ustępie od str. 12 do 25 tę tylko jedyną myśl wypowiada autor—nie rozwija—że pierwotny rozbrat uczucia i myśli wywołał dzisiejsze sprzeczności w życiu ludzkości. To samo zupełnie stosuje się i do ustępu, w którym autor mówi o przyczynie „wewnętrznego rozstroju" ducha ludzkiego, co miał za sobą dzisiejsze „zboczenie" rodu ludzkiego pociągnąć. I tu zamiast jasnego wywodu mamy od str. 59 do 64, ładny poetyczny obraz; a jednak tu właśnie byłoby bardzo na miejscu przemawiać do *rozumu* a nie do *fantazyi* czytelnika. W tym bowiem ustępie autor przecież stara się uzasadnić swą teoryą o złotym wieku ludzkości, istniejącym na naszym padole płaczu przed obudzeniem się samowiedzy. Gdyby autor w ustępie tym był zrobił choć trochę koncessyi rozumowaniu i nie dał się zupełnie porwać wirowi poezyi, byłby może trwalsze odszukał podstawy dla swéj ryzykownéj teoryi o upadku rodu ludzkiego i silniejsze wpoił w nas przekonanie o nieszczęściu, które samowiedza na ród ludzki ściągnęła.

Nie wszędzie jednakowoż stała autorowi poezya na przeszkodzie. Są ustępy w „Syntezie dwóch światów," gdzie autor tylko rozumuje. Tu miał on sposobność wynagrodzić myśl za krzywdy, które jéj gdzieindziéj poezya wyrządziła. Na nieszczęście autor ze sposobności tych nie chciał zrobić należytego użytku. W rozdziale o materyi i duchu autor polemizuje przeciwko pojęciu materyi, do którego nikt, nawet najzagorzalszy materyalista, dziśby się nie przyznał. Pojęcie materyi jako jakiejś martwéj, chaotycznéj substancyi już na początku naszego stulecia prawie zupełnie wygnano z nauki; pocóż więc walczyć z tém, co już nie żyje? Niepodobna nam zastanawiać się szczegółowo nad dowodami, które autor przeciwko takiemu pojęciu materyi przytacza, a które zdaniem naszém, mogłoby być trafniéj dobrane; zwrócimy tylko uwagę na to, że autor nowsze rezultaty badań psychologicznych, według których pojęcie materyi powstaje z mięśniowego wrażenia oporu, niepotrzebnie wzbogacił przez dodanie „i wrażenia ograniczenia." Jeśli bowiem ograniczenie nie ma być tém samém co opór — a autor, zdaje się dwie te rzeczy rozróżnia— w takim razie np. i porządek policyjny powinienby się nam przedstawiać pod formą materyi. I w saméj rzeczy, autor jak najwyraźniéj twierdzi, że „wszystko co *obce*, co nie ja, przedstawia mi się jako *materya;* a zatém i obce uczucie, obca myśl, obca wola, będąc czémś zewnętrznem względem *mego* czucia, *méj* myśli, *méj* woli, stanie mi przed oczy zawsze i wszędzie w formie materyi" (str. 41). Niepodobna także się zgodzić na polemikę autora przeciwko realistom, do których ry-

czałtowo zalicza materyalistów i pozytywistów, co do teoryi o rozwoju ludzkości. Autor dwa te obozy naukowe tak mało rozróżnia, że obu wspólny robi zarzut, iż walkę o byt podnoszą do godności powszechnego prawa, i że twierdzą, jakoby natura ludzka i warunki jéj istnienia na ziemi żadnéj nie podlegały zmianie. Zarzut ten spotkał pozytywistów przynajmniéj najzupełniéj niewinnie. Przedewszystkiém pozytywiści są najmocniéj o tém przekonani, że natura ludzka i warunki jéj istnienia ciągłéj, choć powolnéj podlegają zmianie. *Herbert Spencer*, najpoważniejszy z socyologów pozytywnych, dowodzi tego w rozdziale VI dzieła swego p. t. „The study of sociology" r. 1873. Powtóre pozytywiści wypierają się wszelkiéj wspólności z metafizyką; nie mogą zatém mówić o powszechnych prawach wszechbytu. Walka o byt, to według pozytywnego zapatrywania, niezbędny warunek życia i rozwoju *istot organicznych* naszéj ziemi. Innego znaczenia pojęciu temu pozytywiści nie nadają; gdy więc autor utrzymuje, że indukcya nie pozwala im mówić o walce jako uniwersalném prawie istnienia, gdyż „istnienie a prawdopodobnie i życie, nie są objawam właściwemi tylko naszéj maluczkiéj ziemi" (str. 76), to godzi w nieprzyjaciela, którego w rzeczywistości nie ma.

Moglibyśmy daleko więcéj wykazać podobnych grzechów przeciwko ścisłości i jasności, gdybyśmy się nie obawiali zbytecznie rozszerzyć ram sprawozdania; uważny czytelnik sam je spostrzeże w „Syntezie dwóch światów." Z tém wszystkiém, kto nie szuka w filozofii rozjaśnienia, lecz podniesienia swego ducha, czyje serce tylko z lekka zaniepokojone sceptycyzmem, ten z przyjemnością przeczyta dziełko prof. Struvego.

Henryk Goldberg.

OMYŁKA DRUKU.

W zeszycie III str. 668 wiersz 5 zamiast: *tacy* czytaj *lasy*.

KONIEC ZESZYTU CZWAREGO.

Redaktor i Wydawca *H. Benni.*